

nieregularny

PULS

kwartalnik literacki

481

ZBIOR OSOBY KASA



nieregularny

PULS

kwartalnik literacki

wybór z numerów

21 - 26

wiosna 1984 / lato 1985

Redagują:

*Jan Chodakowski, Tadeusz Kadenacy
Bartosz Pietrzak, Grzegorz Sowuła
(sekretarz redakcji), Witold Sułkowski
oraz członkowie kolegium redakcyjnego,
których nazwisk nie ujawniamy*



Niezależna Oficyna Wydawnicza
Warszawa 1987



Copyright © by Puls Publications

Wszystkie prawa zastrzeżone

Zezwolenie na przedruk lub tłumaczenie należy uzyskać zwracając się do: *The Secretary*, PULS Publications, BCM Box 697, London WC1N 3XX, United Kingdom.

The first Polish edition published in February 1985

All rights reserved

Permission for reprints, translations and reproductions must be obtained in writing from: The Secretary, PULS Publications, BCM Box 697, London WC1N 3XX, United Kingdom.

Wszelką korespondencję prosimy kierować na ręce sekretarza redakcji. Materiałów nie zamówionych nie odsyłamy. Zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów w nadsyłanych materiałach.

Przedstawiciel w USA:

Witold Sułkowski, 330 Lincoln Avenue, Takoma Park, MD 20912

Przedstawiciel w Skandynawii:

Mirosław Ancygo, c/o Independent Polish Agency, Box 2113, S-220 02 Lund, Sweden

Przedstawiciel we Francji:

Libella Librairie, 12 rue St-Louis-en-l'Île, F-75004 Paris

ISSN 0143 5531

Należy do mordowanego narodu; zabijają nas nieustannie, kaleczą naszą przyszłość, wydrzeć usiłują samą duszę; my nie mamy czasu. Prawda, tylko prawda, jasna, jak stal, błyszcząca w słońcu. Zarządzmy hurtowną wyprzedaż starego rupiecia; ujrzymy to, co jest: rzeczywistość naszą, zrzeczenie wszystkich sił polskich, walczących o przyszłość swą, pod strasznym uciskiem historii, która nie przygotowała narzędzi pracy, obciążyła nas nawyknięciami, nie mającemi nic wspólnego z zakonem pracy; wykuć musimy sami w sobie siłę. Być Polakiem musi się stać dla człowieka przywilejem, rzeczywistą mocą.

Stanisław Brzozowski, *Legenda Młodej Polski* (1910)

Zbigniew Herbert

MSZA ZA UWIĘZIONYCH

Jeśli to ma być ofiara za moich uwięzionych
niech się odbędzie najlepiej
w niestosownym miejscu

nisko
bardzo nisko

bez marmurów muzyki
złota kadzidła bieli

najlepiej koło glinianki pod niechlujną wierzbą
kiedy zacina deszcz ze śniegiem

w opuszczonej kopalni
spalonym tartaku
albo w magazynach głodu
gdzie z odrapanych ścian
zamiast Aniołów Sądu
patrzy
sól
ocet

jeśli to ma być ofiara
trzeba się pojednać
z braćmi którzy są
w mocy nieprawości
i walczą za murami

poruszają się wolno
jak w głębi oceanu
widzę
ich jasne cienie
bezczyenne ręce
nieporadne łokcie i kolana
policzki w których zagnieżdżyła się pleśń
usta otwarte we śnie
bezbrotne plecy

jesteśmy tutaj sami
— mój mistagogu —
żadnych innych orantów
patrzę jak rozmawiasz
z kielichem
splatasz i rozplatasz
węzeł
ronisz i zbierasz
okruszyny

a ja
nasłuchuję
czy nad moją głową
już polatuje
szare numinozum

— mój Boże
żeby choć nitka szkarlatu —

I tak trwamy
spiskowcy

wśród odgłosów wróżebnych
i odgłosów trywialnych

dostojnego milczenia dzwonów
upartego szczekania kluczy

Janusz Głowacki

WARTOWNICY

*Noc. Noc w tej sztuce trwa bez przerwy. Wszystko odbywać się powinno w półmroku rozświetlonym blaskiem pochodni czy zamazanym światłem jakby księżyc. Powinno też powstać wrażenie, że akcja sztuki rozgrywa się w czasie jednej nocy. Może zresztą tak i jest, nasza wiedza o tym, jak długie były norweskie noce, a zwłaszcza ta noc, jest niepełna. Na scenie stoi potężne drzewo przysypane śniegiem. W głębi, bo scena powinna być głęboka, wznosi się coś na kształt wielkiego, ozdobnego namiotu. Słychać świst wiatru. Może prószyć śnieg. Słychać długie, przejmujące wycie. Wtedy od drzewa odrywa się, niewidoczna dotąd, postać **Wartownika I**, lat około dwudziestu. Ma pancerz, miecz, okutany jest jakimiś ocieplającymi szmatami. Otrząsa się ze śniegu, wykonuje ruchy na rozgrzewkę, wysupluje spod szmat manierkę czy bukłaczek, zaczyna mocować się z przymarznąłą nakrętką. Próbuje wszystkich znanych sposobów: zębami, odbija od dołu, uderza o kolano, o drzewo, tratuje nogami. Wreszcie, kiedy już prawie zrezygnował, zakrętka bardzo łatwo puszcza. **Wartownik I** podnosi manierkę do ust, ale kiedy pije pierwszy łyk, znów powtarza się przejmujące wycie bōłu. **Wartownik I** krztusi się, wzdryga, spluwa. Wchodzi **Wartownik II**, powiedzmy czterdziestoletni. Niesie na plecach dwa miecze zawinięte w szmaty.*

Wartownik I

Stój, kto idzie?!

Wartownik II

To ty odpowiedz. Stój, kto idzie?!

Wartownik I

Niech żyje Król!

Wartownik II

Najlepszy ojciec.

Wartownik I

I syn narodu norweskiego.

Fragment przygotowywanej do druku sztuki Fortynbras się upił. Tytuł „Wartownicy” pochodzi od redakcji.

Wartownik II

To ty?

Wartownik I

To ja, a niby kto miałby być?

Wartownik II

Strasznie zimno.

Wartownik I

(podnosi znów manierkę i znów straszliwe wycie, więc znów się krztusi) Ale noc, niech to chuj świstnie!

Wartownik II

Taaak. *(rozgląda się)* Zimno, wiatr.

Wartownik I

Zimno, wiatr i w ogóle.

Wartownik II

(poufnie) Czy widziałeś naszych duńskich przyjaciół?

Wartownik I

Ani śladu. Granica pusta.

Wartownik II

Coś się tam dzieje niedobrego w państwie duńskim. Od dwóch dni chcę wymienić miecze na flaszkę i nic. *(patrzy pożądliwie na manierkę I-go, straszliwe wycie rozlega się ponownie)*

Wartownik I

Co to jest?

Wartownik II

Co?

Wartownik I

No, to! Kto tak wyje?

Wartownik II

Aaa, to! To, to przesłuchują Ducha. Wczoraj wrócił z Danii.

Wartownik I

Aha! Już myślałem, że coś się stało.

Wartownik II

Swoją drogą, twardy jest.

Wartownik I

Duch?

Wartownik II

Nie, Osmiooki. Bije go już cztery godziny.

Wartownik I

Dlaczego się nie przyzna?

Wartownik II

(rozgląda się i mówi szeptem) Może nie ma do czego?

Wartownik I

To nie jest żadna sztuka przyznać się, jak się ma do czego. Zresztą, chcieć znaczy moc. A w ogóle po co się pchał na Ducha? Za ambitny był. Chciał się wybić, to ma. Nie lubię nachalstwa.

Wartownik II

Prawdę mówiąc, tak za bardzo się nie pchał. Ośmiopoki go wyznaczył. Miał oko na jego konia. Prawdę mówiąc, on się nawet bronił, jakby jego organizm coś przeczuwał, mówił, że głosu nie ma. *(znów straszliwe wycie)*

Wartownik I

Głos ma dobry... Konia też miał ładnego.

Wartownik II

Ale nie sprawdził się jako Duch. Ośmiopoki wszystko wypatrzył.

Wartownik I

A wiesz coś, jak zdrowie Króla?

Wartownik II

(ścisza głos) Podobnież już dawno nie żyje.

Wartownik I

Eee tam...

Wartownik II

Widziałeś go na święcie?

Wartownik I

Oczywiście, siedział sobie na tronie.

Wartownik II

Ruszał się?

Wartownik I

A po co ma się ruszać? Jakbym był królem, też bym się nie ruszał. Gdzie jest powiedziane, że człowiek jest w ogóle stworzony do ruszania się?

Wartownik II

Myślisz?

Wartownik I

Przedtem też się Król dwa lata nie ruszał, a potem nagle udusił posta.

Wartownik II

Toteż się boją sprawdzać, jak z nim jest.

Wartownik I

Czyli właśnie to mówię. Nie rusza się, bo wszystko jest w porządku. Będzie coś nie tak, to się poruszy.

Wartownik II

Swoją drogą ciekawe, kto będzie po nim?

Wartownik I

A niby jaka to jest różnica? *(ostrożnie podnosi butelkę czekając na wycie, które mu przeszkodzi, ale nic się nie dzieje. Podnosi butelczynę-manierkę, czeka jeszcze chwilę i pije, odchrząkuje jak to po picciu. Wartownik II obserwuje go zawistnie i pożądliwie. Tamten udając, że tego nie zauważa, spokojnie chowa flaszkę.)*

Wartownik I

Jakby ciszej... Może się przyznał?

Wartownik II

Albo zemdłał.

Wartownik I

Jak zemdłał, to go ocucą i zaraz się odezwie. Zimno.

Wartownik II

Bardzo zimno. Napiłbym się.

Wartownik I

Wiele jak skurwysyn.

Wartownik II

Albo jeszcze gorzej.

Wartownik I

Jakoś, wiesz co?

Wartownik II

No?

Wartownik I

Jakoś wiesz, tak mi teraz trochę dziwnie, jak on nie krzyczy.

Wartownik II

Dopiero co narzekałeś. Daj łyka.

Wartownik I

(jakby nie słysząc) Jak myślisz, wkroczymy?

Wartownik II

A chuj wie.

Wartownik I

Jak myślisz, będą się bronić?

Wartownik II

A chuj wie. Strasznie mnie suszy.

Wartownik I

Jak myślisz, podsłuchują nas teraz?

Wartownik II

Absolutnie na pewno.

Wartownik I

To dobrze. Nie lubię gadać niepodśluchiwany. Myśli mi się od tego płaczą.

Wartownik II

Dawniej się bronili. Ale nawet jakby, to też się nie wybronią. To jest piękny kraj. Po polach chodzą kobiety i konie. Ciekawy kraj, ale wódka słabsza.

Wartownik I

Co to, to czuję.

Wartownik II

Jakśmy wtedy byli w Danii, znaczy wywalczać dla Duńczyków niepodległość spod francuskiej okupacji. Ech, człowiek młody był, Jezu... *(rozmarza się)* Trzepaliśmy ich, jak się patrzy. Nieraz dnia nie starczało i dorzynaliśmy już po ciemku.

Wartownik I

Francuzów.

Wartownik II

Dlaczego Francuzów? Duńczyków! I Król był wtedy młody, otrzymał od naszego oddziału przydomek wywołiciela. A kobiet nie nabrzucałem...

Wartownik I

No, no... *(bardzo zadowolony)*

Wartownik II

Daj się napić!

Wartownik I

(podaje mu manierkę, patrzy z niepokojem, jak tamtem pociąga długi tyk, wreszcie wyrzywa mu manierkę) No!

Wartownik II

Taka jedna laleczka wzięła się na sposób i mówi: „Nie radzę ci mnie brzuchacić, bo mam syfa.” A ja jej na to: „A charakter mój znasz?”

Wartownik I

I co?

Wartownik II

Ano nic. Wyjąłem dojrzałość płciową i tak ją w tę i nazad. I na odwrytkę. *(demonstruje pozycję)*

Wartownik I

I co, miała syfa?

Wartownik II

Kochany, jeszcze jakiego!... A jak która się za bardzo skarżyła, to żeśmy mówili tak: „Panienko, co się stało, to się nie odstanie, ale zawsze mogę ci ulżyć.” I miecz w gardło. Eech... *(wzdycha nostalgicznie)* Były czasy.

Wartownik I

Taa, ty to żeś się przynajmniej nażył.

Wartownik II

Potem tam jeszcze raz byłem. Pracowałem przy budowie Elsynoru. Ale to już nie to. I wiesz, co ci powiem? Oni nas tam nie lubią.

Wartownik I

Nie?

Wartownik II

Nie. I kultura tam też wcale nie taka wysoka. Wiesz, na przykład, że odwyszalni nie ma?

Wartownik I

(bardzo podniecony) Niesamowite. Ja to bym tam od razu wkroczył... Ale te Dunki. Ty mnie mów konkretnie, jak to z nimi idzie, bo jak słyszałem, one mają ten interes w poprzek. Nie mogę już patrzeć na te nasze. Tfu! *(spluwa)* Rany boskie, jak sobie pomyśle. Co się tak wykrzywiasz?

Wartownik II

Kto ci takich głupot nagadał?

Wartownik I

A co, może nie?

Wartownik II

(kręci przecząco głową)

Wartownik I

Nie wierzę ci!

Wartownik II

Co za głupie pieprzenie! Dunki w poprzek! To jest w ogóle niemożliwe. Owszem, w poprzek to mają, ale Żydówki... Stój, kto idzie?!

(Powoli wchodzi cztery O p r a w c y, za ręce i nogi niosą Ducha. Głowa Ducha zwisa bezwładnie.)

O p r a w c a I

Prawdziwi Norwedzy.

W a r t o w n i k II

Niech żyje Król! Przechodzić!

(Oprawcy wraz z obciążeniem przechodzą przez scenę i znikają.)

W a r t o w n i k II

Chyba zemdłał... *(patrzy za Oprawcami)* Niosą go nad wodę... Może chcą go ocucić?

W a r t o w n i k I

(niechętnie) Może.

(Przez scenę przechodzi V i c e k a t, niosąc potężny kamień z przywiązanym do niego sznurem.)

W a r t o w n i k II

Zimno.

W a r t o w n i k I

Jak skurwysyn.

W a r t o w n i k II

Zaraz powinni nas zmienić.

(Zza sceny słychać odgłosy zwyczajne jak to przy rozluźnianiu ciała przed wrzuceniem do wody: Ej, upp... Ej, upp... Potem plusk. Wartownicy stoją przez chwilę w milczeniu.)

W a r t o w n i k I

Stój, kto idzie?!

(Na scenę wchodzi śledczy, zwany O ś m i o o k i m. Młody, zdolny, 30 lat. Twarz ponura bez uśmiechu. Rozgląda się dookoła. Widzi wszystko. Stąd przezwisko Ośmiooki.)

O ś m i o o k i

Prawdziwi Norwedzy.

W a r t o w n i c y

Niech was Bóg zachowa. *(wyprężają się służbiście)*

O ś m i o o k i

A, to wy. Zimna noc, wiatr, śnieg.

W a r t o w n i k II

Tak jest! Wiatr, śnieg, zimna noc.

O ś m i o o k i

Co mówiłeś?

W a r t o w n i k II

Że zimna noc.

O ś m i o o k i

W jakim sensie?

W a r t o w n i k II

Wiatr, śnieg.

O ś m i o o k i

Smutno tak stać na warcie, co? Chyba to nie ma żadnego sensu, co? Nikt i tak nie idzie. A tu zimno, nie?

W a r t o w n i k II

Bynajmniej, czyli wprost przeciwnie.

O ś m i o o k i

Co to znaczy, wprost przeciwnie?

W a r t o w n i k II

Myślę, że to bardzo mądra rzecz, że tu tak stoimy na granicy Danii.

O ś m i o o k i

Skąd wiesz, że stoimy na granicy Danii? Gdzie to było ogłoszone?

W a r t o w n i k II

Czy ja powiedziałem, że na granicy Danii?

O ś m i o o k i

(do Wartownika I) Czy on powiedział, że to jest granica Danii?

W a r t o w n i k I

Ja, prawdę mówiąc, nie zwróciłem uwagi. Przeczesałem oczami las, czy się kto nie rusza.

O ś m i o o k i

Duńczyk?

W a r t o w n i k I

Dlaczego zaraz Duńczyk? Może jeleń?

O ś m i o o k i

Oj, bo się pogniewamy. Po czym żeś poznał, że granica?

W a r t o w n i k I

Po tych, jak tam... gwiazdach. *(uśmiecha się przymilnie)*

O ś m i o o k i

Oj, mądrało, mądrało. Bo ci zaraz zgaszę ten uśmiech. A uciec nikt nie próbował?

W a r t o w n i k I

Niby skąd i dokąd?

O ś m i o o k i

W jakim sensie?

W a r t o w n i k I

A gdzie tu uciekać?

(Odzywają się kotły, trąby.)

O ś m i o o k i

Jesteście w czepku urodzeni. Nie mam teraz do was głowy. Rozejść się na pół godziny. W związku z napiętą sytuacją zmiany dzisiaj nie będzie. Za pół godziny chcę was widzieć przy namiocie Króla. W pełnej gotowości, obaj wymyć i wyonizowani. *(wychodzi)*

W a r t o w n i k II

(oddycha z ulgą)

(Kotły i trąby odzywają się ponownie.)

W a r t o w n i k II

Udało nam się.

Wartownik I

(nie odpowiada)

Wartownik II

Mówię, że mieliśmy szczęście.

Wartownik I

(milczy)

Wartownik II

Co jest z tobą? Mógł nas jak nic kazać udusić... Co ci się stało?

Wartownik I

Nie ma się z czego cieszyć.

Wartownik II

Nie ma?

Wartownik I

Nie.

Wartownik II

A z tego, że żywy jesteś? Że możesz się napić wódki?

Wartownik I

Nie ma już wódki.

Wartownik II

Ale możesz zawsze czekać na tę wódkę, której nie dostaniesz.

Wartownik I

Nawet najmarniejsze stworzenie potrzebuje trochę nadziei, jakichś marzeń! Nienawidzę cię!

Wartownik II

Za co?

Wartownik I

Za Dunki. *(wychodzą)*

Kornel Filipowicz

WIERSZE

WIERSZ URODZINOWY

Urodziłem się w trzynastym roku wieku dwudziestego

W przededniu pierwszej wojny światowej

Której podobno wtedy uniknąć się jeszcze nie dało

(Ale według mnie lepiej że się stało co się stało)

Potem rosłem i przeżyłem lat siedemdziesiąt

Zjadłem w tym czasie około półtorej tony mięsa

Cztery tony chleba i cztery ziemniaków

Do tego beczkę soli

Wypiłem pięć hektolitrów mleka sporo herbaty i kawy

Dużo zimnej wody i mój Boże

Wódki też za kołnierz nie wylewałem

Kilkadziesiąt razy chorowałem

Na influencję hiszpankę grypkę kółusz i anginę

Raz na świnkę raz na szkarlatynę

Dwa razy miałem zapalenie płuc

Gdy miałem pięć lat

Powiedziano mi że powstała Polska niepodległa

Właśnie przez okno widziałem atamana Machnę na koniu

Miał na głowie czarny kapelusz z piórem

To był podobno kapelusz mojej ciotki

Nie wiem tak mówiono

Później całkiem z bliska (spod stołu) widziałem Petlurę

Niedługo potem Hallera w niebieskim mundurze

Zrobiłem więc sobie z bibułki chorągiewkę

I biegałem z nią po ogrodzie

Ale ktoś mi powiedział dziecko to złta chorągiewka

Czerwone ma być na dole a białe na górze

Więc obróciłem chorągiewkę do góry nogami

Prezydenta Narutowicza widziałem tylko na fotografii

Marszałka Piłsudskiego kilka razy

Ale z dosyć daleka

Coraz bardziej zgarbionego
Za to prezydenta Mościckiego widziałem nieraz z bliska
Wsiadającego do sałoniczki idącego bez obstawy
Do otwartego samochodu
Był w myśliwskim kożusku i futrzanej czapce
(Adiutant szedł za nim trzy kroki)
Ktoś czasem wołał prezydent Mościcki niech żyje
On się lekko uśmiechał i dłoń do czapki podnosił
Tylko dyżurny tajniak w meloniku
Był trochę zdenerwowany

Na pogrzebie Piłsudskiego orkiestra cicho grała
My pierwsza Brygada
Znani mi przed tym tylko z fotografii Göring
Pétain Laval i inni żywi ale jakby nieczalni
Przeszli blisko mnie
Jakoś niedługo potem czarna trumna Daszyńskiego
Owinęta czerwonym sztandarem popłynęła ponad
Wielkim morzem głów a później umarł Dmowski
I tak się w wieku dwudziestym kończył wiek dziewiętnasty

Gdy szedłem na wojnę miałem lat dwadzieścia sześć
Nie było kwiatów ani orkiestry o czwartej nad ranem
Ostatni batalion wymykał się cichcem z okrajonego
Małego miasta nad Sanem

Nie widziałem na oczy Himmlera ani Hitlera
I oni mnie też nie znali
Ale widocznie mieli mi za złe że jestem Polakiem
Bo siedziałem w więzieniu i w łagrze

Potem z daleka widziałem Bieruta i Gomułkę
Eisenhowera De Gaulle'a Brandta szacha Rezę Pahlavi
I z dosyć bliska zupełnie przypadkowo
Wychodzącą z Rijksmuseum holenderską królową
A Gierka to widziałem nawet z bardzo bliska
Podał mi rękę jesteśmy przecież obaj
Z tego samego rocznika
Po drugiej wojnie wiele się zmieniło
Polska się zmniejszyła i przesunęła na zachód
Przybyło nowych kilkadziesiąt państw
Na przykład ostatnio uzyskało niepodległość
Państwo Bruni
Nieduże
Dwieście tysięcy mieszkańców bardzo mnie to wzruszyło

I tak powoli za lat kilkanaście
Skończy się wiek dwudziesty
Czegóż więcej wymagać od życia?

III. 84

WIDZIAŁEM CZŁOWIEKA

Widziałem człowieka spełniającego rozkazy,
Których wykonywać nie chciał,
Ale musiał, żeby samemu nie zginąć.

Kazano mu, więc bił, kopał, znęcał się nad innymi,
Czynił nawet więcej niż mu kazano,
Jakby mścił się na swoich ofiarach
Za to, że musiał być ich oprawcą.

Widziałem w jego oczach strach
I błaganie o litość.

Widziałem też człowieka mówiącego,
Który zwilżał ciągłe wargi śliną,
Bo kłamstwa które wypowiadał,
Były szerokie i grube
I przechodziły mu przez usta z trudem.

Widziałem jego twarz,
Widziałem w jego oczach prośbę o przebaczenie.

Widziałem także człowieka
Który pisał cienkim piórem
Kłamstwa tak subtelne,
Że tylko z największym trudem
Można je było odróżnić od prawdy.

Widziałem, jego wargi były zaciśnięte,
Jego oczy były zimne,
Nie prosiły o przebaczenie.

VIII. 82

* * *

Między wiosną a jesienią
 Oczekiwaniem a spełnieniem
 Myślą a obrazem
 Pytaniem a odpowiedzią
 Pojęciem a rzeczą
 Błyskiem a hałmem

A nawet między jedną stroną książki a drugą
 Liściem a liściem na drzewie
 Przedświtem a świtem
 Chwilą która minęła a tą która mija
 Wszędzie

Jest coś czaś się coś tkwi coś zagadkowego
 Nęuchwytnego i niezrozumiałego.

Nie wiadomo co to jest
 Może jest tylko złudzeniem
 A może zapowiedzią a nawet obecnością
 W nas i poza nami
 Nicości lub wieczności
 Końca lub początku.

To coś jest tak małe cienie zwiewne
 Że wydaje się prawie nie istnieć
 Wcale nam nie zawadza
 W niczym nam nie przeszkadza
 Niczego nam nie zasłania.

Ale czasem
 Rozrasta się nagle i ogarnia nas całych
 Napełnia nasze serca
 Wprawia je w drżenie i każe oczekiwać
 Wielkich wydarzeń rzeczy niewiadomych.

Gdy więc nie wiemy czy to coś
 Jest tylko przeczuciem czy złudzeniem
 Alarmem czy przywidzeniem
 Czy zagraża nam czy śpieszy na ratunek
 Czy chce nas zgubić czy ocalić.

My biedni nieświadomi i niedoskonali
 Możemy to powitać
 Krzykiem lub męczeniem
 Przekleństwem lub modlitwą
 Kieliszkiem wódki lub łykiem zimnej wody.

NIEWOLA

W państwie totalitarnym
Wolność
Nie będzie nam odebrana
Nagle
Z dnia na dzień
Z wtorku na środę
Będą jej nam skąpić powoli
Zabierać po kawałku
(Czasem nawet oddawać
Ale zawsze mniej niż zabrano)
Codziennie po trochę
W ilościach niezauważalnych
Aż pewnego dnia
Po kilku lub kilkunastu latach
Zbudzimy się w niewoli
Ale nie będziemy o tym wiedzieli
Będziemy przekonani
Że tak być powinno
Bo tak było zawsze

III.83

POWIEDZ TO SŁOWO

Powiedz to słowo
Nie używane przez ciebie może już zapomniane
Albo przemilczane
Lub co gorsze w złym znaczeniu nadużywane
Zdobądź się na odwagę
W historii Polski
Ani żadnego narodu uciemięzonego
Ale wciąż walczącego
Nigdy to słowo nic złego nie znaczyło
Więc powiedz to słowo
I przypomnij sobie
Co ono znaczy

Andrzej Szczypiorski

SPOWIEDŹ DZIECIĘCIA WIEKU

Bedzie pan zdziwiony, ale ja ją poznałem na strzelnicy. Sobota wieczór, początek września. Jeszcze było ciepło, chodziłem wtenczas po cywilu, bo ja -- jeśli się można zwierzyć -- do uniformu nie mam większego przekonania. Kręciłem się koło tej strzelnicy niby bez celu, ale miałem oko na gibusa, który ją prowadził, bo od dawna robił numery z pajacykami. Tego zwykły obywatel nawet nie zauważał, ale mojemu spojrzeniu ująć nie mogło. Niby nic, jeden ruch ręką, a gibus miał na tym ponad dwie stówki. Kupował w hurcie pajacyki, jako premię za trafienie w dziesiątkę, ale jak wyjmował szpilę z tarczy to dosłownie przytknął tylko palcem i miał pan szpilkę na dziesiątkę. Za dziesiątkę dawał paczkę giewontów, cztery złote paczka. Może pan sobie wyobrazić, jaki robił szmal! Więc, jak już zaznaczyłem, to była sobota, pierwsze dni września. Jeszcze się dużo dzieciaków kręciło po parku. Była z chłopczykiem, taki blondynek, nawet niebrzydki, tylko trochę niemrawy. Z całą szczerością panu mogę oznajmić, że to mnie wtenczas wprowadziło w błąd. Poszedłem mianowicie fałszywą ścieżką. Stałem właśnie trochę w cieniu, bo nie lubię być na widoku, to przez nieśmiałość chyba, albo coś podobnego. Więc stałem na uboczu, a ona przyszła z tym chłopczykiem pod strzelnicę. Nie będę panu mówił nieprawdy, jak się już zdecydowałem na rozmowę po długim wahaniu i, powiedziałbym, walce osobistej, to opowiem wszystko tak, jak było wtedy w rzeczywistości. Patrzyłem na tę kobietkę i myślałem, że mogłaby się nadać. Miała wtenczas dwadzieścia cztery lata, ja byłem młodym mężczyzną. Młodzi mężczyźni, jak pan sam wie doskonale, dużo czasu poświęcają na panienki. Jestem, proszę pana, twardym człowiekiem, życie mnie nigdy nie pieściło, więc wyrażam się bez ogródek. Ona była wtenczas bardzo ładną kobietką. Miała na sobie zieloną spódniczkę i bluzkę bez rękawów, bo jak zaznaczyłem, jesieni jeszcze się nie czuło w powietrzu. Pomyślałem, że to jest młoda mężatka z dzieckiem i to mnie ogromnie zachęciło. Nie mogłbym panu powiedzieć, że nigdy w życiu nie miałem aktu z dziewczyną. Byłaby to nieprawda, a ja jestem człowiekiem absolutnie dumnym. A więc

dodam, że taki akt miałem, i nie wypieram się. Ale to było w mojej wczesnej młodości i, że tak powiem, nie odpowiadało moim potrzebom. Nawet byłem przez dłuższy czas jakby zniechęcony, może przestraszony, ale potem zapoznałem pewną panią, osobę owdowiałą i ona była dla mnie, jak to mówią, szkołą życia. Mogłbym panu opowiedzieć różne numery z tamtego okresu, ale sam pan rozumie, że jestem zobowiązany wobec tej kobiety, która bądź co bądź jeszcze żyje! Wracam do tamtej soboty. Ona tak ładnie wyglądała w świetle strzelnicy, że wprost oczu nie mogłem oderwać. Ten gibus miał tam wtedy koiorowe żarówki, zapalały się i gasły, zapalały i gasły, jak neony. To był człowiek interesu i wiedział, jak zwabić publiczność, żeby ludzie lecieli do tych pajacyków jak muchy do miodu. W tym świetle naprawdę wyglądała bardzo lapidarnie. Taka, proszę pana, nieduża buzia, wąska, jak u kotki. Raz w fioletowym cieniu, raz w czerwonym blasku. Wtedy przyszło mi do głowy, że poderwę sobie tę kobietkę. Ładna i do tego mężatka z dzieckiem, co ma swoje znaczenie honorowe. To nie zabrało dużo czasu. Mam na myśli zapoznanie się. Tylko zaraz odeszliśmy od strzelnicy, bo gibus mnie rozpoznał i zaczął się tak zachowywać, że mogłem stracić incognito. A w tych sprawach byłem absolutnie wyczulony. Poszliśmy więc zaraz w kierunku, gdzie był parkiet, grała orkiestra, a przy stolikach ludzie pili oranżadę. Byli i tacy, którzy przynosili z sobą czystą w butelkach po oranżadzie, bo niestety, jak pan wie, taki mamy właśnie naród. Ale tamtego dnia było nawet dosyć spokojnie, to jeszcze nie były czasy pełnego rozprężenia społecznego, ludzie się jeszcze liczyli z poczuciem odpowiedzialności za kraj.

Mówiąc całą prawdę, to ona nie była zbyt rozmowna. Tylko dość dużo śmiała się. Ten jej śmiech bardzo mi przypadał do gustu, ponieważ jestem muzykalny, mój dziadek był organistą, jako dziecko ładnie śpiewałem, ale jak przyszedł okres dojrzewania to mi głos zgrubiał i zarzuciłem muzykę. Ale do dzisiaj mam wyczułone ucho, na przykład wszystkie melodie chwytam bezbłędnie. Także gwizdźdę. Więc w tym jej śmiechu była jakaś melodia, może nawet więcej — powiedziałbym, że właściwie muzyka. I ona mnie bardzo brała. Chłopakowi kupiłem loda i poszliśmy tańczyć. Mówiłem jej, że ma ładnego, rozzagniętego synka, a ona śmiała się głośno. Trochę ją ścisakałem, ale bynajmniej nie będę panu streszczał szczegółów, są to jednak sprawy osobiste. Ale nie będzie żadną tajemnicą, jeśli dodam, że w późniejszym okresie odbyliśmy ze sobą akt jeszcze przed ślubem. Moja małżonka jest kobietą dzisiejszą, cokolwiek pan sobie pomyśli, to przecież niestety mamy dwudziesty wiek. Więc już wyprzedziłem wypadki i tylko jeszcze nadmienię, że ona mnie oszukiwała z tym swoim synkiem przez kilka dni. A nawet jeszcze teraz, po tylu latach, jak sobie to opowiadamy, to moja małżonka wybuchła śmiechem. A mnie to zawsze dobrze nastraja. Ten mały, dziś on już nie jest oczywiście mały, dwadzieścia lat zleciało jak z bicia trzaski, był synkiem jej starszej siostry, która jest za weterynarza. Od dość dawna mieszkają w Warszawie, a chłopak, proszę pana, ukończył w jego kierunku medycynę. Do dzisiaj bardzo się lubimy. On nawet pamięta smak jedzów z tamtego sobotniego wieczoru. Ale może tylko tak mówić, żeby się przypodobać wujaszce. Dzisiaj sam posiadam dzieci prawie dorosłe i wciąż nie mogę, że tak powiem, akceptować przebiegu czasowego. Pamiętam, jak małżonka chodziła z Mariuszkiem, to był okres, powiedziałbym, ciężki, stała mobilizacja sił

i energii, bardzo poważne kwestie wynikały każdego dnia, wiosna 68, pan to może wspomina inaczej, to jest kąt widzenia, to jest właśnie ta nasza cholerna rzeczywistość, która rzuca cień pomiędzy Polakami... Ale ja nie chcę rozmawiać o polityce, nasza rozmowa jest niestety czysto osobista, ma być rozmową o przeżyciach mojego serca. Więc moja Zocha, tak małżonkę nazywam, chodziła wtenczas z brzuskiem, a teraz Mariusz liczy lat czternaście. Córka jest trzy lata starsza, nosi imię Iwonna, ale o córce mówić nie chcę. To jest, proszę pana, mój głęboki zawód, powiedziabym, że nawet klęska. Jeśli się kiedyś dopuściłem błędu, to jako ojciec, jako wychowawca wobec własnego dziecka. Wychowałem wielu obywateli, którzy byli tysiącokrotnie gorsi, bardziej zaniedbani, społecznie na ostatnim marginesie. I udało mi się. Mam na to dowody, moja małżonka trzyma w bielizniarce w formie pamiątkowej listy, które były do mnie prywatnie kierowane przez osoby zwolnione po odsiedzeniu kary, a także niestety laurki imienninowe. Jestem człowiekiem absolutnie dumnym i dość skromnym. Jeśli panu powiem, że mam na imię Geniek i moje imienniny wypadają w przeddzień Sylwestra, pomiędzy Bożym Narodzeniem i Nowym Rokiem, to sam pan rozumie, ile wysiłku i zaparcia kosztowała tych uwiecznionych ludzi taka laurka. A jednak posiadam ich kilka i są bardzo serdeczną pamiątką. Zaznaczam to, żeby pan nie przypuszczał, że jestem człowiekiem, że tak powiem, mechanicznym, bo całkiem przeciwnie, jest we mnie wiele współczucia i wyrozumienia dla cudzych nieszczęść. Kto jak kto, ale ja chyba wiem, że siedzieć to jednak jest bezowocne nieszczęście. I właśnie ja zostałem wystawiony na próbę. Cóż, nie będę rzeczy cuchnących owijał w różową bibułkę, jak mówi poeta. Moja córka w szesnastym roku życia puściła się. Używam słów ordynarnych, bo to, co zrobiła jest po prostu ordynarne. Puściła się! Podjęła nieprzemysłany akt ze studentem ekonomii politycznej. I już powstało niebezpieczeństwo, że będzie miała dziecko. Powiem panu szczerze, że całkiem straciłem głowę. Przez trzy tygodnie chodziłem z nożem wbitym w serce. Krawailem. Pan jest ojcem i pan to rozumie. W takich chwilach życia kobiety zajmują bardziej odpowiedzialny pogląd. Nie są takie romantyczne. Moja małżonka, przez szwagra w Warszawie, znalazła pewną panią doktor. Nie można tego było robić u nas w mieście, bo społeczeństwo jest bardzo wrażliwe na punkcie etycznym przedstawicieli władz. Ale powiem panu, że ja już nie mogę patrzeć na moje dziecko tak, jak patrzyłem przez wszystkie poprzednie lata. Ja ją wysadzałem, wycierałem jej pupę, a ona zrobiła mi taki zawód. Tego się nie zapomina. Kiedyś czytałem pogląd pewnego filozofa, że coś można zrozumieć, ale nie można wybaczyć. To nie jest słuszne. Ja bym może nawet wybaczył, ale jak zobaczyłem tego chłopaka, z którym się puściła, to o zrozumieniu nie ma mowy. Nie jestem zbyt wymagający. Każdy niech ma swoje, niech ma to co chce, niech żyje jak chce, bo to jest główna zasada demokracji. Ale przecież są jakieś granice, jest jakaś przyzwoitość, jakiś dług do spłacenia ojczyźnie. Mężczyzna to jest mężczyzna, a kobieta to jest kobieta. Powiem panu z całą żołnierską otwartością. Ci młodzi nie posiadają jaj. Jakim cudem on jej zrobił dzieciaka, jest dla mnie tajemnicą wprost sztyfową.

Zamykam ten bolesny rozdział. Jeśli tyle mówię o rodzinie, to tylko po to, żeby pan dokładnie zrozumiał, skąd ten cały mój problem. Trzeba zaznaczyć, że żona jest głęboko uczuciowa i czasem, kiedy nie mogę zasnąć, a to się teraz czę-

ciej zdarza, myślę z pewnym, powiedziałbym, gniewem, że ona nie jest ze mnie zadowolona. Roztrząsałem to wiele razy. Nie jestem pijak. Jak się trafi okazja, to oczywiście mogę swoje wypić, ale zawsze rodzina jest dla mnie na pierwszym miejscu. Jako mężczyzna jestem z żoną delikatny, a nawet wprost subtelny. W sprawach służby cechuje mnie wzorowość, połączona z humanistycznym stosunkiem do człowieka. Żona jest osobą wierzącą, ja — nieoficjalnie — również, i to są sprawy najbardziej zrozumiałe oraz rozpowszechnione. Rzeczywistość posiada swoje niezaprzeczalne prawa. Tak bym to ujął. I na tym odcinku nie mamy z małżonką pretensji. Jednakże od jakiegoś czasu zaparczało coś takiego, jakby ona się czymś męczyła. I to było związane z moim osobistym zaangażowaniem. Pan jest żonaty, wykształcony, więc chyba się rozumiemy. To są sprawy duszy. Nie żeby od razu dotyczyły Pana Boga, ale jednak sprawy duszy. Może oboje się starzejemy, choć nie mogę tego powiedzieć, gdyż zawsze posiadamy duże zadowolenie, a nawet rozczulenie. Ale może kobieta w pewnym wieku zaczyna odczuwać jakiś lęk, który nie jest dostępny mężczyźnie — i w ten sposób powstaje szczelina. W domu tak się czasem czuję, jakby na nas padał cień. Jestem prostym żołnierzem wewnętrznego frontu, więc nie potrafię wyśłowić wszystkich bez wyjątku uczuć, ale to jest dosyć ważne i chcę, żeby mnie pan zrozumiał. Nie miałem łatwego życia. Moje dzieciństwo to wióry, deski, zapachy kleju i politory. Ojciec prowadził warsztat stolarski. Czy pan myśli, że w tamtych czasach to był lekki kawałek chleba? Jak dzisiaj słyszę piłę albo czuję zapach drewna, to mi żołądek podchodzi do gardła. Miałem szesnaście lat, kiedy poszedłem do służby. Żeby tylko uciec od tej paskudnej stolarki. Żeby tylko być kimś innym. I mogłem stać się kimś innym. Mój ojciec nie mógł, a ja mogłem. Na tym właśnie to wszystko polega. Stąd się to wszystko wzięło. Niby proste, a ludzie jakoś do dzisiaj nie rozumieją. Czy pan myśli, że lubię moją służbę? Czy nie mogłoby rozwinąć mojej natury inaczej? Jestem przekonany, że oczywiście jak najbardziej — tak! Ale to się jakoś przekreśliło poza mną. Uciekłem od wiórów i desek, a potem już się kręciło beze mnie. Cały świat się kręcił i ja razem z nim. Ale już bez tych cholernych desek. I to się liczyło! Niczego, proszę pana, w moim życiu nie żałuję. Nie powiem, że jestem święty, co to chyba nie. Każdy błądzi. Ale wiem, że byłem potrzebny, miałem ludzi szacunek, zwierzchnicy mnie cenili, podwładni chyba nie narzekali, jednym słowem — miałem i mam jakiś kawałek świata dla siebie. Lepszy od tych stolarskich desek. I więcej nawet wart niż wszystkie deski mojego ojca, razem wzięte.

A ostatnio małżonka i ja byliśmy, powiedziałbym, rozdzieleni. Jak gdyby straciła przekonanie, że to co robię jest w należyтым porządku. To cię nie da wypowiedzieć, bo ona o tym nie mówi, ale czasem na mnie patrzyła jak na obcego człowieka. I to było po prostu bolesne.

Więc obecnie powiem panu o tej historii z ubiegłego tygodnia. To ma oczywiście związek z Ateńskim. Ja rozumiem, że nie był temu winny, ale jednak miałem jakieś uczucie antypatii. Zaczęło się w sobotę, wczesnym popołudniem. I jeszcze po obiedzie czułem się jak zwykle. Potem nawet sobie pomyślałem, że może z obiadem było coś nie tak, może się trochę zatrąłem, bo ja od małego nie znoszę cynaderek, a właśnie na obiad były cynaderki. Ale jednak szybko się wyjaśniło, że to ma związek z moim życiem psychologicznym. Punkt o dziewiętnastej zdąsam

służbę i pięć po dziewiętnastej wsiadłem do swojego malucha. Dodam panu, trochę abstrakcyjnie, pytanie, czy mógłbym dawniej mieć małucha? I jaka to była radość w domu. Żona wprost się rozplakała. Do tego kolor był bahama jelow, taki sobie właśnie wymarzyła. Znam kierownika placu w Motozbycie, sporo o nim wiem, ale dyskrecja to dyskrecja, więc on mi podszycował ten pojazd jak należy i muszę przyznać, że jestem bardzo zadowolony.

Wtedy w sobotę wieczór, jak jechałem do domu, miałem dziwne uczucie. Myślałem wtenczas o żonie. Już dwa tygodnie jak nie byłem w domu. Wiedziała, że przyjadę w sobotę pod wieczór. Czekwała na mnie z uczuciem, bo my jesteśmy, proszę pana, dobrym małżeństwem. Nie powiem, człowiek robi czasem skok w bok, ale zawsze z umiarem, bez jakiegoś szczeniactwa. Jednym słowem jesteśmy siebie pewni. Człowiek musi być czegoś pewny, musi niestety mieć jakieś oparcie. I o tym właśnie myślałem. Patrzyłem przed siebie, aż mnie oczy bojały z wysiłku. Motor pracował równo, przyzwyczajcie, bo ja jestem także trochę mechanik, sam umiem podszycować wóz, nikomu nie dam się do niego zbliżyć, i dlatego pojazd zawsze jest sprawny. Ale przecież miałem wtedy dziwne myśli. Że na przykład coś się stanie w drodze, a ja sam nie dam sobie rady, bo człowiek, nawet taki jak ja, odpowiedzialny, przygotowany na wszystko, twardy – też wyżej siebie jednak nie podskoczy. I co wtedy?

Przyjechałem do domu jakiś rozdrażniony, napompowany. Ja zwykle wchodzę do kuchni przez sień od ogródka, a nie od frontu. Sam nie wiem dlaczego. Może to jest moja nieśmiałość, a może zawód we mnie to wyrobił, takie ciche, nagie wejścia. A może mam w sobie coś z aktora, lubię zaskoczenia dla ludzi i dla siebie, że niby wszystko jest zwyczajnie, a tu się nagle zjawiam i wszystko zaczyna płynąć w drugą stronę, jakby rzeka płynęła do źródeł... Sam nie wiem, ale nawet się temu nie dziwię, bo człowiek także dla siebie musi być trochę tajemniczy. Wtedy, w sobotę, też wszedłem przez sień od ogródka. Małżonka była w kuchni. Miała na sobie wiśniowy sweter, czarną spódnicę i miękkie ciapy na nogach. Dwa tygodnie jej nie widziałem i kiedy się odwróciła, jak otworzyłem drzwi, to jakby mi kto serce chwycił w obcegi. Taka była zmieniona. Właściwie starsza osoba. A ona ma przecież czterdzieści cztery lata. Czy to jest dzisiaj wiek dla przystojnej kobiety, która żyje w dobrych warunkach i ma męża na odpowiedzialnym stanowisku? Nawet wtenczas, kiedy jeździła do Warszawy z naszą Iwonką, wyglądała jak należy, a to było przecież przeżycia dla jej zawięzionego macierzyństwa. Chcę panu podkreślić, że moja żona jest bardzo ładną i zadbaną kobietą. Ona wie, że jestem czuły na punkcie jej wdzięku i elegancji. Każdy ma swoje zamiłowania, a moim zamiłowaniem jest ładny wygląd żony i dzieci. Że to kosztuje? No, niech kosztuje, ale chłopiec musi mieć swoje dżinsy i pulowerek, a moje panie muszą być zrobione jak należy...

Więc wygląd żony mnie zaskoczył. Jak zaznaczyłem, nie było mnie dwa tygodnie, co się u nas nigdy nie zdarzyło. Ale od tej wojny, od połowy grudnia, wszystko się jakby pokręciło. Miałem na głowie ten ośrodek dla internowanych, harówka od świtu do nocy, wpadałem do domu co dziesięć dni na parę godzin. I nigdy nie miałem czasu, żeby z żoną tak od serca porozmawiać. A tu teraz zobaczyłem ten jej stary, zaniedbany wygląd i aż mnie coś ścisnęło. Wyszedłem na sam środek

kuchni i powiedziałem „Jestem, Zocha!”, a ona powiedziała „Jak się masz, Cieniu!” i pocałowała mnie w policzek. Pocałowała tak jakoś lekko, miękko, inaczej niż zwykle. I zaraz wróciła do patelni, bo właśnie robiła jajka na boczku. Ona ma doskonały słuch i naszego malucha poznaje na odległość, więc kiedy siedłem przez ogródek to już wbijała jajka na patelnię. I dlatego mogę powiedzieć z dumą i stanowczością, że mało jest takich żon na świecie.

Proszę pana! Mam głębokie przekonanie, że nic by się nie stało, gdyby nie ten incydent z Ateńskim. Było dokładnie tak. Umyłem ręce, spytałem o Mariuszka i siadłem do stołu. Żona podała mi jaja, pokroiła chleb, a potem jakoś bardzo ciężko usiadła na niziutkim taborecie przy kuchence. Zwykle ona się pyta, jak tam u mnie na służbie, ale tym razem siedziała, nic nie mówiła i przyglądała się, jak zajadam kolację. Ale ja jestem człowiekiem o dużym doświadczeniu zawodowym, mam swoje od lat wypracowane sposoby, które można by nazwać, że tak powiem, pochwiczeniem spojrzenia. Jak pan wie, moja służba polega w dużym stopniu na rozmowach z ludźmi i to nie są dla ludzi przyjemne momenty. Trzeba się przy moim zajęciu znać na psychologicznej grze, bo jest często bardzo ważne, czy dany rozmówca kręci i kłamie, czy natomiast okazuje szczerłość. Tutaj spojrzenie odgrywa swoją rolę. Trzeba okazywać na przykład znużenie, obojętność, albo rzekomo czytać jakiś dokument, i nagle rzucić okiem w taki sposób, żeby pochwyć spojrzenie rozmówcy. Spojrzenie jest, moim zdaniem, bardzo cenne jako materiał. To oczywiście nie stanowi żadnego dowodu, ale jest czasem jak pacholek przy nabrzeżu, można spojrzenie chwycić i już cały statek znajduje się w porcie. I już na pełne morze nigdy nie wypłył.

Jadłem bardzo spokojnie, a kiedy zjadłem, wyczyściłem talerz kawałeczkiem chleba, i właśnie wtenczas pochwyćmy spojrzenie. Moja małżonka ma duże, ciemne oczy. I co pan na to, że były pełne łez. To mną właściwie wstrząsnęło. Jakby się w podłodze otworzyła szczelina i z tej szczeliny wyskoczył bandyta. Już panu zaznaczyłem, że jestem człowiekiem dużej osobistej stanowczości, ale nadzwyczaj spokojnym. Więc tylko powiedziałem — „Zocha, co jest?” A ona otarła łzy i potrząsnęła ramionami. Spytałem raz jeszcze, czy z dziećmi wszystko w porządku. „W porządku” — powiedziała żona. Wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. I wtedy przyszło mi do głowy, że pewnie miała jakieś swoje, kobiece zmartwienia, o których my, mężczyźni, tak mało wiemy. Pomyślałem, że dobrze będzie ją rozśmieszyć, opowiedzieć jakąś historyjkę, odwrócić jej uwagę i skierować ją, że tak powiem, na tory mojego życia, mojej służby, bo sam pan przyzna, że kochająca kobieta najwięcej wiary w siebie czerpie z męża. Więc zapaliłem papierosa, a potem opowiedziałem o Ateńskim. Ale jak mówiłem, to mówiłem również o sprawach, o których wcale nie chciałem mówić, lecz one były jak gdyby silniejsze ode mnie i cała ta głupia historia wypadła w moim opowiadaniu trochę inaczej niż w gabinecie przed obiadem, kiedy kazałem Ateńskiego doprowadzić. Było w tej opowieści trochę za wiele z moich myśli, tych dawniejszych i późniejszych, które mi łążyły po głowie podczas podróży do domu. To się tak jakoś dziwnie spłótło, że kiedy opowiadałem — nie wiedziałem już z całą pewnością, czy to były moje myśli przy Ateńskim, czy już bez niego.

Proszę pana! Chyba nie ma sprawy, że on sam to wszystko wywołał. Żeby

dorośli człowiek, inteligent, profesor, łąził tam, gdzie łązić nie wolno, gdzie tyle razy było mówione, że chodzenie jest zabronione — to się w ludzki rozum nie mieści! Nie ja wymyśliłem wszystkie nakazy i zakazy, nie ja ustalałem regulamin, dla mojej przyjemności to oni wszyscy mogą sobie jechać do Paryża albo do Hupki i Czaji, Bóg z nimi, krzyżyk na drogę, Polska bez nich nie zbidnieje. Pana profesora Ateńskiego nie było, a Polska istniała, i to jak! Więc to nie jest moja sprawa, ale mnie postawili na tym posterunku, otrzymałem wyraźne rozkazy, mam swoje kompetencje i w tych ramach utrzymuję właściwy kurs. Mnie się nikt nie pytał, czy ja taki kurs wybieram, i ja się moich ludzi też nie pytam, czy im ten kurs odpowiada, wszyscy jesteśmy na tej samej łajbie, jedni przy wiosłach, inni przy sterze, i tak było, jest i będzie jak świat światem. Więc Ateński nie może mieć do mnie pretensji, to już raczej ja mógłbym mieć pretensje do niego, nie jestem profesorem, nie jestem w Warszawie, nie mam wpływu, robię swoje, to oni tak pięknie Polskę wykierowali, że w trzydzieści kilka lat po wojnie nie ma co do garnka włożyć i moja żona całymi godzinami musi wystawać w kolejkach. Więc tutaj mamy jasność w sprawie. Przekroczenie regulaminu, bez żadnej dyskusji. Kazałem go doprowadzić, to trwało jakiś czas, a ja myślałem, jaką nałożyć na niego karę. Zdecydowałem, że odbiorę prawo korespondencji na jeden miesiąc. Trzeba było stworzyć precedens, miałem pierwsze wykroczenie ze strony tych ludzi. Ja muszę panu zaznaczyć, że się nie prosim na komendanta ośrodka dla osób internowanych. Ja mam od lat swoją odpowiedzialną pracę, jestem doświadczonym funkcjonariuszem i mam także osiągnięcia. Przez moje ręce przechodził różny element. Pan sobie nie może nawet wyobrazić, jakie mamy w kraju elementy. I trzeba sobie z tym dawać radę. Mnie własny ojciec wpoił, że tak powiem, poczucie dyscypliny i muszę przyznać, niestety, że potrafię także innym wpoić dyscyplinę.

Ale nie prosim się o funkcję w ośrodku. Ja rzadko miałem możliwość pracy z takim elementem. Co najgorsze, to mogę panu dodać, że władza nie całkiem sama wie, czego ona chce. Bo ośrodek to jest łatwo uruchomić, ale potem dopiero wszystko się zaczyna. Powstaje niestety pytanie, jak ja mam wpoić i utrzymać dyscyplinę, jeśli ja nie posiadam właściwie środków. Na przykład z tym Ateńskim. W normalnym zakładzie karnym to ja bym już wiedział, co zrobić. Ale powierzono mi ośrodek, powierzono mi tych profesorów, a zwierzchnicy powiedzieli „Róbcie żeby było tak, jak należy...” Więc pomyślałem, że trzeba Ateńskiego namierzyć tam, gdzie zaboli. Korespondencja, proszę pana! Ale kiedy funkcjonariusz wprowadził go do gabinetu, przeżyłem chwilkę wspomnienia. Ateński jest niewysoki, łyсы, człowiek już starszy, tęgawy i jakiś ogromnie zmęczony. Co pan powie, że pamięć czasem staje dęba, robi z człowiekiem dziwne figle, niestety... Jak byłem bardzo mały, może miałem pięć lat, ciotka zabrała mnie do kina. To było w Pułtusk, ciotka miała w Pułtusk ładny zakład kamieniarski. Nagrobki, płyty cmentarne i tak dalej. To była zamożna osoba i bardzo mnie kochała, bo nie miała własnych dzieci. W tym kinie, proszę pana, zachciało mi się łać, jak to u małego brzdąca. Mówię „Ciociu, ja chcę siki!” A ona, pamiętam to jak dziś, powiada szepcetem „Gieniaś, wyjm siusiaczka i zrób po nóżce!” W kinie było dużo ludzi i ciotka nie chciała robić ruchu z wychodzeniem do ustępu. Ale ja już jako dziecko byłem porządny i miałem wpojona czystość i higienę. Więc podniosłem się z krzeselka i

idę siku. Wtedy zapaliła się malutka latareczka i jakiś człowiek oświetlił mi drogę. A kiedy wyszedłem z ciemnej sali – zobaczyłem go. Był starszy, łyśawy, tęgawy, o bardzo smutnej, zmęczonej twarzy. Kiedy zobaczyłem Ateńskiego, to mi tamten facet stanął przed oczami, a z nim razem całe moje dzieciństwo. I poczułem zapach naszego podwórka, i zobaczyłem wielki trzepak, i drzwi do stolarni ojca i twarz mojej mamy. To była dobra, pobożna, bardzo szlachetna kobieta. I miała ciężkie, cholerne życie, bo mąż był pijak, a synowie łobuziaki. I co z tego, pomyślałem, co z tego, jeśli ten głupi Ateński naruszył regulamin? Przecież nie musiał naruszać regulaminu. Człowiek jest dziwnym stworzeniem, niech mi pan wierzy. Bo poczułem okropną pretensję do Ateńskiego, jakby mi tym naruszeniem regulaminu odebrał kawałek życia, taki ładny kawałek życia, a ja ładnych kawałków życia nigdy nie miałem za wiele. I do tego jeszcze stał tak jakoś nie po męsku, wydał mi się sflaczały, miękki, bez kości, może nawet bez kręgosłupa. Powiedziałem „Tak się nie stoi przed funkcjonariuszem zakładu karnego!” On na to – „Ja tak zawsze stoję”. W podobny sposób nie należy odpowiadać, kiedy się jest w sytuacji Ateńskiego. Mówił właściwie spokojnie i cicho, ale z takim przydechem, w którym słyszy się szyderstwo. Już panu mówiłem, że jestem absolutnie dumny. Można małe skrzywdzić, zranić, ale nigdy powalić na kolana. Schwyciłem jego spojrzenie, choć pewnie myślał, że patrzę w stronę ściany. Proszę pana! Są oczy jak pistolety, i jak mydło, i jak sрут na kuropatwę. Są, na przykład u namiętnych kobiet, oczy jak żyrandole. Ludzie mają rozmaite oczy, a ja się na tym znam. Moja żona ma czasem oczy jak Łazarz. A moja mama miała zawsze oczy jak dwie lampy naftowe. I wszystko, wszystko można znieść, najłatwiej nawet w mojej służbie znoszę takie oczy jak spluwy, ale Ateński miał coś najgorszego. Kiedy schwyciłem jego spojrzenie to było tak, jakbym zajrzał w okna pustego domu, a tam w środku, w tej głębi – byłem po prostu ja. Malutki i samotny. I wtedy sobie pomyślałem – „Ty stary, głupi palancie, przejadę się na twojej dupie!” Proszę pana. Ja wiem, że to nie było sprawiedliwe. Zabrałem mu na przeciąg miesiąca korespondencję i ograniczyłem spacer. Duża surowość! Ja to nazywam „ostre wejście do antre”. Za takie ostre wejścia u nas nikt jeszcze nigdy nie miał kłopotów, a za miękkie łądowania ludzie dostawali wpisy do akt osobowych, a nawet czasem awanse robiły bokami. Ale z Ateńskim nie szło mi wcale o to, żebym był kryty. To inna sprawa. Pierwszy raz od iat postanowienie i decyzja miały bynajmniej trochę prywatnie zabarwienie. Iskry ta wojna grudniowa była pomiędzy nim i mną! Jakbym ja w tę wojnę naprawdę uwierzył...

Muszę w tym miejscu złożyć wobec pana pewne, że tak powiem, wyjaśnienie. Dotyczy to niedawnych wydarzeń. Ja się nie wypowiadałem w polityce. Jestem funkcjonariuszem służby państwowej. Na całym świecie służba państwowa musi funkcjonować. I to z polityką nie ma nic wspólnego. Ale z całą prostą szczerością dodam, że to wszystko, co się u nas wyprawiało w ostatnich czasach, nie było korzystne dla naszego narodu. Ja nie wiem, co trzeba było zrobić, ale nie jestem upoważniony do wyciągania wniosków. Jeszcze raz podkreślam panu, że mam określone obowiązki, które wypełniam. Więc miałem prawo i obowiązek wkroczyć, kiedy Ateński naruszył regulamin. Ale, że tak powiem, urzędowo!

I to wszystko powiedziałem żonie. Nie tak jak życzyłem sobie opowiedzieć,

trochę na wesoło, że niby profesor z Warszawy, a nie potrafi łązić po właściwej drodze spacerowej, ale właśnie z tym całym majdanem moich myśli, że tak powiem, niepokojów. A kiedy skończyłem, moja żona bardzo długo nic nie mówiła, do tego stopnia, że wstałem, wyjąłem z kredensu karafkę pomarańczówki własnej roboty, nalałem sobie kieliszek, wypilem i nalałem drugi – a ona wciąż stała bez słowa, twarzą zwrócona do zlewozmywaka. Aż wreszcie odezwała się jakimś wilgotnym głosem, jak obcy człowiek, i usłyszałem, że mówi – „Panie Boże, i za co nas to spotyka?!” Wtedy krzyknąłem z dużym gniewem i zniecierpliwieniem – „Zocha, przestań natychmiast!” Odwróciła się. Powiem panu dwa słowa – stara kobieta. I początkowo nie bardzo rozumiałem, co moja żona robi. Zbliżyła się do mnie, podniosła ramię i przez moment jakby się wahała, a potem pogładziła mnie dłonią po skroni i policzku.

Wtedy coś we mnie, proszę pana, pokruszyło się w środku. Jakbym miał szklane serce i to serce stłukło się delikatnie, bez najmniejszego dźwięku! Powiem panu z całkowitą szczerością, że kiedy następnie żona poszła spać – ja zostałem w kuchni... Może odrobinę za dużo tej pomarańczówki wypilem, bo już po północy karafka była pusta. Stałem prawie nieruchomo i gapiłem się w okno. Za oknem jest kawałek ogródka, kilka drzewek. Zawsze na zimę owijam je słomą, to ma swoje znaczenie. Widziałem w ciemności zarysy tych drzewek. I bolało mnie serce. Jak wypilem kieliszek, to bolało trochę mniej, ale po jakimś czasie znów było gorzej. Ja nie mam na myśli bólu w piersiach, tylko coś takiego ogólnego, może nawet nie ból, ale ciężar...

Zegar wybił dwunastą i jak raz wtedy przypomniła mi się matka. Ona zawsze bardzo chciała, żebym uwierzył w Boga, anioły i zbawienie wieczne. Powiedziałem bardzo cicho – „Oj, mamusiu!”

Nie wiem, czy to było powiedziane do mnie, czy jednak do niej. Znaczy się, do mojej mamy. I wciąż czułem ten ból serca.

Stanisław Barańczak

WIERSZE

MSZA ZA POLSKĘ W ST. PAUL'S CHURCH, GRUDZIEŃ 1984

„A teraz, bracia i siostry, otworzmy śpiewniki na hymnie
numer trzydzięści osiem”; w głębi nawy
bez przekonania zawodzi niemowlę, niechybnie
mokra pieluska; przeciąg zimnymi klinami
podważa klęczące kolana; ten ksiądz
wygląda na Irlandczyka; ktoś z tyłu głucho zakaszał,
otrząpywanie nogawek, chyba znów można sięść,
tak, wszyscy siadają; to znaczy, z wyjątkiem stojących na baczność
weteranów ze sztandarem; brunetka w futrze wymyka
się na palcach (ze skrzypiącej szpary w półmroku wionie
jasny uliczny mróz, aż się ugina płomień
świec) i wraca, zatkawszy monetą przelyk licznika;
dłonie przebite ćwiekami; za plecami związane dłonie

czyżby z tym nie wspólnego nie miały? z reumatyzmami
w kościach, drobnymi w kieszeniach i rodzinami na karku,
z rezygnacjami, do których nigdy się nie przyznamy,
z ucieczkami od strachu sprzedawanego na kartki,
z haftem chorągwi i hymnów („Jak długo męka twa trwa,
Ojczyzno”, przy bocznym ołtarzu emigracyjny kontrakt,
„twa-trwa?”, powinno się dawać mandat za takie dwa
zaparkowane zbyt blisko słowa), z naszą po kątach
świata upchniętą wspólnotą, skrzypieniem głosek, nalepką
na zderzaku, z wiarą w leżące zbyt ciężkim krzyżem słowa
lub w żart („Czy wierzę? Bóg mi świadkiem, nie wiem”) wciąż od nowa
z klęsk i klęczek wstający zbyt desperacko i lekko;
głowa w cierniach; pałkami zmasakrowana głowa

czy to obejmie, czy się to w niej mieści?

Bóg nam świadkiem, nie wiemy. Otwieramy śpiewniki na hymnie żywego ciała, numer nieskończony, na jego treści żołądkowej, słuźowce, nerwach wrażliwych na zimno i ból; tylko takimi możesz nas objąć, pojąć i mieć, ze wszystkim, ze zdrewniałym kolaniem, splewiałą chorągwią, nieogrzewaną miłością do tych a nie innych miejsc, twarzy, skrzypiących dźwięków; z nieuleczalną chorobą nadziei; i z zapomnieniem; i z rozdzierającym je biśkiem zrozumienia, jak to jest, kiedy bez świadka i światła ginie się wśród niewiedzy pulsującego krwią świata, słysząc własne słabnące, decydujące o wszystkim wołanie *znad belki krzyża; uderzenia w bagażnik fiata*

GARDEN PARTY

*- Pomarańcza, jak widzę, z Malty – wysłanienita!
Norwid*

„Przepraszam, nie dosłyszałam nazwiska?... Banaczek?...

Czy to czeskie nazwisko? A, polskie! To znaczy, pan z Polski? Jakże miło. Państwo przyjechali całą rodziną? dawno?“, „No nie, wybacz, Sally, zamęczasz pytaniami, a trzeba, po pierwsze, zaprowadzić do stołu – proszę, tu krakersy, potato chips, sałatka – pan sobie naleje sam, prawda? Witaj, Henry –“, „I co też się dzieje ostatnio w Polsce? Co porabia Wa..., no, ten z wąsami, zna go pan osobiście? nie? Widzę czasami w dzienniku demonstracje – choć czy można wierzyć tej naszej telewizji, koszmar, prawda? jeży się włos od wszystkich tych reklam – cenzury – Europejczycy słusznie twierdzą, że kultury nam brakuje –“, „Cześć, jestem Sam. Mówi mi Billy, że pan z Polski – znam Polskę, widziałem dwa filmy z Papięzem – ten wasz Papięz nie wie o świecie, straszny konserwatysta –“, „A jak pańskie dzieci? Mówią już po angielsku? Czy chodzą do dobrej szkoły?“, „Te szkoły publiczne to problem numer jeden, niestety –“, „Nie zgadzam się, Sammy, szkoły są lepsze, jeśli rodzice, my sami, dbamy o to –“, „Tak, ale budżet federalny –“, „Hej, wy tam, skonczcie wreszcie, co to za fatalny obyczaj – dyskutować przy winie, zakąsce na poważne tematy –“, „Więc? co słychać w Polsce?“



rys. J Kapusta

ALFA CZYLI MORALISTA

Janusz Anderman

JAKOŚ PUSTO

Taksówkarz wątlym krokiem zbliżył się do dyżurki i zamarł przed mętną szybą z okrągłym otworem; wykręcał w rękach czapkę i patrzył przypochlebnie na dyżurnego, który siedział ze zwieszoną na piersi głową; wyglądał jak człowiek opanowany przez senność nie do pokonania, ale on pochylał się tylko nad małym lustkiem, ułożonym na kolanie; nad górną wargą miał przyklejony strzępek gazety z różyczką zakrzepłej krwi i paznokciem małego palca usiłował go ostrożnie podważyć.

— Proszę pana, z łaski swojej... — odezwał się taksówkarz i pochylił się ku ziemi i zastął w wiecznym ukłonie.

Dyżurny drgnął i podniósł gwałtownie głowę, zastygła kropla krwi została mu na paznokciu, a spod błatu odezwał się cichutki brzęk i w tym momencie w półmroku błysnęło parę okrucich światła.

— Siedem lat nieszczęścia — powiedział nieśmiało taksówkarz i zaraz przestraszył się swojego głosu; dyżurny patrzył na niego, ale nie było widać złości, bo szkarłatne pasemko, które połączyło teraz ranę z kątem ust sprawiło, że dyżurny uśmiechał się drapieżnie połową twarzy.

— No? — odezwał się dyżurny. — Ca?

— Jakby to... — taksówkarz jednym szarpnięciem naderwał daszek czapki — jakby... w ten deseń... jest tu jakie inne wyjście?

— Ca?

— Ja tu z pasażerem jestem, wysoki, czapka, płaszcz, w ten deseń... mówił, że na dwie minuty, a mnie licznik już wybił tysiąc siedemset... i ziąb... to może jest tu jakie inne wyjście, czy jak...

— Tu nikt taki dany nie wchodził w dniu dzisiejszym — powiedział dyżurny i zgrzytnął butem po szkle.

— No jak nie wchodził, jak na moich oczach wchodził — zdenerwował się na moment taksówkarz i zaraz przycichł. — Wchodził. Czapka, płaszcz. Ósma rano. A teraz która. Tysiąc siedemset mnie licznik wybił. A ziąb? Nie ma tu jakiego wyjścia drugiego, czy jak...

— Tu nikt taki dany nie wchodził w dniu dzisiejszym. Jedźcie do domu albo spokojnie czekajcie. Jak mówię, to mówię. Tak czy nie? Ca?

Oszołomiony taksówkarz zatoczył się w stronę drzwi; jak nie wchodził, jak wchodził, płaszcz, żebym tu na miejscu do domu nie wrócił, jak on nie wchodził, jak wchodził... jak we filmie to wszystko, psia krusz, jak we filmie, czapka...

Minęło go dwóch ludzi, którzy nie rozglądając się ruszyli znajomą drogą w kierunku mętnej szyby z oczkiem; taksówkarz patrzył za nimi podejrzliwie i cofał się do drzwi; tysiąc siedemset czterdzieści już będzie, tysiąc siedemset czterdzieści. A ziąb?

Potem tamtych dwóch ludzi pokonywało schody, nad poręczami pięta się w górę odcychająca metalowa siatka, a dyżurny siedział za szkłem, spoglądał w dół, na posadzkę, na karminowe usta aktorki, której zdjęcie odkleiło się od stłuczonego lusterka; można było pomyśleć, że chucha na zziębnięte palce, ale on tylko trzymał w olbrzymich dłońach słuchawkę i melodyjnie meldował; ta ja... tych dwóch literatów zawezwanych w charakterze...

A oni podnosili teraz machinalnie głowy, patrzyli na tabliczki z numerami, przybite nad drzwiami, ale było to niepotrzebne, bo nieomylnie zmierzali do swoich drzwi.

Zatrzymali się przed nimi i gdy jeden z nich uniośł rękę by zastukać, drzwi cofnęły się przed palcami; chwilę stali oko w oczy, milczeli, a potem usłyszeli polecenie; jestem teraz bardzo zajęty, usłyszeli, pro zaczekać na tej ławce, jakiś czas, później porozmawiamy; odwrócili się w stronę ławki, cofnęli się, odprowadzani gospodarskim okiem, potem przysiedli i jak pchnięci podmuchem powietrza od zamykanych drzwi odchyliłi się jednocześnie ku oparciu.

Milczeli, a zza drzwi odezwały się odgłosy uderzeń w twarde klawisze maszyny.

A potem długo syczała pod sufitem jarzeniówka i przygasała równomiernie na mgnienie; jedan z nich wyjął z kieszeni zwiniętą gazetę i popatrzył na drzwi, drugi obracał w palcach papierosa, z którego posypały się plewy tytoniu, potem włożył go w usta, ale nie zapalił; siedzieli w milczeniu i ciągle otaczały ich słowa, które wyrzucili z siebie przedtem, wcześniej, w drodze do tego miejsca.

Stali wtędy w tramwaju, który włókł się przez most tak wolno, że woda pod nimi trwała bez ruchu; napisali w gazecie, powiedział któryś, że nie wolno szybciej jeździć, bo hałas przeszkadza mieszkańcom, to znaczy po naszymu, że most grozi zawaleniem; a potem tramwaj stanął i zatrzepotały połówki drzwi; spod pierwszego wagonu buchał dym i gdy wysiedli, zobaczyli małą kobietę w tramwajarskiej czapce, która miotła się wokół tego wagonu i krzyczała do pasażerów, ludzie, uciekajcie, bo jak to wszystko pizdnie, to ja nie wiem, kto będzie płacił i jakby na potwierdzenie tych słów waliła gaśnicą w asfalt; gaśnica wydawała z siebie przeciągły gwizd, a potem, po ostatnim uderzeniu, odpadło od niej denko i z wnętrza posypała się garstka rdzy; ludzie ciekawie zaglądali pod tramwaj i po raz pierwszy tego dnia twarze mieli powleczone radością; pięknie się hałcuje, pięknie, szepotali do siebie, dym jak dzwon, a oni ruszyli ku brzegowi rzeki i szli powoli, spoglądając w dół, na pleniącą się wodę, mijali przęsła i mostu ubywało; nigdy mnie tak cenzura nie obezwładniała jak teraz; żadna cenzura; już od paru lat jest inaczej, szczególnie teraz; tamtą cenzurę można było kiwać, na tysiące sposobów; taka

gra raz cieszyła, raz była upokarzająca, ale z tą nie umiem walczyć; ona jest we mnie i jest coraz silniejsza; była silna już w tamtych czasach, w osiemdziesiątym, w osiemdziesiątym pierwszym, ale wtedy się czekało, wtedy się jeszcze tłumiono w sobie wszelkie wątpliwości; ten cenzor pojawił się we mnie tak naprawdę, kiedy siedziałem; wszystko, co było do tej pory rozproszone i mniej uchwytnie, skupiło się w jednym miejscu, kilkuset ludzi; to była mała piarnia; najpierw broniłem się przed tym obrazem i nie przyjmowałem do wiadomości swoich ocen, ale potem obraz zwyciężył i zdominował mnie, poza tym nie byłem sam, bo przywieźli takiego jednego trzeźwego z politechniki i on już po paru dniach, gdy się zorientował, jak mnie to wszystko mierzi, ta atmosfera bogoojczyźniana, ten rytuał, te chóralne pienia religijne każdego dnia przez kraty, podrywanie co chwilę z byle powodu całego więzienia do głodówki, a widziałem takich krzykaczy, co żarli w nocy ukradkiem i przerywali te głodówki po dwóch dniach; te rozmowy miesiściami o robieniu wielkiej polityki, ta wiosna nasza, mimo że wiosna trwała nieubłagannie, podzieliła na tych, co za największą zasługę dla kraju uważali zrobienie z klawisza wała i na tych, co się wybierali do klawiszy z życzeniami na święta; to im da do myślenia, mówili; miesiąc się na ten tenat miedliło; przy tym symbole i symbole czegoś, czego już nie było, bo nie było tego przede wszystkim w ludziach; więc ten trzeźwy z politechniki zaczął mi mówić o tym, jak za murami, po tamtej stronie, rośnie legenda tego więzienia, jak się mówi, że zebrano w nim ekstremę ekstremy, że on, jako szeregowy działacz związkowy, cieszył się, gdy go już wzięli, że wiele się tu nauczy, w tej akademii opozycji; tak to miejsce nazwał, a teraz to się tylko zastanawia, jak ten cały interes mógł przetrwać szesnastu miesiocy; on się nie mógł otrząsnąć ze zdumienia i patrzył; przyglądał się i widział, jak poważny działacz związkowy był szczęśliwy, gdy zobaczył na dziedzińcu ubekę, bo mógł do niego przyknać z bezpiecznej odległości, ubol, ty chuju złamany na kaczoch łapach; przyglądał się i był zdumiony i pytał, co można w ten sposób wygrać; patrzył na tych ludzi, co żarli czekoladę z zagranicznych paczek, a potem słuchali na widzeniach opowiadań dzieci o kartkach na dwadzieścia deko landrynek i to był pretekst do nauk o okrucieństwie władzy; patrzył na takiego magika, który był kiedyś ważny, a leniwość umysłowa nie pozwoliła mu zmienić przekonania na temat tej swojej ważności; kiedyś prowadził pogadanki o tym, że ten ustrój rozwija i propaguje alkoholizm, bo na nim się opiera, a teraz, tu, wynalazł metodę pędzenia bimbru i pędził ten bimber po cichu; patrzył jak ci, co chcieli wieszac łapówkarzy, dają teraz łapówki naczelnikowi gminy, który odsiaduje swój wyrok za łapowy i zarządza łaźnią i za łapowę można wyłudzić od niego łach z pieczętką więzienną; będzie go można przemycić na widzenie; baby lubiły się wtedy ubierać na znak żałoby w takie popielate koszule z pieczętką więzienną; patrzył na tych, co się skarżą szwajcarskim lekarzom z Czerwonego Krzyża, którzy widzieli już parę więźniów w Azji i Ameryce Południowej; na tych, co się skarżą, że raz jest za zimna woda w łaźni, a raz za gorąca, patrzył na tych, co niedawno kazali pisać na murach, że telewizja kłamie, a teraz przymilił się, by klawisz zezwolił im poza kolejką obejrzeć dziennik, patrzył na tych, którzy z taką wyższością traktowali kryminalnych; siedzieli między nami paru zawodowych kryminalnych, którzy solidarnie głodowali i to zostało zapisane w ich kartotekach, które będą za ni-

mi wędrować do końca życia przez wszystkie więzienia tego kraju, patrzył na ludzi, którzy byli szczęśliwi, byli szczęśliwi, że siedzą i nie zauważali, że ta aureola jest z łupieżu; więc ten przytomniak mi powiedział, że choć uważa się za kulturalnego docenta, to sformułuje swoje spostrzeżenia w ten sposób, że on pierdoli taką akademię opozycji; jasne, że nie wszystko tak tam wyglądało, jasne, było wielu innych ludzi, ale gdzieś się to wszystko gubiło i dominował taki paskudny obraz; w końcu ani słowa nie napisałem o tych czasach, bo albo ten mój cenzor by mnie zakłamał na śmierć, bo przecież nie można było o tym wszystkim pisać, przecież trzeba krzepić serca i krzewić mity, tak czy nie, a za taką książkę, gdybym się na nią zdobył, to miałbym co najmniej nagrodę ministra od kultury albo jeszcze gorzej; zresztą, jakie wydawnictwo by mi to wydało; potraktowali by mnie jak prowokatora i ubeka...

Szli wolno dalej, z przeszła nas przeszło i mostu ubywało i już niebawem mieli stąpać na twardym pewnym gruncie; już mi trudno czytać, biorę się do czytania z obrzydzeniem; wygląda na to, że tylko to śmietnisko zostanie w literaturze i ono będzie literaturą, te setki stron, tysiące wierszy, wspomnień, dzienników, zapisków, pamiętników, wszystko uduchowione i szlachetne, te cierpienia, przyjmowane z obłęsnym zadowoleniem; ile lat trzeba się będzie jeszcze tym karmić; te grudniowe noce, wojny wypowiedziane całemu narodowi, koniecznie całemu, czołgi, kajdanki, wozy opancerzone, te wojska, co wyszły na ulice, wszystkie te rekwizyty, nawet sny ludzi w stanie wojennym, nawet spostrzeżenia dzieci dla potomności; ten specjalny język, którym trzeba się obowiązkowo posługiwać, by się zmieścić; przecież to jest nasza nowomowa; te interny, ubecje, czerwoni, bolszewie, bibuły, te kotły, naloty; nawet ci, co siedzieli w ośrodkach wczasowych, w pokojach bez krat, mówiąc o tych pokojach mówią cele, mówią obóz; tu nie wystarczy, że ich pozbawiono wolności, ważny jest kostium; czytam to wszystko i rzygać mi się chce i nie widać na horyzoncie cienia jakiejś myśli; to jest rzucanie butelek zapalających na armatki wodne i z tego nie wolno się wyłamać, bo tu nie ma tolerancji; patos wyklucza tolerancję i przecież już coraz bliżej do uprawiania beznadziejnej propagandy; już o krok od tych samych metod, już o krok od tych samych chwytów, które stosuje druga strona i już bardzo blisko tej samej mentalności, szablonu, blisko tego samego ogłupienia i totalu; było takie pismo, które miało odwagę mówić o tych sprawach; zakrzyzcili, że to ubecka robota i nie wiem, czy jeszcze wychodzi; rzygam tym wszystkim, a sam mam tu także swoją działkę i udział, ale zostawię to chyba w cholere, chociaż trudno coś zrobić w pojedynkę, zostawię w cholere to całe bicie piany; jedyny program, który się powszechnie przyjął, to ten pomysł z dwoma palcami, które się w kółko pokazuje, ten nasz sposób salutowania...

Zatrzymali się na inoment, by odpocząć nad barierą; chętnie bym wrzucił do wody jakąś monetę, powiedział któryś, może mi to pozwoli wrócić do paru spraw, bo albo dalej spokojnie się uważać za arystokratę literatury, albo się wreszcie przyznać, że ten zaścianek literacki to ja, ta szlachta szaraczkowa; taka jest nasza literatura, a to skomlenie zza krat, pomieszanie z tępowym i groźnym popiółkaniem o wiośnie naszej wydaje nam się poematami; wyhodowaliśmy w sobie cenzorów, którzy przerosli nas i nasze myśli i to oni piszą za nas o tym kraju; nam wy-

starcza od czasu do czasu paczka zza granicy z kilogramem cukru, kilogramem mąki i pastą do zębów; chętnie byśmy taką paczkę oprawili w ramy, bo taka paczka to dla nas dowód, że Europa pamięta o literaturze polskiej, że ją podziwia; wspinałych nas i ten zgrojony wspaniały naród, który opisujemy przecież własną krwią na tak zwanych kartach, a przecież te karty to błotki, błotki; to nasz cenzor rozdaje te karty; to ten cenzor nie pozwolił mi napisać, że nie chciałem jakiejś legitymacji kombatanckiej; każdemu, kto siedział w moim więzieniu, wręczano taką legitymację; pamiątka na całe życie, mówili ze wzruszeniem, przepustka do historii, mówili historycznie, projekt graficzny starannie dopracowany, a poza tym półskórek...

I doszli do przystanku tramwajowego na moście, który łączył oba brzegi i nagle przestali mówić, jakby poczuli twardy grunt pod nogami; jeden z nich wskazał na olbrzymi budynek, nad którym szamotała się rozlewna czerwona flaga, a wokół mrowili się mężczyźni w białych czapkach; jeden z nich wskazał na ten budynek; i dalej będziemy o tym jak oni tam siedzą i kombinują, który wariant zastosować, ale jakby co, to my umrzemy na stojąco, a nie na kołanach; zazgrzytały koła; na przystanek wtoczył się tramwaj w czarnym welonie dymu; widocznie kobieta w tramwajarskiej czapce spadającej jej na oczy machnęła na to wszystko ręką i teraz patrzyła przed siebie obojętnie nic nie mówiącym wzrokiem; oni wsiadli do wagonu i tramwaj zaraz rozplynął się w czarnej mgie.

Siedzieli potem w milczeniu; jeden z nich schował gazetę, a drugi wyciągnął kolejnego papierosa i skruszył go w palcach; tego dnia był to dwudziesty papieros, którego nie zapalił podczas długich godzin na ławce.

Jarzeniówka syczała pod sufitem, światło uderzało, a potem gasło w oczach; na korytarzu pojawił się mężczyzna w kombinezonie; szedł szybko w ich kierunku, a gdy ich mijął, zatrzymał się nagle.

— Na moment — odezwał się nie patrząc na nich.

Podnieśli się zdziwieni; jeszcze, jeszcze dwa kroki, mówił ten mężczyzna, a gdy stanęli nieco z boku, on odsunął ławkę; za oparciami były w ścianie małe metalowe drzwiczki, które otworzył; wyjął z kieszeni śrubokręt i zaczął nim manipulować wśród jakichś kabli, stuknął w sитеczko mikrofonu, potem popatrzył na nich i znów na te kable i wzruszył ramionami; co oni mnie tu dupę trują, powiedział do siebie, wszystko jest gites; zatrzasnął drzwiczki, dosunął ławkę i ruszył swoją drogą; jeszcze tylko obrócił się na chwilę i rzucił przez ramię, milczki.

A potem drzwi się otworzyły i stał w nich tamten, który kazał im czekać; tak się złożyło, powiedział, nawala pracy, tak że dziś chyba damy sobie spokój i ewentualnie, w razie jakby, to tego; stuknął palcami w futrynę drzwi i zamknął je za sobą.

Oni ze zmęczeniem i ulgą schodzili powoli w dół; już miałem ochotę na to, powiedział jeden, zgrabna sytuacja do opisania, ale pomyślałem, że ty masz na to ochotę; zeszli na półpiętro i skręcili ku szerokim schodom; miałem na to ochotę, tylko że nie pomyślałem sytuacja, pomyślałem, że to fabułka i pomyślałem też, że zostawię ją tobie, że masz na to ochotę, powiedział drugi, a poza tym, że uzgodnimy to po wyjściu...

I obaj zaczęli się śmiać i śmiali się, a potem byli w pomieszczeniu, w którym

JAKOŚ PUSTO

za zmętniałym szkłem siedział dyżurny i śmiali się dalej; pod ścianą stał blady taksówkarz i mamrotał do siebie; musiał wchodzić, jak nie wchodził, jak wchodził, cztery dwieście małe wybiło, cztery dwieście, cztery dwieście; to na pewno go pan nie widział, krzyknął z rozpaczą do dyżurnego, ale ten patrzył na śmiejących się ludzi i ściągnął daszek na oczy i wyżej podniósł głowę, bo teraz widział ich tylko do kolan.

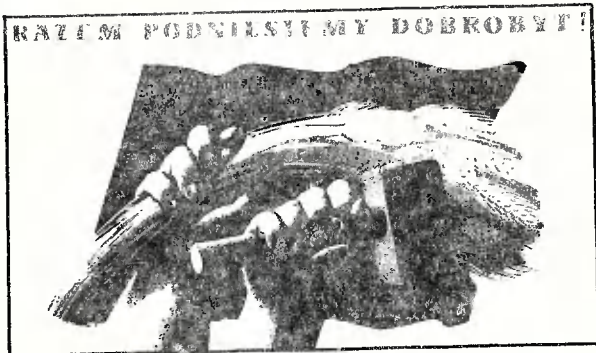
– Ca się tak śmiejecie? Ca? Z kogo się tak śmiejecie?

– Z siebie samych się śmiejemy – odpowiedział jeden.

I cicho zamknęli za sobą ciężkie drzwi.

– No – pogroził za nimi kufakiem dyżurny. – No. Świrusy, ca? – odwrócił się do taksówkarza.

– Nie, nie, to z Gogola – mruknął odruchowo taksówkarz.



Zdjęcia plakatów pochodzą z zbiorów Joanny Helander



**BETA CZYLI
NIESZCZĘŚLIWY KOCHANEK**

Bronisław Maj

CHILE

I

1. Nie wyznają żadnej idei. W mowie,
w której się urodzili, nie potrafią wypowiedzieć
żadnej ludzkiej myśli. Jak chore ze strachu zwierzęta
nie są nawet cyniczni. Ich szaleństwo,
służalczość i strach są prawem
tego kraju.
2. Zabijają, aby ocalić swoje
przywileje, pieniądze, władzę.
Dopóki nie pogodzisz się z tym,
że ludzkie życie warte jest mniej
niż przywileje, pieniądze i władza, nie wolno ci
przebaczyć, nie wolno ci przestać
pamiętać. Dopóki pamiętasz, twoje życie
jest więcej warte niż przywileje, pieniądze i władza.
3. Już za życia umarli, osądzeni: zdrajcy,
najemnicy, mordercy. Martwi: w tyłu żyjących
sercach nie ma dla nich miejsca, tyle
przeklina ich
ust.
4. Każdy z nich: nieskończenie mniejszy od zła,
które czynią wspólnie. Każdy: bezwiedny i ślepy
najemnik, narzędzie użyteczne i posłuszne w rękę
innego najemnika, który sam też nie jest niczym
innym. Są tym, co czynią. Nieświadomi, ślepi
najemnicy Pana
Ciemności.
5. To, co mnie pokonuje, obdarza mnie
sobą. Ginąc nawet, ulegając mocy niepowstrzymanej,

odrębnej i sarowej, przejmuję jej część — potrzebną
do zwycięstwa nade mną; umierając, nie poniżony, rosnę.
Pokonany przez słabość, podłość i zdradę jestem tylko
żałosny. Ujarmiony przez tchórzliwych i nędznych
najemników — naród nie zasługuje
na więcej, jest tylko tym,
czym go czynią. —
Żadnej tragedii, żadnych wielkich gestów!

II

1. Twój czas jest moim czasem, twoje życie godne
jest mego: tak samo oddychasz, czujesz; aby wyrazić
ból, nazwać chleb, dziecko, krzyż — używasz słów tych samych
co ja. Jednakową ma barwę twoja i moja krew. Niewiele
istot może to o sobie powiedzieć. Ale ty
odrzucałeś to wszystko i pustkę okrywasz
mundurem: jest cię coraz mniej, już tylko bywasz
wnętrzem szaroniebieskiego brezentu.
2. Powstrzymałeś bieg rzeczy, ustanowiłeś
przemocą ten nieruchomy głuchy zgiełk, zasypałeś
źródło: na jak długo? na zawsze? Śmieszny: przeżyje
cię byle rzecz; jesteś przypadkowy tak jak nieuchronny
bywa byle świt i tak śmiertelny jak wieczny jest dzień,
w którym bije źródło, niezmacone, spokojne...
3. Porównując z pogardą twoją i moją prawdę
do czołgu i leciutkiego motyla, bezwiednie
dotykasz istoty rzeczy. Jakby i tobą
mówił Ten, który napełnia prawdą — ciebie
i mnie, i nieskończone i wieczne pokolenia
motyli.
4. Pragniemy tego samego: po swojemu
je rozumiejąc — szczęścia. Ale warunkiem mego nie może być
twoja hańba, niewola, śmierć. Różnimy się
bardziej niż kamień i owad, które przecież nie odbierają
sobie świata.
5. Nie strzelaj do mnie, mów
do mnie. Czy naprawdę zabrakło
dla twoich racji słów w języku
polskim?

III

1. To zdumiewające, myślisz niekiedy, że faszystom nie wyrastają kły i pazury, nie czernieją twarze, że niemal nie różnią się od nas: tylko strach, tylko obłąd, który ich wypełnia szczerlnie i bez ratunku. Tylko tyle: wystarczy chwila zmęczenia, nieuwagi serca, byś się przechylił w ich stronę.
2. To niemożliwe, myślisz, aby i słońce, obroty ziemi, światło, narodziny i dojrzewanie – przeszły na stronę śmierci. Ale ty – tak to widzisz: już niedostrzegalnie dla twoich oczu zmieniają się kolory i kontury świata: jednakowe, jednostajne pory roku niewolników.
3. Nawet nie wiesz, nie wiem, w jaki sposób łączą się w tobie słowa modlitwy, słowa innych ludzi, słowa gazet i snu – w to nigdy nie wypowiedziane świadectwo: Panie, nie jestem godzien takiej śmierci, przyjdź po mnie.
4. Nie wyczekuj sprawiedliwości ani zadośćuczynienia: może będziesz mógł jedynie wziąć odwet na zdrajcy lub najemniku – krzywdząc go w imię prawdy, której istnienia – wierny swojej epoce – nigdy nawet nie podejrzewał.
5. Przez lata, dzień po dniu, oddychając kłamstwem, zagubiliśmy rozróżnienia dobra i zła, i zabrano nam słowa, które utraciły kontur, ciężar i moc osądzania; jak bywa czasem w dusznym gęstym śnie: niemi, bez ust i głosu, rozpaczliwie usiłujemy wołać o pomoc, choćby o spojrzenie, cień zrozumienia – nie słyszą, nie rozumieją, boją się uwierzyć: jutro, za kilka lat, wiernie, do ostatniego słowa, powtórzą nasz los.

IV

1. Nic przecież nie uległo nagłemu zburzeniu, odwróceniu, niczego nie unieważniono: prawda tym bardziej pozostaje prawdą, a kłamstwo – kłamstwem, mordercy tylko dopełnili swoich zbrodni, cierpieniu tylko przybył jeszcze jeden odcień; i tylko utwierdziło się wyzwanie: twoje miejsce, twoja powinność – tam gdzie zawsze, poeto.

2. Jestem poetą: chcę wiedzieć, czy to coś znaczy dla ciebie, czy mogę ci w czymkolwiek pomóc: w ucieczce, pokonaniu słabości i strachu, w cierpliwości serca, które wzbrania sobie odpowiadać za poniżenia – pogardą, w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca; czy mogę ocalić kogokolwiek (nie ciebie przecież), zapisując cierpliwość twojego serca, twoją odwagę i bieg...
3. Pomóż mi: jestem słaby, co dzień tracę wiarę i jasność widzenia, obłąd przeniika we mnie, krawędź ostatecznego zwątpienia; pomóż mi: nie możesz liczyć tu na nikogo prócz mnie.

V

1. Tylko nie robiąc nic na pewno nie przykładasz ręki do zła. Tyran, który poprzez swoich najemników zapanował nad wszystkim, potrafiłby bowiem obrócić na swoją korzyść twój każdy, najczystszy i surowy, czyn – dlatego nie robisz nic. Więc jeszcze ucisz swoje serce: każdym uderzeniem odpycha od ciebie zimny, spokojny brzeg śmierci.
2. Niewiele możesz, ale przecież nie musisz tak żyć, jakby nic się nie stało. I możesz odmówić podania ręki tamtemu człowiekowi, to niewiele, ale to początek. Taki będzie początek ich ostatecznej klęski.
3. Nie będą rozpoznane twarze i imiona, w zgiełku zagubi się sens pragnień, decyzji i prac – nie do rozróżnienia będą słowa i czyny kata i ofiary: nie oddzieli ich i nie osądzi nawet najbardziej czuły i wytrwały z tych, którzy przyjdą. Niezrozumienie, może litość, śmiech. Ale to, co zostanie – będzie, choć bezmiennie, świadczyć: zrównaniem słów i czynów, ofiary i zbrodni; zrównaniem: pracuj, by nie ostatecznym.
4. Ostrożnie ale i bez lęku – idź pomiędzy kordonami najemników, w zmęczeniu i wątpleniu, pośród triumfu karłów, obłudnej litości świata: po twojej stronie jest prawda, którą przенosisz, z twojego pokolenia – w pokolenia.

5. Co będzie, kiedy podasz mu rękę - co jest
silniejsze: miłość czy zbrodnia; czy krew
na jego rękach wyparuje od dotknięcia
Twojej dłoni, czy ją splami,
Ojczy?

VI

1. Można mnie zabić, można mnie złamać, zmusić
do rezygnacji, nawet do służenia najemnikom,
ale nie można mnie przekonać: moje płuca oddychają,
moja krew żywi się tlenem, moje serce bije, odczuwam
głód, zmęczenie, reaguję na światło i dotyk: jestem
nie do przemienienia.
2. Syreny, pulsujące fioletowe światła, długa kolumna
ciężarówek i aut pancernych rozcina miasto na dwie
części. Jesteśmy po obu stronach cięcia i natychmiast
cała zasklepia się jak ryś na wodzie: śmierć jest
bezsilna, tonie w naszym życiu. Nawet teraz,
gdy jej ostrze, czoło kolumny, dosięga
chwilowego celu, już teraz.
3. Beztrąsko zapobiegliwa - jaskółka, polatująca nad brakiem
placu, z którego zaledwie wczoraj zmyto ślady krwi: tu
znacysz tyle, że chyba stworzyć
musiał cię sam Bóg...
4. Ponieważ jest i potrafi śpiewać.
Ponieważ jest drzewo, poranek, czyste niebo.
Nie ożywia nadziei, nie podtrzymuje wiary,
nie rozważa szans, ten ptak: jest,
śpiewa. Bądź
jak on.
5. Nie zważaj na naszą rozpacz, zwątpienie
i ból. Nie ustawaj, śmiertelnie zmęczone,
serce, pracuj - póki my
żyjemy.



GAMMA CZYLI
NIEWOLNIK DZIEJÓW

Kazimierz Orłoś

ROZWAŻANIA O POMNIKU W SERCACH LUDU USZCZĘŚLIWIONEGO

Rozważania na ten temat nasuwają się po lekturze niewielkiej książeczki (dziś powiedzielibyśmy broszury) wydanej w 1840 roku w Warszawie nakładem „drukarni dawniej Łątkiewicza teraz Juliana Kaczanowskiego przy ulicy Miodowej pod Nr 493 za pozwoleniem cenzury rządowej” pt. *Historyczno-biograficzny rys życia Feldmarszałka Księcia Warszawskiego Hrabi Paskiewicza Erywańskiego Namiestnika Królestwa etc.etc.* Z francuskiego przełożył Wincenty Zajączkowski. Pilną potrzebę wydania ówczesnej broszury najlepiej uzasadni krótka przedmowa tłumacza: „Pragnąc ułatwić ziomkom poznanie szczegółów życia, wypraw i czynów wojennych Feldmarszałka Księcia Warszawskiego Hrabi Paskiewicza Erywańskiego, przyswoiłem z francuzkiego językowi naszemu, dokładny pod tym względem opis. Wyprawy te stanowią będą kilka najpiękniejszych kart w dziejach nowożytnych. Potomność czytając je, odda hołd jenjuszowi wojennemu i wielbić będzie cnoty obywatelskie; potężna Rosja wzniesie pomnik prawemu synowi, a wdzięczność nasza zapewnia mu już jeden w sercach ludu uszczęśliwionego mądrym i ojcowiskiem użyciem Władzy, nadanej przez Najmiłościwszego Monarchę.”

Książka istotnie zawiera szczegółowy opis wojskowej kariery pogromcy Persów i Turków usilnie starając się uzasadnić „jenuśzostwo” wojenne namiestnika. Wydaje się jednak, że główną przyczyną jej wydania było przedstawienie, jakby mimochodem i na marginesie, przyczyn i skutków Powstania Listopadowego oraz polemika z jego stronnikami. Oczywiście – z punktu widzenia Rosji carskiej. Zapewne *Historyczno-biograficzny rys życia Feldmarszałka Księcia Warszawskiego* był przeznaczony głównie dla czytelników na Zachodzie (gdzie opinia publiczna, jak wiadomo, była po stronie Powstania), dopiero później trafił do Polski i z „francuzkiego” został przełożony. Zwraca uwagę brak autora. Któż mógł napisać ów

panegiryk na cześć Paskiewicza zawierający tak zjadliwą krytykę rewolucji polskiej i tak żarliwą apoteozę metod rosyjskiego ładu i porządku? Wincenty Zajaczkowski jakoby był tłumaczem, ale czy istniał na pewno? Treść broszury świadczy dobitnie o tym, że przemoc dawno już usprawiedliwiała swoje czyny nieodpowiedzialnym zachowaniem podbitych, ich dobrze pojętym interesem, mówiła o sprawiedliwości i humanizmie (który w owych czasach nazywała „ludzkością”), wszystkie winy przypisując wyłącznie ujarzmionym. Jak dziś – po upływie stu czterdziestu trzech lat – przemawiają do nas argumenty ówczesnego rzecznika rządu Najmilszego Monarchy?

W ten czas kiedy Hrabia Erywański poskramał na wpół dzikie ludy Rosji Azjatyckiej, okropna burza huczała na Zachodzie Europejskiej Rosji. Polska była w ogniu, walka powstańców z wojskami cesarskimi przedłużała się z zapalczywością. Marszałek Dybicz mianowany wodzem armii przeznaczonej do uśmierzenia powstania, częstokroć zwycięzki, nie zdawał się korzystać z otrzymanej przewagi. Wierni poddani Cesarza zaczęli się obawiać złych skutków; wszystkie oczy zwracano na Bohatera Erywanu, wszystkich chęci wzywały go; gdy Marszałek Dybicz nagle umarł na cholera, Hrabia Paskiewicz mianowany został w jego miejsce Wodzem armii Polskiej.

Nle będę się rozszerzał nad roztrząsaniem przyczyn powstania Polski i walk, które ją odznaczyły; ani też chcę wchodzić w spór z przeciwnikami Rosji, którzy w zawistnej namiętności i stronnych przesądach, nie dają żadnego hamulca niegodnym potwarzom, które na Rosjan rzucają. Wolno jest im pisać historię z zawiścią i przesadą nieomylnym skutkiem zaślepienia i niesłusznych uprzedzeń, wzbudzą oni te uczucia w bardzo małej liczbie czytelników. Ani też jest moim zamiarem zbijać ich mniemania, ograniczę się jedynie wiernym opisaniem wypadków poprzedzających wzięcie Warszawy.

Najgłówniejszą przyczyną powstania Polaków, było zagorzałe stronnictwo, któremu początek dała rewolucja Francuzka w roku 1830, albo raczej iż ona posłużyła do okazania najaw dążności stronnictwa, wprowadzie co do liczby słabego, gdyż większość Francuzów sprzyja umiarkowaniu. Zagorzali czerpią swe siły w gwałtowności swoich teorii, które mają nieszczęsną własność silniejszego działania na umysły burzliwe. System propagandy utworzył się w Paryżu i liczył pomiędzy najgorliwszymi członkami tych samych ludzi, którzy kilkakrotnie usiłowali obalić budowę przez nich samych w r. 1830 wzniesioną, uważając ją za zbyt szczyplą dla fantastycznej wolności, którą utworzyli w swej wyobraźni. Nasiona niezgody, które stronnictwo to usiłowało rzucić w innych narodach, dosięgły Polskę, wstrząsnęły nią, przedstawiając w wypadku tego wzruszenia tysiące nieszczęść, z których powstanie Polski ofiarowało całopalenie rewolucji Francuzkiej. Żaden naród nie był zdolniejszym do przyjęcia burzliwych zasad Komitetu rewolucyjnego, którego siedliskiem był Paryż. Naród Polski chociaż waleczny, pojętny, składał się z żywiołów zdolnych do rozniesienia nieustannych zaburzeń; dawne jego ustawy zostawiły ślady i nasiona rozdwojenia i burzliwości, które trudno było wykorzystać, stanowią one albo

wiem, że tak rzekę, nierozłączną część ich obyczajów. Niedorzeczny system obierania królów, pozostawił nasiona niezgody między magnatami. Zamożność tych ostatnich, którzy przez swe bogactwa i przywileje, podobnymi byli bardziej małym moczarom, jak pospolitym obywatelom, nakoniec *liberum veto*, godło największego nierządu i burzliwości narad sejmowych, wszystkie te niedorzeczne ustawy wzniewały w Polsce rozruchy, które przeskadzały rozwinięciu się cywilizacji i złagodzeniu obyczajów. Położenie jeograficzne tego kraju zwiększało niemożność, w jakiej się znajdował, stanowienia w Europie niezależnego Państwa, oraz politycznego i wpływu wywierającego ciała.

Europa nie znajdowała żadnych korzyści ani pod względem politycznym ani też handlowym w przymierzu z narodem, który nie mógł utrzymać w posiadaniu żadnego portu, ułatwiającego wzajemne stosunki, żadnego przemysłu dla przywabienia handlujących cudzoziemców. Polska miała uledeć losowi, który sobie sama oddawna zgotowała. Jakkolwiek bąc od czasu wcielenia jej do Rosji w roku 1815, pomyślność tego kraju ciągle wzrastała: porządek, zamożność, obfitość, panowały wszędzie; Rosja wyniszczała swe skarby, dla opędzenia niezmiernych potrzeb Polski i ułatwienia materialnego jej rozwinięcia się; ktokolwiek widział Polskę w ostatnich czasach, mógł się przekonać o ulepszeniach, jakie otrzymała od chwili wstąpienia na Tron Polski Cesarza Aleksandra. Rany jej zdawały się zagajać, zaufanie masy narodu w ojcowskich zamiarach Rządu, było rzeczywistem, równem było zaufanie Rządu w nowych poddanych, czego dowodem utworzenie 40,000 armji złożonej z krajowców, zaufanie to zdawało się być nawet wielkiem niektórym oświeconym i roztropnym umysłom, a następne wypadki usprawiedliwiły w tym względzie ich obawę. Lecz spieszę zbliżyć się do tej straszliwej katastrofy przesiewziętej bez celu i nadziei, w interesie kilku indywiduów, przeciwko chęciom większości narodu, katastrofy, której skutkiem było bezowocne wstrząśnienie, będące powodem wielkiego rozlewu krwi.

Wieczorem dnia 17 Listopada 1830 roku, gromada uczniów i podchorążych rzuciła się w stronę Belwederu, ietniego mieszkania Wielkiego Księcia Konstantego, gdzie ten Książę w zupełnym spoczywał zaufaniu. Jenerała Żandr będącego na służbie zamordowano, a Vice-Prezydenta Lubowidzkiego najokropniej poraniono. Jednakże Wielki Książę zdołał umknąć wściekłości tych zagorzalców. Lecz powstanie przybrało już charakter zatruwających, inni spiskowi na znak dany przez uczniów, zbuntowali kilka pułków i wielką liczbę obywateli. Odtąd rzeź na ulicach Warszawy stała się okropną; pięciu Jenerałów Polskich bez różnicy ich zdań padło ofiarą szaleństwa ludu. Wielki Książę jedynie w celu oszczędzenia krwi, cofnął się z wojskiem, które mu wiernem zostało i połączyło się wkrótce z armją Litewską. Potenczas Warszawa w wielkiem była wzburzeniu; Jenerał Chłopicki został ogłoszony Dyktatorem, pomimo tego nie miał dosyć władzy dla pogodzenia licznych Stronnictw rozdziałających powstańców. Następnie jako Wódz Naczelny zastąpił go Książę Radziwiłł, który niedługo piastował tę godność

ustąpiwszy jej Skrzyńcekiemu. Ten ostatni dłużej zatrzymał władzę jak naczelnicy poprzedzający; lecz nakoniec Sejmowa Komisysja, sądząc go także niezdolnym do rządzenia i dowodzenia, mianowała w jego miejsce Jenerała Dembińskiego, po którym nastąpił Prądzyński, po tym Krukowiecki, a po ostatnim Rybiński; wszyscy wzajemnie oskarżali się o niezdolność i zdradę, aż nakoniec upadek Warszawy położył kres tej krwawej tragedji.

Po opisie zmagañ rosyjskich armii z powstańcami, akcentując męstwo żołnierzy carskich oraz inteligencję dowódców, po opisie oblężenia i upadku Warszawy i zaznaczeniu, że „23 września nie pozostawał już ani jeden powstańciewicz w Królestwie Polskim”, anonimowy autor pisze dalej:

Takim był koniec tej nieszczęsnej rewolucji przedsięwziętej bez istotnego celu, bez środków pomyślnego skutku, albo raczej wszczętej dla zadowolenia przewrotnej ambicji niektórych z poduszczenia kilku zapaleńców, którzy marzyli o możności istnienia małej rzeczypospolitej, w pośrodku trzech olbrzymich mocarstw, których pomyślność i potęga, będąc zawsze niezaprzeczoną dowodem wyższości krzałtu ich rządu od demokracji; jest to żyjący pewnik, który zawsze zwyczajko opierać się będzie przewrotnym zasadom ucztów z krwawej szkoły 93 roku.

Trzeba przyznać, że ogólna opinja w ciągu tej walki tak wzniosła się przeciwko Rossij za stronę Polaków, że najmniej nawet stronne osoby, nie śmiały widocznie oświadczyć się za Rossją tak we Francji jak i w Anglii; byłoby to świętokradztwem politycznym, tak dalece był zajmującym widok małego narodu, mierzącego się z kolosem północy, a sprawa ta była przedmiotem obawy i niepokoju przesadzonych polityków dni naszych.

Grecja walcząca przeciwko Turkom, mogła słusznie wnieść zajęcie: ojczyzna Temistokła i Milcyadesa, dzwigająca się z pod okrutnego i niewyrozumiałego jarzma barbarzyńskiego narodu, miała niejakię prawo do litosci i wsparcia ludów Europy, usposobionych ku wielbieniu i czci tego klasycznego narodu. Lecz cóż mógł mieć wspólnego z interessami Europy naród, którego dzieje nie przedstawiają żadnego czynu, któryby mógł mieć wpływ na rozwinięcie oświaty i pomyślności tegoczesnych ludów? naród, którego historia jest jednostajnym obrazem niesnasek, zaburzeń i rozprzężenia? A przeciwko komuż on powstał? przeciwko rządowi, który pierwszy zdołał uśmierzyć zatargi, których był od tyłu lat ofiarą; rządowi, który zagoił krwawe rany przez nieustanne rozszarpywanie zadawane temu nieszczęśliwemu krajowi; rządowi nakoniec, który nie zmuszał do żadnych ciężarów, nie czyniąc żadnej różnicy między poddanymi polskimi i grecko-rossyjskimi, tak pod względem praw cywilnych jako też religij i który uposażył Polskę w ustawy o tyle wolne, ile czas, w którym żyjemy tego dozwalał i których dotrzymanie od niego zależało.

Cząstkowe korzyści, których duch stronnictwa nie omieszkiał szczególniej przesadzić, nie mało przyłożyły się do zwiększenia liczby stronników rewolucji Polskiej, lecz te korzyści, będące owocem bojaźliwego systemu i niepojętych zwłok pierwszego Naczelnego Wodza armji Rossyjskiej, były daleko mniej wyżnymi niżeli pisma o nich wspominają.— Bardzo jest natu-

ralną rzeczą, że gdy cały naród powstaje, wojsko przychodzące na podbicie go, doznaje czasami przeciwności losu, chociażby najwaleczniejszym i najliczniejszym było. Wojsko francuzkie doświadczyło tego w Hiszpanji. Wszelako trzeba uważać, że wielkie bitwy, jakimi były: Grochowska, Ostrołęcka, it.d., zawsze przez wojska Rossyjskie wygranymi były, i nie mogło być inaczej, jeżeli pomyślimy o tem bez namiętności, bez przesądu, bez urojeń i z rozważą.

Mówiono o łach, o ofiarach, o dzieciach wziętych na Syberję. Cóż więc? oto okropne te obrazy, które spodobało się ludziom starającym się pozyskać ogólne politowanie, przedstawić w kolorach najochydniejszych, dają się wkrótce zmienić na srodki bardzo proste, którychby tak Anglja jako i Francja użyły, gdyby Irlandja albo Korsyka były się zbuntowały.

Zabrano dobra głównych podżegaczy, i ujętych z bronią w rękę, bardzo naturalny srodek, a którego użycie w tym razie, nie powinno zasługować na naganę; albowiem we wszystkich zapisanem jest kodeksach. Co się zaś tycze wywiezienia dzieci, było to raczej czynem ludzkości; widoczną jest rzeczą, że po skończonej wojnie, wielka liczba bardzo młodych sierot zostało bez wsparcia i opieki; Cesarz w swej wysokiej troskliwości przyjął te nieszczęśliwe istoty, które nie mogły odpowiadać za zbrodnie ojców i pomieścić wszystkich w zakładach naukowych; używają tych samych praw i przywilejów co i dzieci krajowców; wychowani kosztem rządu otrzymują posady i awans, skoro tylko dojdą wieku prawem przypisanego. Niech Bóg nas zachowa, abyśmy mieli zamiar wzniecać zawiść, odnawiać w pamięci przebaczone występki, albo też natrzęsać się z nieszczęścia; żałując tych, którzy byli ofiarą swych błędów, zmuszeni byliśmy, jako dziejopisarz, wytknąć niedorzeczne obmowy, które na Rossję wymyślono z niesłychaną przesadą, a które ludzie obdarzeni zdrowym rozsądkiem i bezstronni, już bezwątpienia osądzili podług ich istotnej wartości.

Marszałek Hrabia Paskiewicz, w nagrodę swych znakomitych zasług, wyniesiony został na godność Księcia Warszawskiego, z tytułem: „Jego Wysokość” mającym służyć na jego potomstwo, oprócz tego został Namiestnikiem Królestwa Polskiego. Zarówno biegły rządcą, jak nieustraszony wojownik, Książę Warszawski godny tłómacz Wspaniałomyślniej Woli Swego Najjaśniejszego Monarchy zdołał pomału zagoić rany głębokie, które rewolucja temu nieszczęśliwemu zadała krajowi. Wszyscy bezstronni ludzie oddają mu sprawiedliwość, przyznając, że w wykonaniu swych wysoki i przykrych obowiązków, umiał połączyć sprężystość z ludzkością.

Książę Warszawski jest jeszcze w sile wieku, pełen zdrowia i czynnego ducha, a jeżeli Rossja, której oręż uświetnił, potrzebować jeszcze będzie jego miecza, pewni jesteśmy, że go dobędzie dla zebrania nowych wawrzynów i utrzymania sławy wojsk Rossyjskich.*

Spróbujmy krótko streścić powyższe wywody odzwierciedlające stanowisko rządu Najmilszego Monarchy. W zależnym kraju wszystko rozwijało się pomyślnie („pomyślność tego kraju ciągle wzrastała; porządek, zamożność, obfitość, panowały wszędzie”). Mało tego: najeżdźca bezinteresownie dbał o pomyślny ro-

zwój podbitego kraju („Rossja wyniszczała swe skarby, dla opędzenia niezmiernych potrzeb Polski i ułatwienia materialnego jej rozwinięcia się”). Tymczasem nieodpowiedzialne elementy wywołały awantury uliczne, pociągając za sobą mniej uświadomioną część społeczeństwa, podatnego na destrukcyjne wpływy („w interesie kilku indywidualów przeciwko chęciom większości narodu”). Żgubną rolę odegrała zła tradycja historyczna i wroga propaganda przenikająca z ośrodków za granicą („Żaden naród nie był zdolniejszym do przyjęcia burzliwych zasad komitetu rewolucyjnego, którego siedliskiem był Paryż. Naród Polski chociaż waleczny, pojętny, składał się z żywiołów zdolnych do rozniesienia nieustannych zaburzeń; dawne jego ustawy zostawiły ślady i nasiona rozdwójenia i burzliwości, które trudno było wykorzenić”). Wobec „szaleństwa ludu” „Władza” nie ma innego wyboru: musi przystąpić do tłumienia wrogich wystąpień. Po ich stłumieniu zaprowadza ład i porządek czyniąc to z umiarem, używając naturalnych w takich wypadkach środków „zapisanych we wszystkich kodeksach”. Wywożenie dzieci z kraju nazywa „czynem ludzkości”; żałuje tych, którzy padli ofiarą swych błędów, mówi o gojeniu ran głębokich. A zatem postępuje stabilizacja, choć miecz, w razie potrzeby, może być ponownie użyty.

Zadziwiająco współczesne wywody sprzed 143 lat! Ta „Władza” pisana z dużej litery, te ustawy „o tyle wolne, ile czas, w którym żyjemy tego dozwalał!” Wszelkiego rodzaju winy ekstremalnych elementów! Wszystko tu znajdujemy. A jednocześnie tak dobrze widoczny fałsz tych pozornie słusznych i logicznych twierdzeń. Fałsz zawarty także w przemilczeniach. Autor broszury ani się zająknął na temat rzeczywistych celów walczących stron. O co szło? Jak wiadomo, z jednej strony szło o zachowanie potęgi imperium, a z drugiej o wywalczenie kilku, zawsze tych samych, wartości niezbędnych dla swobodnego życia jednostki ludzkiej i narodu — dziś powiedzielibyśmy: o prawa człowieka. Szerzej ujmując problem: o imponderabilia takie jak wolność, niepodległość, godność. Pisząc o „nieszczęsnym rewolucji przedsięwziętej bez istotnego celu, bez środków pomysłnego skutku, wszczętej dla zadowolenia przewrotnej ambicji niektórych z poduszczenia kilku zapaleńców” ówczesny rzecznik-propagandysta nie rozumiał, że szło również o tak istotną sprawę jak sprawa narodowego przetrwania. Gdyby nie ta „nieszczęsną rewolucję” Polacy być może staliby się jednym z wielu narodów — uległych rabów imperium. Że tak się nie stało, niewątpliwa zasługa tych, którzy „marzyli o możliwości istnienia małej Rzeczypospolitej, w pośrodku trzech olbrzymich mocarstw”.

Księżę Warszawski „godny tłumacz Wspaniałomyślnej Woli Swego Najjaśniejszego Monarchy” — Jan Fedorowicz Paskiewicz — pozostał w przekazie historycznym bezwzględny despotą i rusyfikatorem. W pamięci Polaków nie zostało po nim nic, jakkolwiek gorliwie tłumacz Wincenty Zajączkowski pisał, że wdzięczność nasza zapewnia mu pomnik „w sercach ludu uszczęśliwionego mądrym i ojcowskiem użyciem Władzy”. Po 143 latach wiemy dobrze, że „uszczęśliwiony lud” był szczęśliwy tylko w gazetach. Nigdy w sercach nie stawia pomników najeźdźcom i dyktatorom. Wiemy również, że władza, używana przede wszystkim do tłumienia dążeń wolnościowych i praw ludzkich, nie jest ani ojcowska ani mądra. Bywa raczej ograniczona, nieudolna i mściwa.

Na koniec można by powiedzieć, że niewielkim pocieszeniem dla nas, żyjących półtora wieku później, jest pewność, że ówcześni rzeźnicy-propagandyści mylili się tak bardzo używając tak podobnych argumentów, jak współcześni. A jednak to właśnie świadomość, po czyjej stronie są prawda i sprawiedliwość oraz komu w ostatecznym rachunku historia przyznaje rację, uzasadnia nadzieję, która pozwala przetrwać najgorsze klęski.

1984

* Tekst przepisany ze str. 103-8 i 128-33 z zachowaniem pisowni, interpunkcji i ortografii oryginału.





DELTA CZYLI TRUBADUR

ZAMIAST BILANSU

Jakub Perkal

Jubileusz, nawet najbardziej okrągły, jest cezurą sztuczną, z reguły ustanawianą dla dokonania odświętnego rytuału, a w spisywanych z jego okazji podsumowaniach do rachunku włącza się też zjawiska ledwie rozpoczęte, o których nie wiadomo, czy okażą się dlań znaczące. Dotychczasowe iks-lecia PRL były takimi właśnie rocznicami, które niczego nie zaczynały ani nie kończyły, datami z agitacyjnej symboliki, gdy granice politycznie ważne, dzielące powojenne dzieje Polski, znajdowały się w innych miejscach na skali historycznego czasu: w 1956 a nie w 1954, w 1968 a nie w 1964, w 1976 a nie w 1974. Choć jest już utrwalonym obyczajem, że jubileusz, zamiast być li tylko sposobnością do fetowania (lub flekowania) jubilata, staje się także okazją do refleksji nad konsekwencjami wydarzenia, którego rocznica jest przedmiotem zainteresowania, to warto pamiętać, że póki ów przedmiot żyje (działa, funkcjonuje), każdy bilans dokonany musi być nie tylko prowizoryczny, ale także zawieszony nad próżnią nieznaną przyszłości.

Rok 1984 daje więc raczej okazję (czy nawet tylko pretekst) do zastanawiania się nad czterdziestoletnim istnieniem PRL, niż upoważnia do podjęcia próby generalnej oceny tego, co nazywa się „przebytą drogą”. Nie wyklucza to oczywiście takiego biegu wydarzeń, że ów rok jubileuszowy stanie się rzeczywiście granicą chronologiczną o wielkiej doniosłości. Wszak minęliśmy dopiero jego półmetek i wlecie stać się jeszcze może między Bugiem a Odrą (i nie tylko tu).

Jeszcze jedno zastrzeżenie należy się czytelnikowi: omówienia tego nie sporządzam w imieniu czy na zlecenie jubiliującej firmy, a nawet nie potrafiłbym chyba wystąpić w charakterze przysięgłego rzeczoznawcy. Jeżeli mogę przypisać się do jakiejś roli to raczej oskarżyciela posiłkowego (nie przed Trybunałem Stanu, bo tu obowiązuje amnestia), choć przypochlebiam sobie, że obiektywizm nie jest postawą mi obcą. Tu i teraz mało jednak widzę szans na zachowanie odpowiedniego dystansu i patrzenia przez chłodne „szkiełko”.

Od chwili, gdy czterdzieści lat temu, w Moskwie, w dokumencie, który znany jest jako Manifest PKWN, postawiono ostatnią kropkę i poprawiono ostatnie „u” na „o z kreską”, świat cały wywrócony został na nice. Rzecz może nie w tym, że upadły jedne a narodziły się inne dyktatury czy demokracje, że ktoś wygrał (by przegrać mógł ktoś) jakieś wojny, że jedne granice przesunięto na zachód, inne na wschód czy południe, ale że choć cywilizacyjna mutacja trwała już dobre sto lat, to, czego jesteśmy świadkami w ciągu minionych czterech dekad przeorało nasz glob i nas samych, nasz świat przynajmniej zewnętrzny (bo duchowy ulega przemianom o innym tempie i rytmie). Z tysiąca przedmiotów, które mamy dziś wokół siebie, pewnie połowa leżała się dopiero w pracowniach uczonych. Ze stukilkudziesięciu narodów szczyjących się dziś posiadaniem własnego państwa (niezależ-

nie od stopnia jego suwerenności) pewnie połowa nie wiedziała jeszcze, że jest narodem. Gdy otwieramy bilans PRL, trzeba nam o tym pamiętać i szukać naszego miejsca na skali zmian nie tylko wzdłuż własnej współrzędnej czasu, ale też – a może nawet przede wszystkim – w porównaniach z innymi, którzy tym samym czasem żyją.

Nie grozi zapewne żadnym ryzykiem stwierdzenie, że nowości techniczne, z którymi dziś tu obcujemy, a którymi tak lubią się szczyścić nasi propagandziści (a także kolejni Pierwsi), można śmiało postawić poza bilansową przestrzeń, gdyż to, co się w tej mierze dokonało, stało się raczej „wbrew” niż „dzięki” przodującej i niemiłośliwie nam panującej ideologii. Na tym polu pozostaliśmy na starym miejscu kraju „gospodarczo rozwijającego się”, zdolnego do ekaportu surowców i siły roboczej, a skazanego na kupowanie technologicznego postępu. Nie brak i takich, którzy twierdzą, że relatywnie cofnęliśmy się nawet – i to wcale nie w wyniku ostatniego krachu gospodarczego, ale że degradacja ta nastąpiła już w momencie, gdy Europa zachodnia z końcem lat 40-tych zaczęła wydobywać się z wojennego i powojennego kryzysu, a my wtrąceni zostaliśmy w bezdenne otchłanie socjalistycznej industrializacji, zdalnie – a często i bezpośrednio – sterowanej z imperialnego centrum. Choć wielowiekowe procesy społeczno-gospodarcze oddziaływały nas od ścisłych związków z kolejnymi rewolucjami przemysłowymi, choć w okresie zaborów większość ziem polskich znajdowała się na obrzeżach cywilizacyjnych przemian, przykucie Polski do konserwatywnej i technologicznie zacofanej gospodarki ZSRR umocniło nasze oddalenie od systemów opartych na racjonalności ekonomicznej oraz technologicznej i organizacyjnej innowacyjności. To, czym szczyści się dziś socjalistyczna gospodarka PRL – i innych państw bloku (ze Związkiem Radzieckim na czele) – jest po prostu *minimum cywilizacyjnym* w tej strefie kulturowej, do której Polacy chcą należeć, a która w ostatnich właśnie dziesięciokach lat rozprzestrzeniła się poza swoją europejsko-amerykańską kolebkę, obejmując np. Japonię i kilka azjatyckich enklaw. Obok militarno-kosmicznych programów radzieckich bodaj tylko „kostka Rubika” i (także węgierski) plyn na porost włosów stały się socjalistycznymi „hitami” na światowym rynku wynalazków. Polska prawdopodobnie miała bardzo mało szans na wejście do elitarnego klubu państw ustanawiających technologiczny porządek świata, ale z całą pewnością poddanie jej pod zarząd konserwatywnego a politycznie agresywnego mocarstwa zepchnęło nas na trwałe do dalekich rzędów zaludnionych przez kopaczy węgla, miedzi czy siarki, wytwórców prymitywnych i mało wydajnych urządzeń, kooperujących głównie z podobnymi sobie. I patrzących zazdrośnie na tych innych, tych lepszych, od których oddzieleni jesteśmy dzisiaj już nie tylko żelazną, ale i „tranzystorowo-komputerową” kurtyną, przy czym ta druga zasłona nie została utkana ostatnimi laty, lecz jest dziełem całego okresu „dynamicznego rozwoju”. Do lamusa agit-propich bajdułek złożono niegdysiejsze hasła o doganianiu i przeganianiu, gdy okazało się, że z najwyższym trudem udaje się – i to nie wszystkim – zachować istniejący dystans, gdy trzeba zadowalać się tym, co spadnie z wielkopolskiego stołu krajów, którym udało się nie awansować do grona internacjonalistycznej wspólnoty miłującej pokój (z ciemną kuchnią). Jeżeli rozejrzeć się trochę po świecie, to jawnie okaże się, że po to, by naród mógł najeść się i odziać, lepiej

aby nie rządzili nim wyznawcy materialistycznej wiary w nieuchronne prawa rozwoju postępowej ludzkości, lecz by jego gospodarka podlegała wilczym prawom rynku, a nawet była polem wzajemnej walki antyludowych, kosmopolitycznych koncernów. Wraz z Manifestem Lipcowym wdepnęliśmy w bagno planowej gospodarki, choć oczywiście sam Manifest nie zająknął się o tym, że upaństwowię nas całych od błyskawicznie ścierających się obcasów po deformujące się na deszczu czapki i że kisić będziemy państwowe ogórki w państwowych słojach.

Pełzając nisko przy ziemi, myśląc codziennymi, płaskimi, materialnymi kategoriami co krok trafiamy na dowód tego, że socjalizm – przynajmniej w swym realnym, marksistowsko-leninowsko-stalinowsko...-czernienkowskim wydaniu – nie równa się dobrobyt, nie równa się postęp, nie równa się rozwój. Że ze słynnego sloganu Włodzimierza Iljicza „Socjalizm to władza rad plus elektryfikacja” realna jest tylko władza (i to też nie rad).

Jeśli nie na tym, to może więc na innym polu system, który zaprowadzono nam przed czterdziestu laty, daje pożądane i oczekiwane przez społeczeństwo owoce? W końcu my, Polacy – tak się o nas na ogół sądzi i tak sami jesteśmy skłonni sądzić – nie przywiązujemy wagi do dóbr doczesnych, ale cenimy tzw. imponderabilia, tradycję, wiarę, demokrację, tolerancję, duchowe wzloty, suwerność; to przecież u nas przez wiek cały królowali nie królowie i rządzili nie rządcy, ale spontanicznie koronowani Narodowi Wieszcze, władcy myśli i ducha.

Choć trudno pozbyc się przeświadczenia, że istnieje jakieś zwrotne *unctim* między dostatkiem rzeczy a intelektualną sprawnością, między jakością życia a satysfakcją estetyczną, między cełnym wykonywaniem pracy a moralnym osądem zewnętrznego świata – pal licho chrupiące bułeczki, cichobieżne tramwaje, punktualne pociągi, czyste powietrze i cały materialny dorobek. Zjadamy suchy chleb, zapijamy podtrutą wodą, wdychamy pyły i dymy, ale ustrój kraju, w którym żyjemy, wymyśliliśmy i zbudowali sami, kierujemy się wolną wolą i zbiorowymi decyzjami, szanujemy tych, którzy nam sąsiadują, potrafimy miłować nieprzyjaciół, wsłuchiwać się w argumentację inaczej myślących – a przynajmniej chcemy być tacy i dążymy do tego.

Otóż czterdziestoletnie doświadczenie peerelowskiego socjalizmu dowodzi, że ciosy najbardziej dotkliwe biją nie w materialną, ale właśnie w duchową, psychiczną, kulturową tkankę naszej zbiorowości, że rozziw między społecznie wyrażanymi aspiracjami a czynami władz tu właśnie jest największy. Chętnie zapomina się, że w poznański Czarny Czwartek czy w gdańską grudniową noc chodziło nie tylko – i nie tyle – o kiełbaczę, o kałdun, o portfel, ale także o wolność, o prawdę, o sprawiedliwość, choć oczywiście nigdy (i nigdzie) nie brak takich, których zaspokojenie potrzeb materialnych wystarczająco satysfakcjonuje. Nie brakowało, nie brakuje – i brakować nie będzie – takich ludzi także w Polsce, o czym się, niestety, nie pamięta, zwłaszcza w euforycznych i idealizmem działań nasyconych chwilach.

Nie czuję się polskim szowinistą i nie czuję się także zwolennikiem tezy o szczególnym powołaniu czy charakterze narodu polskiego, które mają nas predesytynować do zadań wyjątkowych. Pragnienia i dążenia polskiego społeczeństwa,

także w owych „niematerialnych” sferach, nie odbiegają w końcu od standardów ongiś europejskich, a dziś już światowych. Jest wszakże rzeczą raczej nie budzącą wątpliwości, iż to społeczeństwo polskie, które przyjmowało na siebie ciężar realizacji programu ideologii marksistowsko-leninowskiej — a także i społeczeństwo dzisiejsze — ukształtowane było pod naporem ciśnienia historycznego, które w dobitny sposób wysuwało na plan pierwszy właśnie imponderabilia, właśnie sferę ducha. Niepodległość państwowa i suwerenność narodowa były kamieniami węgielnymi psychicznej konstrukcji znacznej zapewne większości Polaków, a w niektórych warstwach, grupach społecznych i terytorialnych były po prostu kanonem, wartościami, którym podporządkowywano wszystko. Nigdy nie brakło w Polsce ludzi, którzy mówili: najpierw Niepodległość, a potem będziemy martwili się, jak kraj urządzić. Krótki, zaledwie dwudziestoletni i tragicznie zakończony okres posiadania niepodległości, cieszenia się nią, korzystania z niej, pogłębił raczej aspiracje niż je wygasił. Sprawa zresztą znana, nieomal bezdyskusyjna. Pamiętana. Przypomnieć się jednak godzi, że jednym z najświeższych polskich doświadczeń społecznych i to powstałych m.in. jako owoc posiadania własnego państwa była także walka znacznego odłamu społeczeństwa o demokrację i o suwerenność jednostki w suwerennym państwie. Klęska wrześnieowa, będąc równocześnie klęską tego obozu politycznego, który *par force* zdobył pozycję hegemoniczną (i który realnie rządził), tej walce — toczonej w Sejmie, w prasie, na wiecach, na ulicach, w strajkach — przydała także waloru bitwy toczonej o naprawę i umocnienie Rzeczypospolitej. Po bolesnych doświadczeniach lat międzywojennych — i tych „sejmowładztwa”, i tych zwłaszcza „brzeskich” — Polacy dojrżeli do demokracji i ujrzeli możliwość jej spełnienia. Choć nie wiadomo, jak losy potoczyłyby się, koalicyjny charakter międzypartyjnego porozumienia w Kraju i wspólne deklaracje programowe największych ugrupowań politycznych (zrzeszonych w Radzie Jedności Narodowej) dość wyraźnie wskazywały drogę, po której pójdzie odrodzona Polska. A przynajmniej po której chcą iść znaczące, być może jawnie przeważające siły: ruch ludowy, niepodległościowy socjalizm, gruntujący swój polityczny kanon ruch chrześcijańsko-społeczny, wciąż żywa — choć nieliczna — demokratyczna inteligencja. Zmieniał się też, powoli, z namysłem, ale konsekwentnie Kościół katolicki, który do swego XIX-wiecznego programu narodowego trwania wśród obcych i różnowierczych potęg dopisywał mocnymi głoskami potrzebę przekształceń, mających za cel podniesienie uciśnionych, nakarmienie głodnych, triumf moralności w życiu publicznym.

Może to być uznane za naganne uproszczenie, ale wydaje mi się, że jestem w prawie stwierdzić, iż przyniatająca większość społeczeństwa łaknęła pełnej, oczywistej suwerenności państwa, a znaczna pragnęła, aby Niepodległa przeszła przez cykl głębokich reform, których przeprowadzenie byłoby zarówno realizacją aspiracji szerokich rzesz jak i warunkiem *sine qua non* siły tego państwa, a więc wzmożeniem jego suwerenności zewnętrznej. Krótko mówiąc — był to program pozostania Polski w Europie, a ściślej rzecz biorąc — na trasie tych przemian, którym podlegał w XX wieku wielki krąg kulturowy, do którego Polska należała od tysiąclecia.

Jeśli dla jednych pojęcie „Europa” wiązało się z demokracją — lub walką o

nią — z technologicznym postępem, oświatą i oświeceniem, dla innych „Europa” to było także — lub wyłącznie — chrześcijaństwo i zbiór jego wartości, norm i obyczajów. Kościołem Powszechnym złączona z katolicką wspólnotą, uczestnicząca w tych samych rytuałach, wzywająca o wspomnienie u tych samych Ojców Kościoła, Świętych, tego samego Syna Bożego i Jego Matki — tym dziesięciowiekowym związkiem utwierdzona, znaczna, na pewno przeważająca (choć w zapomnienie już dziś idzie taki np. fenomen jak silnie rozwinięty antyklerykalizm ruchu ludowego), część społeczeństwa czuła się fragmentem integralnym europejskiego *omnium* świata poddanego Chrystusowi. Wszystkie te trzy czynniki — wiara, niepodległość, demokracja — spletały się wzajemnie i przenikały w jednostkach i grupach społecznych, choć oczywiście nie brakowało i takich, którzy dla realizacji jednej z tych wartości gotowi byli potępić, deprecjonować (a nawet może i „likwidować”) wyznawców innych. Trzeba bowiem pamiętać, że społeczeństwo polskie równie jak nawykło do walki z obcymi potencjami, które przez wiek z górą więziły je, przysposobiło się także do walk wewnętrznych, w których nie raz i nie dwa sięgano nawet i po broń, w których nie brakło nienawiści i pogardy dla przeciwnika nader często traktowanego jako wroga. Gdy dziś na te starcia — i krwawe także — patrzmy (a wielu z nas czyni to nader niechętnie), wydają się one być zjawiskiem chorobowym, polityczną i kulturową patologią, nazbyt bowiem przywykliśmy do trwałości podziału rządzący — rządzeni, zbyt już przyzwyczailiśmy się do tego, że ktoś mający przeciwne od naszego zdanie musi być także obcy. Jest to już jednak — jak sądzę — jeden z rezultatów komunistycznego treningu i warunków realnego socjalizmu — ale o tym za chwilę. Chciałbym tu jeszcze zwrócić uwagę na fakt, iż ścieranie się różnych opinii, systemów wartości, postaw i poglądów było jednym z najdobitniejszych przejawów istnienia II Rzeczypospolitej jako państwa nowoczesnego, w europejskim właśnie stylu, gdyż siła i dynamizm tego kręgu kulturowego zasadzały się na konfliktach różnorodności. Warto też pamiętać, że w ciwych czasach podobne natężenie walk wewnętrznych, a szczególnie drastyczność ich form, były zjawiskiem właściwie potocznym i nad Potomakiem, i nad Sekwaną.

Dotkliwość wzajemnie zadawanych sobie ran tym była większa, że dość powszechna była w naszym społeczeństwie obecność groźnego jadu ksenofobii, nacjonalizmu czy szowinizmu, którym nasączało swe polemiczne strzały wiele środowisk społecznych i nurtów politycznych — a nierzadko nawet i instytucjonalni przedstawiciele Kościoła, którego powołaniem było przecież szerzenie miłości bliźniego i poszanowanie osoby człowieka. Nie miejsce tu rozstrzygać, ani nawet wdawać się w rozważania, dlaczego tak właśnie a nie inaczej było, dlaczego pokazana część polskiej opinii publicznej odmawiała lub żądała ograniczenia pełnej równoprawności politycznej obywatelom Rzeczypospolitej. Dość przypomnieć, że potężne głosy domagały się *numerus clausus* (lub *nullus*) dla Żydów lub że wielomilionowa ludność ukraińska nie doczekała się wyższej uczelni, że dochodziło do pacyfikacji, odbierania świątyń, bicia i szczucia. I to też nie było polskim *specificum* oczywiście, ale fakty pozostają faktami i rysując duchową sylwetkę polskiej społeczności nie wolno ich pomijać. Nieufność lub nienawiść, obawa lub strach dotaczały też naszych najpotężniejszych sąsiadów, co wynikało za-

równy z bolesnych doświadczeń, jsk i z oglądu – takiego przynajmniej, jaki dostępny był szerszej opinii – tego, co działo się na wschód i na zachód od Polski. Rosyjski komunizm zaś wzmacniał jeszcze i tak już dość szeroko rozpowszechnione przekonanie o absolutnej obcości, azjatyckości tego kraju i narodu. W konsekwencji polscy komuniści spychani byli – i to nie tylko zarządzeniami administracyjnymi, ale także społecznymi odruchami – poza nawias narodowej wspólnoty, co ułatwiały ich jawne filiacje nie tylko ideowe z „azjatycką bolszewią”. Choć izolowani – częściowo tylko i przejściowo zyskali pewien „styk” z innymi środowiskami politycznymi w latach 1936-37 (na krótko przed ich likwidacją przez Stalina) – nie byli grupą całkowicie pozbawioną wpływów, ale oczywiście nie liczyli się *de facto* (i nie chciano z nimi się liczyć) w sporach i walkach toczących się wewnątrz polskiej społeczności.

Katakлизм września i bezprzykładowy terror okupacji – najpierw dwóch, potem jednej, fizycznie straszniejszej, ale w jakiś sposób prostszej, bardziej jednoznacznej do oceny – wiele zapewne zmodyfikowały w postawach i odczuciach polskiego społeczeństwa. Nie sądzę jednak, aby zmiany te kazały kreślić zupełnie nowy, drastycznie odmienny jego obraz od tego, który tu w zbyt może publicystycznym skrócie przedstawiłem. Niewątpliwie nasyciły serca dodatkową porcją nienawiści do tych, którzy deptali polską ziemię i polskie ciała. Wzmocniły bariery wobec obcoplemieńców. Nasiliły dążenia do zasadniczych zmian czy to tylko politycznych, czy także idących dalej, w głąb społeczno-ekonomicznych zasad organizacji państwa. We wspólnie przeżywanym okrutnym losie zbliżyły się do siebie różne warstwy i grupy społeczne, ale też warunki te wyzwalały wiele odruchów i działań egoistycznych. W wielu środowiskach pogłębiły wiarę religijną, która stawiała się często jedyną ucieczką przed niepojętym okrucieństwem tego świata. Jeszcze wyżej dźwignęły na narodowym ołtarzu czynny patriotyzm, zgromadziły wielkie zastępy tych, którzy szli „jak kamienie rzucane na szaniec”. Jednocześnie musiały zachwiać autorytetem legalnych władz cywilnych i wojskowych, a także – co ważniejsze – podważyły wiarę we własne siły wobec nadciągającej nawałnicy wyzwolecielskiej Armii Czerwonej, która wyrosła na globalną potęgę, a fakt, że jechała ona na 400.000 amerykańskich samochodów, że wysyłała w powietrze ponad 10.000 amerykańskich samolotów, a jej dywizje pancerne wzmocnione były 7.500 amerykańskich czołgów z *lend-lease*, że była sojusznikiem sojuszników – nic w tej sytuacji nie zmieniła.

W tym to zrujnowanym wojną kraju, w tym to wykrwawionym społeczeństwie, władzę administracyjną przejmuje silny przez podległość światowemu mocarstwu nurt, który tak długo spychany był w podziemie, tak szeroką otoczony nieufnością i pogardą, a który teraz występuje jako zbawca i dawca: zbawca od wiecznego, germańskiego niebezpieczeństwa i dawca światłego programu, gwarantowanego rozwoju i niepodległej szczęśliwości. Rozpoczęta się wielka gra społeczeństwa polskiego z komunizmem, społeczeństwa, któremu ideologię tę i ustrój z niej wyrosły przynieśli nienawistni i politowania godni ale przecież wybawiciele od przerażającego czasu, Epoki Pieców. Przy obojętnej niechęci większości porażonej ich potęgą i niedawnym doświadczeniem okupacyjnym, przy czynnym opo-

rze mniejszości nie chcącej i nie mogącej pogodzić się z tak gwałtowną i tak drażniąco odmianną, kabewiackim karabinem i ubecką kulą, ale także czapką, papką i sołą, komunizm podbił i skolonizował Polskę w ciągu paru lat. Od tego czasu dwa już pokolenia tubylców narodziły się i dojrzały, zdążyły złożyć swoją daninę krwi, ale także w znacznym stopniu poddać się asymilacji, przysposobić się do życia w tym Nowym Wspaniałym Świecie, wykwiecie nieludzkiego ale ziemskiego przecież geniusza.

„Nie jest zadaniem dziennikarza polskiego prawić komplementy swojemu narodowi” – pisał lat temu sześćdziesiąt Stanisław Cat-Mackiewicz. Na tej słusznej, jak sądzę, opinii wspierając się, zostawię innym opis i analizę tego, co Polacy, co część Polaków – może nawet i większa część – potrafili zachować czy nawet rozwiniąć z kanonów wspaniałego systemu wartości przekazywanego im w dziedzictwie przez najszlachetniejsze wzloty narodowej kultury, najszlachetniejsze odruchy twórców ideowego porządku, wolności i sprawiedliwości, przez człowiecze postanie Chrystusa. Chcę się zatrzymać nieco nad tym, jakie były (i są) – oczywiście nie wszystkie, wszystkich nie spisać i na wołowej skórze – kierunki i formy oddziaływania komunistycznej ideologii i real-socjalistycznej władzy na polskie społeczeństwo, na świat wartości, archipeląg postaw i poglądów, stosunek do innych i do własnej przeszłości. Nie będzie to wyczerpanie – ani tym bardziej omówienie – wyczerpujące. Ta polska litania grzechów na 40-lecie PRL może być ciągnięta bez końca, gdyż zawierać ona winna – i to trzeba na początku powiedzieć – tych wszystkich pojedynczych ludzi, których system ten ciężko ukrzywdził. Tych wszystkich, którzy zginęli lub zostali doprowadzeni do śmierci dlatego, że bronili swojej ludzkiej lub naszej narodowej godności; tych, których z rozmysłem dręczono, zmuszano do zapierania się samych siebie, swych najbliższych, swych przekonani; tych, których usiłowano wyrzucić poza nawias wspólnoty oczerniając ich i zniesławiając; tych, którzy stali się ofiarami bezmyślnych, z ideologii tej władz płynących nakazów... Imię ich milion. Ale nie o nich chcę pisać, boć właśnie oni stanowili i stanowią tę część społeczeństwa, która – świadomie czy nie, z przypadku czy z własnej decyzji – stanowiła jeden z puklerzy broniących przed totalną sowiecką zają. Imię ich milion, ale mimo tej numerycznej wielkości Polska jest krajem podporządkowanym zewnętrznemu, a polskie społeczeństwo jest, *grasso modo*, podporządkowane wewnętrznie, i jeżeli dotychczasowe wysiłki i ofiary nie poszły całkowicie na marne, to nie zdołały także w sposób istotny zmienić parametrów sytuacji ani państwa, ani narodu.

System komunistyczny, rzecz to notorycznie i od dawna znana, opiera się na sile i kłamstwie i tym między innymi różni się od totalizmów typu faszystowskiego, że kłamstwo jest czynnikiem o równym, a w niektórych okresach większym znaczeniu niż naga siła fizyczna. Zbrodnie hitlerizmu zapowiedziane były *explicito*; zbrodnie stalinizmu wynikały z leninowskiej doktryny, ale werbalnie stanowiły jej zaprzeczenie. Nie ma powodu udawać, że wszystkie inne, niekomunistyczne ruchy polityczne operują w swych działaniach prawdą, tylko prawdą i wyłącznie prawdą, ani że nigdy nie uciekają się do siły. Rzecz w tym, że oba te czynniki nie stanowią kanonu funkcjonowania, że kłamstwo jest w nich cząstkowe, fragmentaryczne, jest sprawą wstydliwą. Kłamstwo systemu komunistycznego jest wszech-

ogarniające i wszechobecne. Staje się nie tylko instrumentem polityki czy rządzenia, ale staje się elementem niezbywalnym całej konstrukcji ustrojowej." Siłą więc rzeczy nasyca swą obecnością także i te dziedziny, które pozornie z polityką czy ideologią nie mają nic wspólnego.

Zacząło się to od samego początku – Manifest PKWN z jego gwarancjami dla prywatnej własności był zwykłym kamuflażem partii, która chciała przy pomocy oszustwa pozyskać lub zneutralizować społeczeństwo; utworzenie rzekomo niezawisłych stronnictw politycznych było działaniem czysto instrumentalnym, a twórcą i wykonawcą tej koncepcji ani przez chwilę nie przychodziło na myśl, aby stronnictwa te miały pełnić w państwie te same funkcje, do których ustroje demokratyczne powołują systemy wielopartyjne; reforma rolna, ten tradycyjny postulat chłopstwa, przeprowadzona została mniej dla zaspokojenia słuszných aspiracji wsi i budowy gospodarki o racjonalnej strukturze, a bardziej dla przydania chwały inicjatorom dekretu, przecignięcia na swoją stronę (choćby czasowo) tych, którzy zeń skorzystali, aby później mieć z nich popleczników także i w dziele tzw. uspołecznienia wsi; szalbierstwem były także procesy tzw. demokratyzacji – czy to ruchu młodzieży wiejskiej, czy szkolnictwa wyższego – w których chodziło głównie o zwykłe zgłazszachtowanie całych dziedzin życia społecznego, ujednoczenie i podporządkowanie ich scentralizowanej władzy; oszustwem była amnestia, lata 1945 roku, której wyniki podsumował Władysław Gomułka wobec zamkniętego pepeerowskiego forum, stwierdzając m.in., że „możliwość posiadania ewidencji członków AK przez organa bezpieczeństwa” jest jednym z najważniejszych plusów tego rzekomo humanitarnego posunięcia i dorzucając, że „łatwiej jest kontrolować ujawnionych”.

Przyglądając się wszystkim dziedzinom życia społecznego i publicznego, kartkując najprostszы słownik pojęć politycznych dostrzeżemy to samo: fałsz, obłudę, podmiąę słów. Pod naciskiem psychicznym i fizycznym wszystko to zaczyna żyć w nas własnym życiem, otaczający nas świat fałszu przenika w nas samych, posługujemy się jego terminologią, adaptujemy się doń. Granicą prawdy i fałszu przestają być przekonania, poglądy, nawet wiara, która dzielić ma przecież to, co ziemskie i zniszczalne od tego, co wieczne. Granicę wyznacza strach we wszystkich gradacjach, w jakich jednostka czy grupa może mu podlegać. Wówczas, czterdzieści lat temu, był to często strach przed kulami pacyfikującego batalionu, przed wózką na Sybir, przed lochem bezpieki. Strach ten rozpełz się, spowszechniał i skarlował, wtłoczył w życie codzienne, stał się zwykłym gościem w każdym bez mała polskim domu. Tak rodzi się żelazne prawo ustroju: każdemu taka porcja strachu, na jaką w oczach wszechmocnych władz zasługuje. Od szyskan fizycznych i uwięzienia, przez degradację zawodową i wilczy bilet, po te najprostszы i najczęstszы „małe groźby”: utraty społecznie nieuzasadnionych przywilejów, przydziału na cenne a trudno dostępne luksusowe dobra, wpisanie na paszportową czarną listę.

Przez dwa wieki Polska i Polacy żyli pod groźbą utraty niepodległości lub tożsamości narodowej, od czterdziestu lat żyjemy – i to bodaj czy rzeczywiście nie wszyscy – pod ciśnieniem sprzężonego szantażu: jeżeli Ty nie będziesz postępował zgodnie z zaleceniami władz, utracisz to, co udało ci się zyskać lub zdobyć;

jeżeli My nie będziemy postępować zgodnie z poleceniami, przywołamy Większe Zło, sprowokujemy Bestię Apokalipsy. Po latach, w których kłamstwo miało wyzwać — i u wielu, bardzo wielu rzeczywiście wyzwało — czynne poparcie dla władzy, zaś strach miał zmuszać do milczenia resztę, przyszedł czas, w którym kłamstwo i strach, zbudowany z nich wielopiętrowy szantaż, mają nas zmienić w bezwolny tłum, który nie musi już entuzjasmować się czy uważać, że kroczy w pierwszym rzędzie bojowników. Wystarczy, że nie rzuca kamieniami w wozy milicyjne, że oddrepcze swoje parę kilometrów oficjalnego pochodu „z okazji”, wykona normę produkcyjną. Na małe wymagania wystarczą małe strachy, ale nawet ich jest dość, aby społeczeństwo funkcjonowało na podobieństwo schizofrenika o rozdwojonej jaźni, z manią prześladowczą, z patologicznym oglądem świata; żyło w stanie chorobowym, który nie zezwala na zalecenie dawnych ran, na zwapnienie dawnych ognisk społecznej i politycznej tuberkulozy; żeby dawne kompleksy pozostały niezmiernione, a w najlepszym razie by przemieszczały się na inne obiekty.

Zaprawdę niewiele Polska niepodległa miała czasu, by uczyć się demokracji. Czterdzieści lat PRL lekcje tamte spychało nieustannie w niebyt. Samo słowo „demokracja”, okraszane demagogicznymi przymiotnikami, przestawało brzmieć jednoznacznie i godnie. „Klasowa”, „ludowa”, „socjalistyczna” czy „prawdziwa” była ta nasza demokracja w powszechnym odczuciu w najlepszym razie kalekim, „jednojąowym” totalitaryzmem, dyktaturą, przymusem. Taka właśnie demokracja stała się obowiązkowa, nie było przed nią ucieczki. Goniła nas z każdej strony gazety, zapędzała w koki róg „wyborczego” lokalu. Z tarczy, za którą chroni się mniejszość przeciwko dyktatowi większości, stała się kijem, którym — siłą zbudowana — większość bije mniejszość. Cała złożoność demokracji jako procesu, jako nieustannego stawania się decyzji, jako kontradiktoryjnego proceduru gry społecznej, zamieniona została w jednoznaczny, pusty slogan, parawan, za którym kryje się przemoc, siła, buta dzierżycieli władzy. Zamiast permanentnej nauki gromadnego życia, zamiast szkoły szukania i znajdowania społecznego konsensusu stała się publiczną obelgą: „demokratkami” nazywano szyderczo limuzyny dla wybrańców władzy, „prawdziwie demokratyczny” oznacza po prostu sfalszowany. Zdeprawowane słowo rodzi chęć ucieczki poza sferę, którą obejmuje. Ta właśnie nasza łże-demokracja powoduje, że ludzie uciekają od polityki, od politycznego myślenia, jak od zarazy. Mało jest społeczeństw, w których pojęcie „polityk” budziłoby wyłącznie pozytywne skojarzenia, w PRL wszakże w wielu środowiskach polityk to synonim oszusta i szuja, to synonim tyta, który rządzi, tyta o nalany karku, posługującego się obcym językiem. Jeżeli coś z dawnych lekcji pozostało w społecznej pamięci, to wbrew panującej ideologii i rządzącym ideologom. To od nich przecież wywieść można odruch, że z siłą można walczyć tylko taką samą siłą, a na kłamstwo trzeba odpowiadać innym kłamstwem. Zapominamy zbyt często — tym właśnie doświadczeniem nęceni — że i w życiu publicznym, i w codziennym bytowaniu o demokrację trzeba walczyć demokratycznie, a w fałsz bić prawdą.

Scentralizowana, globalna i monoideologiczna władza, która podporządkowuje sobie wszystkie dziedziny życia publicznego (by przez nie panować nad po-

jedynym człowiekiem), niszczy lub degeneruje podstawową tkankę nowoczesnego społeczeństwa – samorzutnie organizujące się grupy, związki, stowarzyszenia. Niszczy, gdy stają się niewygodne; degeneruje przez samą swoją istotę: stają się one narzędziami do realizacji doraźnych celów, tracą funkcję łącznika między wolnymi ludźmi, przestają być miejscem, w którym wyładowuje się społeczny altruizm. Przestają być spoiwem, stają się urządzeniem. Modelując je na swoje podobieństwo władza przekształca je w „pasy transmisyjne”, pomagierów, oklaskiwaczy. Odbiera w ten sposób zaufanie do samej formuły, pomniejsza jej znaczenie, wyrzuca poza nawias, szarpie i dręczy tradycję społecznych i grupowych działań. Z naturalnego zaplecza polityki i demokracji tworzy rezerwową kadre dla swej biurokracji partyjnej i państwowej. Z naturalnego kursu demokracji tworzy „wieczorowy kurs” manipulacji, narzucania decyzji. Cały ten wielki i wspaniały obszar ludzkiej twórczości społecznej włącza w biurokratyczną maszynę. Wymusza kłamstwo nie tylko w wielkiej polityce, ale także w każdej, najmniejszej nawet organizacji, choćby tym tylko, że i ona żyje w atmosferze wiecznego szantażu, że nawet najbardziej wierni członkowie i sympatycy zmuszani są do stałych, często poniżających kompromisów pod groźbą zaprowadzenia porządku, cofnięcia uznania, ograniczenia subsydiów.

System komunistyczny narzucił Polsce bezalternatywność w naszych stosunkach z sąsiadami. Choć może rzeczywiście ściana więzienia narodów i państw, w którym żyjemy, w tym miejscu gdzie leży Polska jest najcieńsza, nie zmienia to jednak faktu, że od czterdziestu lat wypiera się z naszego myślenia to wszystko, co stanowi o zmienności, wariantach, o niestabilności jako czynniku zmian. Choć epoka świetności narodu polskiego – powinno się, dla tej epoki, mówić raczej o narodach Polski niż o narodzie polskim – minęła parę wieków temu, to jednak czym innym jest zdrożna chęć bycia mocarstwem, czym innym zaś wizerunek u klamki jednego możnowładcy. Czym innym być z kimś choćby najpotężniejszym w choćby uzależniających aliansach, czym innym przytracać państwo do kadłuba nawet najbardziej imponującego wielkością i siłą sąsiada. Jeżeli łańcuchy te władza komunistyczna w Polsce próbowała popuścić, to tylko wówczas; gdy znajdowała się pod szczególnie silną presją społeczeństwa lub usiłowała mu się przypodobać, by takiej presji uniknąć. To oczywiście, że Wielki Sąsiad trzyma nas krzepko w swych mocarnych ramionach, ale i nasi, przez tyle lat jednomyślnie wygłosowywani władcy wczepiają się co sił w jego cielsko, miotając na inaczej myślących te same od czterdziestu lat obelgi – nieodpowiedzialni romantycy! – i machając podległości przekształcane jest w jego karykaturę, a jednocześnie działania te wzmagają pożądanie odzyskania rzeczywistej państwowej suwerenności, czyniąc z niej mimowiednie cel nad cele, cel sam w sobie. Znowu zapomina się pytanie wieszczą: „jaka?” Znowu staje się ono nieważne i znowu możemy stanąć rozczarowani przed owocem tak gwałtownych porывów.

Wpijając się w usta Wielkiego Brata, nadśluchując każdego drgnienia jego woli, w setkach milionów egzemplarzy powielając słowa o swej dla niego miłości, władza komunistyczna w Polsce nie uczyniła nic znaczącego dla zmniejszenia nienawiści (pomieszana jest ona ze strachem, a to chyba najgorszy jej rodzaj), jaką żywi

polski ogół wobec rosyjskiego sąsiada. Gdyby polskie społeczeństwo u progu peerelowskiej ery było wzorem cnót, ewangelicznym przykładem miłości bliźniego, wzorowym wykonawcą przykazania o stosunku do nieprzyjaciół, zapewne szczypta nienawiści byłaby przyprawą podnoszącą jakość dania. Dobrze wiemy, że jednak tak nie było i że nasza ksenofobia była jednym z niezaleczonych, gruźliczych ognisk utrzymujących społeczny organizm w stanie podgorączkowym. To jednak nie Stalin czy Żdanow uczyli szacunku dla kultury sąsiadów, ale piosenki Okudźawy czy bezimienne *łagiernyje piesni*; to nie Bierut, Gomułka czy Jaruzelski potrafią odwrócić istniejący schemat, ale ks. Zieja modląc się 17 września za „naszych i waszych”, ale grupka, która ułożyła tekst *Posłania do ludzi pracy Europy wschodniej*. Wolność niczego nie gwarantuje, wolność stwarza możliwości. Reżim PRL, mimo przemiany, które przechodzi, mało, bardzo mało daje szans na prowadzenie antynacjonalistycznej terapii. Fałszuje nie tylko statystyki i wyniki głosowań, fałszyfikuje także nasze patrzyenie na nas samych, przed twarz podtyka nam krzywe lustro (coż więc dziwnego, że zamiast rozmyślać przy goleniu uwagę koncentrujemy na tym, aby się nie zaciąć?). W lustrze tym na głowie ma nam zamajaczyć krakuska z pawim piórem, a nad ramionami wyrosnąć husarskie skrzydła. Sierp i młot, którymi bronimy internacjonalizmu, są w nim niewidoczne.

Krakuska i skrzydła owe są odpowiedzią władzy na okrzyk „chcemy niepodległości!” W odpowiedzi tej miota się ona między ideologicznymi pryncypiami a koniecznością nawiązania kontaktu z tradycją. Aby miotanie to zaobserwować nie trzeba czynić wędrówek w czasie i porównywać np. oficjalną wykładnię historii z czasów stalinowskich i „późnego Eda”. To granie na wszystkich możliwych instrumentach słyszalne jest równocześnie. W tej kakofonii dostaje się leninowskiemu Panu Bogu świeczka i narodowemu diabłu ogarek. Zawsze tam, gdzie nie jest to dla niej szkodliwe, podbija władza narodowy bęberek, dmie w sumy dawnych militarnych przewag, napełnia powietrze tromtadracką wrzawą. Niektórych może drażni ta fanfaronada, ale większość nie tylko do niej przywykła, ale – jak się wydaje – łaknie jej jak kania deszczu. Polska duma narodowa, mocno w tak często poniżanym narodzie ugruntowana, a która wcale dobrze nie wróży społecznemu zdrowiu, jest zarazem podbechtywana i drażniona, a im bardziej drażniona, tym więcej podbechtywana. Boć przecie te fanfary mają ukryć lichotę dzisiejszego państwa polskiego. Nieustanna żonglerka tradycją, dwuznaczność pochwał i kulawość oskarżeń – no bo jak po erze Gierka oskarżać tych, co rozdrapywali Rzeczpospolitą niczym postaw sukna, no bo jak potępiać uwięzienie opozycyjnych polityków w 1930 roku czy ubolewać nad „sanacyjną cenzurę” po wprowadzeniu stanu wojennego przeciwko związkowi zawodowemu – powodują, że nasza duma narodowa nazbyt często gra na fałszywych instrumentach, a melodię czyta z fałszywych nut. Wobec oczywistej mizerii PRL jako członka międzynarodowej wspólnoty, wobec jego ciemniździelskiej w stosunku do społeczeństwa roli, wobec jawnego chodzenia na pasku obcej potencji, która dyktuje nam nawet, gdzie mają geniać się nasi sprinterzy – wszystko co było, wszystko co dawniejsze, co „zaś”, zaczyna być uważane za wzorowe i wzorcowe, bez zmyślenia i skazy. A stąd już droga prosta, aby, skoro obcy wara od kalania naszego gniazda, każdy kto je skalał uznany został za obcego. Stąd powszechna już nagonka na tych wszystkich, któ-

rzy chcieliby coś zakwestionować w narodowych mitach. Wali ich po łapach władza, głuche jest najczęściej na ich głos społeczeństwo, które broni przeszłości jako jego odpowiedzi na nieprawość władzy.

Od Borejszy i Grosza po Rakowskiego i Urbana, od czterdziestu lat oficjalni interpretatorzy oficjalnej racji stanu leją łyżę rzesiste nad brakiem wśród Polaków zmysłu państwowego, szacunku dla państwa, zrozumienia państwowych konieczności. Zależnie od melodii dnia winni temu są bądź zaborcy i rozbiornicy, bądź antyludowe sanacyjno-ziemiańsko-burżuazyjne rządy, bądź nawet sarmackie warchoły sprzed trzech wieków. A cóżes ty Peerelu uczynił, aby mieszkańcy naszego kraju mogli się poczuć jego obywatelami? Jeżeli historia przekazała nam tak destrukcyjny spadek, podłożyła pod Polskę taką bombę o opóźnionym wybuchu, to co zrobił Bierut, Gomułka, Gierek, Jaruzelski *e tutti quanti*, by pocisk ten rozbroić? Rzeczą każdej dyktatury - także i tej „łagodnej” à la Marszałek Piłsudski - jest utożsamianie każdorazowej władzy politycznej z państwem uznawanym za dobro wyższego rzędu. Tędy przecież nie za Bieruta lecz za Piłsudskiego zarzucano Wincentemu Witosowi, że działa na zgubę państwa, gdy dążył on do zmiany rządu, do ustąpienia rządzącej elity. Czy spiskując przeciwko premierowi Składkowskiemu, organizując chłopskie strajki i wiece, Witos i tysiące, setki tysięcy innych witosów spiskowało przeciwko państwu? Jednym z kanonów demokracji jest prawo do sprzeciwu, prawo do buntu, do niezgody także wobec władzy, gdy uważa się ją za nieudolną czy nieprawą. System komunistyczny w Polsce domaga się, aby utożsamiać go z polskim państwem, aby uważać go nie tylko za etap narodowych dziejów - takim etapem niewątpliwie jest - ale za ziszczenie marzeń narodowych o posiadaniu wreszcie własnego, wreszcie ludzkiego, wreszcie uczciwego państwa. Każdego, kto choćby tylko kręci nosem na real-socjalistyczne rządy ogłasza się wszem i wobec wrogiem państwa i wrogiem narodu, odszczepieńcem działającym na zlecenie obcych. Powiedzieć można „na złodzieju czapka gore”, ale nie w tym nawet rzecz, jeżeli przystowie się nie myli. Rzecz w tym, że jeżeli istotnie polska tradycja przyniosła na próg 1945 roku ten ciężki grzech narodowy, jakim jest brak poczucia łączności z państwem, to czterdzieści minionych lat mogło tylko i wyłącznie pogłębić taki stan ducha. Ale przecież tak nie było! Choć mało kto chciał restytucji tej formy władzy, która funkcjonowała w latach poprzedzających wresznieową klęskę, choć nie brakło i takich, którzy kontestowali politykę rządu istniejącego na obczyźnie, pragnienie posiadania własnego i silnego państwa było aż nadto dobrze widoczne. Miało to być jednak inne państwo niż to, którego formy i ducha zadekretowały dzieła brodatych klasyków, a dekrety te w życie wprowadzili ci, którzy mieli moc sprawczą na obcej opartą siłę. Gdyby rzeczywiście tak było, że Polacy nie szanują żadnego państwa, nie rozumieją jego potrzeb i nie chcą nań świadczyć - na co zresztą nie ma przekonywujących dowodów - to byłaby to bodaj w stu procentach wina tych właśnie czterdziestu ostatnich lat, w których z państwa uczyniono narzędzie uśmierzenia społeczeństwa.

Państwa i narody biedne są rezerwuarami siły roboczej dla tych co w przodzie, co biegą na czele stawki zawodników w wyścigu ku nowoczesności. Polski wyrobnik latami całymi chodził na saksy, chłop ze skalistych ziem wypruwał sobie żyty, żeby kupić bilet linii Hamburg-Ameryka, pchał się do kopalń Zagłębia

Ruhry czy francuskiego Nordu. Jeszcze za czasów zacnego Franza Josefa funkcjonowało na polskich ziemiach magiczne słówko „Hameryka”. Rozejrzyjmy się dziś wokół siebie: ilu kolegów z klasy, sąsiadów zza miedzy, kumpli z podwórka popezdziło tą samą drogą? Można by oczywiście pytać, czy to tylko wiekowy rozlew cywilizacyjny, trwała różnica poziomów życia jest tą siłą wypychającą stąd i ciągnącą tam. Czy nie kryją się za tymi decyzjami wybory polityczne lub prawie polityczne, beznadziejna powtarzalność czczych „odnów”, periodyczność „polskich kryzysów”, poczucie, że ci „oni”, którzy tu rządzą, skazują nas na zawsze na pozostanie w ogonie stawki? Pomińmy jednak szukanie odpowiedzi na te pytania, choć pewnie nie byłaby ona błaha, dla oceny tego, co w Polsce się dzieje i co dzieje się z Polską. Wspomnijmy tylko, ile oszustw, matactw, wykrecozeń przeciwko prawu musi wykonać dzisiejszy bandos nim wyrwie się, pryśnie, zmyli pogonie. Ile rodzinnych tragedii się za tym kryje. A ile przy tym rządowej obłudzie, ile okrzyków, achów i ochów, o Macierzy, o Polonii, o Rodle, o Godle, ile hucpy i wrzawy, ileż to razy z rana wysyła się czułe słowa do braci zza oceanu, a wieczorem ujada się na wybranych przez nich reprezentantów. Jeszcze jeden przykład schizofrenii władającej Polską, dwójjęzyka urzędowych komunikatów. Kto wie, czy z tego wszystkiego naczelnym dziś mitem Polaków nie przestaje być mit o naszej dawnej świetności i cudownej inności, o niegdysiejszych przewagach i wyjątkowych cierpieniach, a nie staje się nim mit wszechmożnej „Hameryki”, przedmiotów, w których produkcji jest niedościgną. Każda przeszkoda, każda granica budowana, aby nas od mitu oddzielić, powoduje jego ogromnienie, a jakież inny system potrafi tak zamykać kłatki jak ten, w którym żyjemy?

A listę można by ciągnąć...

W dzisiejszym ruchliwym świecie czterdzieści lat to szmat czasu. Wiele się zmieniło i u nas, w naszym-nienaszym domu, choć rację ma chyba Kisiel pisząc, że nie sprawdzi się na nim twierdzenie Heraklita, gdyż „tkwi w tej samej rzece po uszy już 40 lat”. Zmieniły się bowiem wystroje, zasady pozostały te same, a jeśli gniot tych zasad na chwilę łżeje, to tylko wówczas, gdy reakcja społecznego organizmu jest zbyt gwałtowna, by mogła być wyhamowana przed absorpcję lub jednostrzałowe jej zlikwidowanie.

Pisałem o negatywnym wpływie polskiego realnego socjalizmu na narodowe wady i patologie. Warto by jednak spytać, zastanowić się, czy to nie dzięki tym właśnie wadom i schorzeniom Polacy, jak żaden inny naród europejski poddany Ojczyźnie Światowego Proletariatu, zachowują odporność na sowietyzację? Czy same szlachetne i uznania godne, z wielkiej tradycji wywodzące się odruchy byłyby w stanie ponawiać siew oporu? A może bronią nasza mitomania narodowa i ksenofobia właśnie? Nie wiem.

Rację miał Josif Wissarionowicz Stalin, Ojciec Narodów i Słoneczko Postępowej Ludzkości, gdy twierdził, że „komunizm pasuje do Polski jak siodło do krowy”. Wprawdzie bydlę zostało osiodłane, ale rodeo trwa już cztery dziesiątki lat. I cóż z tego, że jeździec trzyma się nieźle w siodle – raz walać biczem, raz łaskocząc mordę marchewką – jeżeli to krówsko z piekła rodem nie daje się wyprowadzić na łąkę, nie chce się w czysy sielskiej nażreć i spokojnie dać wydoić. Ryczy, wierzga, dęba staje. A mlika jak nie było tak nima.

O. Prawca

DZIEŃ SKUNKSA

(konspekt powieści, która zapewne nigdy nie zostanie napisana)

Nie szakala, nie wilka, nie tygrysa, nie kondora. To są wielkie drapieżniki, to już było. Skunks jest mały, przebiegły, paskudny. Kiedy się boi – śmierdzi. Dzieje zbrodni podlegają bowiem także prawom Małej Apokalipsy.

I. Ojciec chrzestny

Oto galeria postaci godnych i zasłużonych, postaci z ministerialnych foteli, senatorskich głów PRL. Raczej tylko początek galerii. O pozostałych nic nie wiem, więc zamilczę. To tylko snop światła rzucony w ciemny przestwór gmachów przy ulicy Rakowieckiej 2

Generał Mirosław Milewski, członek Biura Politycznego odpowiedzialny za sprawy bezpieczeństwa wewnętrznego. Jego poprzednikiem na tym fotelu był w czasach merkwowskich Stanisław Kania (bez stopnia generalskiego), późniejszy Stanisław August czasów Solidarności. Milewski stracił bardzo wcześnie rodziców, był „synem pułku”. Od 16 roku życia w bezpiecu, najpierw wojskowej, potem cywilnej. Generał MO. Być może licząc czas służby – jest on w tej chwili najbardziej długoletnim milicjantem PRL. Po wybuchu afery politycznej związanej ze sprawą morderstwa księdza Popiełuszki odebrano mu kierownictwo polityczne Milicji i SB, które przejął sam Jaruzelski. Komunikatu o odsunięciu Milewskiego nie było, eksponowano nawet przez pewien czas jego postać podczas „wizyt w zakładach pracy” i innych wystąpieniach publicznych. W przedziwnym układzie kompetencji w Politbiurze, którego nadal jest członkiem, sprawuje do dziś pieczę nad Wydziałem Administracyjnym KC oraz sprawami służby zdrowia.

Generał dr Józef Bejm, komendant główny MO. W 1970 był, jako skromny pułkownik, komendantem MO w Gdyni. Nie on wydał decyzję o użyciu broni, bo byli tam generał Grzegorz Korczyński oraz członkowie Politbiura – Kliszko, Kociołek, Loga-Sowiński. Ale i Bejm ma swoją plamę robotniczej krwi na milicyjnym mundurze. Po gdyńskiej masakrze (w Gdyni padło o wiele więcej zabitych niż w Gdańsku i Szczecinie) przeniesiono go cichcem na drugi koniec Polski, do Krakowa: na wyższe, bo wojewódzkie stanowisko komendanta MO. W 1984 roku z sukcesem (bo jakże inaczej) obronił tajną dysertację doktorską w tajnym przewodzie przed tajnie wyselekcjonowanymi członkami Rady Wydziału Ekonomiki Produkcji Akademii Ekonomicznej w Krakowie.

Generał Władysław Ciałoń, wiceminister spraw wewnętrznych odpowiedzialny za sprawy Służby Bezpieczeństwa. Wprawdzie już po zabójstwie księdza Popiełuszki ogłoszono komunikat o mianowaniu nowego wiceministra spraw wewnętrznych – Andrzeja Gduli, byłego I sekretarza KW PZPR w Bielsku Białej, człowieka „aparatu”, nie bezpieczeństwa – ale nic nie wiadomo o ewentualnym odsumieniu gen. Ciałonia. W 1968 roku płk Ciałoń był szefem SB w Łodzi i wstąpił się wyjątkowym natężeniem rozprawy z „syjonistami”, w tym drukowaniem i rozpowszechnianiem przesławnych „Protokołów mędrców Syjonu”, antysemickiego bełkotu preparowanego jeszcze przez carską Ochronę. Tego było za wiele nawet Gomułce, który wylał nadgorliwego SB-ka z posady. Wyplął znowu za Gierka.

Generał Lucjan Czubiński, wiceminister spraw wewnętrznych, stary UB-ek stalinowskiego chowu. W okresie Solidarności jako prokurator generalny PRL wstąpił się rozesłaniem do podległych mu funkcjonariuszy tajnej instrukcji polecającej zwalczanie opozycji środkami pozaprawnymi. Tekst przechwycili ludzie z regionu „Mazowsze” i powstał skandal. Czubińskiemu nic się nie stało, wszadno jedynie Naroźniaka i Sapełkę, którzy rozpowszechnili kompromitujący tekst; wydobył ich z pułki i z ramion przesławnej prokurator Bardonowej dopiero strajk Ursusa i Huty Warszawa.

Niech więc wielce szanowny szef tego resortu, generał broni Czesław Kiszczak (poprzednio szef kontrwywiadu wojskowego) nie pozuje na liberała i niech nie UB-olewa w telewizji nad „przykrym i odosobnionym incydentem”. Przecież to on, ten „nieposzlakowany żołnierz”, takich właśnie trzyma zastępców, takich ludzi chroni w swych biurach, takim powierza najważniejsze misje.

Aha, jeszcze Wojtuś... Też „nieposzlakowany żołnierz” jakoby. Owszem, swego czasu ministrant, swego czasu ofiara sowieckich wywózek na Sybir, swego czasu najzdolniejszy oficer liniowy Układu Warszawskiego. Ale zwróćmy uwagę, że karierę zrobił jako szef Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego, czyli krzyżówki komitetu partyjnego z wojskową bezpieką. Zastąpił bodajże w 1957 czy 1958 roku na tym stanowisku gen. Jerzego Zarzyckiego (potem prezydenta Warszawy, dziś emeryta), jedną z czołowych postaci październikowej odnowy. Gen. Jaruzelski objął kierownictwo aparatu politycznego wojska jako człowiek „twardy”, na fali odchodzenia od Października. I tak już zostało.

II. Światopogląd

Wyraził go najdobitniej na sali sądowej oskarżony Grzegorz Piotrowski, były członek PZPR, były kapitan SB („to nieprawda – pisała prasa reżymowa – że zbrodni dokonali członkowie PZPR i SB, przecież zaraz ich wyrzucono”). Księża to łajdaki, albo i gorzej. Popiełuszko miał kochankę, podobnie jak pewien biskup. Spotyka się z Wałęsą i Bujakiem, ale buchnął im parę milionów w gotówce. Gdzie mu jednak do arcybiskupa Gulbinowicza, który schował sobie 80 milionów z solidarnościowej kasy. Biskup Tokarczuk to gestapowiec. A w ogóle to księża nie tylko wygłaszają podburzające i antypaństwowe kazania, ale plawią się w luksusy, uzyskują od dobrodusznych władz PRL zwolnienia od cła i rozjeżdżają się mercedesami. Porządny funkcjonariusz patrzeć wprost nie może na to gwałcenie prawa i socjalizmu, dlatego właśnie zabija księdza. „Wybrałem mniejsze zło” – powie-

dział oskarżony Piotrowski, cytując telewizyjne przemówienie z 13 grudnia, i wtedy nad salą sądową uniósł się duch „nieposzlakowanego żołnierza” w ciemnych okularach, błogosławiący swemu małemu rycerzykowi, któremu powinięła się noga, ale który przecież chciał jak najlepiej.

Oprócz złych księży są oczywiście dobrzy. Dobry jest – jak wynika z zeznań oskarżonego Pietruszki – arcybiskup Dąbrowski, gdy wysyła niesfornego Popiełuszkę do Rzymu, albo biskup Romaniuk, gdy przyjacielsko dialoguje sobie z Urzędem d/s Wyznań.

Nie, ci faceci nie są ponurymi UB-olami w onucach, powtarzającymi slogany z *Poradnika agitatora* i mający trudności z tabliczką mnożenia. Są młodzi, wykształceni: Piotrowski to matematyk ze skłonnościami do filozofii, Chmielewski – elektronik, Pekała – politolog, choć tylko po szkole milicyjnej. Lubią sztruksy, szpan, peweksy i zachodnie auta. Nikt z nich nie uważa, że rubel jest lepszą walutą od dolara, że Moskwa jest lepszym miastem od Nowego Jorku, a „czysta zwykła” lepszym napojem od „martella”. W tym procesie nie padł ani jeden argument natury ideologicznej: mówiono o władzy, państwie, prawie i porządku, ale nie o wyższości ustrojowej komunizmu nad wszystkim innym. Ci młodzi, wykształceni, partyjni twardogłowcy mają w dupie Marksa, wisi im Lenin, by nie wspomnieć o pomniejszych świętościach. Oni po prostu lubią być przy sile, przy władzy i przy forsie. I to im się zapewnia na Rakowieckiej. Ot, wszystko.

Ale przecież Piotrowski jest ideowcem, w imię „mniejszego zła” gotów jest poświęcić życie cudze a potem i własne dla ratowania porządku prawnego PRL przed wybrykami rozwyrzonego księdza i pobłażających mu kunktatorskich generałów. Prawda, ale nie jest gotów dla tej samej PRL poświęcić ani jednej złotówki ze swojego portfela, ten sam porządek prawny ma za nic, gdy chodzi o jego własne apanaże. Za załatwienie paszportów bierze sowite łapówki. Kupuje zachodnie auta (dlaczego nie wołgę albo chociaż wartburga?!), ale jedno rejestruje na teścia, zaś drugie na dziadka żony. Dziadek to kombatan, weźmie się papierek ze ZBOWiD-u, załatwi z kumplami na Rakowieckiej – i zaraz będzie zwolnienie od cła. Ale tego ideowca Piotrowski już nie powiedział, wytknęli mu to oskarżyciele posiłkowi.

Co Piotrowski zaprezentował na sali sądowej? Nie, nie... Proszę na chwilę powściągnąć święte oburzenie moralne, proszę na chwilę ochłonić i pomyśleć politycznie. Bo choć mówić o czymś jeszcze groźniejszym i bardziej przerażającym, niż psychologia jednego zbrodniarza. Tak, proszę państwa, tu oto leży całe sedno diabelstwa, z którym obcujemy na co dzień. Piotrowski zaprezentował bowiem, sam pewnie tego nie zamierzając, spójny i przekonująco sformułowany światopogląd twardogłowca, członka warstwy, na której opiera swe panowanie „nieposzlakowany żołnierz” ze swymi równie nieposzlakowanymi Kiszczakami. Wcale nie warstwy tych tępych twardogłowców ze starego portfela, co to jeszcze wierzą w komunizm, a już od dawna chyli się ku emeryturze. Nie „pterodaktyli”, o których pisywał Eratkowski, nie „Batona-Betona” i „towarzysza kierownika”, kreowanych przez niezapomnianego Jacka Fedorowicza. Jakżeście się mylili, szanowni koledzy, jak bardzo jesteście do tyłu; wasze straszdyła tyleż warte, co Baba Jaga. Młodzi, inteligentni, wykształceni, obcy i modnie ubrani twardogłowcy nie

wierzą w nic. Nie mają złudzeń ani hamulców. Pękała o propozycji udziału w zbrodni mówił jako o „szansie”, Chmielewski pytany przez sąd o strach mówił tylko o strachu przed karą. Przy kieliszku, w dyskotekce, na wczasach są na pewno świetnymi partnerami i w niczym nie różnią się od wyszpanowanego tłumy, który nie lubi komuny, ale „chce jakoś żyć”. Oni także, oni z tej samej gliny, tylko z wrodzoną inteligencją doprowadzili ten samousprawiedliwiający przewód myślowy do ostatecznych konsekwencji. Księża przeszkadzają im tylko o tyle, ile przeszkadzają w policyjnej karierze. Z równą łatwością sięgną, gdy będzie trzeba, po generała lub po Władysława Machejka. Im wszystko jedno. Póki co, księża do kościoła, my do władzy, robole do roboty – przepraszam, czasami do okłasków. Im docisnąć, nam popuścić. Tak zwane prawo jest dla nich, dla nas jest tyjne wyjście. Każda fucha jest dobra o tyle, o ile daje szmal. Powiecie Państwo, że to światopogląd Kalego; oczywiście, choć zaraz pojawia się pytanie: czyj był to Kali?

Ale nim kiedyś uzyskamy na nie pełną i być może przerażającą odpowiedź, proponuję nie lekceważyć tych młodych, przystojnych, inteligentnych twardogłowców i ich światopoglądu. Na tej małej, obskurnej sali sądowej ukazała się nam bowiem twarz Diabła – anno 1984.

III. Sacrum

W tej sprawie jest bowiem dwóch świętych.

Jest oczywiście czczony już powszechnie święty Jerzy – męczennik, ostrzem swego słowa głoszonego spod żoliborskiego ołtarza przesywający, niby włócznią, czerwonego smoka. Jego wyniesienie na ołtarze jest pewnie tylko kwestią czasu. Chytre zabiegi procesowe, mające nie tyle pomóc oskarżonym, co uniemożliwić beatyfikację (pomówienie o seks, stwierdzenie, że wyrwawszy się z bagażnika bla-gał o życie) są bez znaczenia z perspektywy, w jaką patrzy tak kościół, jak społeczeństwo.

Ale jest też anty-święty. Patron wszystkich sfrustrowanych aparatczyków, nie mogących dać sobie rady ze zbyt skomplikowaną rzeczywistością i upatrujących ratunek w pałce. SB-cki „więzień sumienia”, tajniacki rycerz bez skazy i zmazy, narażający się na najwyższą karę w imię obrony ładu i prawa. Jakże otwarta i prostolinijna jest jego postawa, jakież godny i uczciwy stosunek do kolegów. Z tej perspektywy i dla tych ludzi także bez znaczenia jest wszystko, co postać anty-świętego Grzegorza obciąża. Wierzy się bowiem w to, czego się pragnie. Widzi się bowiem tylko to, w co się wierzy.

Ta sprawa pokazuje nie tylko dwoistość sacrum: Zły Duch nie jest bynajmniej odrażającym monstrem ze starego katechizmu. Także prawda pęka tu na dwie nieprzystawalne części, cóż z tego, że nierówne? Z gąszcza procesowych faktów każdy wybiera w najlepszych intencjach to, co zgodne jest z jego uprzednim zawierzeniem. I na to nic nie poradzimy, choćbyśmy nie wiem jak długo modlili się do obiektywizmu i racjonalnego poznania. Jakkolwiek byśmy się przed tym bronili, staniemy na koniec bezradni przed tą najciemniejszą stroną i najpierwotniejszą potrzebą ludzkiego ducha: intuicja, nadzieja, strach, schronienie dla wiary. I nic kartezyjańskiego, niestety.

Dlatego z toruńskiego procesu – obojętnie jak się zakończy – nie wyjdziemy przekonani i pouczeni. Wyjdziemy jeszcze głębiej podzieleni, z jeszcze większym niż dotąd zafrwożeniem patrzący w przyszłość. Po obu stronach.

I o tym przede wszystkim powinna być ta nie napisana powieść.

IV. Robota

Gdy Pękala zaczął opowiadać, jak po drodze wyrwał z jakiegoś płota dwa drewniane kołki do pobicia księdza, zacząłem zastanawiać się, czy chodzi tu o góralskie wesele, czy o najbardziej perfidną zbrodnię polityczną w historii PRL? Tak zamiast tygrysa albo chociaż szakala pojawił się skunks.

Nie tylko policjanci, ale nawet co bardziej oblatane panienki w PRL mają przy sobie „na wszelki wypadek” małą puszkę z gazem obojędnym. Można taką dostać na warszawskim czarnym rynku albo nawet na bazarze – sprowadzoną z Zachodu albo podkupioną od funkcjonariusza. Ktoś ci zaszczyta, fukasz mu w nos aerozolem przypominającym z wyglądu lakier do włosów, a on już leży na chodniku jak dziecko. Tylko panowie z centrali na Rakowieckiej nie wiedzieli o tym? Potrzebwali kołka z płota, pięści i sznura? Musieli pożyczyc od koleżki kajdanki, które zresztą okazały się podpiłowane? Jeździć na akcję pięcioletnim fiatem, nadającym się właściwie do kasacji? A już szczytem zawodowej niesprawności było posadzenie Chrostowskiego obok kierowcy, zamiast – o czym uczą w każdej szkole policyjnej – z tyłu, pomiędzy funkcjonariuszami. Niby dążą do zatarcia śladów, ale użyty samochód bez zmiany numerów pozostawiają pod okiem prowadzących śledztwo przełożonych, czyli właśnie na Rakowieckiej; przecież wiedza, że ksiądz jest obserwowany także przez lokalną bezpiekę, która zapisuje numery kręcących się w pobliżu wozów (a nuż przyjedzie Bujak albo chociaż Rulewski...). Cywil który przeczytał dwie powieści detektywistyczne lepiej przeprowadziłby tę akcję, niż ci inteligentni oficerowie SB o kilkuletnim policyjnym stażu.

A jednocześnie ci sami ludzie, niby w takiej tajemnicy przeprowadzający akcję, zajeżdżają na teren Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Bydgoszczy, pobierają tam benzynę, przeprowadzają rozmowy telefoniczne... I nic? A jednocześnie ci sami policyjni partacze potrafią zachować pełną precyzję, gdy chodzi o podrzucenie milicyjnego orzełka przy volkswagenie, którym jechały ofiary. Ten orzełek nigdy nie był przypięty do czapki, co wykazała ekspertyza, był tylko w rękach Chmielewskiego. O co chodziło? O publiczne rzucenie podejrzeń na milicję? O wywołanie odruchu obrony i protestu ze strony społeczeństwa, co potem pozwoliłoby na zadekretowanie „drugiego etapu grudnia”? A może o dostarczenie uzasadnienia, że to CIA albo Solidarność, przebrana za ludowych stróżów porządku?

Policyjne partacstwo bije wszelkie w tej dziedzinie rekordy. Czyżby komunizm, którego SB jest nieodrodną częścią, był już tak skorodowany, że wyszkoleni funkcjonariusze nie potrafili przeprowadzić najprostszej tajnej akcji? Najpierw łańcuszek biurokratycznych uzgodnień na różnych szczeblach, te wszystkie narady, spotkania, decyzje, polecenia i służbowe presje, o których – a pewnie nie o wszystkich – mówiono na sądowej sali. To drobiazgowo planowanie różnych wa-

riantów: wyrzucenie z pociągu, porwanie w taksówce, kompromitacja, uwięzienie w bunkrze... A potem nieprawdopodobny blamaż w praktyce. Odważna ucieczka Chrostowskiego pokrzyżowała plany przestępców – tak powiada się dziś w Polsce. Ale przy takim prowadzeniu całej akcji Chrostowski musiał uciec, albo też sygnąć się musiał jakkolwiek inny element beznadziejnie sknoconej roboty.

A może o coś zupełnie innego tu chodziło: nie o zwyczajne porwanie, gdzie do bezczelnego załatwienia sprawy wystarczy użyć usypiającego zastrzyku lub aerozolu. Nie o zwyczajne zabójstwo, które przy współczesnym poziomie policyjnej chemii jest nie do wykrycia przez kogokolwiek. Może zadanie tych bezpośrednich wykonawców politycznej prowokacji polegało właśnie na tym, aby zademonstrować oniemiałemu ze zgrozy społeczeństwu morderstwo takie, jakiego – wedle tych społecznych wyobrażeń – mogą dopuścić się owi „pteroaktyle”, twardogłowcy w onucach, przygłupie betony i sierotki po „wielkim językoznańcy”. Baba Jaga opuściła polityczną bajkę i z czyjegoś tam rozkazu zmaterializowała się w realnym świecie. Wampir z sowietologicznych dywagacji został spuszczonej z łańcucha przez ludzi reprezentujących zupełnie inną formację diabelstwa, zupełnie inne myślenie, inne cele. Tylko po co?

V. Warianty intrygi głównej

a) władza przeciw kościołowi

No, może nie cała, może jakiś jej odłam „twardszy”, lub sterowany przez którąś z kremlowskich koterii. Jeśli nie można bezpośrednio uderzyć w kościół i niepokornych księży, to trzeba ich zastraszyć przez skrytobójstwo na najaktywniejszym. W tym symbolicznym akcie zabija się wszystkich, pokazuje, jaki koniec spotka także księdza Małkowskiego, Jancarza, Jankowskiego i wielu innych. Takie rozumienie sprawy jest dość rozpowszechnione wśród ludzi, a także na zakrysiach. Ale ta teoria nie wytrzymuje próby racjonalnych argumentów. Ktokolwiek zna jako tako historię kościoła, zwłaszcza w Polsce, ten wie, że męczeństwo go nie osłabia – przeciwnie, umacnia. Może kilku kapłanów starszych wiekiem i rangą położy uszy po sobie, ale setki młodszych zaczną współzawodniczyć z legendą męczennika. Czy był skuteczniejszy sposób na pomnożenie i spotęgowanie dzieła Popiełuszki, niż popełnione na nim morderstwo? Przedtem można było kluczyć i kombinować, załatwiać z hierarchią odesłanie krnąbrnych wikarych na prowincję lub do Rzymu; teraz – gdy się wszystko publicznie sygnęło – już się nie da. Nawet Głemp w mowie nad trumną musiał pochwalić dzieło młodego księdza i teraz nie może się cofnąć. Zaprawdę, tak walczy z kościołem tylko kompletny głupiec!

b) twardogłowi przeciw Jaruzelskiemu

Wyjaśnienie popularne z kolei w komitetach partyjnych i lokalach PRON-u. Żli „pteroaktyle” chcieli wysadzić z siódła dobrego Jaruzela; a może, drogi towarzyszu, stał za tym sam Konstanty Ustinowicz na wysokim Kremlu? Trudno o lepsze uzasadnienie wiernopoddania i wygodnego życia „przy socjalizmie”: przecież ratujemy Polskę nie tylko przed Bujakiem, ale i przed Kociołkiem, a może nawet przed Moskałem. Patriotyzm poświadczony in blanco, rozgrzeszenie udzielone aż do nowego kryzysu. Teraz pozostaje tylko próba argumentów.

I znów kiepsko, znów bez sensu. Czyją to mianowicie politykę prowadzi Jaruzelski? Wprawdzie prowadzi ją bez Kociołków, Grabskich i Wsiewołodów Wołczewów, ale wytyczonym przez nich szlakiem: spójrzmy choćby na ustawodawstwo i jego przemiany, na niszczenie wszystkich przejawów niezależnego życia. Wprawdzie mógłby więcej opozycjonistów wsadzić do pułda, ale utrudniłoby mu to żebranie o zachodnie kredyty. Czy jest ktokolwiek lepszy do roli namiestnika w „priwislanskim kraju”? Czy Jaruzelski lub Kiszczak zrobili cokolwiek dla usunięcia z foteli i gabinetów ludzi o przeszłości aż nadto jednoznacznej? Czy śladem gromów rzucanych na „inspiratorów” z wysokości zwołanego zaraz po wykryciu zbrodni plenum KC PZPR poszły jakieś konkretne przeciw nim działania? Nie „pteroaktyle” są dziś generałom potrzebni do realizowania twardogłowej polityki, bo to formacja zużyta, śmierdząca politycznym trupem przy każdym poruszeniu; potrzebni są Piotrowscy. To jest opoka, na której ma być odrestaurowana fasada „realosocjalizmu”, tak niemiłośniwie sponstponowana w „okresie anarchii”.

Dobrze, tylko dłaczego paru z nich rzuca się teraz tłumowi na pożarcie, a kompromituje wszystkich?

c) prowokacja przeciw Solidarności

Łączy się trochę z poprzednim. Bo jeśli twardogłowcy inspirując porwanie i morderstwo chcieli wysadzić Jaruzelskiego z siodła, a przynajmniej pokazać Moskwie, że nie panuje on nad sytuacją, to może chcieli także sprowokowania strajków i zamieszek, w wyniku których generałowie stanęliby przed koniecznością dokonania ostatecznej rozprawy z resztkami Solidarności, z podziemiem, niepokorną inteligencją, kościołem — wszystkim, co niezależne. Ustawa przewidująca możliwość wprowadzenia stanu wyjątkowego z dnia na dzień wychodzi im tu naprzeciw. W tej sytuacji apele Wałęsy o spokój jawią się jako akt politycznego rozsądku, a niewysłuchane wezwanie RKS regionu „Mazowsze” do strajku — czymś dokładnie przeciwnym. A może też chodziło o wykazanie, że to bojówka Solidarności, podszywając się pod milicję, dokonała prowokacyjnej zbrodni? Wówczas nie trzeba by było nawet demonstracji po to, by w teren wyruszyły ekipy funkcjonariuszy z długimi listami przeznaczonych do aresztowania.

Znów mało to sensowne, choć wielu uwierzyło. Jeśli autorom prowokacji chodziło o sfabrykowanie dowodów, że Solidarność posunęła się do terroryzmu, o wiele bardziej wiarygodnym byłoby zlecenie funkcjonariuszom porwania jakiegoś drugorzędного działacza partyjnego, podłożenie ładunku wybuchowego w lokalu PRON-u, bądź coś w tym rodzaju. W każdej chwili można to zrobić, tym bardziej, że paniczny strach rzesz „szeregowych aktywistów” sprawi, iż znów ujrzą Jaruzelskiego w roli ich jedynej obrońcy przed wściekłym ekstremistą z nożem w zębach; tę samą rolę spełniły, i to dość skutecznie, sfingowane listy proskrypcyjne, użyte jako propagandowy argument jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego.

Nieco łatwiej bronić tezy, że spowodowanie rozruchów było zamierzeniem prowokatorów. Ale jest na to parę prostszych i bezpośrednio skutecznych sposobów, jak choćby przeprowadzenie drastycznej podwyżki cen, bezpośrednio uderzenie w Wałęsę itp. Cała polityka ekipy Jaruzelskiego pokazuje jednak, że przy

stałym i powolnym dążeniu do twardego rozwiązania jak ognia unika się prowokowania większych rozruchów, liczy się na wymęczenie, a nie na wyniszczenie społeczeństwa.

d) będę tobie łagodniejszym katem

Jaruzelski prowadzi politykę „ostrożnie twardego” i bez eksponowania samych twardegołowców, zwłaszcza etatowych „pterodaktyli”. Z jego i moskiewskiego punktu widzenia – słusznie. Ale co pewien czas trzeba pokazać, że twardezie istnieją, że są groźni, a nawet że już, już... zrywają się z łańcucha, na którym utrzymać ich potrafi tylko silna, choć dobrotliwa dłoń żołnierska. Inaczej nikt nie uwierzy, że Jaruzelski jest mniejszym złem od – powiedzmy – Kociółka, że obecna ekipa jest wprawdzie niesympatyczna, ale jedyna możliwa, że jest to naprawdę ten „łagodniejszy kat” ze znanego tekstu Kołakowskiego. Zwłaszcza że nadchodzi czas poważnych rokowań z Zachodem na temat prolongaty długów, kredytów, technologii itp. To są sprawy śmiertelnie ważne dla obecnej ekipy, bo mogące odsunąć wybuch społecznego niezadowolenia z przyczyn ekonomicznych, poprawić pozycję wobec Moskwy.

Więc trzech młodzi, zdolni oficerowie SB oraz ich bezpośredni przełożeni otrzymują zadanie przeprowadzenia ohydneho, prymitywnego mordu na znanym i uwielbianym antykomunistycznym księdzu, tkwiącym pewnie tęgą zadrą pod twardą skórą „pterodaktyli”. „To oni! Tak biją tylko twardegołowi!” – zdają się wołać każdym swym posunięciem wykonawcy mokrej roboty. Tu nawet ucieczka Chrostowskiego niczemu nie szkodzi, a może nawet pomaga, bo sprawcy i tak wiedzą, że pójdą siedzieć, a po procesie wyjdą pod innymi nazwiskami.

Tylko zaraz potem z wyraźnej woli władz PRL zostaje odwołana bardzo ważna w tych zabiegach o dolary i lepszy *image* wizyta ministra Genschera. Zaś wątek twardegołowej inspiracji, przeciwstawiany liberalnemu obliczu generalskiej ekipy – po kilku usiłowaniach idących w tym kierunku – zostaje wyciszony, a wkrótce potem, jeszcze przed końcem procesu, ostatecznie odwołany na łamach „Trybuny Ludu”.

Całe odium zbrodni spada więc na oskarżonych, a przez nich na aparat tajnej policji. Jest to polityczny absurd, bo czegokolwiek chcieli faktyczni inspiratorzy, nie mogli podcinać gałęzi, na której siedzą, nie wolno im było uderzać w ostatnią warstwę społeczną, której poparcia mogą być pewni – w Piotrowskich. A właśnie tak się stało. I to faktycznie działa z nieubłaganą siłą: od tego procesu aparat gnije i frustruje się ponad granice własnej spistości. Czyżby tego nie widzieli Jaruzelski z Kiszczakiem? A może nie mają innego wyjścia?

Więc co? Wszystko bez sensu? Próby politycznej interpretacji jako poronne potwórci bez rąk i nóg? Teatr krwawego absurdu? A może był nawet jakiś logiczny skonstruowany zamiar, jakiś cel i sens, jakaś grupa społeczna, lub choćby gabinetowa, która zbija na tym polityczny kapitał, lecz w trakcie realizacji włączyła się jakaś inna, równie silna?... Pole dla domysłów otwarte. Prowokacja w prowokacji? Jakiż fascynujący materiał dla przyszłego Dostojewskiego, a choćby tylko Szczerdina... A może zresztą co najwyżej Dołęgi-Mostowicza? Przecież Chmielowski w trakcie śledztwa nie miał swego przestawnego tiku, odpowiadał pewnym, twardym głosem podporucznika. Czyżby dopiero poniewczasie zorientował się,

że opuścili go wszyscy z wyjątkiem nieocenionego Piotrowskiego? Czyżby jakaś polityczna konstrukcja, mająca zaważyć na przyszłości Polski, załamała się w połowie listopada?

A może racjonalizm jest tu po prostu złym narzędziem?

VI. Śmierć

Noc z 12 na 13 grudnia 1981. Konwój milicyjnych „suk” wypełnionych wyciągniętymi z domów ludźmi wiecze się przez las. Skręt w boczną drogę. Wysiadać. Ręce na kark. Ustawiać się w szeregu!

Szczęk broni.

Tak, to już teraz. Za Polskę. Za Solidarność.

– Mamo!

I teraz właśnie ryk zadowolonego z siebie sierżanta: – No to srać, panowie ekstrześci!

Recht obstawy. Ale dowcip, nie?

Ci ludzie już nigdy nie będą tacy sami. Zostali zarażeni śmiercią.

Potem śmierć górników z „Wujka”.

Strzały w Lubinie i gdzie indziej.

W Nowej Hucie śmierć młodziutkiego Bogdana Włósika z rąk wystraszonego agenta SB, któremu przecież nic nie groziło.

Ludzie zarażeni śmiercią. Po obu stronach.

Ustawa o MSW, która pozwala być milicjantowi strzelać do każdego.

Śmierć Grzegorza Przemyska, tylko za to, że zdjął buty i wyśpiewywał.

Łatwość śmierci.

Historia Polski pogrudniowej jako historia igrania ze śmiercią. Tego jeszcze nie było w naszych dziejach, to nie może nie mieć konsekwencji.

Przecież ci, którzy zadekretowali stan wojenny, nie chcieli mordu. Chcieli to zrobić łagodnie, po cichu, z ludzką twarzą, z możliwie małą liczbą ofiar. Nie-wykluczone nawet, że się udało. Ale pokazali, że można. Polityk powinien przewidywać konsekwencje swych działań. Ale gdyby był moralistą – nie byłby politykiem, zwłaszcza komunistycznym. Można winić Jaruzelskiego za śmierć górników z „Wujka” i górników z Lubina. Ale czy można go winić za to, co rzeczywiście rozpętał i z czym będziemy tragicznie borykać się przez dziesięciolecia? A jeśli nie jego, to kogo?

Piotrowski jako dziecko Grudnia. Nieszczęsne dziecko we mgle, które wzięło poważnie grę, w jaką pozwolono mu się pobawić. Ale czy to on jeden tylko?

VII. Smakowite wątki uboczne

a) obstawunek

Jak wynika z pism kierowanych do Episkopatu przez Urząd d/s Wyznań, a odczytanych na procesie, we wrześniu nastąpiła zasadnicza zmiana prawno-politycznej kwalifikacji działalności ks. Popiełuszki. Poprzednio zarzucano mu rutynowo „szkodzenie interesom PRL”, „nakłanianie do niepokoju społecznego”, „godzenie w sojusze”. Teraz nagle zarzuca mu się, że „jeździ po kraju aby zakładać organizację kontrewolucyjną”. To już sprawa najwyższej wagi i paragraf zagrożony

najwyższym wymiarem kary.

Jednocześnie moskiewski dziennik „Izwestia” w numerze z 11 września 1984 roku imiennie atakuje ks. Popiełuszkę jako „kontrewolucjonistę”. Tylko kto dał sygnał – moskiewska centrala czy warszawski urząd? Wątpliwości nie ma w przypadku Jana Rema vel Jerzego Urbana, który do ataku ruszył na łamach tygodnika „Tu i Teraz” datowanego 18 września. Cykl tego pisma jest zbyt długi, by wice-minister mógł przeczytać sobie „Izwestię”, zainspirować się i wałnąć na odlew. Inspiracja musiała przyjść wcześniej, tekst Urbana był pisany co najmniej tydzień przed opublikowaniem. A więc ten sam Głos Pana nakazał jednolite działania anonimowemu pismakowi „Izwestii” i rządowej tubie PRL.

Urban z lubością napastuje swoich przeciwników politycznych: imputując im, że „wykonują obstalunki” CIA, Jerzego Giedroycia albo Wolnej Europy. Tu sam uszatek złapany został na gorącym uczynku.

b) wątek seksualny

Beata Marszczyk, zapewne kochanka Piotrowskiego; jej zeznania ze śledztwa odczytane przed sądem wyraźnie wskazują na wielką pewność, z jaką kapitan SB opowiadał o swym udziale w porwaniu Popiełuszki i o „wysokim wsparciu” dla tej akcji.

c) krętacze-partacze

Była ona tylko jednym ze świadków mogących sporo wnieść do sprawy, a nie uznanych przez sąd za godnych osobistego stawienia. Oskarżenia mają prawo kłamać, kręcić i kluczyć. Ale świadkowie... W takich przypadkach przyspila się ich kręctwa zeznaniami innych świadków, konfrontacją, ekspertyzą. Sąd tego zaniedbał. Może wiedział, co robi. Generał Zenon Płatek nie mógł sobie przypomnieć rozmowy z dwoma pułkownikami wysłanymi do Bydgoszczy, którzy zaraz po porwaniu przekazali mu numer samochodu porywaczy. Potem zaś – gdy zaczęło się robić gorąco – zachował się jak człowiek dobrze ten numer znający. Nie wiadomo, ile razy i przez kogo fałszowane było zezwolenie wyjazdu. I tak dalej, i tak dalej...

d) sędzia przewodniczący

Prezes Sądu Wojewódzkiego w Toruniu Artur Kujawa do skazanych przezeń właśnie na kilkuletnie wyroki studentów:

– A mówiłem wam oskarżeni, że z generałem Jaruzelskim to wy nie wygracie!

Ale to było w stanie wojennym. Teraz sędzia Kujawa czuwa nad przebiegiem procesu. Pytania zadaje rzadko. Za to interweniuje zawsze wówczas, gdy świadkowie zaplączą się w policyjnych kręctwach albo sprawa zmierza poza wyznaczone przez zwierzchność granice. Uchyła pytania. Ogłasza przerwę. Dobrotliwie doradza odmowę zeznań. Jest ciepły i ojcowski. Obrońcy Piotrowskiego, mecenasowi Ilaszowi, wybacza zaśnięcie w trakcie zeznań generała Płatka. Za to bez wahania usuwa z sali protokołiantkę oskarżycieli posiłkowych, byłą współpracowniczkę KSS „KOR”. Czasem podchodzi do niego facet, szepce coś wysokiemu sądowi do ucha i wtedy zawsze wiadomo, że będzie przerwa. Dało to asumpt do plotek, że w pobliskim ratuszu SB-ckie szyszki czuwają nad przebiegiem sprawy, obserwując salę przez monitor telewizyjny. Nie byłem w ratuszu, nie widziałem.

e) otchłani domystów

Ile czasu ciało księdza leżało w wodzie? Bo jeśli dane medyczne wskazują, że dużo krócej niż siedem dni wynikających z urzędowo podanych dat utopienia i odnalezienia zwłok, to znaczy, że wszystkie zeznania oskarżonych i świadków są nic nie warte, że Piotrowski i spółka byli tylko porywaczami. Ta wątpliwość nigdy nie została wyjaśniona, także przez panią prof. Marię Byrdy (nb. przez koła zbliżone do Episkopatu określaną – przed jej smętnym wystąpieniem telewizyjnym – jako „gorliwa katoliczka”, „członkini KIK-u”, „z dobrej rodziny” itp.). Kursowały natomiast na ten temat ciekawe pogłoski, nie tylko w kołach episkopalnych, ale i „wysoko partyjnych”. Czy to był właśnie powód odwołania publikacji wyników sekcji zwłok ponad wszelkie terminy wynikające ze zdrowego rozsądku i wiedzy medycznej? Czy dlatego właśnie opublikowano je w tak okrojonej i enigmatycznej formie?

Kto śledził księdza, gdy porywacze udali się spod kościoła do WUSW w Bydgoszczy? Przecież Popiełuszko mógł w tym czasie wyjechać. Kto prowadził obserwację i podsłuch telefoniczny w Warszawie, Gdańsku, Bydgoszczy? Już to tylko wskazuje, że mieli współpracowników. Kim oni byli? Co to za „naciski spoza resortu”, o których mówił gen. Piatek? Do kogo wydzwaniała sekretarka Piotrowskiego „po instrukcje” w owym tragicznym dniu?

Co to za dziwna firma ten „Ośrodek Postępu Rolniczego”, obok którego wyskoczył Chrostowski? Znajdują się tam nieczynne chlewnie (zły Reagan – morderca polskich świni i kurcząt!), w których – jak podała prasa podziemna, oplerając się na relacjach mieszkańców – odbywają się co pewien czas milicyjne ćwiczenia strzeleckie. Wedle tych samych źródeł, w przeddzień porwania inspekcjonowała obiekt grupa funkcjonariuszy z byłym komendantem wojewódzkim MO, niedawno przeniesionym karnie do Słupska za jakieś machlojki. A do tych nieczynnych chlewni prowadził właśnie owa „pierwsza przecinka w lesie”, w którą polecili Pękali skrócić Piotrowski, co usłyszał Chrostowski przed skokiem. Co miało się stać w pustych, odludnych zabudowaniach?

I jeszcze ten skok Chrostowskiego. Gdyby nie wyskoczył w pełnym biegu, to i tak za chwilę samochód zwołniałby przy skręcie w boczną drogę. Wtedy skok byłby bezpieczny, a jeszcze te podpiłowane kajdanki pożyczone od milicyjnego koleśka... Chrostowski o tym nie wiedział, tak nastawił się na natychmiastową ucieczkę, że nie widział alternatywy. A może ta ucieczka też była przewidziana?

Milicyjna obstawa całego terenu: do czego służyła? Kiedyż to na szosach PRL spotkać można tyle kontroli drogowych, przez które przejechali porywacze, okazując im swą przepustkę „W”?

Toruński „Trójkąt Bermudzki”, gdzie od wiosny 1984 znikają i po paru dniach znajdują się działacze Solidarności. Scenariusz był zawsze podobny: bagażowa nysa, paru silnych cywili, worek na głowę, pięścią po karku i do ustronnej willi za miastem. Tam bicie i gwałtowne indagacje o kontakty z podziemiem. Działo się to zawsze pomiędzy piątkiem a niedzielą. Ofiary wypuszczano – wprawdzie daleko od miasta i nieraz w stanie szoku. Sprawa ograniczyłaby się do niejasnych pogłosek, gdyby nie odwaga młodego elektronika Antoniego Mężydło, porwanego wraz ze swą narzeczoną (dziś żoną) Zofią. Bity, wypuszczony na

wysypisku śmieci, do teczki włożono mu ulotki OAS („Organizacji Anty-Solidarność”), domagające się twardego kursu, „skończenia z zarazą podziemia” itp. Państwo Mężydłowie złożyli formalną skargę w prokuraturze, podając jednocześnie sprawę do wiadomości Episkopatu. Dopiero teraz zaczęły zjawiać się zastraszone dotąd poprzednie ofiary. Śledztwo toczyło się nad wyraz opieszale, choć Mężydło zdołał zapamiętać numery rejestracyjne nysy i rozpoznał milicjanta, który uczestniczył w znęcaniu się nad nim. Efektem było oskarżenie o zniesławienie, wniesione przez „oburzonego funkcjonariusza”. Sprawę umorzono na mocy amnestii.

Czy ktoś próbował na serio zająć się tymi tropami?

f) *klin* – *klinem*

Jest to jeden z najbardziej ponurych elementów tego procesu, niewątpliwie bardzo sprytna i podstępna prowokacja polityczna o dalekosiężnych skutkach. Wszczęta zapewne w trakcie całej sprawy, bo trudno aż organizować morderstwo po to, by ją przeprowadzić. Raczej tylko wykorzystano sposobność.

Jej istota – to technika „czarnej propagandy”, zastosowana już przy okazji publikacji spreparowanego nagrania rozmowy internowanego Lecha Wałęsy z jego starszym bratem Stanisławem. „Jeśli nie wierzycie nam – zdają się mówić autorzy tych manipulacji – to nie wierzcie nikomu!” Nie są w stanie nikogo przekonać, ale potrafią wszystko opłuć. Ta taktyka „spalonej ziemi” w sferze społecznej świadomości ma owocować zniszczeniem autorytetów i zawierzeń, nieufnością i pogardą wszystkich do wszystkiego. Tutaj nie chodzi tylko o obrzucanie kościoła błotem w wystąpieniach bandyty Piotrowskiego* czy towarzyszy prokuratorów, o dopuszczanie przez sędziego Kujawę do odczytywania antykościelnych wypowiedzi urzędników z bezpieki; nawet nie o sugestie – tak w dzisiejszej Polsce chwytliwe – że księża pławią się w przysłanych z zachodu luksusach i jeżdżą samochodami zwolnionymi od cła. Najbardziej podstępną i daleko mierzącą częścią tej manipulacji jest „chłodne” demonstrowanie, jak promiennicy kościoła – arcybiskup Dąbrowski, biskup Romaniuk, a może nawet i sam prymas Glemp – rozmawiają przyjaźnie z prominentami bezpieki, jak dzielą ich zatroskanie „antypaństwową” działalnością ukochanego przez warszawski lud księdza, jak próbują znaleźć „zadowolające rozwiązanie” przez wysłanie go na przymusowe stypendium do Rzymu, podobnie jak przed rokiem wysłano na wieś ukochanego przez robotników Ursusa księdza Nowaka.

Czy będziemy tak głupi i łatwowierni, że pozwolimy wbić ten klin w kościół, w nas samych, w solidarność sumień? Ale nie łudźmy się, nie ma takiej „czarnej propagandy”, która by spływała całkowicie bez śladu; wiedział o tym Goebbels, wie Urban. I ma czas.

VIII. Epilog

Jeśli Piotrowskiego publicznie powieszają na Placu Zamkowym, to i tak ludzie powiedzą, że to kukła. Taki jest stan społecznego zaufania do naszych władców i tego co robią. Ale muszą coś zrobić. I to szybko.

Bowiem w tej całej ponurej i pogmatwanej aferze politycznej nie ma zwycięzców, są tylko pokonani. Ale najczęściej poszkodowana jest bezpieka. To nie-

wybaczalny błąd dla władzy, która na bezpieczeństwo się opiera i na bezpieczeństwo tylko może liczyć. Dlatego jak najszybciej trzeba będzie dać tysiącom sfrustrowanych Piotrowskich poczucie łatwego sukcesu. „Wypleniliśmy zło we własnych szeregach – powie generał – ale dla wrogów socjalizmu też pobłażania nie będzie”. I zacznie wsadzać. Twardogłowa polityka uzyska potężne wsparcie. Bez tych, którzy w powszechnym odczuciu uważani są za twardogłowców. I w chwili, kiedy różne naiwniaczki, chcące wciąż i pomimo wszystko wierzyć w ten splamiony robotniczą krwią mundur i w tą czerwonogwiezdną rogatywkę, gaworzyć będą o „rozbić twardogłowej opozycji”. Naiwniaczki nie tylko krajowe. Ale tylko krajowe pójść pod nóż.

Można tu napisać kilka wariantów epilogu: bardzo smutnych, może tragicznych. Ale to już nie moja grządka. Nie jestem futurologiem. Tylko skromnym komentatorem wydarzeń aktualnych.

IX. Eksplicacja

Prawie każda propozycja artystyczna rodząca się w PRL zawiera eksplicację autorską, przeznaczoną dla udobruchania tzw. „decydentów”, których mózdzkom nie wystarcza treść i forma; trzeba im wytłumaczyć wyraźnie, o co autorowi chodziło i z jakich pozycji. Nie inaczej powinno być z konspektem niniejszym, chwilami pewnie zawikłanym, jak cała sprawa w której jest ukorzeniony.

Tak więc niżej podpisany cieszyłby się nawet, gdyby któryś z zaprezentowanych tu scenariuszy politycznej prowokacji uzyskał prawdopodobieństwo wyższe niż domysł i wiarygodność większą niż powszechnie powtarzana plotka. Osobiście wolę być poddanym jakiegoś Makiawela niż Nikogo. Z pierwszego przynajmniej wynika jakaś myśl, z drugiego tylko entropia. Tymczasem coraz bardziej obawiam się, że ojcem całej sprawy był Przypadek, a matką Głupota; że – mimo wszelkich wysiłków Urbanów, bo już chyba nie Rakowskich – jesteśmy tylko cząstkami kurzu, unoszonymi przez zmiatający donikąd prąd. Że zagubiony, oderwany od życia i rozsądku generał rzeczywiście rzucił na pożarcie czterech przypadkowych funkcjonariuszy, którzy zbyt dokładnie i nieudolnie wykonali sugestie Ojców Chrzestnych: na przykład zabili księdza zbyt szybko i bezmyślnie. O biedni, o nieszczęśni... Jak my wszyscy. Dzień Skunksa. Mała Apokalipsa. Rzeczywiście, zdrowy rozsądek wart tu tyle, co funt kłaków.

Ale jeśli szaleni ocaliciele najbardziej schorzałego kraju w chorym komunizmie piją zapamiętałe gałązki na której siedzą, to może jest w tym jakaś nadzieja? „Jeśli Bóg chce kogoś pokarać, wprzód mu rozum odbierze”, jak mawiała moja babcia. A więc do tego już byśmy doszli w historycznym procesie, którego małą częścią jest proces toruński?

Jeśli tak jest, to dobry Boże, spraw, aby to nie boleło tak bardzo, jak boleć powinno, jak boleć musi.

lutu 1985 r.

*Te wszystkie ataki na kościół – tak w wykonaniu oskarżonych jak prokuratury – stawały się potem integralną częścią sprawozdań PAP-u z procesu, które cała polska prasa codzienna miała obowiązek drukować. Znałe są przypadki ukarania redaktorów gazet za skrócenie właśnie tych fragmentów relacji.

Maciej Poleski

PIĘĆ SPOTKAŃ

Ma to być tekstem, o Nim w mojej duchowej biografii, o tym dlaczego jest to postać tak ważna dla mnie. Nie potrafię uopólnić doświadczeń mojej generacji. (...) Ma to być świadectwo pojedynczego, może raczej poważy człowieka.

Adam Michnik,

Cienie zapomnianych przodków

Korytarze mojej szkoły były szerokie, prześwietlone słońcem. Drewnianą balustradę schodów zabezpieczono metalową osłoną, ale i tak udawało się po niej zjeżdżać. Pod stiukową płaskorzeźbą Słowackiego widniała maksyma: CZYNY LUDZI DAJĄ BLASK KRAJOWI. Gmach miał przedwojenną jeszcze skalę i solidność, ale szkoła – już nie. Dusłem się w niej. Próbą oddechu było dla mnie hajcerstwo, które odrodziło się po Październiku.

Michnik wylądował w naszym liceum katapultowany z sąsiedniego, po rozwiązaniu Klubu Poszukiwaczy Sprzeczności. Był to rok 1964, ósmy rok „naszej małej stabilizacji”. Adam spędzał przerwy międzylekcyjne na perypatetycznych kulturalowych dyskusjach. Zachował do dziś ten charakterystyczny, szeroki chód i gest unoszenia połączonych palców dłoni, a potem szybkiego ruchu łokcia w dół dla podkreślenia jakiegoś słowa. Byłem młodszy, onieśmielony jego dokonaniem i w czasach szkolnych spotkaliśmy się tylko raz na dłuższą rozmowę. Pamiętam zdziwienie Adama, gdy agresywnie zapytałem: „Dlaczego z nimi się zadajesz?”. Podział myślni był w mojej szkole czytelnym. Liceum było wzorowe, ale nie w tym sensie, który miał na myśli dyrektor. Po prostu było wzorem rzeczywistości. Prócz jego niby-rządów i naszego niby-samorządu na każdym kroku – partia. Szarą eminencją szkoły była żona rektora Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC – nauczycielka historii, wiedzy o Polsce i opiekunka Związku Młodzieży Socjalistycznej. Nazywano ją „panią P.”. To wystarczało, by budzić strach. Wprowadzała terror psychiczny, jak zwykle w takich przypadkach, nieczytelny dla tych,

którzy znajdowali się po drugiej stronie. Z obrzydzeniem myślałem, że tylko dlatego mnie toleruje, że jestem dla niej „swój”, dziecko przedwojennych komunistów. Kiedy zapytałem Adama: „Dlaczego z nimi się zadajesz? – miałem na myśli między innymi jednego z prymusów naszej szkoły, Jacka Poprzeczkę, szefa szkolnego ZMS-u. „Przecież to inteligentny chłopak” – odpowiedział Adam. Przypomniałem sobie zachwyty mojego kolegi nad wypracowaniem Poprzeczki z polskiego, napisanym „frazą kantowską”. „I co z tego?” – zapytałem jeszcze raz Adama. Rozmowa nie kleiła się. Adama dziwiła moja ortodoksja, mnie – jego tolerancja. W istocie on już dawno żył poza systemem szkolnym, gdy dla mnie był on codzienną opresją. Dyrektor Osiadacz wzywał mnie co pewien czas do swego gabinetu i tłumaczył, że redaktor Kąkol, żołnierz AK, lepiej niż sami harcerze poprowadzi dyskusję o powstaniu warszawskim. Po takim wstępie przechodził do pogroźek:

– Wasi druhowie po tych zbiórkach zaczynają... – tu urywał głos i zaczynał kręcić palcami, jakby słuchał radia.

– Nie rozumiem. (Ten dar nierozumienia bardzo przydał mi się później).

– Nnno, wicie kolego...

Milczałem. Niech sam z siebie wydusi.

– Nie rozumiem – odpowiadałem, rozumiejąc aż nazbyt.

Mgławicowo pamiętam jeszcze spór z Adamem na temat drużyn walterowskich, które założył Kuroń. Od ich idei zespołowego działania odpychało mnie to, że niszczyły tradycję harcerską, która innym – nawet nie mnie – była tak bliska. Pokonywanie obcości przez narzucenie jej otoczeniu. Tak sformułowałem po latach, obserwując Polaków na obczyźnie, tę zasadę asymilacji. Moja postawa wynikała z dopuszczenia pytań zwykłych ludzi. Od czasów szkolnych wierzę, że prawda jest jak kaskowska linia rozpięta tuż nad ziemią: ludzie częściej się o nią potykają niż po niej chodzą. Sam, chcąc nie chcąc, musiałem zadać sobie parę pytań, gdy w szkole podstawowej chodziłem do jednej klasy z synem najbardziej krwawego prokuratora wojskowego z czasów stalinowskich, a w liceum – z synem jego, ocalonej z celi śmierci, ofiary. Z czasów „Listu biskupów polskich do biskupów niemieckich”, któremu w *Kościółce – lewicy – dialogu* Adam poświęcił wiele miejsca, pamiętam taki epizod. Jedna z moich koleżanek, członka ZMS-u, robiła nam na godzinie wychowawczej „prasówkę” na ten temat. Zaprotestowałem: „Jak można referować polemikę z tekstem, którego nikt w całości nie zna? Jestem niewierzący, więc bez posądzenia o stronniczość nie mogę się zgodzić na takie metody”. Moja koleżanka dokończyła oczywiście „wydawanie lekcji”. W czasie przerwy rzuciłem się do niej:

– Nie rozumiem, jak możesz iść spokojnie w niedzielę do kościoła, a tu robić taki cyrk?

Do dziś pamiętam zdziwienie w jej oczach:

– Przecież to gra, to się nie liczy...

A jednak niektórzy ciągnęli taką grę dalej i trzymali się roli. Poprzeczko przetłumaczył „potem pamiętniki Breżniewa, a nawet zrobił w Sowietach wywiad z podwójną Bohaterką Pracy Socjalistycznej. Zapamiętałem zdanie: „Mąż po prostu nie może doczekać się poniedziałku, tak lubi pracę”. Była to odpowiedź na pytanie dzisiejszego dziennikarza „Polityki”: „Czy nie ma między Wami a mężem kon-

fliktów na tle pozycji w rodzinie?”. Zaisło, te brylanty nie wymagały już kantowskiego szlifu! „Szara ominencja” szkoły, legendarna „pani P.”, została wykończona po Marcu w partyjnej dintojrze, parę lat później zmarła. Dziś te fakty wydają się miażdżące. A jednak właśnie konteksty mówią więcej o Adamie, jakim go widziałem niż nasze rozmowy. Zanim wzeszła czerwona gwiazda wychowanka „pani P.”, żona dyrektora naszej szkoły, Maria Osiadacz, zgrabnie opisała proces „Komandosów” Michnika i umieściła w swojej książce obok procesu „Wampira z Sosnowca”. Ale nie uprzedzamy faktów.

Koniec kwietnia 68 roku, karcer mokotowskiego więzienia. Moje „twarde łóżko” składało się z dwóch sękatych, wyrobionych desek z szarą szparą i obramienia ze stalowego kątownika. W rogu piwnicznej celi – kibel. Naczelnik wprowadził już sezon letni. Na noc zostawiono nam tylko spodnie gimnastyczne, podkoszulek z głębokim wycięciem i jeden koc. Nie miałem się ani na długość nar, ani na szerokość jedzącej deski. W nocy budził mnie ucisk szpary pośrodku łóżka, albo dotyk stalowego obramienia. Powoli opracowywałem skomplikowany sposób zawiązania się w koc: jak naleśnik – po skosie. Wołnymi rogami nakrywałem głowę i stopy. Do więzienia trafiłem za próbę – niesiety nieudaną – koordynowania działań na Uniwersytecie i Politechnice. W karcerze wyładowałem za próbę – znów nieudaną – organizowania manifestacji pierwszomajowej na Mokotowie. W obu wypadkach obciążali mnie koledzy. Na szczęście gorczy niepowodzenia nie towarzyszyło poczucie winy i wypierałem się wszystkiego. Była to postawa na tyle rzadka, że wzięto mnie za kogoś ważniejszego niż byłem. Z tego powodu moimi sąsiadami w karcerze okazała się czotówka „Komandosów”.

Drugiego dnia pobytu w „dołku” klawisz zapisał mi, czy nie napisałbym mu wypracowania i nie czekając na odpowiedź wręczał mi wkład do długopisu owinięty karteczką. Był to gryps od Adama. Zaczęliśmy korespondować. Więziennym zwyczajem wymieniałem tylko paragrafy; pisałem, co mi zarzucają i do czego się nie przyznaję. Byłem przekonany, że grypsy idą przez „górze” – „słodzi”, starałem się więc utrzymać w schemacie korespondencji szkolnych kolegów. Powoli wyjaśniło się, dlaczego klawisz „poszedł z nami na współpracę” (ostatecznie uwiarygodnił mi go Adam po latach): nasz profos robił zaocznie szkołę średnią. Widząc, jak wspaniale trafił, podjął się roli listonosza, w zamian zamawiając u Adama i Jasia Lityńskiego wypracowania z pozytywizmu, z romantyzmu, jak to u nas...

Nikt, kto nie był w więzieniu nie zrozumie, dlaczego te parę ciepłych słów od Adama na obojętne tematy nazywam spotkaniem. Nie tylko niczego – przez ostrożność! – nie przekazywaliśmy sobie wówczas, niczego też nie mieliśmy sobie jeszcze do przekazania. Marzec był dla mnie przede wszystkim zaskoczeniem, któremu musiałem nagle sprostać. W środowisku Adama rodziko się coś, od czego pękła szkolna kula. Adam to pęknięcie mógł zobaczyć dopiero po odsiedzeniu wyroku. (Dał temu później wyraz w *Cierpiach zapomnianych przodków* i w *Nowym ewolujonizmie*.) Ja widziałem je już na ulicach i w tłumie studentów Poli-

techniki Warszawskiej wypełniających aulę w czasie marcowego strajku okupacyjnego. Ludzie, którzy wyładowali wówczas w aresztach nie mieli często nawet nikłego związku ze środowiskiem „Komandosów”. Dla nich wszystkich, jak i dla mnie, więzienie okazało się natomiast doskonałym miejscem rozważań o wolności: naszej i kraju. Szkoła była pierwszym mikromodelem świata. Teraz znalazłem się w drugim. Zobaczyłem kto i za co w Polsce siedzi. Jeden siedział za to, że miał inicjatywę, a to nie jest system dla ludzi z inicjatywą. Drugi był niewygodnym świadkiem, więc siedział już pół roku z zarzutem fałszywego świadectwa. Trzeci był łapówkarzem, co nie budziło sympatii, ale pozwalało zrozumieć, w ilu sytuacjach łapówka jest „ostatnim ludzkim odruchem na drodze do komunizmu”. Czwarty siedział za to, że sprzedawał ryby, które mieściły się w procencie przeznaczonym „na rozkurz”; lepiej niech zgniją niż ktoś ma na tym zarobić, choćby zarabiał tylko tyle, żeby związać koniec z końcem. Mimo że czułem się jak w studni, do której wrzuciła mnie ubecka łapa i z zewnątrz docierały tylko połajanki „Trybuny Ludu”, samotność nie niszczyła a uwydatniała poczucie ulgi. Szklany kłosz pękł i odstąpił kawałek prawdziwego życia. Jak w przytaczanym często przez Adama powiedzeniu Słonimskiego „mądrzej głowie dość dwa razy pałą w łeb”, policja szybko nas wyedukowała. Z karceru wypuszczano nas parę dni po 1 maja.

Tak jak Adam nie miał wówczas optyki Słonimskiego, tak ja – optyki Józefa Mackiewicza, ale w ostatnim grypsie, jak u autora *Kontry* – „... podaliśmy sobie ręce na pożegnanie, wówczas, w tym państwie, w którym strach i nuda krzyżują się ze sobą jak sierp z młotem”. Niedługo potem, w czerwcu, wyszedłem z więzienia. „Śledztwo umorzono z braku dowodów winy”. Dziś sądzę raczej, że wolność zawdzięczam przypadkowi: współoskarżonym w mojej sprawie był Andrzej Duracz, także uczeń mojego liceum. Zamiast wdawać się w kłopotliwy proces oparty na pomówieniach, komuniści woleli już raczej odpuścić nas czterech niż mieć na ławie oskarżonych Andrzeja, syna Jerzego, który rzucił granaty na Cafe-Club i wnuka Teodora, który ich samych bronił jako adwokat przed wpjną.

Przez lata uważałem, że marcowi „Komandosi” byli zapalnikiem bomby, o której istnieniu nie wiedzieli. I sądzę tak do dziś. Tyle, że już wiem, że nigdy nie możemy wiedzieć, w jakiej bombie jesteśmy zapalnikiem. Jest to prosty, ale istotny wniosek z historiozoficznej teorii względności, którą mojemu pokoleniu wyłożył w swych bajkach i pismach naukowych Leszek Kołakowski.

Było to w dwa lata po Czerwcu. Urwałem się z pracy i pojechałem na wykład Adama z historii PRL-u. Mieszkanie duże i zaniedbane, jak większość „świeclic” współpracowników KOR-u, zaoranych opozycyjną harówką. Byłem lekko zestresowany tym, że jeśli policji akurat zechce się tu wejść, marszałek Skibniewska wyrzuci mnie z pracy. Adam niewyspany i skacowany, srożnił się ponad akademicki kwadrans. Z notatkami na kolanach, popijając kawę, którą potraktowali go gospodarze, oprowadzał nas po początkach sowietyzacji Polski:

powrót Mikołajczyka. dramat „Jeśnych”, referendum, wybory. Precyzyjnie i jasno opisywał kolejne akty dramatu. Zakończył konkluzją: dziś wiemy już, że to, co wydawało się dramatem było prawdziwą tragedią. W tragedii nie ma ani dobrych, ani lepszych wyjść, jest tylko napięcie, rozdarcie, opozycja postaw – finał nie zależy jednak od bohaterów, rozwiązanie jest poza nami.

Po wykładzie Adam zaczął mnie:

– No i co, wystarczająco ostro, nie za czerwono?

Była to reakcja na moją wypowiedź w dyskusji sprzed paru miesięcy w Salonie Wałendowskich.

– Nie jestem taki hochdemokrata, żeby bronić NSZ-owców! – powiedział Adam wówczas.

– Jeśli jesteś za pluralizmem, to musisz uznawać także prawo do poglądów, które ci nie odpowiadają. Tzw. „bandy” to byli ludzie w pułapce historii, broniący się przed komunistycznym terrorem – replikowałem.

Adam zadziwił mnie zawsze pamięcią i refleksem. Często po latach wracał do jakiejś rozmowy, jakbyśmy przerwali ją wczoraj.

Późniejsze wydarzenia zatarły atmosferę tamtego czasu i poprzedzających je lat beznadziejności. Gdy wyszedłem po Marcu z aresztu, dowiedziałem się, że mój wychowanek z harcerstwa na akademii szkolnej „odciął się ode mnie jako agenta rewizjonistyczno-syjonistycznego”. Wkrótce potem zostałem w Polsce sam. Cała moja rodzina wyemigrowała do Izraela. Atmosferę tych lat dobrze oddaje ówczesny szmonces: na warszawskiej ulicy spotyka się dwóch polskich Żydów: „Co poza tym?” – pyta jeden drugiego. Styl to człowiek – Adam po odsiedzeniu wyroku zaczął pracować w „Róży” i na pytania kolegów ze szkoły: „Co robisz?” odpowiadał niezmiennie: „Wytwarzam wartość dodatkową”.

Okrucich tych ponurych czasów ocalał w liście Władimira Bukowskiego do Zbigniewa Bujaka:

„...Często wspominał naszego wspólnego przyjaciela, Adama Michnika. Pewnego razu w Paryżu, tuż przed swoim powrotem do Polski, zapytał mnie w sekrecie:

– Powiedz uczciwie, tak między nami, dużo jest dysydentów w Związku Radzieckim?

– No, wystarczy – odpowiedziałem wymijająco.

– A w Polsce bardzo mało, właściwie prawie nie ma – powiedział Adam smutno. I po chwili milczenia dodał: – Wszyscy ciągle jeszcze są takimi konformistami”.

Nie zgadzałem się z Adamem: nie wierzyłem w owoch „wszystkich”. Ale nie wierzyłem też, że nonkonformizm opozycji demokratycznej zdoła poruszyć tak prędko milczącą większość. Podobnie nie przypuszczałem, że już niedługo milcząca większość będzie gotowa rozliczać tych, którzy codziennie odwagą dokumentowali za nich wiarę w „szanse polskiej demokracji”. Pamięć nie podsuwa mi dziś gwiazdorskiego wystąpienia Adama w Otwocku, w czasach Solidarności, gdy jego: „Jestem Adam Michnik, element antysyjonistyczny” pozwoliło uspokoić tłum, gotów zlinczować milicjantów. Pamiętam raczej scenę na żoliborskim podwórku, w której dwóch ubeków przystawiło Adamowi pistolet do pleców.

Zbierał wówczas podpisy pod pierwszym dużym listem otwartym w sprawie praw Polonii w Sowietach. Zaskoczony w ciemności, Adam zaczął wrzeszczeć: „Bandyci! Na pomoc!”. Ubecy zaś, przestraszeni, widząc wychylające się z okien głowy, kopali go po kostkach i uciszali: „Cśś! Cśś!”.

Wtedy jeszcze Adam musiał być „sam sobie storem, żeglarzem, okrętem” i wrzaskiem: „Bija!” przypomniał ludziom sołżenicynowską prawdę, że nie wolno dopuścić, by bito nas w milczeniu.

I to 1983 roku. Siedziałem już dwa miesiące na Mokotowie. Zmieniano mi wciąż towarzystwo, co było tym sympatyczniejsze, że ja poznawałem nowych i odnajdywałem starych przyjaciół, a sam byłem przy tym *incognito*. Kolejna „przerzutka”: klawisz otworzył nową celę i... Adam!

Był w świetnej kondycji: „Stary, gdzie mi będzie lepiej? Tak, musiałbym siedzieć w podziemiu, wszyscy by się czepiali, że się spóźniam, że wódka, że dziewczyny. A tu – jestem na swoim miejscu: wreszcie mogę spać ruchowi swój dług. Pracuję jak mróweczka. Rano czytam akta, nnnno wiesz – to musi trwać – przewalił oczyma, by zacynkować podsłuch – a po południu – poruszył ręką jakby pisał – robię notatki”. Rozkręcał się coraz bardziej. „Z tym naszym procesem to Czechu Kiszczak wpięprzył się, o taak” – zaznaczył dłońią, gdzie generałowi sięga już bagnó. „Mieć sprawę z takimi ludźmi jak Jacek Kuroń, Zbyszek Romaszewski i Heniek Wujec, to jakby dostać prezent: nikt nie zeznaje, sami porządni ludzie... Z Kurońmi były kiedyś pewne wątpliwości – zakpił przeciągając ostatnie słowa – ale już się wyjaśniły”. Szarżował jak w kabarecie. „Ten proces to cycus-malinka, ja z tego zrobię brylancik!”.

– Podgłośnić, majorze, bo będziemy kontynuować – przejąłem rolę aranżera. (Jak już podsłuchują, niech mają za swoje.) I zapytałem pół żartem, pół serio:

– Podobno jesteś Aśaś uprzywilejowanym więźniem III pawilonu, chłopcy z innych cel...

Adam puknął się w czoło:

– Tak, co jeszcze, gołe baby, dzięki słońce! Ja po prostu siedzę tu już trzeci raz i wiem, że nie klawisz jest moim przeciwnikiem. My sobie wzajemnie świra: w nie robimy! Odkąd ten szpieg Celegrat uderzył mnie w głowę i ja zadzwoniłem po klawisza, a jak tylko uchylił drzwi, to wyskoczyłem na korytarz, krzycząc: „Prowokacja!” – zorientowali się, że ze mną nie ma żartów. A gdzie mi będzie lepiej – rozmarzył się znowu. – Wszyscy o mnie myślą. Ojciec Jacek przysłał mi Matkę Boską Częstochowską. Myślisz, że Kołakowski, taki wielki profesor, normalnie znalazłby dla mnie czas? Skądże. A tak – proszę! Albo Książę Poetów – i pokazał z kolei list Herberta upstrzony przypisami dla więziennej cenzury: „Platon, filozof życzliwy Państwu”, „Grecja – utrzymujemy stosunki”...

Po dwóch dniach skończyły się żarty, zaczęły się schody: musiałem opowiedzieć dokładnie Adamowi, co sływać „w piwnicy” i co na „powierzchni”. Najbardziej interesowały go przewartościowania, nowe układy. Rozmawialiśmy

wypróbowaną metodą: głośno – ogólniki; na ucho – konkrety; nazwiska – na karteczki i do kibla.

– Podejrzewam, że „Niepodległość” robi Poleski – zaserwował Adam na wstępie.

– Wiem, że to nie on – powiedziałem głośno.

– A wiesz, kto to jest? – szepnął mi do ucha.

– Wiem, ale nie mogę powiedzieć.

Zrobił błagającą i pełną oburzenia minę. Gdy po wielokrotnych obietnicach, że się nie wygada nawet przed Jackiem, usłyszał na spacerniaku, że to ja, rągi się pod nim ugięły.

– To ty napisałeś kiedyś tę polemikę z Kuroniernem?

– A co, nie wolno? – odpowiedziałem zaczepnie.

Pierwszy raz w życiu odczułem taki komfort: siedzę z blahym zarzutem, wyrok w zawieszeniu mam w kieszeni, nikt mnie nie sypie, a ja czytam sobie do snu polemiki Urbana i Passenta z moimi artykułami, które krążą na wolności. To jaki komfort musiał odczuć Adam!

Żeby do testy sobie dogodać wzięliśmy na języki Żydów, którzy marnują swoją inteligencję na wysługiwanie się czerwonemu.

– Znam Jurka od lat, to kreatura – mówił Adam. – To nawet nie cynik – on jest po prostu wydrążony w środku. Jak mu powiesz: „Świnia” – sprawisz mu przyjemność. Już piętnaście lat temu tłumaczył mi, że ten system jest ponurym absurdem. Jego jednego się boję, bo on się tym bawi. Urban to jest prawdziwy architekt polityki Jaruzela. (Boję się tylko banicji – szepnął mi na ucho)... Passent, Toeplitz, Sandauer... – zgrzytałem już tylko zębami.

– Odrobina antysemityzmu jest jak szczypta pieprzu, dodaje pikanterii – tłumaczyłem do podłuchu. – Wiesz, Adam, ubek-hostessa, który mnie prowadził po Mostowskich, próbował wymacać mój staby punkt. Zawsze wpierv mnie biją, potem podlizują się. Skoro w śledztwie nie odzywam się ani słowem, może choć w kularach? Zapytał: – To ciekawe, pan podaje obywatelstwo polskie, narodowość żydowską; pierwszy raz się z tym stykam...” – „W pana resorcie to niemożliwe, już dawno starannie nas policzyliście” – wtrąciłem. – „Pan jest od razu rozdrażniony, a było przecież tyłu Żydów – wybitnych muzyków!...” – „Niech pan na mnie nie liczy, jestera kompletnie głuchy!”.

– Wracając do Urbana, mówisz, że taki bystry, a nie zorientował się, że komuniści mają inaczej zbudowane mózgi? Co ty na to, Jurek? – zwróciliśmy się do Bahla, który siedział do drugiej sprawy MRKS-u. – Przecież ty jesteś od inżynierii genetycznej.

– Ale ja jestem na poziomie grzybów! – bronił się.

W takich momentach czuliśmy, że cela jest salonem. Tym samym opozycyjnym salonem, który wypominali Adamowi jego przeciwnicy z własnego obozu. „Z salonem walczą ci, którzy nie tyle nie mogą się do niego dostać, co nie umieją się w nim znaleźć” – przekonywał nas Adam. Adaś Karwowski, złapany w daczę Dmochowskiego na kupie sprzętu i bibuły, nasz czwarty współwięzień, mógł faktycznie o sobie powiedzieć, że zrobił wszystko, by dostać się do tego salonu. A jak się już dostał – milczał w śledztwie jak grób.

Adam leżał na łóżku pode mną, po tej półtorarocznej już odsiadce ciężko zasypiał, długo w nocy słyszałem szelest celofanu z pudełka od papierosów, który zwiżał w palcach. (Uwiecznił to Barańczak w poemacie „Przywracanie porządku”.) Gdy przypominał sobie jakąś niedokończoną na spacerniku myśl i słyszał, że nie śpię, wstawał i zaczynał mi nadawać do ucha. Na spacerniku, w tych jedynych swobodnych rozmowach wciąż się upewniał: „Ale – powiedz! – Zbyszek i Wiktor nie wyjadą?”. Pamiętam, gdy szczęśliwy wrócił z widzenia z Basią („patrzonko” – mówił o tym) i dowiedział się, że na Zachodzie wyszedł już jego artykuł, w którym przesyłał im żeglarskie pozdrowienie: „Chłopcy, tak trzymać!”.

Z naszych rozmów zrodził się pomysł „Dialogu przez kraty”. Adam bardzo wiernie zrealizował pozostawiony mu scenariusz pytań i odpowiedzi. Dodał tylko jeden koksieteryjny fragment: „Co myślisz o Jaruzelskim?”. – „Rzadko o nim myślę”.

Wyszedłem z amnestii w lipcu 83. Dwie godziny krążyłem wokół więzienia i znów „zanurzyłem się”. Niedługo potem w *Ginąc odświeżenie* Adam przypominał sobie słowa swojego ojca: „Dziękuj Bogu, że nie żyjesz w Rosji. Tam nie wracałbyś z komisariatu do domu. Tam raz byś trafił do KGB i więcej nikt by o tobie nie usłyszał nikt też nie ośmieliłby się zapytać, co się z tobą stało”. W tę noc – pisał Adam – ojciec uświadomił mi, że najważniejsze, najistotniejsze z tego, co Polacy wyrwali komunistom z gardła, co wywalczyli twardym, zaciekłym, konsekwentnym oporem, to właśnie prawo do tego, by „ginąc odświeżenie”.

Ale czy miałam rację? Czy tylko Polacy? Długo o tym myślałem, czytając książkę Bukowskiego *I wozwaszczajetsia wietier*.

Adam musiał czekać jeszcze rok, by swoje słowa i polskie wydanie Bukowskiego zobaczyć w druku na wolności.

Koniec stycznia 1988 roku. Tydzień przedtem czekałem parę godzin. Adam nie przyszedł. Może był obstawiony tak, że nie mógł się urwać? Czekając, przypominałem sobie pigwskie spotkanie po jego wyjściu z więzienia: zauważyłem go wieczorem, zatopiony w rozmowie spacerował nad Wisłą. Szedłem za nim jakiś czas, był bez obawy, podszedłem. Ucałowaliśmy się z dubeltówki i umówiliśmy na spotkanie. Opisałem mu wtedy moją makabryczną letnią przygodę, która do reszty pozbawiła mnie *incognito* (niejaka B.E.-M. już parę miesięcy wcześniej zdradziła mnie policji). W czerwcu 84 do mieszkania, w którym się ukrywałem, wleźli się złodzieje. Wychodząc, z typowo bolszewickim niechlujstwem, zostawili uchylone drzwi. Sąsiedzi wezwali mundurowych, a ci – ubecję. Na szczęście nie byli lepsi od złodziei, zajęli paradnie suką wprost pod klatkę schodową i dzięki temu nie wpakowałem się w kocioł.

– Prowadzą teraz przeciwko mnie śledztwo o szpiegostwo. Zabawne, przecież to oni pracują na rzecz obcego mocarstwa – powiedziałem Adamowi. W języku psychiatrii nazywa się to projekcją.

Adam machnął ręką:

– Kiedy w więzieniu nagle przypomnieli sobie, że mogą mi jeszcze zaproponować współpracę, powiedziałem: „Panowie, karty na stół. Mnie CIA płaci milion dolarów rocznie. Jak macie przebicie, to rozmawiamy”.

Usłyszałem umówiony rytm dzwonka. Okazało się, że Adam był w pierwszym terminie na spotkaniu TTK. Skoro „przebijamy się na jawność”, jak mówi Bujak, to trzeba podnosić poprzeczkę. „Przywódca był wzruszający” – podsumował Adam przycięcia ostatnich dni. Ten tytuł łączący podziw z żartem Adam zazerwował dla Wałęsy.

Rozmowa o czworokacie: podziemie–jawna opozycja–Kościół–władza, toczyła się w cieniu straszliwej kaźni księdza Popiełuszki. W spojrzeniu na Kościół daleki byłem od Adama. Mój stosunek do wiary zamyka się w ostrożnej formule Arona: „Odraza do religii świeckich każe mi odnosić się z pewną sympatią do religii transcendentnych”. Rytuał przekształca mi w laicką swata wartości. Zbyt często zaczyna żyć sam sobą.

Tak jak w więzieniu spotkaliśmy się przy tej samej lekturze – *Londzie Jimie* (– „O, ten do końca nie zejdzie z pokładu” – powiedział Adam o Janie Józefie Szczepańskim, gdy rozwiązywano ZLP), tak teraz przy *Zapiskach więziennych* Kardynała Wyszyńskiego. Nie sposób bez poruszenia czytać słowa Prymasa z 2 X 1956: „Kościół rodził się we krwi odrodziennej Chrystusa na krzyżu, podobnie jak we krwi przychodzi na świat każde dziecko Boże. Wtedy jest zdrowe, gdy ta krew płynie: niebezpieczny jest dla ciała ludzkiego skrzep krwi. Podobnie niebezpieczny jest dla Mistycznego Ciała Chrystusowego zastój krwi. Musi ona zawsze gdzieś upływać: nie tylko w kielichach mszalnych, ale i w żywych kielichach dusz ludzkich. Musi gdzieś dopełniać się wykrwawienie Kościoła, by mógł być w pełni zdrowia i sił ożywczych. I dlatego zawsze gdzieś Kościół krwawi w nie kończących się prześladowaniach, które są stałym zjawiskiem dziejów Kościoła Świętego”.

W dwa dni później Prymas zanotował: „Brak męstwa jest dla biskupa początkiem klęski. Czy jeszcze może być apostołem? Przecież istotne dla apostoła jest świadectwo Prawdzie! A to zawsze wymaga męstwa. Przyszłość należy do odważnych, którzy ufają i działają mocą – mówił Pius XII – nie do bojaźliwych i niezdecydowanych”.

W czasie ostatniego spotkania przedstawiłem Adamowi prośbę moich przyjaciół, by napisał parę słów wstępu od autora do krajowego wydania *Szans polskiej demokracji*. – „Napisz sam” – odpowiedział.

Retrospekcja, której tu dokonałem jest szczególna, bo szczególne są wartościowania dokonywane w rytmie wydarzeń. Inne są spotkania ludzi w intelektualnych dyskusjach, inne w cieniu śniadzi, porwań, więzienia bliskich.

Adamowi przypadła rola podobna jak Bukowskiemu. Mógłby dziś jak wielki rosyjski banita powiedzieć: „Na durni nie ma rady, świnie robią, co im się każe. Natomiast reszcie, normalnym ludziom odpowiadam, że nie reprezentują ani obozu lewicy, ani obozu prawicy, a reprezentują, i zawsze będą o tym pamiętać, tylko obóz koncentracyjny”.

To, że w naszym polskim baraku więcej wolności, to pewne. Ale obóz pozo-

staje obozem. Optymizm postawy Adama jest czytelny dopiero, gdy sięgam pamięcią daleko wstecz i natrafiam na własne próby i błędy. Świat, nasz Inny Świat na czym koniec końców jest zbudowany? Wierzę -- i Adam pomaga mi wierzyć, że system zaczął się od głupiej, a skończy się na mądrej odwadze pojedynczego człowieka. Lęk, pot, brud, strach czające się za drzwiami, chroboczące jak karaluchy pod tapetami Sołżenicynowskiego domu Matrony -- trzeba najpierw pokonać w sobie, zanim zacznie się mówić innym o odwadze.

Hero is actor - bohater jest akcją. Data, którą stawiam pod tym tekstem jest datą ponownego aresztowania Adama Michnika.

13 lutego 1985



KONFERENCJA W OXFORDZIE DOTYCZĄCA STOSUNKÓW POLSKO-ŻYDOWSKICH

Somerville College w Oxfordzie gościł pomiędzy 17 a 21 września ub.r. ponad stu uczestników międzynarodowego sympozjum dotyczącego stosunków polsko-żydowskich w czasach współczesnych. Spotkanie, zorganizowane m.in. przez londyńskie School of Slavonic and East European Studies i Institute of Jewish Affairs, oxfordzkie All Souls' College i Centre for Postgraduate Hebrew Studies, Russian and East European Council przy Yale University oraz Hebrew University of Jerusalem i Diaspora Research Institute przy Tel Aviv University, zgromadziło uczonych z Polski, Izraela, Europy zach. i Ameryki Północnej. Niektórzy z nich brali udział w podobnym spotkaniu zorganizowanym w Nowym Jorku w marcu 1983 i śmiało można powiedzieć, iż konferencja oxfordzka była niejako przedłużeniem i rozszerzeniem poprzednich debat, górując zarazem nad nowojorskim spotkaniem jednym: uczestycypacją uczonych z Polski (nie wszystkich, rzecz oczywista – zarówno PAN, jak i Uniwersytet Warszawski zabroniły oficjalnego udziału w konferencji swym zaproszonym członkom i pracownikom, w tym prof. Kieniewiczowi). Obecność tych jednakże, którzy zdobili przyjechać, gwarantowała znacznie lepsze możliwości nawiązania i prowadzenia ścisłego, bardziej naturalnego dialogu, jak i pozwoliła na pewien optymizm co do przyszłości podobnych spotkań.

Zagadnienia rozpatrywane były według układu chronologicznego, stąd podział na sesje. Pierwszą, zajmującą się okresem do 1755, rozpoczęło wystąpienie prof. Aleksandra Gieysztorą nt początków osadnictwa żydowskiego w Polsce, przedstawione pod nieobecność autora przez dra Normana Davisa. Drugim polskim głosem w tej sesji była praca dra Andrzeja Ciechanowieckiego dotycząca nadawania przywilejów szlacheckich archeologiczonym Żydom, oparta na historii rodziny autora. Inni uczestnicy to prof. Jakub Goldberg (Hebrew Univ.), dr Daniel Tollet (Centre d'Études Polonaises, Université de Paris), prof. Hillel Levine (Boston Univ.), prof. Gershon Hundert (McGill Univ.). W drugiej sesji, poświęconej okresowi zaborów, jako pierwsze odczytane zostało (pod nieobecność autora) wystąpienie prof. Stefana Kieniewicza zatytułowane „Społeczeństwo polskie a kwestia żydowska w XIX w.” Prof. Ryszard Bender z KUL-u mówił na temat politycznych nastawień i działalności Żydów w rejonie Lublina w okresie do powstania 1863 roku. W sesji tej wzięli również udział prof. Daniel Beauvais (Univ. de Lille), prof. Moshe Miskolczi i prof. Frank Golczewski (Univ. of Federal Armed Forces w Hamburgu).

Trzecia sesja, zajmująca się okresem międzywojnia, zawierała wypowiedzi dra Jerzego Holzera (stosunki wzajemne polskiej i żydowskiej lewicy), zaprezentowaną znów pod nieobecność autora, i dra Jacka Majcarzowskiego z Uniwersytetu Jagiellońskiego (próbę przedstawienia bliskości poglądów i występień czynnych polskich i żydowskich nacionalistów). Inni jej uczestnicy to dr Joseph Lieftinck, dr Shlomo Netzer (Tel Aviv Univ.) i prof. Ezra Mendelsohn. Ożywienie wywołane kontrowersyjnością niektórych wypowiedzi tej sesji przeniosło się do następnej, poświęconej stosunkom polsko-żydowskim w okresie wojny i okupacji. Całodniowa sesja okazała się najbardziej zaogniona i, zwłaszcza w drugiej swej części, pełna zacietrzewienia. Otworzył ją dr Lucjan Dobroszycki z Nowego Jorku, autor Kroniki łódzkiego getta 1941-1944. Dr Teresa Preker z Warszawy mówiła o roli „Żegoty” podczas wojny, a prof. Jerzy Kłoczowski z KUL-u o pomocy Żydom organizowanej przez zakłady katolickie. Głos zabrali również dr Shmuel Krakowski (Yad Vashem), dr Jan Ciechanowski (London Univ.) i dr Józef Garliński. Sesja zakończyła się bardzo gorącą i chwilemi trudną polemiką między prof. Izraelem Gutmanem (London Univ.) i prof. Władysławem Bartoszewskim (KUL), pozwoliła ona jednak osiągnąć porozumienie stanowiska obu reprezentowanych przez adwersarzy stron.

Kolejna sesja, dotycząca okresu powojennego, przyniosła wypowiedzi dra Bohdana Cywińskiego (odczytanie jego nieobecności, nt. stosunków polsko-żydowskich w środowisku opozycyjnym lat 70-80.), dra Michała Borwicz, dra Łukasza Hiaszowicza (Institute of Jewish Affairs), dra Romana Laby (Harvard Univ.) i Bolesława Sułki.

Poza sesji o tematyce czysto historycznej zorganizowano również dwa spotkania poświęcone innym zagadnieniom, związanym jednakże bezpośrednio z zasadniczym tematem konferencji. Najbardziej interesującą, być może nawet jedną z najciekawszych, była sesja poświęcona literaturze, której przewodniczył Czesław Miłosz i która dosadnie wykazała wzajemną nieświadomość warunków i sposobu życia, przełamywaną dopiero od okresu międzywojnia. Udział w niej wzięli prof. Jan Białoski (Univ. Jagielloński), analizujący piarstwo polskich autorów żydowskie, w pochodzenia, prof. Mieczysław Inglot (Univ. Wrocławski), mówiący o postaci Żyda w literaturze polskiego romantyzmu, dr David Patterson (Oxford Centre...), dr Israel Bartal i prof. Shoshana Shameruk (Hebrew Univ.) i dr Magorzlena Stosma-Opalska (Carlton Univ.). Druga nt. historyczna sesja poświęcona była etnologii. Głos zabrali dr Barbara Kirschenblatt-Gimblett (NY Univ.), dr Władysław Bartoszewski Jr (Cambridge Univ.), dr Olga Goldberg i prof. Shoshana Shameruk z Hebrew Univ.).

Podsumowanie konferencji nastąpiło ostatniego dnia i przyniosło wypowiedzi prof. Józefa Gierowskiego, dra Jerzego Turowicza, prof. Chimena Abramowky'ego, prof. Shmuela Etttingera, Rafaela Schatta i Macieja Jachimczyka. Zamykając konferencję wieczorne spotkanie pozwoliło uczestnikom na wysłuchanie poezji Jerzego Ficowskiego i Czesława Miłosza, zapoznanie się z filmem Lucjana Dobroszyckiego i Barbary Kirschenblatt-Gimblett Image Before My Eyes i obudzenie kolekcji przezroczyc z komentarzy żydowskich w Polsce, przygotowanej przez Monikę Krajewską.

Konferencja przyniosła również szereg ważnych ustaleń. Postanowiono m.in., iż konferencje tego typu powinny odbywać się w przyszłości, lecz w mniejszym gronie i być poświęcone określonym tematom, co powinno umożliwić bardziej szczegółową dyskusję. Spotkania takie zaplanowane zostały w Krakowie, Jerozolimie i Brandels. Projekt międzynarodowego biuletynu poświęconego stosunkom polsko-żydowskim spotkał się również ze zrozumieniem i poparciem, podobnie jak i postanowienie zredagowania i publikacji materiałów konferencyjnych, aby umożliwić szerszej publiczności zapoznanie się z nimi. Z naszej strony przyczyniamy się do tego publikując cztery wybrane teksty wystąpić.

STOSUNKI POLSKO-ŻYDOWSKIE W OKUPOWANEJ POLSCE 1939-1945 (wybrane zagadnienia)

Władysław Bartoszewski

Niedostatkiem większości prac naukowych i popularno-naukowych dotyczących problematyki sytuacji ludności w Polsce podbitej i okupowanej we wrześniu 1939 roku wydaje się być fragmentaryczny lub przyczynkarski sposób ujęcia: poświęcenie uwagi wyłącznie lub przede wszystkim sytuacji jednej grupy narodowej, np. polskiej albo żydowskiej, lub też jednego środowiska, np. wielkomiejskiego albo wiejskiego, czy nawet tylko jednej grupy zawodowej. Tymczasem aby przybliżyć się do prawdziwego i możliwie pełnego przedstawienia sprawy stosunków wzajemnych Polaków i Żydów w okupowanym kraju, słuszne wydaje się wielostronne oświetlenie sytuacji społecznej, politycznej i psychologicznej obu grup narodowo-wyznaniowych – polskiej i żydowskiej, postawionych w 1939 r. w określonej sytuacji historycznej.

Mniejszość żydowska w Polsce stanowiła około 10% ogółu ludności państwa, przy czym szacunek ten jest raczej zaniżony niż zawyżony w świetle stosowanych przez Niemców kryteriów określonych w ustawach norymberskich. Ponad 3/4 ludności żydowskiej w Polsce mieszkało w miastach i miasteczkach, a tylko niespełna 1/4 na wsi. Istniało więc zjawisko znacznej koncentracji ludności żydowskiej w niektórych punktach kraju.

Położenie ekonomiczne ludności żydowskiej w Polsce było nie mniej zróżnicowane niż sytuacja Polaków-chrześcijan. Zjawiska kryzysu światowego końca lat dwudziestych i początku lat trzydziestych przyczyniły się do daleko idącej pauperyzacji setek tysięcy rodzin w Polsce, bez rozróżnienia narodowości i wyznania. Ponadto trzeba pamiętać, że większość ziem dawnego państwa polskiego należała do końca I wojny światowej, przez blisko 140 lat, do Rosji carskiej i była niedorozwinięta cywilizacyjnie i gospodarczo. Również sytuacja gospodarcza części ziem południowej Polski, zagarniętych w XVIII w. przez monarchię habsburską i należącej aż do końca I wojny światowej do Austrii, była bardzo niekorzystna. Przy-

czyniło się to do znanych zjawisk emigracji zarobkowej biedoty polskiej i biedoty żydowskiej, głównie do Stanów Zjednoczonych. Również warunki kulturalne i oświatowe na tych ziemiach polskich, które znajdowały się w ciągu siedmiu generacji w obrębie imperium rosyjskiego nie sprzyjały należytemu rozwojowi społeczno-cywilizacyjnemu zarówno Polaków, jak i Żydów i utrzymywały poważne części ludności w stanie zacofania w porównaniu z wieloma innymi krajami Europy. Także w zakresie polityki narodowościowej wszyscy zaborcy s:ymulowali i wygrywali politycznie konflikty między różnymi grupami wyznaniowymi i narodowymi, zarówno te, które spowodowane były nietolerancją wyznaniową czy światopoglądową, jak te, które wynikały z konkurencji ekonomicznej.

Antysemityzm państwowy i polityczny charakterystyczny dla postępowania Rosji carskiej w ostatnich dziesięcioleciach jej istnienia, wywierał też niezmiernie szkodliwy wpływ na ludność polską, aczkolwiek nigdy nie przyjął na rdzennych terenach polskich rozmiarów podobnych do stosunków w Rosji właściwej czy na Ukrainie. Interesujące jest przy tym, że te środowiska mieszczańskie czy inteligentckie w Polsce, w których rozwijały się już przed I wojną światową tendencje antysemickie, były zarazem środowiskami politycznie prosemickimi i społecznie konserwatywnymi.

Konflikty narodowościowe - polsko-ukraiński, polsko-niemiecki, polsko-żydowski - należały do charakterystycznych i trudnych problemów życia społecznego i politycznego w państwie polskim, choć każdy z nich miał odrębne podłożę, inne uzasadnienia i inne skutki. Jest faktem niezaprzeczalnym istnienie nastrojów antysemickich, jak też i organizacji politycznych o programie antysemickim w państwie polskim przed 1939 r., choć dyskusyjny jest realny zasięg i skutek społeczny tego typu działań i nastrojów, w piśmiennictwie zarówno umniejszany, jak i powiększany. Wydaje się jednak ważniejsze istnienie obustronnych tendencji izolacyjnych, tj. nieodwzajemnione przenikanie się i otwarcie obu społeczności żyjących zasadniczo o siebie i nie ze sobą. Nie należy też zapominać, że Polska, a zwłaszcza jej wschodnie tereny, była szczególnie ważnym ośrodkiem chasydyzmu - ze wszystkimi światopoglądowymi i społecznymi konsekwencjami tego faktu. Żydostwo polskie miało bardzo silne poczucie odrębności narodowej, czego charakterystycznym wyrazem było, że w czasie ostatniego spisu ludności w 1931 r. około 85% Żydów-obywateli polskich podało język żydowski albo hebrajski za swój język ojczysty. Było to zjawisko odrębne w stosunku do samookreślenia Żydów w ówczesnych Niemczech, Francji czy Anglii. W chwili wybuchu II wojny światowej panowała w Polsce tolerancja wobec autonomicznego żydowskiego życia religijnego, politycznego, społecznego a w tym oświatowego i kulturalnego, ale tylko pewna część inteligencji i działaczy robotniczych polskich i żydowskich widziała potrzebę przeciwstawiania się stereotypowym uprzedzeniom wynikającym z inności i wzajemnej obcości. Działo się to równocześnie z bardzo poważną rolą odgrywaną w polskim życiu naukowym, kulturalnym i zawodowym przez wiele tysięcy Żydów współtworzących dorobek cywilizacyjny ówczesnego państwa polskiego.

Przebieg działań wojennych w 1939 r. przyniósł, jak wiadomo, podział ziem państwa polskiego niemal dokładnie po połowie pod względem powierzchni po-

między Trzecią Rzeszę i ZSRR. Pod okupacją niemiecką znalazło się 48,4% terytorium Polski z 62,9% ogółu ludności, pod okupacją sowiecką (po wcieleniu Republiki Litewskiej do ZSRR) 51,6% terytorium z 37,1% ogółu ludności. Według przedwojennych danych liczbowych pod okupacją niemiecką znalazło się 61,2%, a pod okupacją sowiecką 38,8% Żydów polskich (wg danych Ludwika Landaua). Wobec przemieszczeń ludności w okresie działań wojennych we wrześniu 1939 r. z zachodu na wschód przyjąć jednak można, że liczby zarówno Polaków jak i Żydów, którzy znaleźli się na początku okupacji we wschodniej połowie Polski były nieco wyższe, a w zachodniej nieco niższe niż by to wynikało z przedwojennej statystyki stałego osiedlenia.

Na terenie całej okupowanej Polski władze okupacyjne niemieckie i sowieckie podjęły próbę różnicowania narodowościowego i stosowanie odrębnej taktyki wobec różnych grup narodowych. Charakterystyczne jest jednak, że z zachodnich terenów Polski włączonych do Rzeszy Himmler nakazał już 30 października 1939 przesiedlenie w ciągu czterech miesięcy w *wszystkich* Żydów oraz „szczególnie wrogo nastawionej ludności polskiej”. W interpretacji praktycznej tego zarządzenia dotknięto przymusowym wysiedleniem w samym *Warthegau* do końca lutego 1940 r. 200 tys. Polaków i 100 tys. Żydów. Wprowadzie poczynania te różne w polityce hitlerowców miały przyczyny, ale upodobiły do siebie los ludności żydowskiej i polskiej. W wyniku masowych egzekucji Polaków na Pomorzu, w Wielkopolsce i na Śląsku zginęło tylko jesienią 1939 r. w ramach tzw. „Unternehmen Tannenberg” około 50 tys. ludzi. W Polsce centralnej — Warszawie, Krakowie, Częstochowie, Lublinie i wielu innych miastach — dokonali Niemcy już w pierwszych tygodniach okupacji masowych aresztowań. Szczególnie głośnym echem odbiło się podstępne aresztowanie w Krakowie 6 listopada 1939 r. 183 uczonych — profesorów i wykładowców Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Górniczej. Dwudziestu spośród nich przypłaciło to życiem. W Bochni pod Krakowem i w osiedlu Wawer pod Warszawą przeprowadzili Niemcy w grudniu 1939 r. dwie egzekucje masowe; których ofiarą padło 170 osób. Pod koniec kwietnia 1940 *Reichsführer SS* Heinrich Himmler wydał zarządzenie, aby 20 tys. Polaków osadzić w obozach koncentracyjnych. W maju 1940 r., z chwilą rozpoczęcia ofensywy niemieckiej na zachodzie, podjęto w GG realizację szeroko zakrojonego planu biologicznej likwidacji inteligencji polskiej w ramach tzw. akcji AB (*Ausserordentliche Befriedungsaktion*). Ta „nadzwyczajna akcja pacyfikacyjna” miała objąć przede wszystkim — w założeniu hitlerowskiej policji bezpieczeństwa — „duchowych i politycznych przywódców polskiego ruchu oporu” (*SS-Brigadeführer* Bruno Streckenbach, komendant SP i SD w GG).

14 czerwca 1940 r. otwarto pierwszym transportem polskich więźniów politycznych obóz w Oświęcimiu, w którym w ciągu następnego roku osadzano niemal wyłącznie Polaków, wśród nich parę tysięcy ludzi złapanych w obławach ulicznych i domowych, a od lata 1941 r. także jeńców sowieckich.

Przytoczenie tych wszystkich okoliczności, w bardzo grubym tylko zarysie charakteryzujących politykę hitlerowską wobec Polaków, wydaje się słuszne, ponieważ równoległe w czasie (tj. do połowy 1940 r.) zarządzenia dyskryminacyjne i represyjne wobec Żydów polskich piętnowały ich jako grupę rasową (a faktycznie

narodowo-religijną), ale nie nasuwały podejrzeń o możliwości biologicznego zagrożenia całej ludności żydowskiej. Wprowadzenie przymusu pracy wobec Żydów od lat 14, obowiązkowi noszenia opasek z gwiazdą, ograniczenie swobody poruszania się i utworzenie pierwszych gett (w Piotrkowie i w Łodzi), ucisk fiskalny, częściowe pozbawianie mienia, nie wydawało się wówczas ani Polakom, ani Żydom – w porównaniu z masowymi egzekucjami – mimo wszystko czymś gorszym czy trudniejszym do zniesienia. Wyjaśnić przy tym trzeba, że zarówno w środowisku polskim jak żydowskim panowało w pierwszych miesiącach okupacji błędne przekonanie o rychłym zakończeniu wojny z Niemcami zwycięstwem aliantów.

Również na ziemiach polskich na wschód od linii demarkacyjnej określonej w układach niemiecko-sowieckich z sierpnia i września 1939 r. sytuacja w niczym nie zapowiadała przyszłego zagrożenia biologicznego żydowskiej grupy narodowo-wyznaniowej. Masowe deportacje ludności w głąb ZSRR dotyczyły przede wszystkim Polaków, choć zdarzały się też represje wobec przedwojennych żydowskich działaczy społecznych i politycznych, zarówno z organizacji syjonistycznych, jak i z Bundu. Istnieje w odniesieniu do tego okresu okupacji wyraźna luka w badaniach naukowych i piśmiennictwie historycznym. Brak jest też sprawdzonych socjologicznie i statystycznie danych dotyczących udziału poszczególnych grup narodowych w aparacie administracyjnym i represyjnym nowej władzy sowieckiej na tym terenie. Spotykane w relacjach i wspomnieniach twierdzenia o masowym udziale proletariatu żydowskiego w akcji władz sowieckich przeciwko Polakom na tym terenie przyjąć należy z dużą ostrożnością. Zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że w opinii Polaków z województw wschodnich przedwojennego państwa polskiego reakcje ludności żydowskiej nie wskazywały na to, aby upadek państwa polskiego i tragedię okupacji odczuwała ona na równi z sąsiadami-Polakami. Oczywiście okoliczność taką można w różny sposób wytłumaczyć, jak np. rosyjskim lub chasydzkim rodowodem kulturowym pewnej części Żydów-obywateli polskich zamieszkałych na tym terenie, ulgą, że nie rozciągnęła się tam władza Niemiec hitlerowskich, ale przede wszystkim może większą sympatią dla komunizmu i ZSRR niż dla państwa polskiego z jego przedwojennym ustrojem politycznym. Nie należy też wykluczać znacznej ewolucji poglądów w ciągu dalszych miesięcy życia na tym terenie pod władzą sowiecką. Fakty jednak pozostają faktami i w opinii bardzo wielu Polaków mniejszości narodowe w ośmiu województwach wschodnich (łwowskim, stanisławowskim, tarnopolskim, wołyńskim, poleskim, nowogródzkim, białostockim i wileńskim) zaangażowane były w akcję antypolskiej po stronie ówczesnego okupanta tych ziem.

Po 22 czerwca 1941 r., w konsekwencji napaści Niemiec na ZSRR i stosunkowo szybkich postępów ofensywy, wszystkie ziemie przedwojennego państwa polskiego znalazły się pod okupacją niemiecką. Na nich zaś m.in. Żydzi-obywatele polscy, o ile nie zostali poprzednio wywiezieni lub nie zdołali się w ostatniej chwili ewakuować w głąb ZSRR. Niewielka tylko część tych ziem – przedwojenne województwa łwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie – weszła w obręb GG. Inne dawne województwa polskie znalazły się w granicach administracyjnych nowych tworów: *Reichskommissariat Ukraine* i *Ostland*. Jak wiadomo, właśnie na nowo-

zdobytých przez Niemców terenach wschodnich zaczęło się biologiczne niszczenie ludności żydowskiej już na kilka miesięcy przed postanowieniami konferencji w Wannsee na temat ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej. Mimo trudności kontaktów z terenami wschodnimi, wiadomości stamtąd docierały jednak do Polski centralnej. Powtarzała je polska prasa podziemna, a także i żydowska prasa tajna w getcie warszawskim. W niewiele tygodni potem, bo w początku grudnia 1941 r., Niemcy uruchomili pierwszy obóz zagłady na ziemiach polskich, w Chełmnie nad Nerem. Fakt ten jest zarówno, że i ta wiadomość w ciągu kilku tygodni znalazła się w prasie podziemnej oraz że doszła do środowiska żydowskich działaczy społecznych i politycznych, w każdym razie w getcie warszawskim, jak i to, że w zasadzie nie wyciągnięto z niej żadnych praktycznych wniosków. Marek Edelman opisał w 1945 r. ten stan rzeczy: „Getto warszawskie w te wiadomości nie uwierzyło, nie mogli uwierzyć ci wszyscy czepiający się życia ludzie, że to życie może im być w taki sposób zabrane. Jedynie zorganizowana młodzież, obserwując uważnie wzrost terroru niemieckiego, uznała wypadki te za prawdopodobne i prawdziwe i postanowiła przeprowadzić szeroką akcję propagandową dla uświadomienia społeczeństwa”.

Nie jest zapewne rzeczą przypadku, że jeszcze przed rozpoczęciem masowej akcji eksterminacyjnej w Polsce centralnej ukazały się rozporządzenia zabraniające Żydom pod groźbą kary śmierci opuszczania wyznaczonych im dzielnic mieszkaniowych i grożące karą śmierci za udzielanie bezpośredniej czy pośredniej pomocy uciekinierom z gett, przy czym odpowiedziano, że nawet czyn usiłowany „karany będzie jak czyn dokonany”. W ślad za tym rozporządzeniem Hansa Franka poszczególne szefowie dystryktów, a nawet przedstawiciele niższych szczebli administracji hitlerowskiej opublikowali szereg zastrzeżeń i zakazów w związku z coraz częstszymi faktami ukrywania Żydów uciekających z gett i udzielania im pomocy w różnej formie przez Polaków. Gubernator dystryktu warszawskiego Fischer, któremu formalnie i faktycznie podlegało największe wówczas skupisko Żydów w Polsce – getto warszawskie – zagroził w obwieszczeniu z 10 listopada 1941 r., że karze śmierci podlega każdy, kto ukrywającym się Żydom „udziela świadomie schronienia lub im w inny sposób pomaga”. Równocześnie wyznaczono nagrody na równi za wskazanie policji niemieckiej Żydom przebywających poza gettem, jak osób pomagających im. Stanowiło to niewątpliwie bodziec do delatorstwa dla elementów kryminalnych, ale najwidoczniej nie dało pożądaných i oczekiwanych przez Niemców rezultatów, gdyż w krótkim czasie pojawiać się zaczęły w różnych częściach GG zarządzenia i ostrzeżenia niemieckie świadczące o tym, że ludność polska mimo wszystko pomaga prześladowanym. I tak np. „Gazeta Lwowska”, organ hitlerowski w języku polskim w *Distrikte Galizien*, pisała 11 kwietnia 1942 r.: „Faktem jest niestety, że wieś w dalszym ciągu, a dziś potajemnie, wspomaga Żydów, przynosząc swym nielegalnym nastawieniem szkodę całemu ogólowi, a więc także i samej sobie. Wieś wszelkimi nielegalnymi drogami, przy użyciu całego swego sprytu i obchodzenia przepisów, dostarcza miejscowemu żydostwu artykułów spożywczych (...) Wieś musi raz oderwać się, odseparować się od żydostwa, musi się odzwyczaić od wysoce antyspołecznego wspomagania Żydów”.

Rok 1940 przynosi w różnych miesiącach likwidację dotychczas istniejących

w GG gett, wywożenie części ich ludności do ośrodków zagłady w Bełżcu, Sobiborze, Treblince, a potem także i Oświęcimiu. Była to realizacja ogólnego planu zagłady przyjętego w styczniu 1942 r. w Berlinie.

Nie jest moim zadaniem szczegółowy opis postępującej w ciągu 1942 r. w różnych częściach Polski zagłady Żydów przez Niemców. Podstawowe fakty wskazane były już 10 grudnia 1942 r. w nocie ministra spraw zagranicznych rządu polskiego w Londynie Edwarda Raczynskiego do rządów państw alianckich. W obrębie interesującego nas tematu istotne wydaje się natomiast ustalenie, czy i w jakim stopniu to gwałtowne pogorszenie się sytuacji Żydów w Polsce, która weszła w stadium zagrożenia bezpośrednią eksterminacją biologiczną, wywarło wpływ na stosunek otoczenia polskiego do osób zagrożonych, czy i w jakim zakresie, w jaki sposób i z jakim skutkiem udzielano im indywidualnie lub zbiorowo pomocy, jaka była możliwość i praktyka kontaktów wzajemnych, czy i jak funkcjonowały w świadomości społecznej polskiej i żydowskiej problemy tych kontaktów?

W pierwszych miesiącach istnienia na terenie Polski zamkniętych żydowskich dzielnic mieszkaniowych opinie na temat przyszłości gett były podzielone, w zasadzie jednak dominował w społeczności żydowskiej pogląd, że ta forma izolacji, połączona z uciskiem i wyzyskiem, nie umożliwi przeżycia wojny. Panował również pogląd, że może ona w jakimś stopniu umożliwić przetrwanie ludzi nią dotkniętych za cenę dostosowania się i bierności. Warunki bytowania w gettach, panująca tam nędza i choroby stopniowo wyniszczające ludzi słabszych fizycznie i uboższych były faktem w Polsce wiadomym i uwzględnianym w sprawozdaniach o sytuacji w kraju przekazywanych rządowi w Londynie, jak też w polskiej tajnej prasie, mającej dość znaczny obieg, jeszcze przed znanym listem Bundu w Polsce do rządu polskiego w Londynie z 11 maja 1942 r. Kolejne fale terroru prewencyjnego dotyczące społeczeństwo polskie w różnych częściach kraju w latach 1941-1942 i szczególnie nasilenie terroru w Warszawie jako największym skupisku Polaków na terenie kraju przyzwyczyliło w pewnym stopniu ogół do dramatycznie twardej normy codziennego życia. Stałe aresztowania, przepelnienie więzień Gestapo i systematyczne transporty do różnych obozów koncentracyjnych, które z czasem doprowadziły do tego, że we wszystkich obozach hitlerowskich Polacy stanowili największą grupę uwięzionych — wszystko to przyczyniło się do pewnego stępienia uwagi w odniesieniu do tego, co dzieło się za murami gett.

Brak jest danych naukowo sprawdzonych, czy i w jakim stopniu w zamkniętych środowiskach gettowych funkcjonowała świadomość prawdziwego natężenia terroru niemieckiego wobec Polaków, a zwłaszcza wobec planowo eksterminowanych środowisk inteligencji polskiej.

W roku 1942 większość ludności miejskiej w Polsce centralnej znajdowała się też w stanie daleko posuniętej pauperyzacji ekonomicznej i choć nie można w ogóle porównywać poziomu wyżywienia, poziomu życia ludzi w gettach i poza gettami, to jednak nie należy pomijać czynnika pochłonięcia ludności polskiej codzienną walką o podstawy bardzo skromnej egzystencji.

Jak można w tych warunkach scharakteryzować stosunki polsko-żydowskie pod okupacją niemiecką?

Wspólne zagrożenie przez Niemców już w czasie trwania działań wojennych i

przeciwniemieckie nastawienie ogółu ludności żydowskiej wpłynęło, już w okresie kampanii wojennej, w niektórych miejscach na zbliżenie i współdziałanie obu grup narodowościowych. Do jednoznacznie pozytywnych doświadczeń należało tu solidarne zachowanie silnej liczebnie ludności żydowskiej Warszawy w czasie oblężenia miasta.

Hitlerowskie zarządzenia i pierwsze ekscesy antyżydowskie doprowadziły w wielu wypadkach już w pierwszych tygodniach okupacji tę środowiska czy grupy polskie, które nastawione były niechętnie lub nawet wrogo do Żydów, do pewnej refleksji, a nawet przejawów współczucia. Są na ten temat poważne świadectwa żydowskie, polskie, jak też w materiałach okupanta.

Rzeczywiste kontakty o charakterze prywatnym między ludnością polską a żydowską istniały przed wojną na większą skalę w środowisku zasymilowanej kulturowo inteligencji żydowskiej i w pewnym stopniu bogatszego mieszczaństwa, jak też w liczbowo niewielkich środowiskach intelektualnych albo przemysłu i finansjery. Charakterystyczne natomiast w przekroju masowym było zjawisko życia o b o k, tj. wzajemnego braku kontaktów, a w szczególności kontaktów o charakterze osobistym. Wyjątki potwierdzają tu regułę. Wśród osób potraktowanych przez Niemców jako Żydzi (bez względu na przynależność kulturową czy wyznaniową nawet) stosunkowo najczęściej decydowali się na uchylenie się od pójścia do gett utworzonych w 1940-41 r. właśnie ludzie mający osobiste powiązania z polskim środowiskiem. Pośród uciekinierów z gett, szczególnie we wcześniejszym okresie istnienia zamkniętych dzielnic, przeważali także ludzie mający osobistych znajomych Polaków.

W warunkach ogólnego terroru hitlerowskiego panującego po stronie aryjskiej szanse skutecznego ukrywania się zależały niewątpliwie od poprawnej znajomości języka i pewnego typu wspólnoty kulturowej z otoczeniem. Szans tych praktycznie nie mieli więc ludzie przyzwyczajeni przez długie lata życia do odmiennego obyczaju: zachowania, stroju, nie znający języka otoczenia i pozbawieni przez własne środowisko możliwości akceptacji. W warunkach polskich dotyczyło to jeśli nie większości, to w każdym razie znacznego procentu Żydów.

I tak np. Wanda Grossmanowa-Jedlicka wspomina:

Należeliśmy do tej, niezbyt – jak się zdaje – licznej grupy osób pochodzenia żydowskiego, które nie pozwoliły zamknąć się w getcie. Decyzję o zmianie nazwiska i przejściu na nielegalność podjęliśmy z mężem w końcu lata 1940, w chwili gdy władze niemieckie w Warszawie ogłosiły temlni przymusowego przesiedlenia do dzielnicy żydowskiej. Nie wiedziałam wtedy, że przyjdzie nam ukrywać się ponad 4 lata; ale kiedy mówiono mi, że łatwiej będzie przetrwać wewnątrz murów niż na zewnątrz – odpowiedziałam, że nie po to Niemcy wznosili mury, aby je później rozwalić i grzechnie wypuścić wszystkich na wolność.

(...) Decyzja okazała się słuszna. Wprowadzić mąż mój nie przeżył wojny – ale nie miało to związku z naszą szczególną sytuacją: wywieziony w drugim tygodniu powstania wraz z tysiącami mieszkańców Bielan zginął w obozie. Ja przetrwałam wraz z oboma synami, cały czas w Warszawie lub jej okolicach. Ponadto, jako już od dawna urzędzona po „aryjskiej” stronie, mogłam pomagać w ratowaniu członków dalszej rodziny, a zwłaszcza ich dzieci: w koszmarnym lipcu 1942 i później.

Należeliśmy do rodziny od pokoleń spolszczonej, całkowicie zasymilowanej, i byliśmy ochrzczeni. Wszystko to znakomicie zwiększało szanse przetrwania (brak rzucających się w oczy odróżniających cech zewnętrznych, różnic kulturalnych i religijnych).

I teraz trzeba powiedzieć: przetrwanie byłoby w ogóle niemożliwe, gdyby nie szlachetna i bezinteresowna pomoc, niekiedy sięgająca granic poświęcenia i bohaterstwa, ze strony licznych osób, znajomych i nieznajomych, najczęściej takich, które wobec mnie i moich bliskich nie miały żadnych moralnych zobowiązań osobistej natury.

Z kolei jedna z osób świadczących pomoc, Regina Zakrzewska, pisze:

Cała moja rodzina, należąc do grupy postępowej inteligencji polskiej, przyjaźniła się przed wojną z inteligencją żydowską mniej lub bardziej spolonizowaną. Nie ma więc nic dziwnego w tym, że w tragicznym okresie okupacji pozostaliśmy wierni naszym przyjacielom, którzy, może właśnie dzięki temu, prawie wszyscy przeżyli wojnę i okupację.

Decyzja nie pójścia do getta miała w każdym jednostkowym wypadku szereg konsekwencji natury ekonomicznej, zawodowej i rodzinnej; nie można też zapomnieć, że różnie interpretowano pojęcia solidarności i związków ze środowiskiem. O charakterystycznym na przykład problemie polsko-żydowskich małżeństw mieszanych tak pisze Emanuel Ringelblum (w swej pracy *Stosunki polsko-żydowskie w czasie II wojny światowej*):

Zarządzenia antyżydowskie Niemców nie były w stanie naruszyć trwałości polsko-żydowskich związków małżeńskich. Rodziny „aryjskie” starały się ostonić swych żydowskich członków, dla których uzyskiwano odpowiednie papiery „aryjskie” albo po prostu ukrywano ich lub przenoszono do innej dzielnicy czy miasta, by zatrzeć wszelkie ślady. Można przyjąć za aksjomat, że o ile Żyd miał w rodzinie polskich krewnych, mógł liczyć na ich pomoc, nawet jeśli rodzina ta składała się z samych antysemitów.

Obok wspomnianych już więzów o charakterze osobistym pewną rolę odgrywały w utrzymaniu kontaktów między izolowanymi grupami ludności więzy interesów materialnych. Abstrahując od wypadków skrajnych nadużyć, które zdarzały się wszędzie, więzy te między handlowcami lub przemysłowcami odgrywały często rolę pozytywną. Przyczyniały się one też do nielegalnego z punktu widzenia okupanta transferu żywności i innych towarów, i to w obie strony.

Rozpoczęcie planowej zagłady Żydów przejęło większość ludności grozą, ale także i lękiem przed podobnym losem. Zbrodniczej bezwzględności niemieckiej wobec Żydów, bez różnicy płci i wieku, towarzyszyła też bezwzględność wobec Polaków udzielających im z jakichkolwiek pobudek pomocy. Nie są dotychczas zakończone — i wątpliwe, aby w ogóle zakończone być mogły — badania na ten temat, przyjąć jednak można, że za udzielanie pomocy Żydom zginęło kilka set polskich rodzin. Ofiary tej akcji idą więc z pewnością nie w setki, a w tysiące osób. Nie mogło to pozostać bez wpływu na gotowość podejmowania ryzyka. Rozpatrując też w dalszym ciągu w jakimkolwiek kontekście zagadnienie pomocy i współdziałania w opisanych tu konkretnych warunkach, można by zadać sobie pytanie, na które nie ma chyba jednoznacznej odpowiedzi: czy jakakolwiek inna, nie-polska, społeczność jako całość skłonna byłaby w analogicznej sytuacji do dalej idącej całopalnej ofiary dla ratowania innych?

Jest rzeczą oczywistą, że motywacje udzielania pomocy Żydom były różne. Obok wspomnianych już więzi rodzinnych, przyjacielskich czy zawodowych motywem udzielania pomocy było częstokroć, jak to wynika z wielu relacji, zwykłe

ludzkie współczucie. Uwzględnić tu trzeba zarówno motywacje religijne u ludzi głębiej pojrzujących nakaz miłości bliźniego, jak też poczucie solidarności z jeszcze ciężiej od Polaków dotkniętymi ofiarami zbrodniczych działań okupanta. Innym, stosunkowo często występującym motywem pomocy – ukrywania, była chęć zysku. Nie ma powodu, aby zjawisko to przemilczać. Jeśli pominiemy przypadki spotykanego normalnie w skrajnych sytuacjach wyzysku i nadużyć, to uznać trzeba, że odpłatnie udzielana pomoc bywała i długotrwała, i skuteczna, gdyż przyczyniła się w ostatecznym efekcie do uratowania życia wielu ludzi. Wspomniane zaś wyżej złe warunki materialne, w jakich w czasie wojny znajdowała się większość ludności polskiej, a szczególnie ludność miejska, stawiają w ogóle pod znakiem zapytania możliwość systematycznego udzielania pomocy bez posiadania na ten cel dodatkowych środków materialnych.

W tym też kontekście bardzo poważne znaczenie, a od połowy 1942 r. znaczenie wręcz przełomowe, miała pomoc materialna finansowana z budżetu rządu polskiego w Londynie i sumy nadsyłane za jego pośrednictwem przez organizacje żydowskie ze Stanów Zjednoczonych. Poszczególne organizacje polityczne i społeczne, socjalistyczne, liberalne i katolickie, prowadziły we własnym zakresie – głównie w wielkich skupiskach miejskich jak Warszawa, Kraków i Lwów – pomoc dla niewielkich grup ludzi w granicach posiadanych możliwości.

Gwałtowna zmiana sytuacji w 1942 r., wzrost liczbowy ucieczek z gett w związku z deportacjami i równoczesne ukonstytuowanie się struktur żydowskiego ruchu podziemnego – wszystkie te okoliczności przyczyniły się do rozwoju zakreślanej form pomocy instytucjonalnej. W grupach ludzi, których działalność poprzedziła w ciągu lata i jesieni 1942 r. powołanie Rady Pomocy Żydom (kryptonim „Żegota”) panowało przeświadczenie, że do głównych celów akcji pomocy należeć powinno, po pierwsze: ratowanie możliwie jak największej liczby zagrożonych ludzi, ze szczególnym uwzględnieniem dzieci, i dopomożenie im w dotrwanii do końca wojny, a po drugie: równoczesne, systematyczne informowanie i alarmowanie państw i społeczeństw tzw. wolnego świata, czyli aliantów, o postępującej zbrodni zagłady Żydów. Natomiast w ścisłym związku z ogólną taktyką polskiego ruchu podziemnego, która nie przewidywała masowej otwartej akcji zbrojnej zanim nie powstaną realne szanse skutecznego jej prowadzenia w ostatniej fazie wojny, uważano, że większość środków materialnych obracać należy na pomoc Żydom w utrzymaniu ich przy życiu, a nie na ich zbrojenie. W ramach realistycznego myślenia w nader rozległych środowiskach polskich i żydowskich skłaniano się tu do pragmatycznej oceny możliwości, szczególnie że ogólny rozmiar całej pomocy był i tak niewystarczający. Fakt zaś, że wystarczający być w ogóle nie mógł i że nie istniała żadna realna możliwość uchronienia choćby kilkuset tysięcy ludzi, nie mówiąc już o milionach, od tragicznego losu, w niczym oczywiście nie przynosił ulgi ofiarom i nie powinien też stanowić czynnika uspokajającego sumienia biernych świadków wydarzeń. Z moralnego bowiem punktu widzenia najwyższym nakazem etycznym wielu wyznań i światopoglądów jest gotowość poświęcenia życia dla bliźniego. W praktyce ideał ten niezmiernie rzadko jest realizowany.

Nader charakterystyczne dla rozpatrywania zakresu udzielanej pomocy jest

skłonność do uwzględniania tylko efektu końcowego. Jest to skądinąd psychologicznie zrozumiałe. Ale każdy, kto problemy ratowania Żydów w Polsce w okresie zagłady badał, a szczególnie każdy, kto w tych poczynaniach w jakimkolwiek stopniu uczestniczył, wie, że ogromną większość energii i wysiłku pochłaniało udzielanie pomocy ukrywającym się po stronie aryjskiej lub wyciąganie z gett i obozów ludzi, których mimo wszelkich wysiłków uratować zdołano tylko na pewien czas. I tu znaleźć można zapewne wytłumaczenie rozbieżności w ocenach liczbowych zakresu świadczonej pomocy (problem: liczba *ratowanych*, liczba *uratowanych*).

Choć specjalistom wydaje się to truizmem, przypomnieć jednak trzeba panujące w Generalnym Gubernatorstwie, jak też i na wschód od Bugu i Śanu, w latach 1942-44 warunki i rozmiar zagrożeń. W żadnym innym okupowanym kraju w Europie, ani też w samych Niemczech, nie dokonywano w tak wielkim zakresie systematycznych obław, rewizji i blokad całych dzielnic w wielkich miastach w poszukiwaniu ukrywających się Żydów. Było ponadto wiele innych przyczyn tej szczególnej podejrzliwości policji hitlerowskiej, jak choćby masowość udziału młodszej i średniej generacji Polaków w tajnych organizacjach. Pole manewru było więc bardzo ograniczone. Liczba Polaków przebywających w drugiej połowie wojny w więzieniach i obozach koncentracyjnych wynosiła już kilkaset tysięcy. Wraz z członkami ich rodzin, dotkniętymi tą sytuacją, można więc już mówić o paru milionach ludzi znajdujących się w szczególnie trudnej sytuacji. Ani masowość biernego oporu w okupowanej Polsce, ani wyjątkowa w skali europejskiej, może tylko porównywalna z Jugosławią, siła oporu zbrojnego nie zmieniają faktu, że nawet Armia Krajowa, najpoważniejsza i największa z organizacji działających wtedy w Polsce, nie była przecież normalną armią działającą w unormowanych warunkach. Nie przedsięwzięto i nie widziano możliwości przedsięwzięcia żadnych poważnych i skutecznych kroków dla odbicia z więzień czy obozów koncentracyjnych własnych, aresztowanych przez Gestapo kolegów i dowódców (spora-dyczne próby tego rodzaju dawały znikome efekty i pociągały za sobą niewspółmiernie wielkie straty). I nikt się temu nie dziwił, choć dla wielu było to bolesne.

Historycy ruchu oporu, nie mówiąc już o niektórych pamiętnikarzach, byli i są skłonni do idealizacji i monumentalizacji własnych działań, a niedoceniają sprawności i perfidii metod ogromnego, wyspecjalizowanego aparatu wywiadowczego i policyjnego hitlerowców. Przy pomocy sieci konfidentów różnych narodowości przygotowywano systematycznie masowe i indywidualne aresztowania i wielokrotnie w ciągu każdego roku okupacji je realizowano. Ofiarą donosów padali nawet ludzie tak dobrze chronieni jak członkowie Komendy Głównej AK i czołowi działacze, przywódcy różnych stronnictw politycznych. W ręce Gestapo dostali się w podobny sposób zarówno Komendant Główny AK, gen. Stefan Rowecki, jak Delegat Rządu na Kraj, Jan Piekalkiewicz, żeby wymienić tylko najbardziej spektakularne przykłady. Z konfidentami walczone w sposób zorganizowany, karano ich też śmiercią w skali nieznannej w okupowanych krajach Europy zachodniej, ale opanowanie w pełni tego zjawiska nie było możliwe, tak jak nigdy i nigdzie nie jest możliwe pełne zapobieżenie najgroźniejszym nawet formom przestępczości pospolitej. Ofiarami donosicieli padali też często ukrywający się Żydzi, zazwyczaj także ludzie, którzy im pomagali. Stosunkowo często spotkać się można

było z przykładami wymuszeń materialnych i szantaży dokonywanych z żądzy zysku na ofiarach najbardziej bezbronnych. Walka z tego rodzaju przestępczością była bardzo trudna, jednak była prowadzona. Nie dysponujemy żadnymi sprawdzalnymi naukowo danymi, ilu Żydów i ilu nie-Żydów na całym terenie kraju padło w sumie w ciągu przeszło pięciu lat okupacji ofiarą konfidentów i przypląciło to życiem lub co najmniej utratą wolności i zdrowia. Trzeba jednak stwierdzić, że zjawisko to było powszechnie uważane za dotkliwe, czego dowodzi bezwzględny stosunek do delatorów zarówno polskich organizacji tajnych, jak i zorganizowanych grup bojowych w gettach. Emanuel Ringelblum stwierdzając, że „żywot Polaka ukrywającego Żyda nie należy do łatwych”, motywował to między innymi panującym w kraju „szalonym terrorem” i pisał:

Najlepszą część społeczeństwa, najszlachetniejsze i najofiarniejsze jednostki wywożą masowo do obozów koncentracyjnych lub do więzień. W kraju kwitnie szpiclstwo i denuncjatorstwo, co zawdzięczamy w dużej mierze masie prawdziwych i fałszywych Volksdeutsche. Na każdym kroku areszty i obławy. W pociągach nieustanne poszukiwanie broni i szmuglu, na ulicach miast – to samo.

Ringelblum zauważa ponadto, że „masy ludowe są codzienne zatrufane jadem antysemityzmu z łamów prasy, przez radio i t.d.”.

To twierdzenie zasłużonego historyka i działacza społecznego czynnego w żydowskim ruchu podziemnym w Warszawie jest niewątpliwie słuszne jako ocena intencji i zamiarów kierownictwa propagandy hitlerowskiej w okupowanej Polsce. Budzić musi natomiast dość zasadnicze wątpliwości przy rozpatrywaniu realnych efektów społecznych propagandy okupanta. Aparatów radiowych Polacy nie mieli w ogóle i niewielką tylko część ludności słuchała oficjalnych komunikatów hitlerowskich nadawanych przez megafony uliczne. Prasa okupanta w języku polskim przyjmowana była z największą nieufnością i nie należy przeceniać jej wpływu na kształtowanie poglądów. Dużo realniejszy wpływ mogły mieć wrogie Żydom wypowiedzi czy też wypowiedzi postulujące obojętność wobec losu Żydów, jakie pojawiały się w wydawanej tajnie prasie skrajnej polskiej prawicy politycznej. Idzie tu szczególnie o kilka pism wydawanych przez oba odłamy przedwojennego Obozu Narodowo-Radykalnego (ONR) – tzw. Grupę „Szańca” i Narodowe Siły Zbrojne oraz organizację Konfederacja Narodu, na której czele stał Bolesław Piasecki, w której większym stopniu także niektóre pisma Stronnictwa Narodowego. Wręcz podejrzana rolę w tej dziedzinie odegrała też mała grupa pod nazwą „Miecz i Pług”. Stwierdzić jednak należy, że centralna prasa głównych polskich stronnictw politycznych, a przede wszystkim prasa Armii Krajowej i Delegatury Rządu informowała o sytuacji Żydów w Polsce we właściwym tonie i w duchu solidarności z ofiarami i jednoznacznej oceny zbrodni. Faktem bezspornym zaś jest, że właśnie prasa Armii Krajowej i Delegatury Rządu cieszyły się największym zainteresowaniem tej części społeczeństwa, która w ogóle prasę tajną czytała.

W piśmiennictwie Zachodu, a co za tym idzie i w opinii publicznej wielu społeczeństw zdaje się panować pogląd, że zagłada Żydów dokonana przez Niemców na terenie Polski przeprowadzona była w atmosferze wrogości polskiego otoczenia wobec ofiar. Poglądy takie reprezentują m.in. autorzy nie zajmujący się bezpośrednio badaniem problematyki okresu „holocaustu” i nie będący świadkami wyda-

rzeń na podstawie analizy zjawiska trendu antysemitycznego w Polsce przed 1939 r. (np. światowej sławy socjolog, prof. Aleksander Hertz). Sąd ten w odniesieniu do okresu okupacji uważam za niesprawiedliwy. W przedstawionych wyżej warunkach okupacji w Polsce postawa większości ludzi wobec prześladowanych była lepsza niż można było tego oczekiwać np. na podstawie analizy tekstów przedwojennych publikacji antysemitycznych i pamięci o antysemitycznych wystąpieniach na wyższych uczelniach w Polsce w latach trzydziestych, czy też o przejawach bojkotu współobywateli Żydów w niektórych środowiskach zawodowych lub też w ramach fałszywie rozumianej konkurencji ekonomicznej przed 1939 r. Raczej przyjąć można, że postawa inteligencji polskiej i tak wpływowego w życiu społecznym Polski czynnika jak Kościół katolicki okazała się dość dobra, a niekiedy bardzo dobra. Nasuwa się też spostrzeżenie, że nie ma było Polaków, którzy pomagali Żydom chcieli, przewyciężając zrozumiały strach, ale nie mogli osiągnąć proporcjonalnych wyników i czuli się bezradni. Można też przyjąć, że uczucia lęku prowadziły do chęci izolowania się od wydarzeń i w konsekwencji do bierności. Bierność jednak nie jest równoznaczna z wrogością. Można wreszcie postawić pytanie, czy w zakresie ratowania Żydów w Polsce, w warunkach postępującej zagłady, nie można było osiągnąć więcej, uratować więcej ludzi. Teoretycznie z pewnością byłoby to możliwe, gdyby istniały środki i sposoby dla skutecznego ukrycia w tych warunkach nie dziesiątków a setek tysięcy ludzi, i to w ciągu dwu lub trzech lat. Takiej konkretnej możliwości jednak żaden znawca warunków okupacji w Polsce nie wskazał ani nie udowodnił.

Pozostaje strona moralna zagadnienia. W kategoriach moralnych stwierdzić trzeba jasno, że ani w Polsce, ani nigdzie w okupowanej Europie nie zrobiono dość dużo, gdyż „dość dużo” zrobili tylko ci, którzy zginęli przy udzielaniu pomocy.

1944-1947 / Michał Borwicz

Żydzi, którzy hitlerowską okupację przeżyli w Polsce, mieli za sobą ponad pięć lat codziennych konfrontacji ze śmiercią, masowych rzezi i zgony swoich najbliższych. Ogromna większość spośród Żydów, którzy przeżyli w Związku Radzieckim, trafiła tam w wyniku masowych wywózek lub więzień i katorgi. Jedni i drudzy pozostali ogołoceni z rodzin. Znikły całe środowiska, wiekowe struktury, instytucje, dziedzictwo.

W tej sytuacji ruch emigracyjny zaczął się od pierwszej chwili. Motywacje były proste: opuścić ten ogromny cmentarz, który na każdym kroku przypominał osobiste i zbiorowe tragedie. Równocześnie organizacje syjonistyczne realizowały swój własny program emigracyjny; wydarzenia ostatnich lat mogły ten ruch wzmocnić, ale go nie stworzyły. Była też (i od razu, i w późniejszych fazach) jeszcze inna kategoria emigrantów: Żydzi, którzy spędzili wojnę w Związku Radzieckim i poznawszy ten ustrój pragnęli znaleźć się od niego jak najdalej.

Duża ilość niedobitków decydowała się jednak pozostać – ludzie związani szczególnie mocno z językiem i kulturą polską, a równocześnie wielka liczba tych, którzy widzieli swoją misję czy nieraz cały sens ocalonego życia w kontynuacji wielowiekowej historii Żydów na tej ziemi. Od samego początku powstawały instytucje inspirowane chęcią odnowy. Centralny Komitet Żydów z jego oddziałami nie był co prawda wołny od narzuconego mu tzw. klucza partyjnego. Formalnie biorąc, był on właściwie tylko ramą dla pozostałych instytucji, a tych było sporo: partie polityczne i ich agendy (ustrój dopuścił zrazu – przez paralelność z polskimi partiami koncesjonowanymi – istnienie niemal wszystkich, bo za wyjątkiem rewizjonistów lub tp., kierunków syjonistycznych – Poale Sion prawicę i lewicę, ogólnych syjonistów Bund, o żydowskiej sekcji PPR już naturalnie nie wspominając); były kongregacje religijne, organizacje spółdzielcze oraz zakłady pomocy społecznej, przede wszystkim sierocinice i przychodnie lekarskie; były od razu związki teatru z językiem żydowskim, była wreszcie bardzo dynamiczna Żydowska Komisja Historyczna, zajmująca się najpilniejszym wtedy zadaniem, tzn. zbieraniem, opracowywaniem i wydawaniem materiałów, dokumentów i zeznań świadków, mających utrwalić prawdę o losach Żydów pod hitlerowską okupacją. Była poza tym prasa w języku polskim i żydowskim, związek żydowskich literatów i wydawnictwo książek w języku żydowskim.

Fundusze na to wszystko pochodziły od żydowskich instytucji zagranicznych, Jointu i innych organizacji; fakt, że wydawano je na te właśnie cele świadczył jednak o niewątpliwiej woli odbudowy na gruzach.

Niestety, cała ta „praca organiczna” (by ją tak nazwać) odbywała się w klimacie zageszczonego antysemityzmu i chronicznie popełnianych na Żydach zbrodni.

Pomińmy w tej chwili ciężką spuściznę ostatnich lat przedwojennych, podtrzymywaną starannie w latach okupacji nie tylko przez organizacje marginesowe, Falangę czy Konfederację Narodu, ale również przez wchodzącą do czwórporozumienia endecję oraz przez prasę tych wszystkich ruchów. Pomińmy także powracające w każdej dyskusji sprawy różnego typu donosicielei i szantażystów, gdyż niezależnie od rozległości i ciężaru popełnionych przez nich spustoszeń był to proceder jednostek.

Pozostaje oczywiście sprawa okruczeństwa pożydowskiego mienia, w tym mieszkań. Nie są zgodne z prawdą uogólnienia o „kupowaniu” tych mieszkań za cenę wywózki i śmierci ich gospodarzy czy lokatorów. Gdy mieszkania i sklepiki zostały jednak puste, nie było powodów, aby się do nich nie wprowadzać. Mieszkań tych w dużych i średnich miastach były setki, a miścinach dziesiątki (a miścin takich było przecież na całym terytorium bardzo dużo). Mieszkanie czy sklepik – był to awans społeczny i, nawet jeśli zdarzył się bez ukartowania go z góry, powrót dawnych właścicieli był niepożądanym.

Dodajmy i podkreślmy, że przebieg męczeństwa w ogóle, a w danym przypadku w szczególności był bardzo nefotogeniczny. Celowo używam tego szokującego w tym kontekście terminu. Wycieńczone głodomory w fuchmanach, ludzie posiniaczeni, stłoczeni w gettach, ogołone głowy i pasiak obozowe budzą odrazę. Naturalnie jeśli nie działają automatycznie myślowe korektywy. Niemcy doskonale o tym wiedzieli i robili wszystko, by takie korektywy wykluczyć.

Dochodził jeszcze inny czynnik: w czasie okupacji Żydzi, odgradzeni od reszty ludności, stali się kimś dalekim i obcym. Stosunek do nich przestawał być stosunkiem ludzi do ludzi, stawał się stosunkiem ludzi do pojęcia. Pojęcie łatwo każdej propagandzie ujednotacza w pożądanym kierunku.

Najdonioślejszą wszakże była tradycyjna legenda o „żydokomunie”, tym razem ze wszystkimi pozorami konkretności. Od inwazji Armii Czerwonej na ziemie wschodnie we wrześniu 1939 fama ta roznosiła się po całym kraju, wyolbrzymiając zresztą rolę Żydów. W ostatnich latach wojny posunięcia Stalina, zmierzające do podboju i sowietyzacji Polski, stały się zupełnie wyraźne. Zerwanie stosunków dyplomatycznych z polskim rządem emigracyjnym (w dodatku pod pretekstem sprawy Katynia!), wysunięcie na scenę polityczną Związku Patriotów Polskich i PKWN, utworzenie dywizji Berlinga i powołanie Krajowej Rady Narodowej, wreszcie wstrzymanie ofensywy Armii Czerwonej w chwili wybuchu Powstania Warszawskiego – to wszystko jeszcze w czasie okupacji niemieckiej doprowadziło do stanu wrogości do stosunku do Związku Sowieckiego. 1 stycznia 1945 rozpoczął w Lublinie swoją działalność proklamowany przez wspomnianą Radę i będący oczywistym pionkiem sowieckim „Rząd Tymczasowy Rzeczypospolitej Polski”. 4 lutego odbywa się w Jańcu konferencja Wielkiej Trójki. W sześć tygodni później, 27 i 28 marca, ma miejsce zaproszenie, porwanie i aresztowanie szesnastu reprezentantów władz polskiego ruchu oporu, następnie – od 18 czerwca – pokazowy przeciwko nim proces przed Najwyższym Sądem Wojskowym Armii Czerwonej. Na każdym z tych etapów wrogość do nowego *régime'u*, uważanego za zamiar jednej okupacji na drugą, pogłębiała się.

Wśród dygnitarzy przemocą wprowadzanego ustroju znalazło się wiele osób żydowskiego pochodzenia. Pomijam tutaj problem podniesiony w pamiętnikach byłych komunistów (Chęcińskiego, Hersza Smolara, Gronowskiego-Brunot¹ i innych), czy ze strony Stalina była to celowa taktyka. Podobnie jak kwestię pochodną – że liczba Żydów nie była tak duża jak sądzono, lecz że wysuwano ich na stanowiska eksponowane i budzące szczególną nienawiść. Faktem jest, że obecność ich i funkcje przez nich sprawowane w aparacie państwowym wydawały się całkowicie potwierdzać slogany o „żydokomunie”. (By diagnoza była jeszcze oczywistsza, fama głosiła, że niemal wszyscy dygnitarze są żydowskiego pochodzenia. Dla wielu nie-Żydów – np. Radkiewicza – wymyślano nawet w tym celu fantazyjne drzewa genealogiczne.)

Slogany przeciwko „żydokomunie”, posiadające tym razem konkretne i łatwe do eksploatacji podłoże, pokrywały w wielu wypadkach antysemityzm zrodzony i karmiony przyziemnymi interesami z innych dziedzin: głosili je ci wszyscy, którzy na skutek eksterminacji Żydów porobili większe czy nawet całkiem małe, ale przecież – dla nich – fortuny, lokatorzy – dużo liczniejsi – pożydowskich mieszkań czy byli „treuhändlerzy”, czyli ustaleniami przez Niemców powiernicy, zwłaszcza ci od grubszych i mocno dochodowych przedsięwzięć. Nie wolno tego naturalnie generalizować, ponieważ wśród tych wszystkich kategorii byli również ludzie uczciwi, którzy w swoim czasie po prostu skorzystali z zaistniałego stanu rzeczy, co nie pociągało w nich potrzeby „ideologicznej” nadbudowy. W każdym razie zasilały całym szeregiem innych motywów, do których się głośno nie przyznawano, an-

tysemityzm nasycał klimat. Tytułem ilustracji: odnotowałem kiedyś zjawisko, jakie dla czytelnika nie znajόμεgo owej atmosfery było trudne do pojęcia²:

Wojewódzka Żydowska Komisja Historyczna w Krakowie, której byłem wtedy dyrektorem, zbierała m.in. zeznania dotyczące tych licznych Polaków, którzy w czasie okupacji udzielali pomocy Żydom, bardzo często z narażaniem własnego życia. Dość wcześnie zaczęliśmy je, w kontekście przeżyć odnośnych świadków, ogłaszać w naszych publikacjach. Otóż wielu spośród wymienionych z nazwiska (i to właśnie w charakterze dobroczyńców) przychodziło z wyrzutami, że ujawniając ich nazwisko narażamy ich na przykrości, a niektórych na zemstę. (W dalszych publikacjach, na wyraźne żądanie zainteresowanych, tzn. byłych opiekunów, trzeba było niejedno z ich nazwisk przemilczać lub zadawałać się inicjałami.)

Należy podkreślić, że liczne środowiska polskie były zdecydowanie przeciwnie antysemityzmowi i w miarę możności dawały temu wyraz. Zarówno do tych grup i środowisk, jak do trudności walki na tym odcinku jeszcze wrócę.

Odnosnie dokonanych na Żydach mordów: *Encyclopaedia Judaica* podaje, że w samym roku 1945 było ich 353. Ofiary te nic z komunizmem nie miały wspólnego. Byli to przeważnie ludzie przypadkowi, wyciągni z pociągów i autobusów; w pewnych wypadkach osoby, które wróciwszy do swoich dawnych miejsc zamieszkania ginęły z rąk lub za sprawą sąsiadów, ci bowiem zawładnęli w niędzyczka-sic ich mieniem.

Następują pogromy. W czerwcu 1945 w Rzeszowie. 11 sierpnia tegoż roku w Krakowie. 4 lipca 1946 w Kielcach, gdzie 42 Żydów, mężczyzn i kobiet, zostało zamordowanych i kilka dziesiątek poranionych. Nie zatrzymuję się nad przebiegiem wymienionych pogromów, ponieważ jest on szeroko znany. Wiadomo, że we wszystkich trzech wypadkach działała prowokacja w postaci oskarżenia o żydowski mord rytualny, przy czym wszędzie użyto podobnych rekwizytów i sposobów. Kto jednak owe prowokacje organizował?

Według Tadeusza Żenczykowskiego, „inspiratorem rzeszowskich zaburzeń antysemickich był szef Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa mjr Władysław Sobczyński”. W rok później – według tegoż autora – „on również organizował podobne zajścia w Kielcach”³. Wysuwano również inne nazwiska. W wypadku Kielc podejrzania co do manipulacji sowieckiej krążyły od dawna. Ogłosiła je Krystyna Kersten⁴, cytując szereg poszlak. Zauważmy tutaj tylko, że w Kielcach odbył się sąd, rozprawa i były skazania, lecz źródłowi instygatorzy nie byli nigdy niepokojeni. Już wtedy zachowanie się pewnych miejscowych dygnitarzy, milicji, wojska było zresztą podejrzane. W samej Polsce prasa nie zwracała oczywiście na to uwagi, lecz czytając obecnie ówczesne sprawozdania dziennikarzy zagranicznych cały szereg szczegółów musi zastanowić.

Według tej tezy, tajnym sowieckim prowokatorom chodziło o pozbawienie Polski sympatii w krajach zachodnich, i to właśnie przed wyborami, które miały utwierdzić i zatwierdzić sowiecki podbój. Wtórny następstwem (może z góry nie przewidzianym, niemniej jednak od razu wykorzystanym) było jeszcze liczniejsze niż dotąd obsadzenie Urzędu Bezpieczeństwa sowieckimi „specjalistami”, pod pretekstem, że nie potrafił sprostać zadaniom. (Zanotujmy, że 9-letni wówczas, a obecnie 47-letni Henryk Błaszczyk, który był głównym instrumentem kie-

ieckiej prowokacji, żyje w Polsce, lecz w ciągu tych kilku dziesiątków lat nikt bliżej nie wypytywał go o ówczesnych jego instruktorów, a dziennikarze dzisiaj jeszcze nie mają jakoś do niego dostępu.)

O wszystkich tych wypadkach pisano natychmiast bardzo szeroko nie tylko w Polsce, ale również – i przede wszystkim – w zachodniej Europie i krajach Ameryki: Należy mianowicie pamiętać, że od pierwszych lat powojennych znajdowało się w Polsce bardzo wielu zagranicznych dziennikarzy. Zagłada Żydów, umiejscowienie przez Niemców właśnie w Polsce największych obozów eksterminacyjnych, ściągało korespondentów nie tylko żydowskich. Nadto wydarzenia polityczne – wprowadzanie przemocą ustroju tzw. demokracji ludowej, ta, by tak rzec, satelizacja Polski, mimo istnienia emigracyjnego rządu polskiego w Londynie i mimo wcześniejszych zobowiązań aliantów – nadawały wydarzeniom w Polsce jak największą aktualność.

Wracając do tematu: by prowokacja się udała, muszą istnieć warunki do wybuchu. Te niestety były, na domiar złego w stanie chronicznie zapalnym.

Jakie było stanowisko Kościoła, jedynej i e g a l n e j instytucji, która miała „rząd dusz”?

W maju 1946 rabin dr Dawid Kohane i generalny sekretarz żydowskich zrzeszeń religijnych prof. Michał Silberberg udali się do siedziby prymasa Hłonda (wtedy jeszcze w Poznaniu), by uzyskać audiencję i prosić o wydanie listu pasterskiego w sprawie niemal codziennych mordów. Równocześnie złożyli w kancelarii memorandum, w którym ostrzegali przed nieuchronnym wybuchem, jeśli Kościół nie zabierze głosu w tej sprawie. Prymas Hłond z miejsca zwrócił memorandum przez swego sekretarza, odmawiając przyjęcia tej delegacji zrzeszeń – powtarzam – religijnych.

3 czerwca 1946, więc dokładnie na miesiąc przed kieleckim pogromem, po długich zabiegach, kardynał Hłond przyjął przybyłego ze Stanów Zjednoczonych prezesa Światowego Związku Żydów Polskich (którego siedziba mieściła się w Nowym Jorku), dr. Józefa Tennenbauma. Na wszystkie wywoły dr. Tennenbauma, poparte listą zamordowanych, prymas Hłond powoływał się niezmiennie na obecność Żydów we władzach reżimowych, „usiłujących wprowadzić ustrój, któremu większość narodu jest wroga”⁵. Pojęcie „żydokomuny” i odpowiedzialności zbiorowej wyłożone więc zostało w całej pełni.

Podobny przebieg (nie wchodzę tu w retoryczne szczegóły) miał wywiad udzielony przez kardynała Hłonda licznej grupie zagranicznych dziennikarzy w dniu 11 lipca, czyli tydzień po kieleckim pogromie⁶.

W samych Kielcach biskup Kaczmarek, trzy tygodnie przed pogromem, przyjął delegację tamtejszych Żydów zaniepokojonych niedwuznaczną już groźbą wybuchu. Prośbie ich o ogłoszenie listu pasterskiego odmówił, przy czym odpowiedź jego była analogiczna w treści do deklaracji prymasa. W samym dniu pogromu, gdy tłum atakował już dom Żydowskiego Komitatu, jego przewodniczący usiłował telefonować do siedziby biskupa z prośbą o interwencję. Kancelaria biskupa odmówiła połączenia. Po procesie biskup Kaczmarek odmówił przyłączenia się do wspólnej deklaracji (podpisanej m.in. przez opozycyjne Stronnictwo Ludowe). Ogłosił natomiast oddzielnie. Nie nazywając ani jednym zdaniem wypadków jako

takich, mówi w niej ogólnie o „krwawym dramacie wywołanym splotem wydarzeń ... zdarzyło się nieszczęście, zwłaszcza że odbyło się na oczach młodych i nieletnich dzieci”. W rezultacie kuria biskupia wzywa ludność Kielc do zachowania spokoju i zastanowienia⁷.

Biskup Lublina Wyszyński, który w późniejszych latach, już jako prymas Polski, wystąpił w epoce Moczarza z dużą odwagą przeciw organizowaniu antyżydowskiej nawałnicy, wówczas, po pogromie kieleckim, powtórzył jedynie opinię o wrogości przeciw Żydom, ponieważ biorą oni „aktywny udział w obecnym życiu politycznym kraju”. Co więcej, w tej samej wypowiedzi do delegacji Żydów Lublina znalazło się zdanie: „Niemcy mordowali naród żydowski dlatego, ponieważ Żydzi są szerzycielami komunizmu”. Zaś na konkretne pytanie delegatów o jego stanowisko co do potwarzy o mordzie rytualnym odparł: „Na procesie Beilisa* zebrało dużo dawnych i współczesnych ksiąg żydowskich, lecz kwestia używania przez Żydy krwi nie została decydująco rozwiązana”. Krótko mówiąc – drugi Sobór Watykański był jeszcze bardzo daleki.

Jeżeli wymienione pogromy, z kieleckim na czele, były zatem – na co wiele poszlak w istocie wskazuje – sowiecką prowokacją, mającą na celu pozbawienie Polski, w tych decydujących i bardzo ciężkich dla niej latach, sympatii Zachodu, to trzeba powiedzieć, że prowokacja ta udała się i to chyba ponad spodziewania prowokatorów. Nie tylko dlatego, że napotkała od razu namiętnych wykonawców w tłumach, jakich nikt (za granicą ani w Polsce) o prosowieckie sympatie nie mógł posądzać, ale – i może głównie dlatego – że w owych wywiadach zyskiwała jakby pozytywne echo ze strony kościelnej hierarchii. (Trzeba przypomnieć, że wywiady bywały dawane z wyraźnym warunkiem, iż będą drukowane wyłącznie za granicą.) To prawda, że w każdym z nich figurowało stereotypowe zdanie, że nie ma powodu do wydawania listów pasterskich, jako że Kościół potępia każde zabójstwo. W podobnym kontekście, jeżeli zachodni czytelnik w ogóle zwrócił na to zdanie uwagę, musiało ono wyglądać na krwawą ironię.

Zdecydowanie i z dużą odwagą wystąpił natomiast przeciw siewcom pogłosek o mordzie rytualnym biskup Częstochowy Teodor Kubina. I w istocie, mimo mocno już zaawansowanej prowokacji, do żadnego pogromu w Częstochowie nie doszło. Przeciw propagandzie antysemitkiej działali również poszczególni księża (np. ks. Henryk Weryński w Krakowie).

Niedwuznacznie, w bardzo wstrząsających sformułowaniach, potępił pogrom kielecki przełożeni Kościoła ewangelickiego.

W Krakowie bliski kurii arcybiskupiej „Tygodnik Powszechny”, ukazujący się od początku pod redakcją Jerzego Turowicza, zajmował zawsze stanowisko szcze-

* Menachem Mendel Beilis (1874-1934) w 1911 w Rosji został oskarżony o dokonanie mordu rytualnego. Proces (1913) odbił się szerokim echem po całym świecie. Świadkowie oskarżenia podczas rozprawy zarzucili policji wydobycie z nich tendencyjnych zeznań; jako „specjalista” z zakresu medycyny sądowej występował po stronie oskarżenia kapłan katolicki, który stwierdził, iż zabójstwo nosiło wszelkie cechy mordu rytualnego, „tak ulubionego przez wyznawców religii żydowskiej”. Sąd złożony z rosyjskich wieśniaków jednogłośnie uznał Beilisa niewinnym (przyp. red.).

rze humanistyczne, występując przeciw propagandzie nienawiści nie tylko w artykułach teoretycznych, ale we wszystkich działach. Wpływ jego był najniewątpliwiej dodatni, zważywszy wysoki poziom pisma i autorytet, jakim się cieszyło. (Zauważmy na marginesie, że arcybiskup Krakowa, kard. Sapięha, przyjął udział w honorowym patronacie nad akademią urządzoną w kwietniu 1946 z okazji trzeciej rocznicy powstania w getcie warszawskim; gest ten przyjęty był bardzo pozytywnie.)

Wspominałem, że liczne środowiska polskie były zdecydowanie przeciwnie antysemityzmowi i w miarę możliwości dawały temu wyraz. W miarę możliwości, gdyż przeciwdziałanie na tym odcinku było skomplikowane.

Przed wszystkim: żadna z czterech partii oficjalnych nie zachowała ani tradycyjnej fizjonomii, ani tradycyjnej bazy. Partia komunistyczna zmieniła nie tylko nazwę (na PPR) — ożywiona wolą zdobycia za wszelką cenę jak największej ilości członków, by liczbowo zmajoryzować PPS, przygarniała elementy nawet ze swego punktu widzenia podejrzane. PPS, niezależnie od rozbitcia zewnętrznego, nawet w koncesjonowanej, legalnej partii doświadczała pęknięć. Nieufność do Stronnictwa Demokratycznego, które w istocie posiadało w swoich szeregach przedstawicieli postępowej inteligencji, wywoływało przekonanie, że w stronnictwie tym znalazło się również wiele komunistycznych „wtynczek”. Wreszcie Stronnictwo Ludowe, które przeżywało wtedy szczytowe lata swojej popularności: w przeciwieństwie do ówczesnych opinii emigracji, Stanisław Mikołajczyk stał się dla społeczeństwa w Polsce mężem opatrnościowym. Według panującego mniemania, przyjechał on z gwarancjami Anglii i Ameryki. W rezultacie był entuzjastycznie popierany przez duże odłamy ludności nie mające ze Stronnictwem Ludowym nic wspólnego, w tym przez skrajną prawicę: nie jako *leader* swej partii, lecz jako legalny wódz opozycji, człowiek zaufania Zachodu, więc i rękojmnia gwałtownych zmian. Z drugiej strony Mikołajczyk i jego stronnictwo, licząc na wolne wybory, kontrolowane przez aliantów, pragnęli — choćby tym ostatnim — dowieść, że za Mikołajczykiem stoi cały naród. Nie chcą — nie zrazić nikogo, a więc i żywiołów prawicowych, Stronnictwo Ludowe i jego organ „Gazeta Ludowa” powstrzymywały się od zbyt wyraźnych potępień. Reakcje „Gazety Ludowej” na pogromy były z tej przyczyny anemiczne.

Wreszcie: w żadnym jawnym artykule i w żadnej jawnej dyskusji przeciw antysemityzmowi nie można było — tym razem ze względów cenzuralnych — roztrząsać wyraźnie zjawiska „żydokomuny”, ponieważ sam komunizm nie mógł podlegać dyskusji: musiał być oświetlony pozytywnie⁸. Ten motyw był tymczasem najważniejszy.

Ludność żydowska koncentrowała się, z wymienionych tu powodów, niemal wyłącznie w dużych miastach. Wyjątek stanowiły Ziemie Odzyskane, czyli tereny Dolnego Śląska, dokąd nowa administracja kierowała większość repatriantów ze Związku Sowieckiego i gdzie możliwości urządzenia się były dużo większe niż gdzie indziej. Od samego początku duży odsetek Żydów pracował tam w dziedzinach przed wojną tradycyjnie „nie-żydowskich”: w kopalniach, hutach, gospodarstwach rolnych. Byli więc Żydzi-górnicy, chłopci itd. w licznych ośrodkach miejskich (Wałbrzych, Wrocław, Ruda, Bielawa), ale i w okolicznych wsiach, gdzie wie-

iu Żydów miało zasobne gospodarstwa⁹. To zgrupowanie Żydów w dużych miastach na terytoriach centralnej Polski i na Śląsku miało swą dobrą stronę w dziedzinie kulturalnej. Przedstawienia w języku żydowskim w dwóch teatrach (w Łodzi i na Śląsku)¹⁰ odbywały się przy wypełnionych salach. Podobnie było przy poszczególnych występach wybitniejszych aktorów, na odczytach itp. Fakt ten umożliwił otwarcie szkół, w których wśród przedmiotów nauczania znajdował się m.in. język żydowski lub język hebrajski. ORT* zgodnie ze swym posłannictwem zakładał i utrzymywał szkoły rzemieślnicze.

Wstrząs po pogromie kieleckim spowodował gwałtowną falę kolejnej emigracji, legalnej i nielegalnej¹¹. Ponieważ masowa repatriacja ze Związku Sowieckiego była już zakończona, ilość ludności żydowskiej zmniejszyła się co najmniej o połowę¹².

Wszystkie wspomniane przeze mnie instytucje kontynuowały swoją działalność. Podstawowe zmiany nastąpią z bliską w czasie, całkowitą stalinizacją kraju.

Na zakończenie kilka luźnych uwag:

Podobnie jak i gdzie indziej, partia komunistyczna usiłowała również na odcińku żydowskim wywierac, przez swoich reprezentantów, polityczne naciski. Przedmiotem tych ostatnich były zwłaszcza – i nie bez przyczyny – wydawnictwa Żydowskiej Komisji Historycznej. Obecnie mogę z niejaką dumą stwierdzić, że Komisja potrafiła wszystkim tym naciskom z systematycznym uporem się przeciwstawić. Dziś, po 37 i 38 latach i po wszystkich zaszytych w tym czasie zmianach, przy lekturze którejkolwiek spośród licznych ówczesnych publikacji Żydowskiej Komisji Historycznej nie odczuwa się cienia ani wstydu, ani choćby zażenowania.

Odnosię ludności polskiej: podobnie jak wcześniej, posiadała ona i wtedy liczne środowiska, które nie tylko nie poddawały się antyżydowskiej psychozie, ale – w miarę sił i możliwości – z odwagą ją zwalczały. Zażębenia sytuacji i konfliktów oraz metody stosowane przez reżim, ale i sama reżimowa cenzura oraz lansowane przez oficjalną propagandę teorie paraliżowały ich wysiłki¹³.

W przyszłości zmieni się gruntownie również stanowisko Kościoła, zarówno w skali światowej (w wyniku drugiego Soboru Watykańskiego), jak i w Polsce.

Zmieniać się będą w Polsce polityczne konstelacje, ale zawsze w ramach panującego ustroju. Jeśli chodzi o tzw. kwestię żydowską, pierwsze powojenne lata miały w sobie wszystkie złowieszcze zapowiedzi na przyszłość.

Za każdym nawrotem antysemitycznej fali i antysemitycznych działań cierpieć będą oczywiście Żydzi, ale ucierpi mocno także Polska: praktycznie, moralnie i w opinii świata.

Związany organicznie z polską i żydowską kulturą oraz z polskimi walkami wyzwoleniczymi odczuwałem przy wszystkich tych wydarzeniach nie tylko krzywdę wyrządzaną Żydom, ale – również głęboko – także krzywdę wyrządzaną narodowi polskiemu. I wiem, że podobnie reagowali bardzo liczni Polacy nie-Żydzi.

* ORT („Organizacja dla Rehabilitacji i Treningu” – przybliżone tłumaczenie), założona w carskiej Rosji (1880) organizacja, której celem było szkolenie rzemieślników i rolników spośród ludności żydowskiej. Bardzo aktywna w Europie (w tym na ziemiach polskich), posiada do dziś oddziały na całym świecie. W Polsce czynna do 1949, wznowiła działalność w 1957, zawieszona ponownie w 1967 (przyj. red.).

1 Michael Chocinski, *Poland, Communism, Nationalism, Anti-Semitism*, Kerr-Cohl Publishing, New York 1982; Hersch Smolar, *Na ostatniej linii i z ostatnią nadzieją* (w j. żydowski), J. L. Perce, Tel Aviv 1982; Louis Gronowski-Brunot, *Le Dernier Grand Soir. Un Juif de Pologne*, Seuil, Paris 1980.

2 *Słowo o prawdzie staje się obowiązkiem*, „Kultura” (Paryż), nr 11 (133), listopad 1958. Przedruk w mej książce *Ludzie, książki, spory...*, Księgarnia Polska w Paryżu, Paryż 1980.

3 Tadeusz Żenczykowski, *Dramatyczny rok 1945*, Polonia Book Fund, Londyn 1982.

4 Krystyna Kersten, *Kielce – 4 lipca 1946 roku*, „Tygodnik Solidarność” (Warszawa), nr 364, grudzień 1981

5 Joseph Tennenbaum, *In Search of a Lost People*, The Beechurst Press, New York 1948. Dr. Tennenbaumowi towarzyszył z ramienia Ogólnopolskiej Ligi do Walki z Rasizmem prof. Olgięrd Górka.

6 S.L. Shneiderman, *Between Fear and Hope*, Arco Publishing Co., New York 1947.

7 Ibid. Tamże dokładny tekst wszystkich odnośnych deklaracji.

8 Doświadczylem tego mocno osobiście. Ogłaszając wtedy moją publikację przeciw antysemityzmowi (M. Borwicz, *Organizowanie wściekłości*, Ogólnopolska Liga do Walki z Rasizmem, Warszawa 1947) musiałem przed oddaniem do druku zrezygnować z dwóch rozdziałów na ten temat, zredagowanych zresztą już z góry bardzo ostrożnie.

9 Cytowana przez Shneidermana statystyka, którą zakomunikował mi wówczas kierownik oddziału produktywizacji, wymieniała następujące pozycje (do 10 czerwca 1946): ogólna liczba zatrudnionych na Śląsku Żydów – 13101, z czego 2000 w Rudzie, ponad 10000 w Wałbrzychu, Wrocławiu i Bielawie. Największa liczba Żydów zatrudniona była w fabrykach tekstylnych (1487 osób); w kopalniach pracowało 906 osób, w przemyśle tekstylnym 377 osób, w innych przedsiębiorstwach państwowych 3080 osób, w spółdzielniach 1561 osób, w innych dziedzinach 5183 osoby.

10 W późniejszym okresie te dwa teatry połączyła w teatrze Idy Kamińskiej.

11 Od czerwca do września 1946, legalnie i nielegalnie (przez Śląsk do Czechosłowacji, stamtąd do obozów DP w Niemczech), opuściło Polskę około 100000 Żydów.

12 Wszystkie cyfry dotyczące liczby ludności żydowskiej w Polsce po wojnie są przybliżone. Równocześnie mimo tego gwałtownego spadku ruch spółdzielczy postępł naprzód i wyniki szczytowe osiągnął w 1948. Liczył wtedy od 8000 do 9000 członków w 220 spółdzielniach produkcyjnych, z których prawie połowa była prawdziwymi fabrykami. P. Meyer, E. Duschinsky, N. Sylvan, *The Jews in the Soviet Satellites*, Syracuse University Press, 1953. Cytuję za: M. Wiewiórka, *Les Juifs, la Pologne, et Solidarność*, Denoël, Paris 1984.

13 Według tych oficjalnych teorii, antysemicka (i w czasie niemieckiej okupacji, i po wojnie) była tylko mała garstka reakcjonistów. Ponieważ do tej „garstki” też propaganda zaliczała wszystkie formacje AK i wszystkie stronnictwa w Londynie, wywód nie posiadał nawet cienia wiarygodności.

ZAGADNIENIE STOSUNKÓW POLSKO-ŻYDOWSKICH W OPOZYCJI LAT SIEDEMDZIESIĄTYCH / Bohdan Cywiński

Najprościej byłoby powiedzieć, że zagadnienie to w ogóle nie istniało – ani w kręgu samej opozycji, ani w szerszej świadomości społecznej. Odpowiedź ta byłaby zdecydowanie prawdziwa. Nie byłaby wszakże zupełna i wyczerpująca. Stąd wy-

powieź niniejszą traktuje jako swoiste uzupełnienie tego wyrażonego na wstępie sądu.

Zagadnienie stosunków polsko-żydowskich w społeczeństwie nie istniało przede wszystkim z uwagi na nieobecność fizyczną Żydów, a przynajmniej znaczących społecznie środowisk żydowskich. Zagadnienie to nie istniało również jako problem w świadomości zbiorowej. Nie pojawiało się także w wypowiedziach ideologicznych jakichkolwiek grup, środowisk czy jednostek stanowiących autorytet społeczny. Podnoszenie tej kwestii nikomu nie wydawało się słuszne ani w kontekście problematyki aktualnej, ani przyszłościowej. Samo rozróżnianie między Polakami pochodzenia żydowskiego i pozostałymi wydawało się absolutnie sztuczne, niewspółczesne, wreszcie – było sprzeczne z uznawanymi powszechnie zasadami moralności społecznej i bardzo wyostrozonym krytycyzmem wobec wszelkich postaw nacjonalistycznych czy szowinistycznych.

Istotnym czynnikiem, ostatecznie zniechęcającym do ewentualnych postaw antysemitycznych, był fakt posługiwania się hasłami antysemitycznymi przez propagandę oficjalną władz, zwłaszcza w okresie 1967-1969. Zestawienie treści tej propagandy z konkretnymi posunięciami i całą polityką władz w roku 1968 kompromitowało doszczętnie wszelkie używane przez komunistów hasła w szerszej opinii publicznej.

Zagadnienie stosunków polsko-żydowskich – nie istniejąc jako problem aktualny czy przyszłościowy – było wszakże obecne w pamięci społecznej zwłaszcza starszych pokoleń. Pamięć ta przechowywała wspomnienie dwóch epok historycznych: najpierw – okupacji hitlerowskiej, później – pierwszego dwunastolecia komunistycznych rządów w Polsce. Okupacja hitlerowska zaważyła na stosunkach polsko-żydowskich poprzez fakt hekatomby Żydów polskich. Potworność tego faktu przeżyta została przez całe społeczeństwo polskie i uznana za szczytowy punkt zbrodni hitleryzmu. Było to zarazem unaocznienie moralnej ohydy, do której prowadzić może opętanie ideologią antysemitką. Nauka ta do dziś pozostaje żywa w świadomości społecznej Polaków, stanowiąc zasadniczą barierę moralną, zabezpieczającą przed ewentualną groźbą antysemityzmu. Straszne doświadczenie II wojny światowej było bezpośrednim udziałem ludzi, którzy w latach siedemdziesiątych należeli do pokoleń średniego i starszego. Młodzież wiedziała o tych sprawach jedynie „z drugiej ręki”.

Starsze i średnie pokolenie pamiętało wszakże i lata powojenne, dramatyczny okres 1944-1956, a wraz z nim – miało w świadomości niedobrą kartę części Żydów i ludzi pochodzenia żydowskiego w tym okresie. Fakty manifestacyjnego popierania władzy komunistycznej przez wielu Żydów zaraz po wojnie, wyjątkowe nagromadzenie osób pochodzenia żydowskiego w aparacie władzy, a zwłaszcza w najbardziej znieawidzonych społecznie resortach bezpieczeństwa i propagandy, oraz mnogość przykładów szczególnej ich wrogości wobec przejawów polskiego szacunku dla narodowej tradycji – wszystko to w jakiejś mierze pozostało w świadomości starszych pokoleń, powodując zrozumiałe urazy. Urazy istniały również po stronie ludzi pochodzenia żydowskiego, lekających się często zakwestionowania ich osobistej prawości ideowej przez otoczenie przywykłe do stereotypu Żyda-komunisty. Oba te urazy ograniczały się wszakże do starszych pokoleń, miały zatem społecznie charakter zjawiska zanikającego. Po roku 1970 można mówić tu

raczej o indywidualnych postawach niż o zjawisku społecznym.

W pokoleniu młodszym – i to w jego najbardziej upolitycznionej, opozycyjnej części – istniało natomiast w latach siedemdziesiątych zjawisko inne, które oglądane fragmentarycznie i z dystansu geograficznego może zostać pomyłkowo wzięte za objaw napięć polsko-żydowskich.

Było to zjawisko istnienia dwóch odmiennych wizji historii najnowszej Polski. Znaczenie tego faktu można docenić dopiero uświadomiwszy sobie, że historia PRL oficjalnie nauczana była i pozostaje dotąd najbardziej zakłamanym odcinkiem dziejowym. Natężenie propagandowych sloganów jest tu takie, że nie pozwala na dowiedzenie się podstawowych faktów minionego czterdziestolecia. Kompletna fikcyjność oficjalnie nauczanej historii PRL sprawia, że nikt nie traktuje jej poważnie. Informację szkolną zastępuje od lat informacja rodzinno-środowiskowa, głęboko sprzeczna z wersją oficjalną. Ograniczona wskutek działań cenzury i propagandy społeczna wiedza o faktach nie pozwala dość krytycznie spojrzeć na ową informację środowiskową. W związku z tym przekaz owej tradycji bywa w niektórych kręgach silny, jednostronny, deformujący historyczną prawdę.

W tej sytuacji funkcjonowanie w obrębie środowisk opozycyjnych dwóch skrajnie różnych wizji dziejów PRL i dwóch wmontowanych w te wizje tradycji środowiskowych stanowiło poważny problem na drodze do ideowej integracji opozycji.

Zadna ze wspomnianych wizji nie była prawidłowa i jednoznacznie sformułowana, nie istnieją – o ile wiem – ich uporządkowane i całościowe zapisy. Niemniej można w pewnych przynajmniej zarysach odtworzyć schematy myślowe obu stron.

Wizję pierwszą – nazwijmy ją wizją A – charakteryzowało syntetyczne traktowanie całego okresu 1944-1970 (75? 80?) i tendencja do minimalizowania różnic między poszczególnymi etapami sprawowania władzy przez komunistów. Dzieje czterdziestolecia dość jednoznacznie, a czasem zbyt prosto układały się tu w jednolity front, po którego jednej stronie stało zawsze niezłomne społeczeństwo, po drugiej zaś – Rosja, garstka polskich komunistów i popierający ich z wyrachowania oportuniści. Nikomu nie znane dokładnie dzieje oporu antykomunistycznego z lat 1944-1949 traktowane tu były z tendencją uwznioślającą, akcentowano powszechność podziemia politycznego, liczbę ofiar i krwawość brutalności represji komunistycznej. W tej samej perspektywie podkreślano ciągłość oporu ideowego ze strony Kościoła i przypominano kolejne chlubne karty jego martyrologii lat pięćdziesiątych. Akcentowano wreszcie społeczny zasięg i decydującą wagę biernego oporu w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, podkreślając ważność bezpartyjności jako podstawowej jego formy i kryterium patriotycznej uczciwości.

Zwolennicy tej wizji przeszłości PRL zdecydowanie negowali – poza przypadkami zupełnie wyjątkowymi – możliwość uczciwego akcesu do obozu rządzącego w jakimkolwiek etapie powojennych dziejów Polski, szafując pojęciem oportunisty w odniesieniu do wszystkich w zasadzie dokonanych w tym kierunku opacji.

Wizja druga – wizja B – we wszystkich tych kwestiach reprezentowała poglądy przeciwne. Charakteryzowała ją skłonność do podkreślania różnic między etapami polskich dziejów powojennych, przy czym zdecydowanie przerysowywana była

waga roku 1949, jako domniemanego momentu początkowego totalitaryzmu komunistycznego. Okres wcześniejszy określany był jako epoka względnej demokracji, zagadnienie zbrojnego podziemia nie budziło zainteresowania. Wybory ideologiczne i polityczne z końca lat czterdziestych traktowano w tej perspektywie ambivalentnie, podkreślając, że lewica niejako „naturalnie grawitowała” do obozu lubelskiego i kładąc nacisk na element „uczciwych złudzeń” w tym okresie. Wizja wczesnych lat pięćdziesiątych kwitowana tu była wszystkim załatwiająącym pojęciem „stalinizmu”, to jest systemu tyranii posuniętej tak daleko, że uniemożliwiającej jakikolwiek opór, a nawet zachowanie osobistej godności. Ówczesne zachowania społeczeństwa oceniano jako zupełnie bierne i posłuszne władzom, nie przywiązując równocześnie żadnego znaczenia do kategorii partyjności czy bezpartyjności.

Przedpaździernikowa „odwilż” w sferach partyjnych i intelektualno-młodzieżowych traktowana była w tej wizji przeszłości jako punkt wyjściowy historii najnowszej, początek jedynie ważnej akcji oporu przeciwko wszechwładzy komunistów i źródło wszelkiej ideowej tradycji. Wszelkie oceny zachowań w kategoriach moralności politycznej dotyczyły w tej wersji wyłącznie okresu po 1956 roku, a indywidualnie – po „odkryciu rzeczywistego oblicza” systemu, przedtem uznawanego za zasadniczo słuszny.

Obie opisane tu wizje historii najnowszej PRL w swych zasadniczych kształtach funkcjonowały wśród młodzieży opozycyjnej początku lat siedemdziesiątych, stwarzając wyraźny psychiczny dystans między zwolennikami obu tych tendencji. Obie wersje miały oczywiście szerszy zasięg społeczny. Wersja nazwana tutaj wizją A była w jakiejś mierze zgodna ze zbiorową pamięcią ogromnej większości starszego społeczeństwa. Osobiście sędzę, że była po prostu znacznie bliższa prawdzie historycznej, choć ją nieświadomie deformowała przez uwznioślenie. Miała też ona więcej zwolenników. Ale nie byli to zwolennicy głośni, znani, wyrobieni w piórze i wymowni. Środowiska intelektualne – zwłaszcza warszawskie – skłaniały się raczej ku wersji B, czyniąc to z przyczyn różnych: bądź z osobistego przekonania, bądź z potrzeby racjonalizacji wcześniejszych swych wyborów, które z czasem budzić zaczynały coraz więcej wątpliwości, bądź wreszcie dlatego, że wersja B wydawała się niektórym z nas sympatyczniejsza, bardziej otwarta, nieskłonna do potępień i bardziej „humanistyczna”.

W sumie można byłoby zapewne powiedzieć, że wersja A była w swej surowości ocen oportunistu i w swym przywiązaniu do trwałych zasad popularna w szerszym odbiorze, że zyskiwała zwolenników poza kręgami inteligentkimi, że żywsza była na prowincji, nie miała natomiast odpowiednich reprezentantów w kręgach intelektualnych i nie potrafiła znaleźć odpowiedniego wyrazu kulturowego. Wersja B natomiast była własnością niewielkich, ale aktywnych i głośnych środowisk inteligentkich, które czyniły z niej przekonywująco wykład tradycji opozycji demokratycznej w Polsce.

Różnice wizji przeszłości, odbijające odmienność tradycji duchowych i doświadczenia różnych środowisk nie wyraziły się – niestety! – w rzeczowej dyskusji o historii najnowszej PRL. Stało się tak zapewne dlatego, że żadna ze stron nie czuła się do tego rzeczowo przygotowana. W tej sytuacji jednak różnice te przy-

bierały charakter emocjonalny, mnożąc obopólne poczucie obcości i wzajemnego dystansu – racjonalnie bardzo słabo uzasadnionego i niełatwego do nazwania. Nadawana temu napięciu czasem nazwa konfliktu między lewicą a prawicą jest niedorzeczna, bowiem na pewno co najwyżej część tzw. lewicy przyznawała się do opisanej wyżej „wizji B”, a przyjmowanie „wizji A” za słuszną, absolutnie nie oznaczało żadnej „prawicowości”. Traktowanie tegoż zjawiska jako różnicy między perspektywą zawsze nieufnej wobec komunizmu większości społeczeństwa a spojrzeniem elity intelektualnej, która tę swą pozycję przypłaciła kiedyś akcesem do obozu władzy, a później przyjęła trudny los dysydentów, było odczuwane przez zwolenników „wizji B” jako wypominanie im wcześniejszych błędów lub wręcz podchodzenia z rodzin prominentów komunistycznych.

W tej sytuacji nasuwała się interpretacja inna. Zważywszy, że opisaną „wizję B” przyjmowali – wśród wielu innych – z reguły osoby pochodzenia żydowskiego, niechęć do tego środowiska – postkomunistycznego i reprezentującego swoistą tradycję dojścia do opozycji – tłumaczono – najzupełniej bezpodstawnie – resentymentami antysemitki. Trzeba zauważyć, że dla dotkniętych ową niechęcią osób pochodzenia żydowskiego taka interpretacja była psychologicznie najmniej bolesna, bowiem przenosiła całość winy za ów dystans na przeciwnika – domniemanego antysemitę.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych sytuacja zmieniła się. Typowe dla młodej generacji tych lat żywe zainteresowanie przeszłością spowodowało znaczne pogłębienie wiedzy na temat lat 1944-1956. Przyjmowane uprzednio wersje A i B musiały ustąpić spojrzeniu bardziej obiektywnemu i krytycznemu na dzieje tego okresu.

Ważniejszą okazała się zmiana atmosfery politycznej, dynamizacja opozycji i jej instytucjonalizacja w latach 1976-77. Napięcia wewnątrzopozycyjne zmieniły swój charakter i odnosiły się już nie tylko do takich czy innych tradycji środowiskowych, ale również do różnic przyjmowanej taktyki politycznej i stylu działania. Opozycja najbardziej widoczna rysowała się między KOR-em i ROPCio. Obie te grupy prezentowały bardzo podobne postulaty ideowe i zakładały analogiczną działalność. Charakter obu środowisk był jednak różny, styl działania okazał się całkowicie odmienny.

KOR miał w swym gronie znakomitą elitę intelektualną, reprezentującą zresztą najróżniejsze środowiska i tradycje ideowe. Miał wyjątkowo dynamicznych, sprawnych działaczy politycznych. Dysponował siecią istotnych stosunków w kręgach literackich i naukowych w kraju oraz za granicą, miał łatwość nawiązywania nowych kontaktów i umiał dbać o swój *image*. Działał szybko i z rozgłosem.

ROPCIO był zdecydowanie mniej określony w opinii publicznej przez same nazwiska swych twórców. Nie miał w sobie ani wdzięku elity intelektualnej, ani szybkości akcji działaczy KOR-u. Nie był znany i nie potrafił o to dostatecznie zadbać. W Warszawie zdawał się zdecydowanie ustępować KOR-owi, miał natomiast silne i liczne ośrodki w innych miastach, często na tak zwanej „głębokiej prowincji”. Pozbawiony intelektualnego „sznytu”, umiał stworzyć znakomite i trwałe

środowiska, w których zupełnie naturalnie odnajdywali się razem robotnicy, studenci i inteligenci.

Stosunki między KOR-em i ROPCio nie układały się przyjaźnie. W części środowisk KOR-owskich przyjęte było lekceważące i ośmieszające komentowanie posunięć ROPCio i kwestionowanie politycznego znaczenia tego ruchu. Równocześnie uparcie przypisywano mu zabarwienie prawicowe, ściśle mówiąc: endeckie.

W kręgach ROPCio objawy lekceważenia ze strony KOR-u przyjmowane były z oczywistą złością i w przekonaniu, że krytyka wynika z widocznej w części KOR-u chęci do „monopolizacji” polskiej opozycji demokratycznej i z dążenia do wywołania wrażenia, że poza KOR-em nie dzieje się nic ważnego. Zważywszy widoczną w KOR-ze znaczną umiejętność dbania o upowszechnianie informacji na temat swej działalności i fakt rozpowszechniania niekiedy w tym środowisku nader uogólniających opinii na temat innej grupy opozycyjnej – tj. KPN-u – wnoszone przez środowisko ROPCio zarzuty nie były całkiem bezpodstawne. Jednocześnie środowisko to stało się zamanifestować swą genealogię ideową, odmienną od tej, do której przyznawała się najbardziej znana, zgromadzona wokół Jacka Kuronia część KOR-u. Było to nowe wcielenie dawnego sporu o widzenie najnowszej historii Polski, sporu między wizjami A i B.

I znów, jak poprzednio, sprawa nie została precyzyjnie nazwana po imieniu, choć dążyła ku temu uczestnicząca w KOR-ze grupa skupiona wokół czasopisma „Głos” pod wodzą Antoniego Macierewicza. Dyskusję tym razem utrudniała przede wszystkim sytuacja polityczna i zachowanie władz. Trudno bowiem było komukolwiek występować z otwartą krytyką ludzi aktualnie prześladowanych za swą działalność ideową. Równocześnie jednak napięcia nie dość ujawniane rosły, wywołane bądź różnicami w poglądach na taktykę polityczną, bądź stylem zachowywania się w niewielkim jeszcze wówczas światku działaczy opozycyjnych.

I znów, najłatwiejszym ale niezgodnym z prawdą tłumaczeniem tych dających się tu i ówdzie wyczuć niechęci było ryczałtowe przypisywanie przeciwnikom pobudek antysemickich. Było to tym skuteczniejsze, że obciążony tym zarzutem przeciwnik okazywał się tym samym ukrytym sprzymierzeńcem komunistów, przyłączającym się do dyskredytacji najsukcesywniejszych działaczy opozycji. Rzecz w tym jednak, że takie – rzadko zresztą spotykane – interpretacje były na ogół nieprawdziwe.

W rzeczywistości, wśród różnych napięć i konfliktów w tonie polskiej opozycji demokratycznej lat siedemdziesiątych nigdzie nie wystąpiły konflikty polsko-żydowskie.

Marly, 16 IX 1984

CUM IRA ET STUDIO / Rafael F. Scharf

Jak wynika z raportów w prasie, z listów, z rozmów, konferencja w Oxfordzie spotkała się z aprobatą tych, którzy brali udział i tych, do których dotarły jej pogłosy. Zgodnie z zamierzeniami organizatorów dana była sposobność do wymiany poglądów, dociekania, jak to istotnie z tymi Żydami w Polsce było. Być może był to czyn, który będzie fermentował, a także będzie miał znaczenie terapeutyczne.

Temat jest obszerny, skomplikowany i w większości aspektów niemiły; obie strony podejmują go z ciężkim sercem. Wydaje mi się, że Polacy, którzy chcą o tych rzeczach myśleć i mówić (być może jest to tylko garstka), czują się w tej tematyce nieswoje, jak gdyby się spodziewali, że wypłynie na powierzchnię coś, z czym będzie się trudno uporać. Nikt nie lubi zarzutów pod swoim adresem, tych urojonych ani tym bardziej tych prawdziwych.

Pośród Żydów też jest wielu takich, którzy nie chcą do tego tematu wracać, nie chcą rozdrapywać ran; chcą o przeszłości w Polsce zapomnieć, odwrócić się od tego na zawsze. Konferencje, sympozja, dialogi w tych sprawach uważają za lukuś pięknoduchów, pytają, co komu z tego.

Zagłada Żydów w Polsce (unikam słowa *holocaust*, bo jest ono zgoła niefortunne i znieczulające, nawet w językach, w których się przez częsty użytek zadowolniło – ale na pewno już całkiem sztuczne w polskim) pozostawiła w psychice ocalałych urazy tak krwawe i głębokie, że ich reakcje nie zawsze są wyważone. Trzeba ostrzec: nie będziemy mówili na ten temat „obiektywnie” – obiektywizm, tj. dystans, spokój, równowaga, byłby tu sztuczną pozą.

Tkanka współżycia Polaków i Żydów na ziemi polskiej została bezpowrotnie zniszczona. Tych parę tysięcy Żydów pozostałych w Polsce, którzy się za takich otwarcie uważają i którzy niejako przeproszą, że żyją – bez szkół, bez rabina, bez synagog, bez kontaktu z Izraelem, bez kierownictwa, bez przyszłości – są fizycznie i duchowo społecznością w zaniku, nikt nie ma co do tego złudzeń. Trzeba przyznać -- może to niegodziwe, ale Żydzi na świecie przestali się o nich troszczyć, odpisali ich niejako na straty, więc ze strony żydowskiej nie mówimy o sprawach aktualnych, a wyłącznie o historii.

Natomiast dla Polaków jest to, wydaje mi się, tematyka żywotna i pierwszorzędnej wagi. Tysiącletnia obecność Żydów na ziemiach polskich i ta nagła i ostateczna nieobecność to są fakty, bez których nie można zrozumieć własnej przeszłości, a zatem i teraźniejszości. Historia Polski – w wersji nauczanej i udostępnianej – jest zakłamana nie tylko na tym odcinku, a jak wszędzie, gdzie ma monopol oficjalna wersja przykrojona do bieżącego dogmatu i gdzie badacz jest skrzępowany brakiem dostępu do źródeł i cenzorem. Moralna regeneracja wymaga autentycznego dialogu z przeszłością. Własne odbicie w cudzych oczach jest niezbędną korekturą wizerunku w zwierciadle. W tym procesie samopoznania Żydzi występują już nie jako strona, ale jako świadek, którego trzeba uważnie wysłuchać, a także, owszem, przesłuchać.

Jeśli znalazła się sposobność, aby Polacy spotkali się z Żydami na neutralnym gruncie, to ważne jest, aby sobie powiedzieć wzajemnie to, co najbardziej dręczy – nie gwoźli rekryminacji i retoryki, ale aby zbliżyć się do prawdy. Był czas, że Polak mógł powiedzieć publicznie o Żydzie co mu się żywnie podobało (najczęściej się nie podobało), a Żydzi musieli to polykać albo uciekać się do szyfru czy eufemizmów – co za ulga, kiedy można rzeczy nazywać po imieniu. Wiadomo też, że prywatnie z reguły Polacy między sobą mówią o Żydach inaczej (szczególnie, że na razie antysemityzm uchodzi jeszcze ciągle za coś, z czym szanujący się człowiek nie afiszuje się), a Żydzi między sobą o Polakach inaczej – warto by się z tej dwulicowości wyzwolić i wreszcie zerwać ze stereotypami.

Po izraelskiej wojnie „szczęśliwiej” zmienił się radykalnie stereotyp Żyda w oczach Polaka (i natychmiast narodził się nowy, równie błędny). Żydzi zaś aż nadto często takie mają wyobrażenie o Polakach, że domagają się ustawicznych zapewnień i dowodów, że ten czy inny Polak nie jest antysemitą – uważają takiego za wyjątek.

Wszystko to stanowi niełatwy punkt wyjścia do rzetelnej i szczerzej dyskusji. Trzeba by zacząć od uzgodnienia historycznych faktów, ale zgoda na to, co stanowi fakt, też nie jest automatyczna.

Weźmy ten obszerny, choć nieco już przesłonięty mgłą temat stosunków polsko-żydowskich w Polsce Dwudziestolecia. Jeśli by zadać pytanie, czy Polska była wówczas krajem, w którym szerzył się i panoszył antysemityzm, dla każdego Żyda, naocznego świadka, odpowiedź jest tak oczywista i jednoznaczna, że na samą myśl o takim pytaniu „śmiech zbiera pusty, a potem łitość i trwoga...”

Ledwie minął pierwszy powiew odzyskanej niepodległości, już się zarysowały zręby antyżydowskiego ruchu, który wzbierał na sile i stał się dla nas zjawiskiem wszechobecnym, wypełniającym bojkot gospodarczy, dyskryminacją na wszystkich szczeblach służby państwowej, *numerus clausus* na uniwersytetach, bojówki z żyłkami, getto ławkowe („doroczny wstyd”, nazywała to Maria Dąbrowska – to się jej też pamięta!), codzienne judzenie w prasie, programowy i prymitywny antyjudajizm Kościoła, tu i ówdzie pogromy z ofiarami w mieniu i ludziach.

Czy to przesadna żydowska wrażliwość skłania, że pamięta się endecję, chadecję, ONR – stronnictwa polityczne, których głównym programem była mniej czy więcej brutalna walka ze współobywatelami-Żydami? Czy to nasz wymysł? Czy to oficjalnie aprobowany bojkot gospodarczy, dyskryminacja na wszystkich szczeblach służby państwowej, *numerus clausus* na uniwersytetach, bojówki z żyłkami, getto ławkowe („doroczny wstyd”, nazywała to Maria Dąbrowska – to się jej też pamięta!), codzienne judzenie w prasie, programowy i prymitywny antyjudajizm Kościoła, tu i ówdzie pogromy z ofiarami w mieniu i ludziach.

Pod koniec lat trzydziestych dominującą partią był OZON, który licytował się w antysemityzmie z innymi wymienionymi partiami i jest wielce prawdopodobne, że gdyby nie wybuch wojny, na wokandę sejmową trafiłby jakiś wariant ustaw norymberskich (projekt był gotowy). To były realia polityczne Dwudziestolecia, można powiedzieć: jakaś obsesja antyżydowska, która odciągała uwagę od problemów stokrotnie ważniejszych.

Trzeba jednakowoż opowiedzieć także i o drugiej stronie medalu. Ktoś słusznie zapytał: jeśli było tak źle, to dlaczego było tak dobrze? Albowiem na przekór

temu, że klimat był surowy (a może dzięki temu, kto to wie?) kwitło na tych ziemiach pełne, bujne, urozmaicone, twórcze życie żydowskie. Istniała całkowita swoboda kultu, autonomia w sprawach religijnych, z rabinami wszelkiego autorytetu, od ultraortodoksyjnych do tzw. postępowych (jak i dziś, w nieustannej ze sobą waśni!), było szereg „cadyków” ze swymi dworami wiernych, były szkoły z językiem wykładowym hebrajskim i jesyzyboty dla studiów Talmudu, była prasa w języku polskim, jidysz i hebrajskim (wedle studium Mariana Fuchsa z Żydowskiego Instytutu Historycznego, w 1939 roku było w Polsce 30 gazet codziennych i 130 periodyków wszelkiego rodzaju), wydawnictwa książek religijnych i świeckich, były partie polityczne – syjonistyczne, religijne, robotnicze, asymilatorskie, byli postawie i senatorzy, literaci i pisarze, były teatry, towarzystwa dobroczynności, kółka oświatowe, kluby sportowe – słowem kwitła specyficzna cywilizacja, o korzeniach głębszych niż cywilizacja polska, ze swymi tradycjami, językiem, folklorem, literatury, muzyką. Czy komukolwiek z Polaków przyszło do głowy, że w sąsiednim miasteczku, ba, na tej samej ulicy działo się coś, czym warto by się zainteresować? Nie, to był w popularnym pojęciu „czarny ląd”, zacofany i prymitywny, budzący raczej niechęć i odrazę. Polak automatycznie uważał się za coś skończenie wyższego – każdy Polak od każdego Żyda (ten kompleks wyższości, nie tylko zresztą w stosunku do Żydów, choć wobec nich bardziej, zda się pokutować do dziś). Żydzi kwitowali to wzruszeniem ramion – mieli własną skalę wartości.

Musimy teraz, choć to dla obu stron niesłychanie trudne, mówić o czasie okupacji. Tutaj jest źródło najboleśniejszego zadrażnienia w stosunkach polsko-żydowskich – nie jestem pewien, czy kiedykolwiek da się coś w tym aspekcie zrobić. Co sprawę zaogniło do cna to fakt, że od pierwszej chwili po wojnie – i, można rzec, dotychczas – nie zezwolono na ten temat naprawdę szczerze i otwarcie mówić i pisać. Do tematu zagłady Żydów wracało się rzadko i półgębkiem i tylko w myśl oficjalnej tezy: że w swej ogromnej większości społeczeństwo polskie z Żydami współczuło, że gdzie mogło Żydom pomagało i ich ratowało, że sporadyczne wypadki (o które teraz tyle wrzasku) szantażu, donosów i wydawania Żydów to była działalność jednostek, „szumowin z marginesu społecznego”, których podziemie karało śmiercią; że w sumie społeczeństwo polskie wyszło z tej okrutnej próby moralnej nadspodziewanie korzystnie i z niesplamionym honorem.

Rozumiem dobrze, że Polacy chcą, że ni u s z ą w to wierzyć. Władysław Bartoszewski, naoczny świadek i jeden z organizatorów pomocy Żydom, więc jak mało kto upoważniony do wyrażenia poglądu w tej sprawie, wierzy w to. Ja sam wiele bym dał, by móc w to wierzyć.

Niestety – i to jest absolutne sedno tej całej sprawy czy rozprawy – opinia Żydów, tj. tych, którzy to wiedzą najlepiej, tych, którzy to przeżyli i tych, którym przekazane zostało świadectwo z pierwszej ręki, w swej przyniatającej większości głosi, że ta teza jest sprzeczna z ich doświadczeniem: że Polacy, z nielicznymi wyjątkami, którym tym większa, wieczna chwała, nie okazywali współczucia, nie pomagali, nie ratowali, że Żyd ukrywający się czy maskujący żył w trwodze nie przed Niemcem, lecz przed sąsiadem i przechodniem, z ich wyostrzoną polską wrażliwością na żydowskie rysy, wymowę czy strach w oczach; że gdyby ów Żyd

mógł być liczyć już nie na aktywną pomoc, która wymagała bohaterstwa, ale na neutralność, na to, by Polak patrzył w inną stronę – szanse przeżycia zwiększyłyby się stokrotnie. A gdyby wiadomo było, że można przystać do partyzantki – iluż by się uratowało (wielu myślących, że to była szansa, przypłaciło to życiem).

Chcę zwrócić uwagę na niezwykle znamienny dokument – raport Jana Karskiego, śmiałka i bohatera, który wszedł do historii jako nacowny świadek eksterminacji Żydów w obozie śmierci w Bełżcu i który pierwszy przyniósł na Zachód autentyczne świadectwo o komorach gazowych i krematoriach. Wcześniej tenże Karski był jednym z pierwszych kurierów z okupowanego Kraju i zawitał już w lutym 1940 roku do Angers we Francji, ówczesnej siedziby rządu na emigracji.

Karski był, jak się okazuje, doskonale rozeznanym we wszystkich aspektach sytuacji w kraju. Minister Stanisław Kot, żądny najdrobniejszych szczegółów wszystkiego, co się w kraju działo, zlecił Karskiemu m.l.n. napisanie raportu o sytuacji Żydów. (Oryginały dokumentów znajdują się w Hoover Institution Archives, Stanford, Cal.: „Kolekcja Dokumentów Rządu Polskiego”, zbiór 921, Akta Informacji i Dokumentacji N/55–Żydzi, oraz – drugi egzemplarz – Akta Stanisława Mikołajczyka, teczka „Żydzi w okupowanej Polsce”. Informacje te zawdzięczam badaniom Dawida Engla; patrz artykuł w „Jewish Social Studies” Vol. XLV, No. 1.

Elaborat Karskiego jest przenikliwym i dalekowzrocznym sprawozdaniem, pełnym trafnych spostrzeżeń i bezcennych informacji. Konstataje w nim, że wielu Polaków okazuje Żydom jawną wrogość i w zasadzie sympatyzuje z dążeniem Niemców do „rozwiązania” kwestii żydowskiej na ziemiach okupowanych. Podaję parę cytatów (w tłumaczeniu z dostępnego mi tekstu angielskiego):

„Rozwiązanie kwestii żydowskiej” przez Niemców – stwierdzam to w pełnym poczuciu odpowiedzialności za to, co mówię – jest poważnym i bardzo niebezpiecznym narzędziem w rękach Niemców, prowadzącym do „moralnego rozbrojenia” szerokich sfer polskiego społeczeństwa ... Aczkolwiek naród ich (Niemców) do gruntu nienawidzi, ta kwestia stwarza niejako pomost, po którym Niemcy dochodzą do zgody z wielką częścią społeczeństwa polskiego ... Co więcej, sytuacja ta grozi demoralizacją szerokich sfer ludności i to z kolei może stworzyć poważne problemy dla przyszłych władz, które będą odbudowywały Polskę ... „nauka nie idzie w las” ... Czy nie zaistniałaby możliwość, aby do pewnego stopnia, skoro istnieje trzech przeciwników (jeśli, oczywiście, można w obecnej sytuacji uważać Żydów za przeciwników), starać się stworzyć coś w rodzaju wspólnego frontu dwóch słabszych partnerów przeciwko trzeciemu mocniejszemu i śmiertelnemu wrogowi, a zostawić rozrachunki między tymi dwoma na później? ... Zmontowanie jakiegos szerszego wspólnego frontu napotka na ogromne trudności z punktu widzenia szerokich sfer polskiej ludności, pośród której antysemityzm bynajmniej się nie zmniejszył...

Jest tego więcej. To nie są już żydowskie wymysły i potwarze – to jest raport Karskiego.

I teraz pointa. Członkowie Rządu (wynika z odrębnych adnotacji, że raport zatrzymano w ścisłym gronie) – Mikołajczyk, Stróński, Kot – zdali sobie sprawę, że jest to dynamit: że opis antyżydowskich nastrojów, ich zasięgu i charakteru mógł, gdyby wyszedł na jaw, zdyskredytować sprawę polską w oczach aliantów. Nie wolno było przedstawić Polaków jako sprzyjających w jakiegokolwiek mierze nazistowskiemu celom. Cóż robić? Zredagowano drugą wersję raportu, w której cała polska ludność przedstawiona jest jako bez wyjątku zjednoczona w swym potę-

pieniu antyżydowskiej działalności Niemców!* *Sapientia sat.*

Parę lat temu w dyskusji z Andrzejem Szczypiorskim na łamach „Kultury” pisałem, że gdy trwał proces palenia w krematoriach, gdy pociągi do Chełmna, Sobiboru, Bełżca, Treblinki, Majdanka i Oświęcimia szły dzień i noc, i miesiącami buchał dym z kominów – gdyby wtedy wiadomo było, że to nie „żydki się palą”, tylko rodzimi polscy ojcowie, mężowie, matki, żony i dzieci, wybuch gniewu i zemsty narodu byłby nie do opanowania, choćby nawet – użyłem wtedy zwrotu – „szyny przyszło zębami zrywać”.

Szczypiorski surowo się wtedy ze mną rozprawił za te „szyny”, podkreślając bezsilność społeczeństwa wobec takich akcji jak pacyfikacja Zamojszczyzny, jak łapanki, wywózki do kacetów, publiczne egzekucje, jak systematyczne mordowanie polskiej elity umysłowej, jak późniejsze zniszczenie Warszawy, gdy ofiary to była krew z krwi i kość z kości polskiej, i wskazuje, że i wtedy nikt nie rwał szyn zębami... A zatem moje pretensje w tym względzie były nieuzasadnione i krzywdzące.

Wiele od tego czasu na ten temat myślałem – tak jak zawsze, codziennie, o tych rzeczach myślę. Smutno mi, że nie mogę zdania zmienić. To, że proces gazowania i palenia Żydów, który trwał latami, nie został zakłócony ani jednym incydentem z zewnątrz, utrwała mnie w przekonaniu, że społeczeństwo polskie, choć może patrzyło na to ze współczuciem – kamień by się wzruszył! – nie czuło się dostatecznie osobiście dotknięte i wzburzone, by indywidualnie czy zbiorowo interweniować, „wrywać szyny” czy cokolwiek, bez względu na konsekwencje. To, co Niemcy zrobili w obozach śmierci, można było zrobić tylko Żydom.

Prawdą jest, że w swej goryczy Żydzi często byli i są nieczuli na niedolę i trudności Polaków, nie pamiętają, że za próbę pomocy Żydowi groziła śmierć, myślą, że nic innego się nie liczy tylko stosunek do Żydów, widzą tylko te ciemne strony, „bo się krzywdą w głazie ryje, a dobrodziejstwa na piasku...” Ale dopóki polska apologetyka trwa przy swej oficjalnej wersji i uważa opinię żydowską w tym względzie za paszkwil, dopóty będziemy zaangażowani w „dialog głuchych”. Jest tragedią Polaków, że pośród okrutnych dopustów losu zostali wystawieni na bezprzykładną, szatańską próbę moralną. Z próby tej nie wyszli zwycięsko. Można twierdzić, że nikt inny z takiej próby nie wyszedłby lepiej – ale dla Żydów mała w tym pociecha.

Parę słów o roli Kościoła. Bartoszewski jakoś zbyt łatwo rozgrzesza polski Kościół – to tak w rzetelnym bilansie nie zostanie. Jeśli Kościół będzie kiedyś miał odwagę (i potrzebę) zrobienia rachunku sumienia, zobaczy z przerażeniem i skrucą, jak wielką rolę w zagładzie żydostwa odegrał jego odwieczny i nieubłagany antysemityzm – *in capite et in membris*. Kościół polski ma w stosunku do Żydów swą własną niechlubną kartę – posiew nienawiści nie obrodził żniwem miłosierdzia. Michał Borwicz omówił stanowisko kleru w związku z pogromami i mordowaniem Żydów po wojnie. Jedno zdanie z wypowiedzi kardynała Wyszyńskiego

* Kto tę drugą wersję zredagował, nie wiadomo, może sam Karski. W każdym razie wiedział o niej, albowiem na oryginałach obu wersji są jego własnoręczne adnotacje wskazujące na ustępy różniące się w tekstach.

prześladuje mnie i podważa wiarę w skuteczność dialogu: „Na procesie Beilisa zebrano dużo dawnych i współczesnych ksiąg żydowskich, lecz kwestia używania przez Żydów krwi nie została decydująco rozwiązana”. Jeśli dla kardynała Wyszyńskiego nie jest całkiem jasne, czy Żydzi biorą krew na macę, to w co wierzą jego księża i w co pasterska trzoda? A jeśli tak – to z kim i na jaki temat prowadzić dialog?

I taki jeszcze ironiczny splot: najnowszy polski święty, ojciec Kolbe, był w teorii i praktyce zagorzałym antysemitą, i choć jego bohaterka męczeńska śmierć wzbudza podziw i respekt, nie może to zmienić oceny jego wieloletniej, żydożerczej działalności, która, mówiąc łagodnie, do świętości się nie kwalifikowała.

W swym rozdzierającym lamencie *My, Żydzi polscy...*, który Julian Tuwim napisał w Ameryce, gdy doszły go wieści o zagładzie, jest taki passus:

... Na opaskach, jakie nosiliście w ghetcie, wymalowana była gwiazda Dawida. Wierzę w taką przyszłą Polskę, w której ta gwiazda, ta z opaski, stanie się jednym z najwyższych odznaczeń, udzielanych najwaleczniejszym żołnierzom i oficerom polskim. Będą ją z dumą nosili na piersi obok dawnego *Virtuti Militari*. Będzie i Krzyż Gherta – nazwa głęboko symboliczna. Będzie Order Żółtej Łaty – szlachetniejszy niż niejedno dotychczasowe świcicko. ... Z dumą, z żądną dumą nosić będziemy tę rangę, wszystkie inne zaćmiwającą – rangę Żyda Polskiego – my. cudem i przypadkiem pozostali przy życiu...

Sancta simplicitas. Naiwny, zagubiony, genialny Tuwim (którego opuścił geniusz w powojennej Polsce) dożył, by na własne oczy zobaczyć, że żółta łata pozostała żółtą łatą. Nad wszystkim co żydowskie postanowiono przejść do porządku dziennego, jak gdyby nic się nie stało. Na tę straszliwą wyrwę w organizmie społeczeństwa narzucono całun zapomnienia. Starano się po prostu nie zauważać owej ogromnej nieobecności (choć dobrze zauważono i skrętnie zapamiętano tych, co uchodzili za Żydów w Urzędzie Bezpieczeństwa). Nawet w Oświęcimiu, łatanami całymi, Żydów jakby pomijano milczeniem, po „babijarsku” – trzeba się było dopytywać o pawilon żydowski i szukać kluczy, by go otworzono, w myśl zasady, że chociaż tylko Żydzi byli gazowani i paleni i zginęło ich tysiącokrotnie więcej niż wszystkich razem wziętych, nie należy wśród ofiar wyróżniać narodowości.

Było wśród Polaków powszechne omal uczucie ulgi, że „problem żydowski” został „rozwiązany” w sposób, za który Polacy nie mogą być obwinieni, że zaczyna się Polskę budować od nowa, bez Żydów – i tak lepiej. Niedobitki Żydów, które wyszły z obozów, z kryjówek, nierzadko spotykały się ze zdaniem, że co jak co ale Hitler z Żydami dobrą robotę zrobił. Nauka, ta rodzima i ta świeżo zaszczipiona, istotnie – jak przewidział Karski – nie poszła w las.

Tych niewielu, którzy się uratowali na „aryjskich papierach”, w większości uznano, że w tym klimacie bezpieczniej jest maskaradę kontynuować i często nie zdradzało swej prawdziwej tożsamości nawet własnym dzieciom. Ci, którzy wrócili z Rosji też się szybko zorientowali w klimacie i przybrali, jeśli mieli po temu dane, barwy ochronne. Zdawało się, że ci „marani” już się jakoś, acz z wiecznym niepokojem w duszy, przepchają, ale okazało się, że brzydkie pochodzenie było gdzieś w kartotekach, gwoli przyszłości, skrętnie odnotowane – a przyszłość, jak było do przewidzenia, nie dała na siebie długo czekać. W tym ponurym okresie od

roku 1967 i następnych latach, gdy władze rozpięły znowu falę antysemityzmu (ufając, że to zawsze mile widziane), poprzednie nazwiska, ku zdumieniu ich posiadaczy, zostały z fanfarą przypomniane jako coś, co samo w sobie automatycznie dyskwalifikuje (ot, Tuwimie, ta „ranga wszystkie inne zaćmiewająca”...). Ten haniebny okres wymaga specjalnego omówienia, ale jakkolwiek się go interpretuje, dla Żydów był to ostateczny sygnał, że nie mieli i nie mają czego w Polsce szukać.

W świadomości Żydów, którzy rozproszyli się z Polski po świecie, wryło się głębokie poczucie krzywdy za tę przeszłość – przedwojenną, okupacyjną, powojenną. Niech Polak, który się skarży, że Żydzi psują Polsce reputację w świecie, zada sobie pytanie, czy taka przeszłość, ta bliższa i dalsza, była szkołą dla ambasadorów dobrej woli.

I w końcu ten uraz zawiedzionej miłości. Wielu Żydów, w tej generacji na odchodnym, nie może wymazać z serca tego Kraju, gdzie się „urodzili, wzrosli, wychowali, nauczyli”, gdzie się – jak Tuwim – „po polsku spowiadali z niepokojów pierwszej miłości i po polsku bełkotali o jej szczęściu i burzach”; gdzie kochali ten krajobraz, mowę, poezję; gdzie gotowi byli się za Polskę wykrwawić i być jej nieodrodnymi synami. Że to wszystko było nie dosyć – tego im żal.

W różnych zakątkach są jeszcze ci, którzy, jak mówi Jerzy Ficowski, „...szli do Jeruzalaim ... i tam przemycili / garstkę wierzbowych gruszek / i na pamiątkę / ze śledzia / do dziś kłującą ość...” I jak ten Słonimskiego stary Żyd koło jafskiej bramy pytają „czy ogród Saski jest jeszcze? Ciągłe taki samy?”

Rozeszły się bezpowrotnie drogi „dwu najsmutniejszych narodów na ziemi”. Nie wiem, czy Polacy świadomi są tego, że z Żydami została także zgładzona autentyczna część ich Polski. Ciśnie się na usta pytanie: czy lepsza, bogatsza w dobra duchowe i materialne, będzie kiedyś ta Polska bez Żydów?

Tekst ten jest przygotowaną specjalnie dla „Pulsu” rozszerzoną wersją referatu wygłoszonego w czasie konferencji oxfordzkiej (red.).

ANTYNIEMIECKA KARTA REŻIMU WARSZAWSKIEGO / Jan Józef Lipski

Istnieje niezawodny barometr, którym można mierzyć w Polsce zapotrzebowanie partii i rządu na autentyczny kontakt ze społeczeństwem. Skalą tego barometru jest ilość ataków w mass-mediach na tendencje rewizjonistyczne w Republice Federalnej Niemiec. „Rewizjonizm” oznacza tu oczywiście dążność do rewizji granicy na Odrze i Nysie. Jest to barometr nieprecyzyjny: może być zakłócony na przykład przez oczekiwanie na kredyty z Niemiec. Na ogół jednak temat niemiecki w polskiej praktyce propagandowej jest funkcją sytuacji wewnętrznej, nie zaś stosunków polsko-niemieckich. Po prostu jest to jedyny temat, który odpowiednio ujęty, podbarwiony i niedopowiedziany daje nadzieje na pozytywny rezonans w sporej części społeczeństwa.

Myślę, że rozumienie, dlaczego tak się dzieje, jest niezwykle ważne zarówno dla Polaków jak i dla Niemców. Akurat dziś barometr ten idzie na niepogodę, co zwraca uwagę w RFN. Ważniejsze jednak jest zrozumienie działającego od dziesiątków lat mechanizmu, niż analiza konkretnego epizodu.

Przesłanką zasadniczą działania tego mechanizmu jest trwały stan socjo-psychiczny Polaków, w którym znajdują się od czasów drugiej wojny światowej (choć korzenie sięgają głębiej w przeszłość). Polacy mają na ogół ostre uczulenie na swego zachodniego sąsiada. Nie należy im się dziwić. Autor tego artykułu mieszka w mieście, w którym przez pięć lat nieprzerwanie trwały aresztowania, tortury, wywożenie do obozów koncentracyjnych i rozstrzeliwania. Przez prawie pół roku na przełomie lat 1943-44 co dzień odbywały się na ulicach Warszawy publiczne egzekucje, zaskakujące przechodniów. Rozstrzeliwano od kilkunastu do dwustu kilkudziesięciu ludzi naraz, zalepiając im uprzednio usta gipsem, by nie wznosili patriotycznych okrzyków. Byłem też bezsilnym świadkiem zagłady warszawskiego getta. Widziałem zwały zwłok wymordowanej cywilnej ludności w czasie Powstania Warszawskiego w sierpniu i wrześniu 1944. Na cmentarzach wielu dziesią-

tek wsi leżą obok siebie ofiary pacyfikacji: kilkumiesięczne i paroletnie dzieci, ich rodzice, dziadkowie, pradziadkowie. I tak działo się od Bałtyku po Karpaty. Jest to też kraj systematycznie przez pięć lat niszczonej i rabowanej. Pierwszym odruchem człowieka pamiętającego tamte czasy jest sprężenie się do ucieczki, gdy słyżo na jednej z głównych ulic tego miasta za plecami język niemiecki. Jakżeż łatwo w takich warunkach manipulować ludzkimi fobiami, lękami, resentymentami – i to na masową skalę. Kto jest za młody, by pamiętać – ma potoczną wiedzę zakodowaną w tradycji rodzinnej i narodowej. Nic wówczas prostszego niż przedstawić zjawiska marginesowe w życiu RFN jako reprezentatywne i masowe, wzbudzić o tym kraju wyobrażenie, że jest permanentną wylegarnią neohitlerystów i tradycyjnego ekspansjonizmu pruskiego (wyłączając jednocześnie zrzęcznie spod tych ocen NRD), tym bardziej, że przecież wiadomo, jak łatwo marginalia awansują w sprzyjających okolicznościach.

Strach przed recydywą niemieckiej zaborczości, a nawet recydywą hitlerystów konkretyzuje się w obawie, że nierzadkie w RFN tendencje rewindykacyjne mogą przyjąć realny kształt. Obawami tymi zrzęcznie steruje się w mass-mediach. Dziś wielu Polaków wie i rozumie, że decyzje poczdamskie, które spowodowały wysiedlenie Niemców i osiedlenie Polaków ze wschodnich terenów Rzeczypospolitej Polskiej na terenach na wschód od Odry i Nysy – miały swe janusowe oblicze. Dla Polaków był to problem znalezienia miejsca do życia dla milionów rodaków, pozabawionych swej bliższej ojczyzny i domu. Dla Stalina był to niezawodny sposób związania Polski na zawsze z Moskwą. Każde nieposuszenie Polaków otwiera od tego czasu wielorakie perspektywy: od interwencji sowieckiej, przez postawienie Polski oko w oko z dążącymi do rewizji granic Niemcami, aż do powtórzenia rozbiorów Polski, wliczając w nie pamiętny akt Mołotow–Ribbentrop z roku 1939. Ilekroć Polacy zaczynają marzyć o zrzuceniu z pleców ciężaru Jałty – przypomina im się, że niebezpieczeństwo niemieckie *ante portas*. Pracują nad tym dziesiątki wysoko wykwalifikowanych naukowców i publicystów. I tu akurat możliwe jest, na bazie pamięci i strachu, swoiste porozumienie narodowe, a raczej jego namiastka.

Ilekroć więc władza komunistyczna w Polsce nie czuje się tak mocna, by lekceważyć zupełnie swych obywateli, gdy odczuwa potrzebę znalezienia choćby ograniczonej wspólnej platformy ze społeczeństwem, i to tak, by niczego przy okazji społeczeństwu nie trzeba było dawać – wówczas szeroko rozlewa się fala propagandy o niemieckim zagrożeniu. Byłyby to oczywiście zabiegi daremne, gdyby nie udawało się ich ilustrować i podierać autentycznymi cytatami z wypowiedzi niemieckich polityków i publicystów. Ten materiał zawsze jakoś się znajduje. I tak wspólnymi siłami znów pobudza się w Polakach ostre stany lęku i poczucia zagrożenia. Tylko specjalista umie się rozoznać w tym, jaka jest waga i rzetelność cytatów. Na wszelki wypadek daje się im jednak wiarę. To, co znane, to znaczy porządek pojałteński, zaczyna się wydawać bezpieczniejsze od tego, co mogłoby ewentualnie nastąpić.

Zresztą nie tylko rewizjonizm, nawołujący, by powrócić do granic III Rzeszy z roku 1937, niepokoi Polaków: istnieje także inne zjawisko, dostrzegalne w publicystyce niemieckiej, a drażniące niezmiernie Polaków: w pochwały godnej trosce

o losy pokoju w Europie, o uniknięcie konfliktu w Europie środkowej wynikłego z ewentualnej destabilizacji – właśnie w Niemczech często rozlegają się głosy przywołujące Polaków do porządku, to znaczy wiecznej niewoli, tak jakby Niemcom i wielu innym narodom wolność, suwerenność, demokracja należały się z natury, Polacy zaś jakby *ex definitione* zasługiwali tylko na niewolę. Ten sukurs dla Krem-la ze strony mało oczekiwanej drażni Polaków niewypowiedzianie.

Zresztą obraz Niemiec, jaki mają Polacy, jest pod wieloma względami wieloznaczny. Jest to zabarwiony pamięcią okupacji i zarazem utrwalaony przez propagandę obraz kraju wrogiego i groźnego – i jednocześnie obraz zupełnie inny, kraju dobrze się rządzącego, sprawnie administrowanego, z dobrze funkcjonującą gospodarką, a w dodatku demokratycznego, w którym niejeden Polak chętnie by zamieszkał. Jak te dwa obrazy funkcjonują obok siebie, i to często w wyobrażeniu tego samego człowieka – trudno zrozumieć.

Przeciętny Polak nie spodziewa się dziś zapewne okupacji niemieckiej w Warszawie, Poznaniu i Krakowie. Natomiast wyobrażenie sobie sytuacji, w której Niemcy sięgnęliby po Śląsk i Pomorze Zachodnie nie wydaje się Polakom trudne. Cóż to za szansa dla propagandy, odwołującej się do tego typu lęków i obaw!

Trzeba powiedzieć, że zagadnienie ziem na wschód od Odry i Nysy, które wchodziły do roku 1945 w skład III Rzeszy, nie jest łatwe i proste. Stanowisko, które w tej sprawie reprezentuje autor niniejszego szkicu, nie może dziś liczyć ani na poparcie większości Polaków, ani Niemców. Próbowałem je w swoim czasie wyłożyć, zbyt chyba fragmentarycznie, w artykule znanym i w Niemczech pt. *Dwie ojczyzny – dwa patriotyzmy*.

Skąd Polacy znaleźli się w drugiej połowie XX wieku na tych ziemiach?

Niemcy nie lubią na ogół pamiętać, że rząd hitlerowski, któremu nie brakło w ówczesnych Niemczech poparcia, zawarł w swoim czasie układ Molotow–Ribbentrop. Fakt ten był ponownym rozbiorem Polski, wykreślić ją miał na zawsze z mapy Europy. Skutki tego układu trwają do dziś. Po drugiej wojnie światowej miliony Polaków ze wschodnich ziem przedwojennej Rzeczypospolitej stanęły przed wyborem: pozostać w budzącym groźbę Związku Radzieckim – czy też żyć w powstającej w nowych granicach Polsce (o której nb. nie wszyscy już wówczas wiedzieli, że będzie zaledwie protektoratem). O tych nowych granicach rozstrzygnęły zresztą wielkie mocarstwa bez udziału Polski, choć z akceptacją Polaków. Postanowiono wówczas wysiedlić z tych ziem Niemców. Towarzyszyła temu w Polsce propaganda, uzasadniająca nowy stan rzeczy argumentami historycznymi i etnicznymi, w sumie – wątpliwej jakości. Argument istotny mógł być tylko jeden: jeśli dwóch bandytów, Hitler i Stalin, napadło na Polskę – nie wydaje się, by była słuszna teza, iż to napadnięci powinni płacić wszystkie koszty napaści. A kosztem były nie tylko miliony zamordowanych, i nie tylko przeraźliwie zniszczony kraj, lecz również miliony pozbawionych swych domów, swej bliższej ojczyzny.

Rozwiązanie problemu odbyło się kosztem Niemców zamieszkujących do roku 1945 ziemie na wschód od Odry i Nysy. Mało kto w Polsce żyje ze świadomością, że ludzi tych spotkała oczywista krzywda, jaką jest zawsze utrata domu rodzinnego, niezależnie do tego, jaki był ich stopień winy. Byli wśród wysiedlanych Niemców zapewne tacy, którzy sami brali udział w eksterminacji Żydów, Polaków

i innych, byli i tacy, którzy czynnie popierali hitleryzm. Ale byli też i tacy, którzy prawie niczym nie zawiniли (w spowiedzi powszechnej Kościoła katolickiego, będącej częścią liturgii Mszy, mówi się o winie przez zaniechanie, a więc o bierności wobec zła). Ci są najbardziej godni współczucia. Padli ofiarą czegoś w rodzaju historycznej zbiorowej odpowiedzialności, a więc zasady, której nie sposób akceptować bez zastrzeżeń. W przeciwnym wypadku jednak to ci, którzy przyszli mieszkac w ich domach, padliby wyłączną ofiarą cudzej napaści (i tak zresztą znajdują się wśród ofiar). To, co wybrano, było zaledwie złem dla Polaków korzystniejszym i chyba jednak złem mniejszym. Można co najwyżej ubolewać, że większości moich rodaków obca jest świadomość dwuznaczności moralnej dokonanego wyboru.

Nb. co do zasady zbiorowej odpowiedzialności historycznej – musi być ona odrzucona jako zasada moralno-karna, niemniej jednak nie może być w zupełności odrzucona w innej płaszczyźnie: gdyby dziś polski statek zatopił przypadkiem największy tankowiec świata – odczulibyśmy my, Polacy, wszyscy solidarnie, na własnej skórze, koszt tego, co się stało. Pakt Molotow–Ribbentrop nie był zaś nieszczęśliwym przypadkiem.

Sądzę, że ludziom dotkniętym nieszczęściem utraty domu rodzinnego należy się przynajmniej pewna satysfakcja moralna, a również wyrozumiałość, gdy tak jak wicli Poiaków marzących o powrocie do Wilna i Lwowa – marzą o powrocie do Wrocławia i Szczecina. Ta satysfakcja moralna i wyrozumiałość należałyby się nawet wówczas, gdyby w Niemczech nikt nie poczuwał się do dania jakiegokolwiek satysfakcji moralnej Polakom za to, co się w Polsce działo w latach 1939-45. A przecież tak nie jest. Stanowisko takie obce jest natomiast większości Polaków. Tłumaczy się to świadomością bardzo jednak nierównego rachunku krzywd – i w rezultacie łatwym zapomnianiem, że wina znacznie mniejsza też jest winą. W związku z tym Polacy nie zastanawiają się przeaważnie, czemu Episkopat Polski przed około dwudziestu laty powiedział Niemcom: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”.

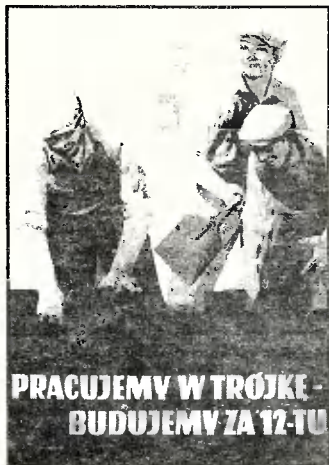
No cóż, dziś pod Szczecinem, Zieloną Górą i Wrocławiem żyją ludzie, którzy osiedlili się tam około roku 1946. Młody zdemobilizowany żołnierz czy przesiedleńca z Niemna zaczynali nowy rozdział tych ziem. Żenili się, rodziły się dzieci. Niektóre z nich mają już trzydzieści osiem lat. Ich dzieci chodzą do szkół, pracują po wsiach i miastach, które są ich ojczyzną. Innej nigdy nie mieli. Ich osiemnastoletnie córki wychodzą za mąż, niektóre już urodziły swoje pierwsze dziecko. Zaczyna się życie czwartego pokolenia. Od czasu do czasu ludzie ci czytają w prasie i słyszą w telewizji, że ktoś chce wyrzucić ich z ich ziemi. Dokąd? Po co? Za co? Ogarnia ich jednocześnie lęk i gniew. Nie mają wątpliwości, jak by to wyglądało. Wiedzą o tym z historii i rodzinnych tradycji, starsi z autopsji. Nabierają poczucia, że temu nigdy chyba nie będzie końca.

Młodsze pokolenie żywi na pewno mniej resentymentów i obaw niż starsze. Nie wiedzą, czy należy wierzyć straszącej ich Niemcami telewizji, o której wiedzą, że prawie zawsze kłamie. Konkretnej boją się dziś Rosjan i sowieckich czołgów. Wiedzą, że w najtrudniejszych momentach kryzysu i stanu wojennego nikt poza Polakami mieszkającymi na Zachodzie nie przyszedł z tak dużą pomocą Polakom jak Niemcy. Wywiązała się z tego niejedna korespondencyjna znajomość, czasami

przyjaźń. Polska zorganizowana młodzież katolicka jeszcze wcześniej ze zdziwieniem spotkała się z młodzieżą niemiecką, przyjeżdżającą do Polski pod hasłem *Suhnezeichen* (Znaki grzechu). Ale wystarczy parę wypowiedzi w Niemczech Zachodnich, grożących w perspektywie nowymi nieszczęściami, parę zręcznych audycji o tym i artykułów w polskiej prasie komunistycznej – i to, co ledwie, ledwie się zarysowuje, znów zaczyna się psuć. Wraca strach, wspomnienia niemieckich plutonów egzekucyjnych sprzed czterdziestu lat, poczucie zagrożenia i konieczności obrony.

Powodzenie manipulatorów polskiej propagandy, przywiązującej nas łańcuchem do Kremla, lub przeciwnie, jej niepowodzenie – zależą w dużej mierze od Niemców.

Artykuł ten ukazał się w j. niemieckim w tygodniku „Der Spiegel” (nr 34 z 20 sierpnia 1984).





muzeum ruchu
rewolucyjnego

Mieczysław Kalinowski

NIE MASZ, BRACIE, JAK W KOMUNIE

Nie masz, bracie, jak w komunie,
W gronie hartowanych dusz,
Ogień buntu w duszy płonie
Większy od zaciekłych burz.
Nie zgnębią prowoki, szpicle
Ducha, co się w masach tli.
Choć się wścieka zgraja szpicli,
Zwyciężymy jednak my.

Refren: Więc naprzód marsz, mimo przeszkody,
Mimo wielu wrogich sił,
Każdy z nas zapałem młody
Walczy, by świat inny był.
My, robocza awangarda,
Wyzwolenia niesiem zew,
Starym czasom – nasza wzgarda,) 2 razy
A za nowe damy krew.

W bój idziemy rażno, śmiało,
Młoda, zetemkowa* brać,
Życie nam naukę dało,
W walce potrafimy trwać.
My na naszych posterunkach
Jak żołnierze w boju czas,
Nam nie myśleć o frasunkach,
Gdy się jest na czele mas.

Refren: Więc naprzód marsz... itd.

* ZMK – skrót ZMK w P (Związek Młodzieży Komunistycznej w Polsce, zmieniona nazwa KZM – Związku Młodzieży Komunistycznej).

Tekst pieśni z 1927 r., pochodzi ze śpiewnika *Polskie pieśni rewolucyjne z lat 1918-1939* w opracowaniu Felcji Kalickiej, wydane przez Wydział Historii Partii KC PZPR, Książka i Wiedza, Warszawa 1950. Cytowany przypis również pochodzi ze śpiewnika.

Sławomir Mrożek

LEOPOLD

Umierają mi ludzie, dopóki ja ludziom nie umrę. Każda śmierć dotyka, śmierć Leopolda Tytmanda dotknęła mnie szczególnie.

Dlaczego – wiem albo domyślam się prywatnie, to znaczy tak, że nie musi to nikogo obchodzić publicznie. Ale część tego, co wiem, może czy powinno obchodzić nawet tych, którzy go osobiście nie znali. O tym chcę opowiedzieć.

Leopold nie miał tak zwanego szczęścia. To znaczy, nic nie przychodziło mu samo, nic nie przychodziło mu łatwo. Nie należał do tych, którzy urodzili się w czepku ani pod szczęśliwą gwiazdą, żadna dobra wróżka nie zjawiła się u jego kołyski. Los nie miał dla niego specjalnych prezentów.

Powyższe stwierdzenie może zdziwić niejednego. Jak to, czyż nie miał efektownego życiorysu? Przed wojną – studia architektury w Paryżu, podczas wojny – liczne podróże i barwne przygody, po wojnie – elegant, uwodziciel, bywalec, literat, znawca jazzu, najpopularniejsza postać kolorowej Polski. Potem Ameryka, tam pisze po angielsku i dochodzi do stanowiska, którego każdy emigrant może mu pozazdrościć. Życie osobiste też mu się w końcu ułożyło, rodzina, dwóch synów. Rosnąca popularność wśród nowych pokoleń, stał się postacią prawie już legendarną.

Sam Leopold przyczynił się do powstania tak skomponowanego obrazu. Dlaczego i w jaki sposób – okaże się w dalszym ciągu. Na razie pozostaniemy przy życiorysie i pomyślny, jaki był początek – chłopiec z bardzo przeciętnej, niezamożnej rodziny w przedwojennej Warszawie. To jeszcze nic takiego, więc dodajmy: z żydowskiej rodziny. Oczywiście, to może dać do myślenia tylko tym z nas, którzy mają pewną wiedzę o tamtych czasach i okolicznościach. Między innymi – o rozwarstwieniu społecznym, majątkowym i kulturowym, wyznaniowym i narodowościowym, czyli o podziale Przeznaczenia na piętra i komórki, z których prawie nie było wyjścia. Leopold urodził się w pułapce, no ale mogło być i bywało gorzej. Ale – i tu zaczyna się jego problem całkiem już osobisty – Leopold przyszedł na świat z wielką ku światu namiętnością, z miłosną energią w każdym tego uczucia wymiarze, zmysłowym, emocjonalnym, intelektualnym. I nie była to miłość, która by chciała pozostać platoniczną. Więc między tym, co było mu dane, a tym, co czuł i czego chciał, widział, wiedział, czy sobie wyobrażał – była ogromna różnica, a zatem musiało powstać napięcie.

Studia w Paryżu - to ładnie brzmi. Ale co było poza brzmieniem? Nie wiem, Leopold nigdy o tym nie mówił, ale czy nie dlatego przypadkiem w Paryżu, nie w Warszawie, że był rok 1938 i w Polsce działał już wtedy „*numerus clausus*”, czyli uszawa, że tylko pewna ograniczona ilość Żydów była dopuszczalna do studiów wyższych? A nawet gdyby Leopold znalazł się w tej liczbie, czy nie bezpiczniej w Paryżu, niż w Warszawie, gdzie nieraz studenci części rasowo bili studentów rasowo nieczystych pałkami zaopatrzonymi w żyłtki? Jedno jest pewne: te Leopoldowe studia w Paryżu nie były takie, jak niegdyś wojaże Jana Kochanowskiego do Padwy, czy później Bronisława Malinowskiego do London School of Economics. Ani nawet takie, jak wysyłanie do tegoż Paryża czy do Brukseli żydowskich synów z Polski przez ich zamożne rodziny. Jak i za ile żył w Paryżu, co tam naprawdę myślał i czuł, o tym Leopold nigdy nie mówił, ograniczając się tylko do tego, do czego chciał, by było ograniczone: że grał w koszykówkę i oddawał hołd urodzie dziewcząt.

A jego wojenne podróże i przygody... Opowiedział je częściowo i w sobie właściwy sposób jako bohater swoich powieści. Ale z nich nie wynika to, od czego się wszystko zaczęło i trwało do końca wojny. Mianowicie, że za swoje urodzenie był skazany na śmierć z natychmiastowym wykonaniem wyroku. I znowu jedno jest pewne: tych wszystkich barwnych przygód, barwnych w powieści. Leopold - nie jego powieściowy bohater, ale sam Leopold - na pewno wolałby nie mieć. Po wojnie dandys, elegant i ulubieniec - jak wyglądała tego podszewka, on sam ukazał w swoim dzienniku z tamtych lat. A raczej tylko rąbek tej podszewki.

Ameryka wreszcie i tam jego sukces - pamiętam jego pierwsze amerykańskie lata, czyli biedowanie i rozpaczliwą walkę, żeby nie pozostać już na zawsze anonimowym. *niemłodym już* i *starzejącym* się lokatorem obskurnego pokoiku u obrzeży Harlemu. Cokolwiek Leopold tam sobie wreszcie wywalczył, nie było to łatwo zdobyte. Bowiern los już na początku tak zapowiedział: *Masz tu troszeczkę i nie w najlepszym gatunku, tylko tyle i takie, a teraz radź sobie sam.*

A co na to Leopold? W tym cała rzecz, a raczej połowa rzeczy dopiero.

Stosunek losu do Leopolda nie był wyjątkowy, to właśnie wybrańcy losu należą do wyjątków. Wyjątkowa natomiast była reakcja Leopolda. Większość z nas przyjmuje, co dostaje, z gorzką rezygnacją i z tego niewiele czyni jeszcze mniej. Ale nie Leopold, który tak odpowiedział losowi:

Ja tych decyzji nie uznaję.

Ja ciebie w ogóle nie uznaję jako mojego zwierzchnika i rozkazodawcę. A co więcej...

Ja ciebie zmuszę, żebyśmy odwrócili role, ja będę twoim panem, a tym moim sługą.

Bardzo więc ambitne oświadczenia. I tak zaczęła się walka Leopolda aż z samym Przeznaczeniem, a raczej Wyznaczeniem, aniżem jego, ponieważ bóstwo rzadko fatyguje się osobieście. Porównanie do biblijnej walki Jakuba z Aniołem byłoby zbyt patetyczne, niezaniej mecz odbył się w podobnej kategorii; człowiek przeciwko nadludzkiemu, czyli temu, co warunkuje człowieka. Walka totalna, to znaczy w najdrobniejszych szczegółach i największych ogólnościach i bez chwili

wytchnienia. I jak każdy, kto nie jest z losem w harmonii, Leopold bywał w dysharmonii z oroczeniem. W dużych sprawach był imponujący, w małych często drażnił. W zasadniczych sprawach zasługiwał na podziw, w drobniactwach narażał się na śmiecznośćki wybaczone mu przez przyjaciół, skwapliwie podchwytywane przez wrogów. Drobiazgow z natury rzeczy jest więcej niż spraw zasadniczych i na co dzień są bardziej widoczne.

Wszystko o wszystkim, czego chciał, ze wszystkim, co mu było dane, zaczynała się od samej fizyczności. Leopold nie był jedynym brunetem niskiego wzrostu w okularach, o nieskandynawskich rysach i niesmukłej budowie ciała. Ale był jedynym w zasięgu mojej znajomości, który aż tak konsekwentnie wybrał siebie jako wodza Vikingów. *Choix existentiel*, nauka Sartre'a, że jesteśmy tacy, jakimi siebie wybieramy, powinna znaleźć w Leopoldzie stuprocentowe potwierdzenie. Ponieważ zdetronizował los i sam zajął jego miejsce, musiał wziąć na siebie wszystkie jego obowiązki. Dlatego usiłował wyznaczać i kontrolować wszystkie sytuacje, nawet najbardziej powszednie, te, które zazwyczaj toczą się same i do których nie warto się wtrącać. Nic nie mogło ująć jego uwadze i jego interwencji. Stąd niestanna czujność, aktywność i napięcie. A w negatywie – apodyktyczność, agresja, konflikt. Nie wiem, czy Leopold dał sobie – a tym samym swemu otoczeniu – przez całe swoje życie choćby minutę wytchnienia, czy zaznał kiedykolwiek spokoju.

Walczyć, nie dać się, nie poddać, ale atakować – to była jego zasada, motto, dewiza i więcej nawet, sposób istnienia zakodowany w jego instynkcie i odruchu. Jego mecz z losem, mistrzem świata wagi najcięższej, rozegrał się w trzech rundach. Leopold wygrał je wszystkie, jakich przy tym doznając wewnętrznych obrażeń, on jeden tylko wie, bo nie okazywał ich nigdy, przeciwnie, starał się najdokładniej je ukryć zgodnie ze swoim kodeksem: „Przede wszystkim fason i styl!”.

Pierwsza runda – to śmiertelny pojedynek. Zaczęło się od tego, że los nie raczył dostrzec Leopolda jako indywidualnego zawodnika. Skinął tylko na swego wykonawcę, a było nim całe potężne państwo niemieckie z Adolfem Hitlerem na czele, polecając, aby Leopold zniknął anonimowo w wielomilionowym grobie bez znaku i pamięci. To Leopold z tego pogardliwego gestu uczynił pojedynek, wyzywając los. Wyszedł bowiem naprzeciw, czyli udał się w sam środek, środek aryjsko świętej Tysiącletniej Rzeszy Niemieckiej, gdzie sama jego fizyczna obecność była desakralizacją ubermenschowskiej świątyni, a jego życie kpina z nazistowskiego Prawa i Organizacji. Z nieautentyczną autentycznością – podawał się za Francuza, wykonując rozmaite zawody, których nigdy się przedtem nie uczył, był między innymi kelnerem, robotnikiem, marynarzem – Leopold zwyciężał Trzecią Rzeszę w każdym momencie, który udało mu się przeżyć, nie tylko samym faktem, ale i sposobem przeżycia. Tym mianowicie, że nie tylko nie dał się zabić, ale także nie pozwolił się zgnoić, to znaczy zepchnąć poniżej tego poziomu człowieczeństwa, poniżej którego spychała ludzi Potęga, dekretując, że zanim nadąży maszyna do zabijania, powinni być tylko materiałem na trupa.

Tego rodzaju zwycięstwo wymagało czegoś więcej niż tylko przedsiębiorczości i sprawnej inteligencji. Leopold nigdy nie wspominał o strachu. Być może to przemilczenie należało kiedyś do jego strategii przeżycia, bo przecież strach

może być silniejszy od instynktu i woli życia, trudniejszy do zrealizowania niż pewność śmierci; w pewnych warunkach śmierć jest łatwiejszą alternatywą niż strach. Być może musiał sobie odmówić prawa do strachu; żeby zwyciężyć śmierć musiał nieustannie przezwyciężać strach, który jak wiadomo jest uczuciem paraliżującym psychikę i władze umysłowe człowieka, te właśnie, których Leopold potrzebował najbardziej i nieustannie jako instrumentów przeżycia. A przecież strach musiał być z nim też nieustannie, ponieważ był nieodłączny od jego sytuacji, więcej - był jego sytuacją. Jak sobie Leopold radził z tym paradoksem - żyć w sytuacji akceptując ją i negując jednocześnie, o tym nie ma śladu ani w jego literaturze, ani w jego wypowiedziach. Może właśnie aż taka „nieszczerść”, aż takie skonstruowanie sobie nieautentycznej autentyczności, ale tylko przed innymi, ale i dla siebie samego, ten wysiłek dokonany w sobie podział osobowości, czyli wypracowanie schizofrenia - było konieczne. Tędy przypisanie niczego jednak nie wyjaśnia z punktu widzenia logiki, bo wyjaśniać jeden paradoks jednocześnie przyjmowanie i odrzucanie sytuacji - drugim paradoksem: byciem i niebyciem sobą jednocześnie, to nie jest żadne wyjaśnienie. A w ogóle paradoksu nie da się wyjaśnić logicznie, na tym polega właśnie paradoks. Mniek ta teoretyczna niemożliwość będzie miarą trudności, jaką Leopold musiał pokonać w praktyce. Tym samym nic nie sprawiedliwi nieco Leopolda przed tymi, którzy przede wszystkim pamiętają jego „nieautentyczność”, przekraczającą niekiedy granice manier, a czasami wręcz maniacką. Śmiertelna gimnastyka, jaką musiał uprawiać przez pięć bardzo długich lat, chyba nikomu nie mogła się udać bez trwałych zwichnięć.

Tym bardziej, że musiał ją uprawiać w absolutnej samotności. Czytając powieści czy dokumenty o tajnych agentach, podziwiamy ich odwagę i wytrzymałość w samotności pełnej niebezpieczeństw. Ale oni nigdy przecież nie są naprawdę sami. Stoi za nimi cała potęga macierzystego państwa, kieruje nimi i pomaga najbardziej wyspecjalizowana organizacja, a w niebezpieczeństwie znaleźli się dobrowolnie. Wyobraźmy sobie kogoś, kto jest tylko swoim własnym agentem, za którym nie stoi nikt i nic, człowieka, o którego prawdziwym istnieniu nikt nie wie, a nawet on sam musi je przed sobą ukrywać. To jest dopiero samotność, wielu wolało umrzeć niż jej zaznać. Zdarzało się przecież, że ludzie, którzy mogli się uratować, niekiedy od wspólnoty i ukrywając się w pojedynkę, wybierali raczej śmierć ze swoich, wśród swoich, niż próbę ocalenia za cenę takiej samotności.

Tyle więc o zwycięstwie Leopolda nad Trzcią Rzeszą. Nie wspomina o nim oficjalna historia drugiej wojny światowej, ale moim zdaniem Leopold powinien się znaleźć na wspólnej fotografii z marszałkiem Montgomerym, zwycięzcą spod El Alamein. Zwycięstwo Leopolda było wprawdzie innego rodzaju, ale po ludzku znacznie trudniejsze.

Druga antonijast runda Leopolda z losem wynikała nie z przeciwności losu, który przegrawszy pierwszą, machnął jakby ręką, ale już z wyłącznej inicjatywy Leopolda. Mam tu cyfeli lata powojenne w Polsce. W zasadzie los ogłosił *desinterement*, a nawet nie zabronił, żeby przed Leopoldem tworzyły się pewne ogólne perspektywy, z których Leopold mógł skorzystań indywidualnie. Leopold nie należał do żadnej z tych społecznych kategorii, które przez komunistyczną

Polskę były z góry skazane. Nie pochodził z ziemiańskiej szlachty, kupiectwa, inteligencji wolnych zawodów, miał pełne prawo nie być nawet katolikiem. Nie miał tak zwanej „przeszłości”, ani żadnych haczyków w życiorysie. Był młody, do stracenia nie miał już nic, a wszystko do zyskania. Mógł należeć do tych, którym „Polska Ludowa dała”, a w jego wypadku mogła mu dać bardzo wiele. Jako literat i dziennikarz należał do grupy, którą Władza upatrzyła sobie na szczególnego kontrahenta i miała dla niej w zanadrzu szczególne przywileje. Po wojnie rozległa się w Polsce wielka oferta, wielka i szeroka propozycja, wielkie zaproszenie do kolaboracji. Kto nie był przez Władzę z góry skreślony i skazany na fizyczne zniszczenie albo gnój – ten mógł z tej oferty skorzystać. Wielu i z różnych powodów skorzystało. Tym bardziej, że odrzucenie oferty automatycznie oznaczało przeniesienie do kategorii „wroga”. Zaproszenie wcale nie było w burżuazyjnym stylu: „Miło nam będzie, jeśli Pan skorzysta, ale jeśli nie będzie Pan w stanie, to żałujemy, przepraszamy, dziękujemy i pozostajemy z szacunkiem”; tylko: „Albo skorzystacie, albo zgnoimy”.

W pierwszych latach, kiedy do spustoszonej przez wojnę Polski komunistyczne meble dopiero wnoszono ze wschodu i komplecik nie był jeszcze gotowy, można jeszcze było udawać przed sobą neutralnego lokatora. Po wojnie ludzie chcą znowu żyć jak ludzie, to znaczy odbudowywać wszystko, co zostało zniszczone, a w Polsce zostało zniszczone wszystko, od zagłady państwa polskiego w 1939 roku poczynając. Po wejściu komuniści od razu niemiłomopol na odbudowę państwa, a wkrótce potem już całej reszty. Wkrótce już udawać, że oni to nie oni, że z nimi to nie z nimi, nie było możliwe inaczej jak poprzez samozakłamanie. A jednak jakoś odbudowywać życie było trzeba. Zaczął się kolejny polski dylemat.

Leopold propozycji nie przyjął. Z miejsca od razu i nieodwołalnie. Mówiąc przedtem o wyjątkowej postawie Leopolda wobec losu powiedziałem: „To tylko połowa całej sprawy”, czyli wyjątkowości Leopolda. Teraz kolej na drugą połowę i dopełnienie.

Tych, którzy sami sięgają po to, czego los im dać nie chce, jest wprawdzie znacznie mniej niż pokornych, ale jednak jest ich paru; pod tym względem Leopold nie był całkiem wyjątkowy. Jego wyjątkowa wyjątkowość polegała na czym innym. Ktoś, kto walczy ze wszystkimi o wszystko, czego nie ma, ale bardzo chciał by mieć, zazwyczaj wolny jest od skrupułów. Jestem poszkodowany, niedoinwestowany przez los, wobec tego należy mi się rekompensata. Rewanż i sukces jest wtedy jedyną miarą. Kiedy uważam, że los jest niesprawiedliwy wobec mnie, wszystkie środki w moim interesie są dobre w imię Sprawiedliwości utęszamionej z moim interesem.

Ambicje, apetyty i pragnienia Leopolda były duże i to w każdej dziedzinie. Zaspokojenie, mierzone ich wielkością i różnorodnością – do owej pory żadne. Oto przychodzi czas, kiedy mu los powiada ustami komunistów: proszę bardzo. Teraz już nie ma żadnych przeszkód. My panu damy wszystkie możliwości, a w zamian – drobnostka. Niech pan tylko powie, że pan nas lubi.

A Leopold powiedział, że nie lubi.

Gdyby Leopold był ascetą i niczego od życia nie chciał, wszystko by się

zgadzało. A tak – nie zgadzało się nic. Więc los, zdenerwowany taką niezgodnością, znowu ruszył przeciwko Leopoldowi, ale tym razem przez niego sprowokowany. Trzeba przyznać, że los nie mógł inaczej postąpić, jeżeli chciał zachować konsekwencję. Ten Leopold najpierw mówi, że chce, a kiedy mu proponują, mówi, że nie chce. Że chciałby, owszem, ale nie na tym talerzu. On z tego talerza jeść się brzydzi? On się brzydzi, a inni się nie brzydzą! A nawet jeżeli się i brzydzą, to i tak jedzą. To inni mogą, a on nie może? Niech więc za karę pozostanie głodny i w dodatku pójdzie do kąta.

Powyższe metafory są jednak zbyt pieszczotliwe, gdy chodzi o dolę kogoś, kto w Polsce Stalinowskiej tej Polsce się sprzeciwił. Zaś Leopold sprzeciwił się od początku, z uporem i konsekwentnie. Przedtem grał o życie i wygrał, teraz chciał wygrać grę w życie, ale nie chciał grać według narzuconych mu reguł, które uważał za podłe, głupie, zbrodnicze i w ogóle nie do przyjęcia. Bowiem Leopold uważał komunizm za największe zło, z którym nie może być kompromisu.

Jego przekonania weszły więc w konflikt z jego pożądaniem życia i jakkolwiek silne było to pożądanie, a było bardzo silne, dał pierwszeństwo przekonaniom. Może dlatego, że to nie były przekonania tylko, ale jego osobisty kodeks honorowy. Przekonania ostatecznie ma każdy, ale nie każdy ujmuje je w osobisty kodeks. Przekonania to jest coś ogólnego i płynnego, zaś kodeks to jest sztywna litera Prawa. Swoimi przekonaniem można manipulować, ale kodeks jest bezlitosny.

Leopold był człowiekiem namiętności, ale jednocześnie był człowiekiem Prawa. Namiętności miał takie jak wszyscy, Prawo miał swoje własne. Był to kodeks skomponowany przez niego zarówno z Praw objawionych na Górze Synaj, jak z reguł moralnych klasycznego, amerykańskiego Westernu. Z *Rozważań o Demokracji* Tocqueville'a, jak i sposobów bycia à la Humphrey Bogart. A nawet z norm elegancji męskiej „English Style” reprezentowanym przez Edwarda, księcia Windsoru. A więc o rozmaitych głębiach i zakresach, z czego wynikała zarówno czystość jego życiorysu, jego nieugiętość w sprawach zasadniczej wagi, jak i jego uciążliwość, gdy kazał mi jeść ser taki, a nie inny, czy nosić taki a nie inny krawat. Leopold bowiem wyrokował zawsze i wszędzie, i zawsze według jakichś reguł, które uznawczy za swoje, uznawał je tym samym za uniwersalnie obowiązujące. Ale z tego heterogenicznego materiału stworzył własną całość i porządek, czyli priorytety. Dowód – jego życie, porządek jego życia. Kochał krawaty i samochody, ale rozstrzygał ostro, kiedy musiał wybierać między tym, co dla siebie lubił i uważał za ważne, a tym, co w sobie szanował, a więc uważał za jeszcze ważniejsze.

Nie bez żalu i nie bez cierpienia, nie bez świadomości wyrzeczeń, ponieważ, jak wiemy, był właśnie i też człowiekiem apetytów, ambicji i pożądań. I nie bez oporu, jeżeli kosztą oporu nie obciążały jego zasad. Zgodnie ze swoją dewizą: „Przed wszystkim fason i styl”, gdy nie miał co jeść, grał w tenisa. W tym upatrywano tylko snobizm, ale to było też i formą oporu. Powtórzyła się historia jego pierwszej rundy z Iosem: „Nie tylko, ale ...” – Leopold nie tylko nie zdradził swoich przekonań, ale i nie pozwolił się zgnoić za odmowę zdrady. Bardzo to niektórych irytowało.

W pewnym okresie było modne w Warszawie podśmiewać się z Lolo. Było to już po Stalinie, kiedy można było trochę odetchnąć i z tej okazji życie towarzyskie stolicy przeważało nad politycznym. Kiedy zapanało: raczej zapamiętany i bawny się. Wczesny Gomułka i nasza „mała stabilizacja”, to lekko ironiczne określenie, które zawdzięczamy Tadeuszowi Różewiczowi, doskonale oddaje nastrój chwili. Pierwsze dacie i kuligi. „Przekrój” – najpopularniejszy tygodnik. Można już było napisać coś, co wprawdzie nie mogło być antysocjalistyczne, ale nie musiało być hymnem na cześć Partii. Otworzył się margines i Leopold napisał powieść *Zły*, epicką balladę o współczesnej Warszawie. Ale nie tylko.

Jeszcze przed „małą stabilizacją”, korzystając z październikowego zamieszania, kiedy cenzura w Polsce straciła głowę – to jest charakterystyczne dla totalnych systemów, że kiedy zachwiane są „podstawy”, albo wydaje się, że będą się zachwiane, wszystko od razu chwije się i sypie, dopóki drobnie w aparacie nie nabierze znowu pewności, że interes jest od góry solidnie prowadzony – opublikował Leopold analizę najciemniejszej polskiej sprawy, dotąd nie ruszanej – sprawy Piaseckiego i jego Stowarzyszenia Pax. A nie ruszanej, bo najbardziej niebezpiecznej dla każdego, kto by ją chciał ruszyć. Można było wtedy, przez chwilę, pisać krytycznie nawet o UB, ale tropienie Piaseckiego prowadziło w jeszcze groźniejsze rejony, o których bezpieczniej milczeć. Leopold napisał z niezwykłą odwagą, dając jednocześnie dowód, jak świetnym byłby polskim dziennikarzem, gdyby jego talent mógł się objawić inaczej niż tylko sporadycznie. O tym przypominam, ponieważ pamięta się *Złego*, ale mało kto pamięta artykuł o Piaseckim.

Zły stał się od razu fenomenalnym sukcesem czytelnictwem, przetłószono go też na liczne języki. Leopold nie musiał się już martwić, że kołnierzyk ostatniej koszuli rozleci się przy następnym praniu pod zlewem i wszyscy to zobaczą. Ale już mieliśmy naszą „małą stabilizację” i towarzystwo tymczasem się wycwanilo. Pierwsze czołówki elity runęły na Zachód i z powrotem, co wyraziło się podniesieniem krawiecko-intelektualnego poziomu.

W Warszawie, Paryżu Północy, kwiat elity rozkwitł cudnie. Wiele już było samochodów, niektóre piękne, chodziły nawet legendy, że jeden Młody Zbuntowany przywiózł Porscha. A jednak najbardziej się chyba mówiło o używanym Oplu-Kapitanie Leopolda. Ale z odcieniem ironii.

Podśmiewać się z Lolo – nic łatwiejszego. Lolo sam się podkładał, teraz jego styl nie był już formą ideologicznego oporu, był sam w sobie, w wolnej konkurencji o różne palmy pierwszeństwa w kategorii szyku, elegancji i tym podobnych wartości tego mini-konsumpcyjnego mikro-społeczeństwa. Leopold był przesadny; dyskretna, lekkość i umiar nigdy nie były jego zaletami, choć ideałem jego był właśnie zmitologizowany „gentleman”. Ale było w tej modzie na ironiczność wobec Lolo coś, co mi nie pasowało, coś pod spodem, jakiś brzydki chrząszcz brzmiący w tej trzcinie. Mógł to właśnie: prawie wszyscy w tym środowisku tak czy inaczej, tędy czy owędy, trochę czy mocno, chętnie czy niechętnie, prędzej czy później, ale zawsze jakoś, któregoś i do jakiegoś stopnia – tu użyję innego słownika – dali dasy. A Leopold nigdy nie dał ani trochę i to musiało denerwować. Nie dał, no to wybaczyć można, ale to, że nie dał, a mimo wszystko chodzi i żyje, a nie gnaje? Więc można było nie dać i nie zgnić? To psuło

wymówkę wszystkim. „Panie, ja musiałem, bo inaczej...” A tu tymczasem Lolo w Oplu jak gdyby nigdy nic. Nonszalancki Lolo.

Tym bardziej, że Lolo nie ukrywał, że nie dał i nigdy nie zapomniał tym, co dał. Był jednym z „dziesięciu sprawiedliwych”, no dobrze, ale po co o tym stałe mówić i dlaczego innym wyponina, że nie byli? Leopold nie miał chrześcijańskich cnót: pokory i wybaczenia. Co gorsza, nie był „psychologicznie ciekawy”. Co jest ciekawego w człowieku, który mówi jasno „nie” i postępuje konsekwentnie? Co innego ciemności, podwójności i potrójności, dramaty wiar i rozczarowań, grzechy i pokuty, zagadki duszy, metafizyki bytu, tak, to jest piękne i ciekawe, tu można się powołać na Dostojewskiego, a nawet zniżając głos znacząco dawać do zrozumienia że stepową tęsknicą i boleścią: ja jestem sam Fiodor D. Ale Lolo? To nie był artystyczny poziom.

Trzecia runda Leopolda z Iosem rozegrała się również z inicjatywy Leopolda i na tych samych co poprzednia zasadach. Kiedy ruszył na emigrację, wcale nie musiało mu być na początku tak ciężko, jak mu było. Wczesne lata sześćdziesiąte i Ameryka przeżywa swoją rewolucję. Przybysze witani są z otwartymi ramionami, jeżeli przyjmują zaproszenie do tańca. Ach, znowu zaproszenie. Dosić wstecznicstwa, więc przede wszystkim dosyć antykomunizmu. Leopold ze swoim antykomunizmem wybrał się najgorzej jak tylko mógł.

Niechby go chociaż przebrał za „anty-autorytety-taryzm”, taki ogólny i w ogóle, za „walkę z instytucjami” jakąś ogólną, chociażby za anarchię. To było takie łatwe, niczego innego nie żądano. Wystarczyło oznajmić: „U was jest tak samo jak u nas, ponieważ też jest rząd, administracja, policja, banki i bilety do kina”. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby ogłosił, że jest „Czarną Panterą” (choć białą), no, ale to nie było konieczne. Wystarczyło być ngliscie postępowym, czyli mętnie antykapitalistycznym, a wtedy otwierały się uniwersytety i salony, Fundacje i Redakcje, najlepsze sfery, czyli krótko mówiąc, kariery. Robiono je szybko i nieraz oszałamiająco. A kiedy się było przybyszem ze Wschodu i chciało się grać w tę grę - miało się wtedy dodatkową szansę: człowieka, który jest „stamtąd”, a jednak „swój”, który potwierdza, że się nie mylimy i mamy ogólnoswiatową słuszność. Także paru naszych rodaków zagrało, z nieuniknionym powodzeniem, na tym numerze.

Ale nie Leopold. Nie tylko nie, ale wprost odwrotnie, i krzyczał z całych sił, że nie i że odwrotnie. Tylko że na początku mógł sobie krzyczeć do ściany w tym jego obskurnym pokoiku. Nie doszedł jeszcze do głosu i nic wtedy nie wskazywało, że kiedykolwiek dojdzie. Chciał oczywiście dojść, po to tam pojechał, ale to, co chciał powiedzieć, wykrzyzczać, wybluzgać, to właśnie mu szkodziło i skazywało na ścianę. Myślę, że w pewnym sensie te jego pierwsze amerykańskie lata były dla niego cięższe niż lata w Polsce Stalinowskiej. W sensie: „znowu tak samo”. Więc znowu biedny pokoik i całe mienie w walizce (ale wtedy to było po wojnie i w zburzonej, rodzinnej Warszawie, a teraz po latach i w Nowym Jorku). Znowu niemowa (tam wtedy zabroniono, ale posłuchaliby wszyscy, tutaj mówić wolno, ale nikt nawet słuchać nie chce). Znowu wszystko od zera (ale wtedy wszyscy zaczynali od zera i wtedy miał dwadzieścia kilka lat, a teraz pięćdziesiąt-kę na karku).

A jednak wygrał. I umarł.

Śmierć była nagła, bez przygotowania, bez choroby i agonii. Umarł jakby rażony kulą w serce. Tak, jak umierali szeryfowie w starych, dobrych, amerykańskich Westernach. Być może podobałoby mu się to porównanie.

DUKARZOM

Drukarze są najczęściej pracującą, najbardziej chyba narażoną na ryzyko i mającą najmniej okazji do doświadczenia społecznej aprobaty dla swej działalności „grupa zawodowa” podziemia. Pracują w bardzo ciężkich warunkach, po dwunastce i szesnastu godzin na dobę, często na niesprawny, ciągle psującym się sprzęcie. Przez to wysokie wyroki. Bez nich nie byłoby podziemnych gazet i książek, nie mogłoby funkcjonować osłono niezależna. Ich praca jest fundamentem, na którym jest budowany gmach niezależnego społeczeństwa. Jakże jednak często jest tak że o drukarzach myślimy przede wszystkim wtedy, gdy opóźnia się produkcja kolejnej pozycji, gdy druk jest zamazany lub kolejność stron — przedstawiona. I zbyt rzadko, gdy cieszymy się kolejnym numerem podziemnej gazety czy książką, pamiętamy o tych, których ciężka praca umożliwiła jej powstanie.

12 lipca 1894 roku opuścił drukarnię pierwszy numer „Robotnika” — wydawanego w podziemiu, pod czarnym żaborem, organu nielegalnej PPS. Wtedy, jak i dziś walka była o wyzwolenie narodu, o sprawiedliwość społeczną, o elementarne prawo do prawdy i godności. W walce swej społeczeństwo zyskało wtedy nieocenionego sojusznika — regularną, krajową prasę podziemną, i odąd stała towarzyszy mu ona w tej walce. Przeszło do historii owiana legendą nazwisko pierwszego redaktora „Robotnika”, późniejszego Naczelnika państwa — Józefa Piłsudskiego. Ale historyk zapamiętał też nazwisko zecera, który składał ten pierwszy numer podziemnego pisma, i numery następne — Władysława Głowackiego.

Przyjdzie czas, gdy dzisiejsi podziemni drukarze będą mogli ujawnić się, a ich nazwiska także nie będą zapomniane; już dziś powinniśmy jednak dość wyraz naszej wdzięczności wobec tych, których anonimowa praca umożliwiła swobodny przepływ niezafiltrowanych informacji i niezależnych poglądów. Dlatego też proponujemy:

— ogłosić dzień 12 lipca Dniem Podziemnego Drukarza.

W tym dniu prasa podziemna będzie zamieszczać materiały o pracy drukarzy — może pisane i redagowane przez nich samych — by przybliżyć opinii publicznej wartość i trud tej pracy

— uruchomić Fundusz Drukarzy im. Głowackiego, przeznaczony na podwyższenie stawek drukarskich i finansowanie ulepszeń warunków pracy. Dobrowolne wpłaty czytelników, przesyłane redakcjom z dopiskiem „Na Fundusz Drukarzy” — stanowić będą nierzeczny wyraz wdzięczności.

Wzywamy inne redakcje oraz ogół czytelników do poparcia tych inicjatyw.

Przedrukujemy Komunikat, który ukazał się w podziemnym piśmie „KOS”, informujemy jednocześnie, że wpłaty na Fundusz Drukarzy przyjmuje na Zachodzie redakcja paryskiej „Kultury”.

Sławomir Mrozek

NA 40-L-cie PRL

Zadanie szkolne dla młodego polaka:
wśród niżej wymienionych krajów odz szukaj
swoją Ojczyznę.

ZsrrNrdCrsWrllrbPrLKrlDChrlDrwAr1Srr

Jan Przybor

BYĆ I PISAĆ /o pisarstwie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego/

I Jedność w wielości

„*Inny świat* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego – pisała Maria Daniłowicz-Zielińska – ukazał się po angielsku w 1951 roku, po polsku w dwa lata później, po czym nastąpiła przerwa nie wróżąca autorowi nic dobrego: mógł zostać w historii literatury jako 'autor jednej książki'. I nagle w podwójnym letnim zeszycie 'Kultury' z roku 1958 ukazała się nowela pt. *Wieża*, ukazująca autora *Innego świata* w roli dojrzałego pisarza, osadzonego w nowym tle – włoskim”.

W powyższym stwierdzeniu autorki *Szkiców z literatury emigracyjnej* zwraca uwagę przede wszystkim ów szczególny ton zaskoczenia. Bo niezbyt przekonujące jest to osobliwe pasowanie na pisarza – czyżby Herling nie był już wcześniej dojrzałym twórcą, czyż *Zapiski sowieckie* nie są także literackim arcydziełem? – ale istotnie wydawać się może, że opowiadania *Wieża*, a później *Pietà dell'Isola*, składające się na tom *Skrzydła ołtarza* (1960), napisane zostały przez kogo innego. I nie chodzi tu, rzecz oczywista, o nasycenie realiów opowiadanego świata śródziemnomorskiego słońcem, o zagłębienie się w odmiennej tematyce, bliskiej materii kultury europejskiej, inne zaangażowanie, albo raczej – usytuowanie pisarza wobec przedstawianej rzeczywistości. Na pierwszy rzut oka opowiadania te charakteryzują się, w porównaniu z *Innym światem*, dużym stopniem zaangażowania w literacką grę. To z jednej strony – wewnętrzne nacechowanie tych tekstów, wzajemne przenikanie się poszczególnych elementów struktury, wikłanie narracji z relacją itp.; z drugiej natomiast – poszukiwanie nowych form wypowiedzi w kontekście aktualnych wówczas odkryć i mód literackich. Na ten właśnie aspekt *Skrzydła ołtarza* zwracał uwagę Jerzy Stempowski: „W tym stanie wielkiej debaty literackiej – pisał w liście – Pańskie dwa opowiadania przyniosły pewien element nowy. Okazało się mianowicie, że istnieje też własne majaczenie przedmiotów i ich sny, toczące się w innych jednostkach czasu niż te, jakie pozwalają obliczyć zegary i kalendarze”.

Nie było to wszakże ostatnie zaskoczenie. Kolejny tom *Drugie przyjście* (1963) dorzucił znowu jakości odmienne. Najbardziej eksponowała się wówczas rozleg-

łość pola obserwacji i podporządkowana jej różnorodność gatunkowa wypowiedzi: od opowieści średniowiecznej po współczesne realia, od osobistego wspomnienia po przedmiotowo rzeczowe, dążące do maksymalnego obiektywizmu, szkice krytyczne. Ale książka ta wносиła też i pewien ład w owo bogactwo różnorodności. Oto bowiem wyodrębnić poczęły się pewne stałe dziedziny zainteresowań jej autora, powiedzmy tak: temat rosyjski i temat włoski, do których będzie później nieustannie wracał z niezwykłą wręcz kompetencją i wnikliwością; dalej, pojawianie się refleksji krytyczno-literackiej przypomni z jednej strony zapoznany młodzieńczy debiut książkowy Herlinga *Żywi i umarli* (1945), z drugiej natomiast zawowocuje późniejszą publikacją *Uptory rewolucji* (1969).

Dziennik pisany nocą (1973, 1980) nie mógł już po tym wszystkim nikogo zaskoczyć, raczej zadziwił nieokiełznaną wielością problemów i różnorodnością ich artykulacji. Tak rysuje się też dziś całościowo widziany dorobek pisarski Herlinga, nie dający się zamknąć w jednoznacznej formule, nie sprowadzalny do żadnej jednoznacznej tezy, nie mieszczący się w jakiejś jednolitej perspektywie filozoficznej. A przecież nie jest to twórczość, której zarzucić by można w aspekcie światopoglądowym, przy, podkreślimy raz jeszcze, różnorodności formalnej, choćby eklektyzm, a cóż dopiero chaotyczność. Wielość jest bez wątpienia jej niekwestionowaną zaletą. W literaturze cenić trzeba wszak choćby, lub nawet przede wszystkim, to, że istnieje. Jej bogactwo pierwiej spełnia się w bogactwie, później dopiero czemuś ono służy. Gdyby oceniać twórczość Herlinga z tego punktu widzenia, a koniecznym byłoby wtedy usytuowanie jej w kontekście tematów podejmowanych nie tylko współcześnie przez literaturę polską, wówczas znalazłaby się ona bez wątpienia na wysokim szczeblu drabiny aksjologicznej. A jednak za naturalne uznać trzeba poszukiwanie w tej wielości jakiejś jednolitej wykładni myślowej, dążenie do uchwycenia perspektywy, dzięki której owo różnorodne bogactwo objawi określony, w miarę jednoznaczny sens. To rzecz normalna. Takie są w końcu wymogi lektury, tego „żąda” akt rozumienia. Nic też dziwnego, że i krytycy chętnie w tym kierunku podążają.

„Uświadomiłem sobie (...) – napisze Konstanty A. Jeleński – że sednem *Dziennika pisanego nocą* nie są takie czy inne 'tematy', a jednolita wrażliwość moralna i estetyczna autora”. Łatwo, rzecz oczywista, odnieść tę konkluzję do całej twórczości Herlinga. To szczególnie uwrażliwienie na problemy dobra i zła wiąże się zaś z reguły z biografią twórcy, z jego osobistym doświadczeniem totalitaryzmu. Wszystko bierze początek z *Innego świata*, kluczowej – w powszechnej opinii – pozycji w dorobku pisarza. Tak problematyzuje także dzieło Herlinga Wojciech Karpiński:

„Opowiadania Herlinga wydają się odległe od *Innego świata*. Dzieją się pod włoskim niebem, są literackim znakiem metafizycznych niepokojów. Czyżby pobyt w innym świecie nie zostawił śladów, czyżby nastąpiła całkowita metamorfoza twórcy? Ślady pozostały, choć nie od razu można je odczytać, naznaczyły całe dzieło Herlinga. Przeniesienie w inną cywilizację, wyrwanie z normalnych więzów międzyludzkich utkwity w pamięci, opieczętowało wrażliwość, naznaczyło reakcje i narzuciło obsesje. Stąd fascynacja zamieraniem i rozkładem, współczujące porażenie nieszczęściem, gdziekolwiek się ono czai, jakiekolwiek przyjmuje formy.”

Martwi za życia

ZAPISKI SOWIECKIE

"Tu był inny, odrębny świat, do
niego nie godziły się; tu był, inne
odrębne prawo, inne obyczaje, inne
zwyczaje i odrębny, i martwy to, do
domu życia - jak niegdzie, i
niezwykły."

Dostojewski: "Lepiej
dość"

"No one who has not sat in prison
knows what the state is like"

Tołstoj

Biograficzna prespektywa interpretacji twórczości Herlinga wydaje się istotnie ważna, tym bardziej, że można z nią wiązać nawet tak immniantne kategorie dzieła jak język, na co wskazywał Stempowski: „Jest to język poważny i powolny, nieco jakby zatroskany, o nieporównanej jasności i dokładności, przylegający ściśle do każdego opisywanego przedmiotu. Język ten budzi zaufanie jak relacja człowieka mającego poza sobą wielkie doświadczenie pozaliterackie. Już same okoliczności powstania tego języka wskazują na jego aktualność dla żyjących obecnie świadków podobnych wydarzeń”.

Z biografii wyprowadzić też można różnorodność. Życiem Herlinga zdaje się bowiem rządzić zasada podobna do tej, która stale przyświecała Aleksandrowi Jancie: „Obecność jest moim udziałem” – mógłby powiedzieć za autorem *Luster i reflektorów*, choć nie mobilizował go do tego z pewnością dziennikarski obowiązek, lecz raczej owa szczególna postawa pielgrzyma, tak charakterystyczna dla Stenipowskiego, i potrzeba czynnego uczestnictwa w świecie, tak typowa dla Józefa Retingera. Ta podróż prowadziła od Związku Sowieckiego przez Bliski Wschód i Włochy do Anglii, z powrotem do Włoch, a konkretnie Neapolu, i miała liczne rozgałęzienia, tak egzotyczne jak wyjazd do Burmy i tak regularnie się powtarzające jak wyjazdy do Francji (Maisons-Laffitte).

Proza Herlinga wszystkie te biograficzne uwikłania wykorzystuje, można nawet powiedzieć więcej: eksponuje. To nie, że głos autora wydobywa się przez „tłumk ukrytej tonacji osobistej, nałożony na pokusy „donosności wyrazu” (Karpieński). W większości wypadków bowiem twórczość jego jest związana z opisem przeżytych przez autora doświadczeń. Odnosi się to nie tylko do *Innego świata* czy *Dziennika pisanego nocą*, lecz również do większości opowiadań: *Wieży*, *Godziny cieni*, *Willi Tritone*, *Księcia Niezłomnego*, *Mostu*, a także sporej części szkiców krytycznych zawartych już w tomie *Żywi i umarli* (np. „Wspomnienie o przyjacielu”), później zaś w *Upiorach rewolucji*. Jeśli jednak owa autorska „obecność” w świecie przedstawionym zostaje ominięta, wówczas pojawia się szczególnie ton opowiadania, nazwijmy go tak: narracja uczestnicząca, jak jest to w *Pieta dell'Isola* czy *Drugim przyjsciu*, gdzie aktywność narratora sprowadza się do odkrycia istoty zdarzeń. Toczą się one warko w jego relacji, układając się w określone ciągi i wówczas pobrzmiewać zaczynają zaskakujące symetrie i analogie. Czy tworzy je sama rzeczywistość, czy też są narzucone z zewnątrz przez poszukującego sensu autorskiego narratora?

„Czy życie powtarza jak pozbawiona pomysłowości hafciarka zbliżone do siebie ciągle wzory – dywagował Herling w *Pieta dell'Isola* – jest rzeczą roztrząsaną od niepamiętnych czasów przez filozofów i po dziś dzień nierozstrzygniętą. Czy niezbadane wyroki Boskie pisane są przez kalkę w tysiącach egzemplarzy i zmieniane tylko w drobnych wariantach, czy przeciwnie – każdy z nas z osobna odbija się w ogromnym Oku Opatrzności i z nieomyślnej Ręki Sędzłego otrzymuje inny i na własną wyłączność miarę skrojony los, jest sprawą zaprzatającą wiernych i teologów.”

Obojętne, jak przyjdzie ostatecznie odpowiedzieć na te pytania, jedno trzeba uznać za rzecz pewną: ten, który mówi, jest nie tylko zaangażowany w literacką grę, lecz także w otaczający świat i obecne w nim prawa przypadku i konieczności.

Tak silne związanie życia z literaturą, nasycenie dzieła biografią prowadzi, co dziwne tylko na pierwszy rzut oka, do osobliwego paradoksu. Oto bowiem nie wystarcza do rozwikłania wielu problemów tradycyjne powiązanie tych jakości: twórczość nie będzie wszak w tym ujęciu prostą formą autoekspresji, manifestującą zdobytą w starciu z rzeczywistością samoświadomość, życie zaś czymś stałym i niezmiennym; atrybutom świata trudno wtedy przypisać trwałe znaczenia, mimo możliwości ich dostrzeżenia w dziejowym procesie przemian. W takiej sytuacji literatura przestaje być tylko opisem doświadczenia życiowego, bądź też kompensacyjnym ustosunkowaniem się do niego. Nawet wtedy, gdy chce być świadectwem, dokumentem, jest również narzędziem poszukiwania sensu, jednak na zewnątrz siebie jak i w sobie samej. Tym sposobem aktywność tworzenia nie zamyka się wyłącznie w wydzielonym sektorze autonomicznie traktowanej sztuki, lecz wkracza na tereny bycia. Pisanie przestaje być rolą, transformuje się w egzystencję.

Choć można by wskazać wiele różnych literackich wcieleń tej zasady, to jednak musi ona być każdorazowo inaczej spełniona. Decyduje o tym z jednej strony splot rozmaitych zawsze determinant zewnętrznych tudzież doświadczeń wewnętrznych, z drugiej natomiast – fuzja odpowiedzialnie dokonanych wyborów, warunkujących w tym samym stopniu życie co pisarstwo. Jak łatwo się zorientować, to kondycja twórcy, który wybrał emigrację pojętą jako powołanie, nie zaś tylko jako przymusową okoliczność. Ale to także postawa artysty, który w obronie swej wolności wewnętrznej gotów był zrezygnować z rządowego debitu. Choć zdarza się, iż takie wybory stają się modne, to jednak nie jest możliwe, by utrzymać się mogły na dłuższą metę. Istnieje wszak zbyt wiele niesprzyjających okoliczności, utrudniających taką pisarską egzystencję. To wybór, który trzeba nieustannie zaświadczać, potwierdzać życiem i tworzeniem.

Nic też dziwnego, że Herling, sam idąc tą drogą, poświęca wiele uwagi podobnym emigracyjno-dystryderckim losom. Nie jest to wszelako zainteresowanie bezkrytyczne. Łatwo bowiem w tych pielgrzymich, czekających na lepsze czasy wcieleńiach o proróżne zagubienia i krążenie wśród ślepych zaułków, łatwo o utopijne postanowienie, łatwo wreszcie o całkowitą utratę nadziei. Herling jest krytyczny, nieufny, ale także rozumiejący i współczujący. A jednak nie radzi, nie daje wskazówek – nie jest nauczycielem dogmatów. Przeciwnie, dyskutuje, spiera się o racje, polemizuje – jest partnerem dialogu, w którym może wziąć udział każdy. Wystarczy tylko otworzyć jakąkolwiek jego książkę, podjąć zaproszenie do rozmowy. Bo w tej perspektywie każda mówi o tym: samym, mimo że każda jest inna.

II W stronę „antropologii cierpienia”

„Oczekiwano Drugiego Przyjścia i zanosząc modły do nieba palono Żydów i heretyków i zanosząc modły do nieba oczekiwano Drugiego Przyjścia.”

Drugie Przyjście, czyli tzw. paruzja: starotestamentowe oczekiwanie Mesjasza i tęsknota za triumfem życia nad śmiercią w Nowym Przymierzu, przeczcucie rychłej apokalipsy lub wiara w bliską już realność raju. Cierpliwa, przesycona miłością nadzieja wyrwania z niewoli staje się chrześcijańską cnotą, zmienia styl bycia. A jednak jest inaczej. Nikt nie chce czekać. Poraża wyobrażenie zagłady, wiele ofiar kosztuje nadgorliwe przyspieszanie narodzin nowego wspaniałego świata. Szybko

zapada zmierzch. Dlatego Herling pisze już swój dziennik nocą.

„Noc świata rozpościera swą ciemność – rozmyślał nad *Chlebem i winem* Hölderlina Martin Heidegger. – Epokę określa niestawieństwo Boga, 'brak Boga'”

„*Dio c'è, 'Bóg jest'*” – głoszą napisy na włoskich skałach.

„Zakłęcie przeciw 'jesli Boga nie ma, wszystko wolno?' – zastanawia się Herling. – Szukanie twardego gruntu pod nogami na osypujących się wydmach piaszczystych?”

„Czas Nocy Świata jest marnym czasem – kontynuuje Heidegger – gdyż mar nicie coraz bardziej. Zmarniał aż tak, że nie potrafi już rozpoznać, iż brak Boga jest właśnie brakiem”.

To czas działań chaotycznych i beznadziejnych, czas niepewności totalnej. Czy cierpienia są konieczne, czy też absolutnie zbyteczne, nikomu niepotrzebne; czy Zło warunkuje istnienie Dobra, czy też może jest coraz bardziej pożądaną, pożerającą wszystko dookoła jakością; czy istnieje transcendencja usensowniająca ludzkie istnienie, czy pozostawione ono zostało samemu sobie w obliczu okrutnej i bezcelowej Natury?

Odpowiedzi na te pytania szukali filozofowie i teolodzy, tyrani i rewolucjonis ci. Kreowano Państwa Słońca i wcielano je w życie. „Oczekiwano Drugiego Przyjścia i zanosząc modły do nieba palono Żydów i heretyków...” Noc świata trwa, a człowiek wciąż pozostaje samotny i ciągle, od nowa, poszukuje sensu: w nauce, postępie, magii, także w seksie i nawet w terroryzmie. A zatem istnieje stałość, niezmiennność rzeczywistości. Tak może się wydawać tylko na pierwszy rzut oka. Aktualne pozostaje nadal spostrzeżenie Gombrowicza, poczynione jeszcze w *Ferdynardzie*: „...dzisiaj zarówno jednostki, jak narody całe umieją już wcale nieźle zarządzać swym życiem psychicznym i nieobca im umiejętność wytwarzania stylów, wiar, zasad, ideałów, uczuć wedle woli, a też wedle tego, co im dyktują ich doraźne interesy...”

W świecie współczesnym wytworzone zostało bogate instrumentarium, przy pomocy którego rozwiązuje się niemal wszystkie potrzeby jednostek i społeczeństw: za ich zgodą i bez ich woli, dla doraźnych korzyści lub dla nieokreślonych, dalekosiężnych celów, w imię człowieka i przeciw człowiekowi. „Nasz wiek jest wiekiem utraty centrum” – uogólnił Herling. To w nim jednostka staje się coraz bardziej bezradna wobec przeróżnych sił i napięć zewnętrznych, to on pozbawia ją autonomii. W wielości obecnych w nim racji każda chce być jedynie słuszną, każda dąży do dominacji nad pozostałymi, każda pragnie podporządkować sobie wszystkie aspekty rzeczywistości. W ten sposób rodzi się idea i rzeczywistość totalitarna. W świecie współczesnym sprowadza się każdorazowo do opracowania „technologii władzy”, „inżynierii społecznej” oraz „stworzenia nowego człowieka”. Skutkiem tego „moralność obłąkanego miasta”. „Nasza moralność obłąkanego miasta nie uznaje życia osobistego, uważając za rzecz możliwą i wskazaną mobilizowanie i wciąganie do walki ostatnich resztek naszej prywatnej egzystencji” – pisał Stempowski.

Czy można obronić się jeszcze przed tak zmasowanym zagrożeniem, które wydaje się być powszechne, czy da się ochronić żałosne resztki indywidualizmu, które nie mają już – jakżeż często się to słyszy – prawa bytu we współczesnym

Śmierć? Herling znajduje na te pytania odpowiedź, choć wyćta się ona być może na pierwszy rzut oka jako oksymoron: trzeba bronić „do upadłego” choćby czyli duszy” – zachować prawo do cierpienia.

Cierpienie jest zawsze jednostkowe i nieprzekazywalne, ale nieważnie stać, na zawsze związane z ludzką kondycją. Wszyscy wobec niego są sobie równi, tak samo jak wówczas gdy stają w obliczu śmierci. Jest ono przeżywaną teraźniejszością w odróżnieniu od wszelkich złudzeń, które sytuują się bądź to w minionym, bądź też w nieokreślonym *futurum*. Jednym słowem uznać je trzeba za najbardziej demokratyczny trybut ludzkiego świata.

Cierpienie i związane z nim nadzieja wyjścia z niego – to temat twórczości Herlinga. Oczekiwanie Drugiego Przyjścia. Zawsze to samo, bo ciągle od nowa przyzywane przez bohaterów jego prozy, i każdorazowo inne, ponieważ indywidualia są same w sobie niepowtarzalne i osadzone w coraz to nowych kontekstach.

Jeśli przyjąć tę perspektywę oglądu pisarstwa Herlinga, wówczas okazą się możliwe dwa sposoby jego opisu. Jeden prowadziłby, w planie etnologicznego następstwa, od osobistego niezwinionego, absurdalnego cierpienia w obliczu pracy przymusowej w Jorciewie pod Archangielskiem, utrwalonego na kartach *Innego świata*, do sensownego uogólnienia przeszłego i aktualnego doświadczenia życiowego w metafizycznie ujętą kondycję losu ludzkiego, wyrażoną w opowiadaniach z tomów *Skrzyżowanie szos* i *Drugie Przyjście*. Drugi sposób eksponowałby historycznie ujęte przyczyny i konteksty cierpienia, oraz „style” ich pamięci: od *Drugiego Przyjścia* – średniowiecznych, aławistycznych zagubień w obliczu zarazy, poprzez *Wieżę* – ból męki i samotności, znoszony z heroizmem przez trędowatego, *Pięć deł Isola* – obdarzoną współczuciem przez innych cierniową drogę egzystencji Sebastiana, utracienną w historycznym i współczesnym wymiarze, po *Inny świat* – odebranie prawa do nadziei i godnej śmierci w świecie zbudowanym przez człowieka dla szczęścia ludzkości, i *Księcia Niezłomnego* – bezużyteczność uciążliwego służenia na porytywną zmianę rzeczywistości.

Te dwie linie problemowe prowadzą zaś w sposób niezwykle konsekwentny do *Dziennika pisanej nocą* i w nim się wielokrotnie i na różne sposoby przecinają, mieszając doświadczenia życiowe autora z jego lekturami i przemyśleniami w węzeł nie do rozplatania. Powstaje w ten sposób niepowtarzalny obraz świata współczesnego człowieka w najprzeróżniejsze idee, gotowe natychmiast wyprowadzić go w jej dno i niezastąpione raje koniecznej szczęśliwości, albo pozostawiające go samego i bez żadnej nadziei w obliczu walącego się świata, kreujące sztuczne i chwilowe krainy ułudy w narkotycznych seansach czy spektaklach hedonistycznego rozgąsania, lub zdolne zaproponować tylko nihilistyczny i cyniczny stosunek do otaczającej rzeczywistości. Ta mozaika została skonstruowana w *Dzienniku* niezwykle skrupulatnie, w oparciu o głębokie studia problemów współczesności i ich historycznych determinant, ale też dzięki różnorodnej aktywności ich autora. Jeleński pisał o konieczności sporządzania do książek tego typu osobnych indeksów. W tym celu, w gąszczu nazwisk, do których Herling się odwołuje, trudno się połapać. Jeśli weźmie się jeszcze pod uwagę fakt, iż zachodzą między nimi określone relacje, wówczas łatwo sobie wyobrazić, że komplikacja problemu wzrasta niepomniernie. Ale nie o nazwiska w tym wszystkim chodzi, lecz o zjawis-

ka. Bo przecież *Dziennik* pisany z kronikarską skrupulatnością prezentuje przede wszystkim znamiona swojego czasu. I to, co zwraca na siebie w tej perspektywie przede wszystkim uwagę, to nieustanna konieczność selekcji i wartościowania mnogości oferowanych każdemu zewsząd zjawisk.

egzystencjaliści, zwłaszcza ci wywodzący się z kręgu filozofii Sartre'owskiej, wyprowadzali cierpienie z owego bycia skazanym na nieustanne wybory spośród jednakowo złych możliwości. U Herlinga mimo powierzchownych podobieństw do tej koncepcji – konieczność podejmowania alternatywnej decyzji w sytuacji niepewności – jest jednak inaczej. Pierwotne jest cierpienie. Zostaje przecież narzucone z zewnątrz przez Naturę lub Innyci. Gdzież więc wybór? Ale później już, gdy fakty staną się dokonane i nieodwracalne, można je przyjąć z godnością lub i bez niej. A więc pojawia się konieczność opowiedzenia po określonej stronie, jednak nie jako przyczyna sprawcza, lecz towarzysząca męce egzystencji okoliczność, dzięki której możliwe jest lub nie zachowanie nawet w nieszczęściu pełni człowieczeństwa.

Łatwo postawić zarzut, że wszystko to przesada, intelektualne rozważania w więzy z kości słoniowej. Jakiż może pozostawać wybór w cierpieniu? A jednak często będzie to jedyny obszar ludzkiej wolności, zwłaszcza w „cywilizacji więziennej”, dzięki któremu powstaną nawet szanse przetrwania. Świadczą o tym nie słowa i deklaracje, ale konkretne fakty. Błkowski nie załamał się w śledztwie – ktoś wątpić może, że było nie dość skrupulatnie prowadzone – tylko dzięki „wolności wewnętrznej”; Wałam Szalamow przetrwał Kołymę – żeby sobie wyobrazić, jak tam jest, nie trzeba nawet czytać jego opowiadań – bo „duszy nie oddał”. W *Czastej Nocy Świata* wybór w cierpieniu bywa jedynym światłem w ciemności.

Nie wszystko jednak zależy od tego, który został poddany próbie. Onegdaj, gdy „obecność Boga” była jeszcze powszechnie rozpoznawana, trud samotnej męki zdawał się łatwiejszy do zniesienia, miał oparcie w religii. „Chrześcijaństwo powstało z tęsknoty ludzi do cierpiącego Boga – notował Herling w *Dzienniku*. – I z tęsknoty Boga do uczestnictwa w ludzkim cierpieniu.” Trędowaty z Aosty, mimo aktów rozpaczliwych prowadzących do zwątpienia w Stwórcę, ostatecznie przezwyciężył samotność, łącząc się w nieszczęściu z Synem Bożym „na przekór obojętnemu milczeniu świata.” Drugiego bohatera *Wieży*, samotnika znajdującego upodobanie w lekturze książki de Maistre'a o losach Lambrosso z Torre dello Spavenito, nie stać będzie na heroizm w ostatnich dniach wojny. W zestawieniu tych dwu postaw: trędowatego i emerytowanego nauczyciela, nie chodzi Herlingowi z pewnością tylko o porównanie charakterów, lecz chyba również o koloryt nieba „bez Boga” i jego wpływ na jednostkowe decyzje. Ostatecznie były właściciel domku, w którym przyszło autorowi spędzać wojskowy urlop, okupił fałszywy krok wystraszającą pokutą: rychłą i samotną śmiercią.

Najpóźniej wszakże „ciemności kryjące ziemię” zaległy w *Innym świecie*. W tym „martwym domu” nawet obecność nowego zbawcy ludzkości była zakazana: „Okres pokuty odbywają bez Boga, nie korzystając jednak ze wszystkich dobrodziejstw tego przymusowego ateizmu politycznego. Nie wolno im Stalina chwalić, lecz nie wolno im go również ganić”. Jeśli zmuszonym zostało się do życia tutaj, trzeba było zapomnieć niemal wszystko, do czego się przywykło na wolności.

Wymagały tego reguły obozowe, czyli „stan bezprawia uświęconego znową silniejszych”. Nie było tu miejsca na litość czy jakakolwiek postać solidarności więziennej. Tak funkcjonująca rzeczywistość skutecznie dezintegrowała osobowość i pozbawiała jakiegokolwiek nadziei. Czyż można się zatem dziwić, że tylko niewielu znosiło to piekło z absurdalnym wydawałoby się w tej sytuacji heroizmem? A jednak postawy takie, choć rzadko, zdarzały się. Nie prowadziły one zawsze, co prawda, do życia na wolności, gwarantowały jednak wolność śmierci, ostatni z możliwych wyborów w cierpieniu: przejaw niezwykłości jednostki w rzeczywistości, w której eksploatacja gospodarcza i destrukcja osobowości były podstawowymi, organizującymi ją zasadami.

Większości jednak, pozbawiczej tak skutecznie nadziei, nie starczało już mocy na walkę choćby o ową minimum wolnego wyboru. Przyjmowali tedy najbardziej zdeformowane reguły życia osobowego z bezkrytyczną determinacją, nie widząc dla siebie już stąd wyjścia — ci żyli w czasie apokalipsy spełnionej, albo też akceptowali z uległością i pokorą największe nawet zło, traktując je jako należną pokutę za „wygnanie z raju” — ci uważali, że Drugie Przyjście już się dokonało. A tymczasem i jedni i drudzy umierali z zatrważającą szybkością, poztawieni całkowicie prawa do godności cierpienia. Palono Żydów i heretyków, ale nikt już się nie modlił i nie oczekiwał Drugiego Przyjścia.

III Etyczny wymiar literatury

A. Pisarz-moralista

„Ten, którego oczekiwano przyszedł, gdy dogorywały już resztki nadziei. Schyliwszy się nad popiołami po świeżo spalonych, napisał w nich palcem podwakroć — smutny i zamysłony — jedno słowo, po czym rozkrzyżował szeroko ramiona, jakby Go powtórnie przybito do Drzewa. Legendy milczą, jakże to było słowo.”

Zrozumieć je mogli tylko cierpiący. Ale przecież nie wszyscy. Umierającego papieża Urbana zdawała się być metafizyczna nić wspólnoty w nieszczęściu z odszczępieniem z Bolsensy. Czy jednak to samo dałoby się powiedzieć o Józefie Wisarionowiczu i konającym na więzniu z Gulagu?

Można by rzec, iż to problem wydumany. Z pewnością, lecz zgodnie z zasadą organizującą *Drugie Przyjście*. Łatwo go zresztą urealnić, na przykład dzięki sprawie Mandelstama. Właśnie dlatego nie w sensym zastawieniu ukryty jest tutaj problem.

Jeśli Herling podejmuje problem wyboru w cierpieniu, to nie po to przecież, żeby rozliczać tych, którzy temu zdaniu nie dość godnie sprostał. Znamienne, że w zasadzie rozpisuje się szeroko jedynie o herojach nieszczęścia. Nie chodzi w takiej prezentacji jedynie o funkcję dydaktyczną, choć i ona bez wątpliwości istnieje. Kryje się za tym myślenie o człowieku w kategoriach osoby i przynależnej mu bezwarunkowo godności. I skoro więc zdarza się i tak, że ktoś nie wytrzymuje bólu... No właśnie. Czy traci tym samym człowieczeństwo? Byłoby to zbyt wielkie uproszczenie. Warto wtedy się rozzejrzeć, czy nie pada gdzieś cień Józefa Wisarionowicza.

W zasadzie trudno wartościować zbrodnie. Bywa jednak, że staje się to konieczne. „Przekonałem się wielokrotnie — rozmyślał Herling nad obozowym życiem — że człowiek jest ludzki w ludzich warunkach i uważam za upiorny nonsens naszych czasów próby sądenia według uczynków, jakich dopuścił się w warunkach

niehumanicznych." Czy można to uznać za usprawiedliwienie winy? Z pewnością nie. Znamienny jest z tego punktu widzenia ostatni rozdział *Innego świata*, w którym współwięzień, już na wolności, zwraca się do autora o zrozumienie obozowej zdrady: „Możesz wymówiłbym bez trudu to jedno słowo nazajutrz po zwolnieniu z obozu – rozważa Herling. – (...) Wróciłem z takim trudem między ludzi i miałbym teraz od nich dobrowolnie uciekać? Nie, nie mogłem wymówić tego słowa." Wina pozostaje winą. A jednak autor nie podejmuje się sądenia współtowarzysza niedoli. Oskarżenie zostanie zwrócone w innym kierunku.

Świat obozów nie był wszakże dziełem przypadku, lecz mieścił się organicznie w określonym systemie, zbudowanym przez człowieka w imię określonych wartości. Za zbrodnie, także nie wykonane własnymi rękoma, ponoszą odpowiedzialność również ci, którzy, propagując najszczytniejsze hasła, dopuszczają w ich imię do istnienia „innych światów”. Dla Herlinga nie ma w tym wymiarze wyboru między większą i mniejszą zbrodnią. Niewiele wart jest system, którego warunkiem bytu są ofiary nawet nielicznych jednostek, co dopiero tysiący lub miliony. Odnosi się to również do wszelkich idei, których wcielenie w życie wiąże się z ludzkim cierpieniem. Już „spełnione”, okupione nieszczęściem wieści, nie obroną się przed słusznymi zarzutami ani usprawiedliwieniem, że racja niby wciąż słuszna li tylko realizacja fatalna, ani też chwytem propagandowym głoszącym, że generalnie pozytywne zmiany są tak wielkie, iż przesadą jest zwracanie uwagi na drobne niedociągnięcia.

Urzeczywistnionej idei nie da się bowiem rozdzielić na zawartość myślową i praktyczną realizację. Na niewiele się zda jej piękno logicznej konstrukcji czy szlachetność intencji tworzącego ją reformatora. Ostatecznym sprawdzianem będzie dla niej zawsze odniesienie do konkretnego, ludzkiego świata. Herling, zwłaszcza w *Dzienniku*, śledzi niezwykle uważnie powstawanie przeróżnych nowych propozycji ulepszeń życia społecznego. Jest bardzo krytyczny. Najbardziej nieufny pozostaje zaś wobec tych ujęć, które zbyt swobodnie igrają nawet jednostkowym nieszczęściem. Tropi niezwykle skutecznie fałszywe ideologiczne i brutalizmy utopii. Wszelako na tym nie kończy.

Odpowiedzialność za ludzką niedolę spada nie tylko na tych, którzy ją bezpośrednio lub pośrednio powodują. Uniwersalizm etyczny Herlinga każe mu mówić także o obowiązku niesienia pomocy cierpiącym. Stąd też jego wymagania stawiane tym wszystkim, którzy mogliby w nieszczęściu ulżyć i tego nie czynią, którzy nie dopuszczając we własnym otoczeniu określonych deformacji tolerują je, a tym samym usprawiedliwiają, gdzie indziej. Przykłady można by mnożyć. Wynieśmy tylko dwa, niezwykle za to charakterystyczne. Oto roztrzepana sekretarka amerykańskiej ambasady w Fradze z dziennikowego opowiadania o uręczystościach Kafkowskich, szczebioce do ucha narratora: „Czy pan wie, że profesor Popradek, od którego usunięto go z uniwersytetu, pracuje w jednym z miejskich W.C.? (...) Straszne, prawda? Straszne i poniżające. Ale kto zrozumie te wschodnioeuropejskie narody?” A teraz szacowny profesor europejski Jean-Paul Sartre. Oto jak komentuje propagowany przez siebie komunizm: „Nie sądzę, bym się dobrze czuł w społeczeństwie, którego życiem innym, nie w tym jednak problem”. W takiej perspektywie, wobec podobnych postaw, nie tylko totalitaryzm będzie zagrożeniem, lecz

także „wolność obojętności, wolność najniższego rzędu”. jak ją nazywa Herling, która „podsyca pasję ślepego zniszczenia”.

Cierpienie więc wymaga nie tylko hartu ducha tego, który je doznaje i zewnętrznych okoliczności przyjęcia go z godnością, ale również zrozumienia i pomocy ze strony bliźnich. Nie też dziwnego, że Herling, głoszący tak wymagające hasła, zaliczany bywa do pisarzy moralistów. Sam zresztą wcale nie przeczy. Wielu mamy wszak w polskiej literaturze twórców, mieszczących się pod tę kwalifikację. Ich przykład zaś zbyt często do moralizowania zraża. Czy można się jednak dziwić, skoro wychodzi ono spod pióra Machajki czy Bratnego? Jeśli więc pozostać przy powyższej kwalifikacji, wówczas konieczne staje się jej sprecyzowanie. Zagadnienie to poruszał już przy okazji *Dziennika Jeleńskiego*: „Czesław Miłosz zarzucił kiedyś Herlingowi 'moralizm'. Nie zgadzam się z tym sądem – pisał może dlatego, że 'moralizmu' nie znoszę. Myślę natomiast, że trudno inaczej jak przeżyciem *lunego świata* wytłumaczyć to wyjątkowe współistnienie w *Dzienniku pisarzem nową* wyostrzonej inteligencji, subtelności, intuicji (i – nie lekajmy się tego słowa miłosierdzia) z tak pozornie prostym i niezachwianym sądem moralnym (chciałoby się powiedzieć 'na zdrowe serce', tak jak się mówi 'na zdrowy rozum'). Nie, to nie jest moralizm. To jest plon doświadczenia na własnym ciele tego, co pozostaje człowiekowi, kiedy żyje w warunkach stworzonych właśnie na to, by odebrać mu wszystko.”

Ten „plon doświadczenia”, pojęcie użyte przez Jeleńskiego wobec autora *Żywych i umarłych*, wymaga dopowiedzeń. Nie daje, co warto podkreślić mając na uwadze sens; takich wyrażen w krajowej nowomowie, ani większych praw oceny temu, który przeżył, ani też niekwestionowanej racji. Rozszerza jedynie skalę wrażliwości etycznej. Stąd też Herling nie wygłasza kazań, nie napomina. Nie odwołuje się w swoich argumentach do dowodu, jaki stanowią dla innych własne przeżycia, typu „myśmy walczyli, a tymczasem...”. Wie wszak dobrze o tym, że słuszność historii jest bardzo względna i nie uzasadnia tego faktu, iż się już dokonała. Nie w przeżytej przeszłości więc znajduje uzasadnienie dla swoich racji. Ta jest bowiem dopiero coś warta, gdy znajduje potwierdzenie w aktualnych wyborach i podejmowanych decyzjach. I właśnie tak jest u Herlinga. Świadczy o tym ciągła nieustannie podejmowana walka z zagrożeniem godności człowieka, sprzeciw wobec realnego lub choćby potencjalnego zniewolenia, stawianie po stronie słabszych, solidarność w cierpieniu. I, mógłby się ktoś spytać, na tym koniec? Tak, bo idąc dalej, proponując swój światopogląd w miejsce krytykowanych, łatwo popełnić błąd zbawiania świata wbrew woli innych. Ostatecznie więc każdy pozostawiony zostaje sam w sytuacji wyboru, od którego zależeć będzie jego człowieczeństwo. Ważnym jest, aby był to wolny wybór. To nie minimalizm, to maksymalizm etyczny.

Herling jest moralistą, lecz tylko w tym sensie, że uwrażliwia na problemy dobra i zła i nie godzi się ze zbyt łatwymi usprawiedliwieniami.

B „Cóż po pocie?”

Do czego może się przydać w perspektywie tych zarysowanych celów literatura? „Cóż po pocie?” – jak pytał retorycznie Heidegger. Czy Herling nie jest uwikła-

ny w dylemat: artysta czy moralista? Nie jest to bynajmniej sprawa błaża, bo ostatecznie to ona decyduje, czy jego twórczość jest godna uwagi tylko ze względu na prezentowane racje etyczne, czy też właśnie od niej, od jej kształtu zależeć będzie sens przesłania moralnego. W innym planie wiąże się to z ustaleniem, czy istnieje rozdział pisarza na artystę i moralistę, a w konsekwencji, czy pisarz odgraniczony zostanie od człowieka. Nie jest więc to zagadnienie w świetle podejmowanej wyżej problematyki nowe, obecnie domaga się jedynie bardziej konkretnego i ostatecznego rozstrzygnięcia.

Zagadnienie dylematu: artysta czy moralista pojawia się na łamach *Dziennika* przy okazji rozważań o Tolstojem. Herling przytacza tezę artykułu Nicolii Chiaromonte, z którym nie do końca się solidaryzuje. Wedle niego problematyka, którą podejmował autor *Zmierzwiłchwstania* skutecznie zlikwidowała powyższy dylemat – literatura stała się sprawą drugorzędną. Sąj ten uzna autor *Wieży* za zbyt schematyczny. O wielkości sztuki Tolstoja – replikował – decyduje wspinała naturalność, z jaką wytryska ona ze źródła, określonego przez niego samego przykazaniem „żyć na serio”. Stąd bliższe mu z pewnością uogólnienie kółkiego na ten sam temat: „Człowiek i artysta, żyjąc i pisząc na serio, rośli razem”.

Nie ulega wątpliwości, że Herling nie rozdziela tych funkcji od siebie i z pewnością nie tylko w odniesieniu do innych. Lecz warto oczywiście w związku z tym pytać, czy mu się to udaje, czy kategorie odnoszone do życia znajdują wsparcie w literackich?

Jak zatem przedstawić cierpienie i jak obdarzyć je moralnym przesłaniem, tak jednak, by je wzmocnić a nie osłabić?

Warto odwołać się w tym miejscu do kilku walców w tym względzie wypowiedzi samego autora. Nawigując do uwagi Szostowa o niemożności artykułowania „świętych uczuć wewnętrznych” Herling pisał: „Święte czy nędzne, w obu wypadkach alergiczne wobec kartki papieru, ale posiadają własną formę, jest nią rodzaj szepcanej w myślach, bezładnej, urywanej spowiedzi. Takie wyznania, jak strzępy snu po przebudzeniu, nie mieszczą się w mowie artykułowanej.” Znamienne jest też odwołanie się Herlinga do *Listu lorda Chandosa* Hofmanna i zaopatrzenie tego utworu komentarzem: „*List* (...) był (...) czymś więcej niż osobistym świadectwem kryzysu poety. Stawił literaturę w punkcie zerowym, inaugurował wiek dwudziesty pytaniem o jej sens bytu (...) był rezygnacją podyktowaną odkryciem 'jak mało, strasznie mało, można powiedzieć w słowach'”.

W siedemdziesiąt pięć lat po ogłoszeniu *Listu* jesteśmy na biegunie przeciwnym. Nie paraliż możliwości języka, lecz ich *elephantiasis*. Słowa obciążają nas, zderają; utwierdza się obłądne przekonanie, że „można z nich wyczerpać całą, absolutnie całą rzeczywistość”. Kiedy indziej zanotował: „Jak opisywać piekło zagłady? Tak, by słowa były tym cięższe, im jest ich mniej; by rozbrzmiewały tym donośniej, im spokojniej są wypowiedzane; by zdaniem udzielał się zimny odbłask pożej w oczach opowiadającego, by w jego równym i niemal obojętnym głosie wyczuwało się napięcie do ostateczności strasną; by przewracane stronice były w rękach czytelnika niby płyty kamienne z wyrytymi napisami, odwalane na bezimiennych i zbiorowych grobach.”

Z powyższych wypowiedzi wysnąć można ściśle określone skrajności warszta-

towe pisarstwa Herlinga: *primo*, zachować szacunek dla prezentowanej rzeczywistości, *secundo*, przyjąć założenie, że tak mało można powiedzieć w słowach, *tertio*, nie podejmować się przekazywania swoich ani cudzych przeżyć wewnętrznych, zwłaszcza cierpienia, *quarto*, unikać literackich nadatków w wypowiedzi, *quinto*, nie pisać, gdy nie ma o czym.

Jeśli powiedzieć teraz, że ideałem narracji jest dla Herlinga tok opowiadania z *Dziennika roku zarazy* Daniela Defoe, a wzorcem usytuowania autora wobec przekazywanej rzeczywistości pozycja Peypsa w jego *Dzienniku*, wyda się to zupełnie zrozumiałe. To niezwykle charakterystyczne, że nawet wtedy, gdy w jego utworach opowiadacz znajduje się wewnątrz świata, o którym relacjonuje, nie można go prawie dostrzec wśród wyeksponowanych realiów. Nie potrzeba też innych dowodów ponad choćby te wypowiedzi, które zostały wyżej zacytowane. Żeby stwierdzić, iż język prozy Herlinga jest niezwykle ascetyczny, kronikarski i jeżeli pojawia się lekka metaforyzacja, to nie oskabia ona zwięzłości i lakoniczności stwierdzeń, a wręcz przeciwnie, prawem kontrastu, dodatkowo ową właściwość podkreśla.

Pisany w ten sposób *Inny świat* stawał się bardziej dokumentem niż dziełem literackim, opowiadał się po stronie prawdy nie zaś jej wyrazu, był oskerzeniem a nie szkice-maliskiem wewnętrznych przeżyć. Tę rolę książka ta spełnia w świecie, wpisując się w nurt „Tell the West”, biorący swój początek w *Podróż do Rosji* A. de Custine'a.. Jest to jednak pozycja ciągle szczepienna w tym bogatym już dziś zestawie. Gdyby powiedzieć, że nie traci nic na wymowie, byłoby to zbyt mało. Ująć to trzeba raczej tak: mimo że opisuje historyczne zdarzenia, to równocześnie uruchamia problematykę etyczną czasoprzestrzennie uniwersalną, co bynajmniej nie wiąże się w planie opowiadania z wychodzeniem poza obozowe realia, lecz ze sposobu ich przedstawiania wynika.

Inny świat chcąc zachować charakter autentyku, nie zaś tylko subiektywnego wyznania świadka, zrezygnował z autorskiej wypowiedzi na korzyść relacji, przekazywanych Herlingowi przez współwięźniów. Charakterystyczny jest z tego punktu widzenia komentarz, który odnieść można do każdej opowiedzianej historii ludzkiego życia finalizowanego w obozie: „To wszystko, co wyżej opisałem, nie jest tedy moje, *ex post* zbudowaną teorią na temat systemu wychowawczego więzień lub psychologiczną interpretacją dziejów życia i śmierci M. A. Kostylewa, lecz jego własną, wielokrotnie powtarzaną i uzupełnianą opowieścią”.

Owo nastawienie na „cudze słowo” było bez wątpienia wynikiem zamierzonych celów demaskatorsko-oskarżycielskich, jakie książka ta miała realizować w zamierzeniu autora. Spełniała obowiązek narzucony przez współwięźniów na każdego, który przeżyje: „Mów całą prawdę, jacyśmy byli, mów, do czego nas doprowadzono”. Dzięki chwytowi zastosowanemu przez Herlinga zaczęli oni mówić sami, każdy we własnym imieniu, choć byli to już w większości głosy zza grobu. Ich słowa zwiększały dzięki temu swój ciężar gatunkowy, tym bardziej, że pozbawione zostały historycznego wyrazu, skoro wypowiedzieli je ludzie „wypaleni do dna”, w metaforycznym i dosłownym tego określenia znaczeniu.

Nastawienie na „cudze słowo” było jednak także skutkiem świadomego nawiązania do *Zapisów z martwego domu* Fiodora Dostojewskiego i obecnej w nich



Gustaw Cieliecki -
1919



Gustaw Cieliecki - 1919



Gustaw Cieliecki w więzieniu w Grodnie, 1940 (tu góry, tam widać pole (tu dołu)

Oba zdję. na podstawie angielskiego wydania książki *The World Apart* (w. Gustaw Cieliecki, translated by
Gustaw Cieliecki [Andrzej Cieliecki] William Heinemann Ltd, London 1945)

techniki narracyjnej. To odwołanie zaś natychmiast każe się zastanowić, czy nie ma w tym paradoksu, że oskarżycielski dokument nawiązuje do autentycznej co prawda relacji, lecz wziętej przecież z literackiego kanonu. Paradoks, rzecz jasna, jest wszelako pozorny. Wszystko bowiem, co powiedziano wcześniej o *inym świecie*, odnieść się daje w tym samym stopniu do dzieła Dostojewskiego. Z kolei z zestawienia tych dwu obrazów obcowego życia wynikać może dodatkowe znaczenia, na które zresztą zwrócić uwagę sam Herling: „Nie to było w Dostojewskim wstrząsające, że potrafił opisać niełudzkie cierpienia tak, jak gdyby stanowiły tylko naturalną część losu ludzkiego, ale to, co uderzyło również Natalię Lwową: że nie było nigdy najkrótszej nawet przerwy pomiędzy jego i naszym losem.”

Z tego punktu widzenia zagrożenie godności człowieka przestaje być tylko chwilową dewiacją historii, żalonym spleciem przypadkowych okoliczności, ale przesłacza się w ciałę, coraz dostronniej realizowany cel. Najbardziej zaś przerażający zdaje się być fakt, iż star ten może być przyjęty jako niezmienny atrybut rzeczywistości, który trzeba, chcąc nie chcąc, zaakceptować, znaleźć się w perspektywie świadomości końca, w świecie bez nadziei. To życie maksymalnie spłaszczone, sprowadzone do jednego wymiaru: jednolicie określonego celu obozu i sfery realizowanego przezeń człowieka. I właśnie *Inny świat* poprzez zdilogizowanie go z powściągliwością Dostojewskiego, a właśnie także z różnorodnymi dokumentami totalitaryzmu, przedstawia ten szablonowy obraz, podając tym samym w wątpliwość skuteczność „technologii władzy” i „inżynierii społecznej” w „stwarzaniu nowego człowieka”. Ukazuje nikłe co prawda, ale za to trwale jarzące się światło wśród okalających ciemności. Przedstawiani ludzie nie mieszczą się już w przyporządkowanej im roli więźniów, jako cierpiący odzyskują utraconą człowieczeństwo, wracają do odebranej im jedności bytu; widziani w planie różnorodnych odniesień stwarzanych przez relacje międzytekstowe, nasycają się głębią jak malarzka płaszczyzna wydobywana laserunkiem.

W ten sposób autentyk transformuje się w wielopłaszczyznowe dzieło literackie i nie tylko nie traci nic z dokumentu, a wręcz przeciwnie: wzbogaca go o nowe jakości. *Inny świat* nie jest więc tylko demaskującą relacją, sprawozdaniem o niełudzkiem okrucieństwie, oskarżeniem wreszcie, ale także, w perspektywie autorskiej, wypełnieniem powinności.

„Przedemną stoi człowiek, od którego promieniuje jakieś 'powinieneś' – pisał Józef Tischner. – Na razie nie jest ono jednoznacznie określone. Dopiero konkretne sytuacje, w jakich znajdujemy się on i ja, bliżej je określa.” Herling właśnie opowiada owe sytuacje, uprecyzynia je, wyjaśnia. Ale też nie godzi się z nimi, nie ocenia nikogo w perspektywie „niełudzkiej ziemi”. Pamięć o powinności. Dlatego przeciwstawia się pojmowaniu człowieka jako bytu sprowadzającego się jedynie do ról społecznych, do płaskiego i dehumanizującego wymiaru, dlatego protestuje przeciw światu, który z tej zasady życiowej chce uczynić realnie obowiązujące prawo. Powinność nie łączyła wcale wglądem roli społecznej, lecz wobec drugiego, pojmowanego autonomicznie i całościowo. Człowiek jest pierwaj człowiekiem, później dopiero więźniem. Także po śmierci należy mu się pamięć i imienna mogiła, a nie traktowanie jako kupy gnoju, choćby nawet rozumianej metaforycznie, zgodnie z rewolucyjną teologią. Wszelako autorska powinność skończy się do-

piero wówczas, gdy zostanie przerwane na innych. Często tu, rzecz oczywista, o konieczność przeciwstawiła się konkretnemu złu, ponieważ walka o godność człowieka nie może być tylko fragmentaryczna, sprowadzana do określonej przestrzeni, lecz powozoczną, nie uznając żadnych granic, ani krajów, ani systemów. Efekt ten zostanie osiągnięty jednak dopiero wtedy, gdy poprzedzi go zrozumienie nie cudzego cierpienia.

Imny świat nie pretenduje bynajmniej do tego, by przedstawić je w gotowym, ukończonym obrazie. Jest to wszak niemożliwe, jak stwierdzono już powyżej. To też wpisane ono zostanie jedynie w przedstawiłny świat. Zbliżyć się do cierpienia można tylko w procesie rozumienia, procesie niesprowadzalnym do automatycznego aktu, lecz wymagającym kształtowo i intensywnego, wciąż ponawianego zaangażowania. Dac temu świadectwo można tylko czytnem. I czynem takim jest właśnie *Imny świat*, fakt literacki wyzwalający się równocześnie ze swej przydawki specyfikującej, co nie wiąże się bynajmniej z jakimiśkolwiek redukcjonizmem, lecz z zasadniczym rozszerzeniem i takojść dzieła, czy arwet więcej -- z przekroczeniem jego kompetencji. Paradoxiem jest to możliwe tylko dzięki literackiej konstrukcji: odpowiedź wywodząc od konkretnego osiąga wysoki stopień uogólnienia, w zakresie którego nie zanę nie także impantawy powiastowici; to z kolei narzucają czytelnikowi obowiązki nie tylko wobec tekstu, lecz również wobec realnego świata. Zrozumienie dzieła nie sprowadza się w tej perspektywie jedynie do uchwylenia jego sensów, bo jeśli te faktycznie rozpoznane zostały zgodnie z intencją ich autora, wówczas czytelnik powinien się otwarcie ku rzeczywistości pozaliterackiej, ku drugiemu w cierpieniu.

Imny świat to nie pierwszy, oczywiście, przypadek w doświadczeniach literatury, gdy zdaje się ona zaprzeczać samej sobie. Ale nie chodzi tu przecież o pusty gest likwidatorski. W istocie, sformułowane zostało ważne pytanie o rację bytu twórczości artystycznej w konkretnym świecie, w obliczu takich a nie innych zagrożeń. Czy może zatem pozwolić sobie literatura na kreowanie sztucznych rajów? Może. Ale czy powinna?

„Ten którego oczekiwano przyszedł... Schyliwszy się nad popiołami po świeżo spalonych, napisał w nich palcem podwakość — smutny i zamysłony — jedno słowo...” Literatura w rozumieniu Herlinga wale może pomóc w rozpoznaniu tego słowa, zwłaszcza wtedy, gdy służy poszukiwaniu prawdy.

Warszawa 1983

Tomasz Burek

HERBERT - LINIA WIERNOŚCI

Wszystkie linie zagłębiają się w dolinie dioni
w małej jamie gdzie bije źródło losu
oto linia życia patrzcie przebiega jak strzała
widnokrąg pięciu palców rozjaśniony potokiem
który rwie naprzód obalając przeszkody
i nie ma nic piękniejszego nic potężniejszego
niż to dążenie naprzód

jakże bezradna jest przy niej linia wierności
jak okrzyk nocą jak rzeka pustyni
poczęta w piasku i ginąca w piasku
może głębiej pod skórą przedłuża się ona
rozwarna tkankę mięśni i wchodzi w arterie
byśmy spotykać mogli nocą naszych zmarłych
we wnętrzu gdzie się toczy wspomnienie i krew
w sztolniach studniach komorach
pełnych ciemnych imion

— tak ongiś pisał Herbert w wierszu *Wrózenie*. Urodzonym w 1924 roku we Lwowie, dane było przeżyć już w latach wczesnej młodości wydarzenia i sprawy wiadome: tragedię napadniętego zdradziecko państwa, utratę niepodległości, utratę rodzinnego miasta, klęskę całego swego pokolenia — ofiarnej młodzieży akowskiej — dziesiątkowanej, ginącej na darmo w partyzanckich lasach i pod gruzami powstającej Warszawy. A później, po skończonej wojnie i problematycznym wyzwoleniu („kiedy go wyzwolono / ze wstydu / zapłakał po raz drugi” — czytamy w *Życiorysie*), po owym „wyzwoleniu”, które w rzeczywistości oznaczało dzień odcięcia i wygnanie, opuściwszy strony ojczyzny — wchłonięte przez potężniejszego sąsiada — wędrował wskroś nieszczęśliwą Polskę, tak jak ona duchowo wydziedziczony, niepewny przyszłości i wątpiący. Kraków, Sopot, Toruń, wręcz Warszawa — znaczyły jego drogę. Student prawa oraz nauk filozoficznych, dojrzał w apogeuem stalinowskiej epoki, stając się milczącym z konieczności świadkiem

triumfów przewrotności i przemości. Widać patrzeć na posidzenie szlachetnych i mężnych, na bezadność i samotność „obcych”, na uległość zszaszonych, żyć pośród wszelkiej okropności, jakie przetrwały próbną zaprowadzenia nowego ładu nad Wisłą. Wprawdzie jako poeta debiutował w początkach lat pięćdziesiątych wierszami ogłaszanymi na łamach prasy katolickiej, ale większość rzeczy napisanych wkładał do szuflady. Otworzyła tę szufladę dopiero historia. Tzw. odwilż, czyli stopniowa liberalizacja polityki kulturalnej, rozpoczęta w 1955, rewolta anty Stalinowska roku następnego – ułatwiły dekonspirację wyobraźni. W krótkim odstępie czasu Herbert publikuje dwa dojrzałe – dzisiaj już klasyczne – książki poetyckie: *Strunę światła* (1956) i *Hermesa, psa i gwiazdę* (1957), dołączając tym samym do fali debiutów późniejszych (przykładem Białczewskiego) bądź ponownych (przykładem Aleksandra Wata).

Powiedzieliśmy: dekonspiracja wyobraźni. I pro powiedzieliśmy tak nie bez przyczyny. Inaczej bowiem niż wielu jego literackich rówieśników, którzy lubili wspinać się na palce i powadzać na Kolumbów, gdy wprawdzie byli w swym piarstwie płaskimi oportunistami, Herbert uprawiał w najczystszych kutań poczucie z głębokiej istoty poetyckiej i niepopędzoną z rzeczywistością. Poezję, która stanowiła właśnie rodzaj krypiogramu; która w symbolicznym przyniesieniu z „ciemnymi imionami” pobitych wskazywała przesłanie międzudzianoci żywych; która w czystości tonu i powadze tematów nieugięwała łączność z przorowaną pieśnią „poległych postów”; i która wiedziała obronić i zachować wbrew prawom węższego czasu moralne wartości konieczności patriotycznej.

Świadek postawy totalitarnej cywilizacji w odbywaniu jej wcielonych: faszystowskim i komunistycznym, nie próbował Herbert zakwestionować wartości hasła aktywizmu, ani powściągnąć się z ufnością (bądź z grabieżliwą kalkulacją) prądowi „nowego życia” – jak to uczynili inni, nie zawsze głupi lub podli. Od początku nie dowierzał optymalistom i podstawowym ruchom ideologicznym i politycznym; w mniemanej dynamice i „szczęśliwej przyszłościowej” tych ostatnich wyczuwał trupi zaduch nicości i brak związku z czasem poezyjnym, konkretnym człowiekiem. Żywe wartości znajdował gdzieś inakzej: w pamięci, przeszłości, tradycji i kulturze. Mówił ustami umarłych.

Nie posłuchał więc zaleceń swego poprzednika – Miłosza. W odróżnieniu od Miłosza, który w słynnej *Przebiegu* do tomu *Orędzie* egzorcyzmował przeszłość, aby nie wracała więcej, który w *Ucieczce* wołał niemal bluźnierczo: „Niech umarli mówią, co się stało”, i który doradził – w *Pożegnaniu* – odrzucenie i zapomnienie, sobie samemu przysięgając: „Nie będę wskrzeszał ani wracał wstecz” (dla uniknięcia nieporozumień należy zaznaczyć, iż nie jest to cały Miłoz i że w *Świetle dziennym* dokonuje się widomy zwrot tego poety w stronę wielorako rozumianego dziedzictwa; dość wymienić *Legende*, *Przypomnienie*, *Ziemię*) – Herbert nigdy nie przerwał dialogu ze zmarłymi. Nie próbował nawet. Być może wcześniej przeczuł, a przeczuwszy szecz całą domyślił do końca, że mianowicie amnezja i obojętność stawiają się dać mogą niebezpiecznymi sprzymierzeńcami władzy nieludzkiej w jej dziele niszczenia historii, splaszczania i zagłuszania przeszłości, w dziele ujednolicenia kultur i odjętania tożsamości narodom.

Kiedy zotam w *Prolego* otwierającym jeden z rękopisów Herberta, *Napis* (1969), rozbiznacniają słowa Chóru, skierowane do bohatera-poety:

Wyruć pamiętki. Spał wspomnienia i w nowy życia strumień wstąp

— to żądną miarą nie mogą one zostać uznane za wyraz rzeczywistych przekonań autora ani, tym więcej, potraktowane jako część jego literackiego programu. Na odwrót, recytacja Chóru to strukturalny gęst zaudy, wyrażający dokładnie tę postawę, której Herbert nie tylko nie aprobował, ale całą swą twórczością się przeciwstawiał. Wyobraźni i sztuce piarskiej wyznaczał bowiem odmienne cele.

Nie dajmy zgnać poległym —

zaklinał w *Trzech wierszach z pamięci* (w tomie *Struna światła*). Na pytanie zaś: czym jest jeszcze, a czym już nie jest poezja? — pytanie, zadawane w rozterce przez największych poetów przełomnej epoki — tak odpowiadał w młodzieńczym *Zyciorysie*:

poezja córka jest pamięci
stoi na straży ciał w pustkowiu

Odpowiadał wieloma madrymi i ważnymi wierszami, jak *Poległym poetom*, jak *Cmentarz warszawski*, jak *Las Andalski* i *Wróźnienie* (wszystkie ze *Struny światła*).

W wierszu, któryśkolwiek chwycił na samym wstępie, dostrzec już można tak charakterystyczne dla twórczości Herberta ironiczne zestawienie — ale i pełne bolesnego napięcia porównywanie — *duś*; różnych układów wartości. Po jednej stronie — wartości, kamienie przeszkody, zwycięskie życie. Takie, jakim je malowały utopie i filozofia postępu. Takie, jakie opiewały gigantofony transparenty, plakaty. I takie też, jakie zapewne chciałby mieć szary, wdręczony człowiek tej epoki. Po drugiej więc stronie — nadzieję, samotrwałego upadłego losu, powodzenia; obietnica rozwoju, ciągłego przekraczania siebie; iluzja przyszłości jako zbawczego celu. Złudzenie użyteczne dla tych z góry, bo mobilizujące tych z dołu do zwiększonego wysiłku. Po drugiej zaś stronie — powada bólu i cierpienia. Ów „okrzyk nocą”. Owa „rzeka pustyni”. Owo „wnętrze ganie się teraz wspomnieniu i krew”. Wszystko to składa się na jakąś trudną, pierwiastkowa wiązującą o kondycji ludzkiej. I zarazem ewokuje starą prawdę narodową świadomości:

I choć Herbert zdawał sobie doskonale sprawę, że bezkompromisowa wierność dla ziemi mogił i krzyżów — symbolu doświadczeń wczorajszych — łatwo może zastąpić w fałszywą poję, wyrodzić się czy odrzucić w skuteczność i śmiałość (stąd często w jego wierszach i prozach egocentryczne demitologizacje i akcenty ironii, także pod własnym adresem, czego dowodem najłepszym — postać Pana Cogito), to przecież o wiele więcej, w istocie nieprzekraczalny dystans dzielił i nadal oddziela jego wyobraźnię od świata przyszłości. Nazwawszy dystans ten w jednym z dawnych utworów „kłamliwą przepaścią”, poświęcił tak zwanym nadziejom na lepsze jutro kilka wspaniałych wierszy w *Napisie*. Przede wszystkim sztycheras *Sprawa zdesza z raju*:

W raju tydzień pracy trwa trzydzieści godzin
penne są wyższe ceny stale trzęskują
praca fizyczna nie męczy (wzrostek mniejszego przywiązania)

rabanie drzewa to tyle co pisanie na maszynie
ustrój społeczny jest trwały a szady rozumne
naprawdę w raju jest lepiej niż w jakimkolwiek kraju:

Dalej – *Przebudzenie*. Wiersz o tych, którzy znaleźli się na śmietniku historii, a potem zostali ufaskawieni. Wiersz z takim oto sarkastycznym zakończeniem:

śluchaliśmy szczebiotania tramwajów jaskółczego głosu fabryk
i nowe życie słabo się nam pod nogi

Od wszelkich szczebiołań o raju przyszłości oddzieliła Herberta raz na zawsze pamięć zatruta przeszłością.

Ta sama pamięć towarzyszyła mu i wówczas, gdy po usunięciu żelaznej kurtyny wyruszyć mógł wreszcie w upragnioną z dawna podróż, intelektualną i artystyczną podróż do źródeł europejskiej cywilizacji. „Barbarzyńca w ogrodzie”, zwiedzał muzea i świątynie; podziwiał piękno architektury i sycił oczy blaskiem arcydzieł; krążył po uliczkach włoskich miast i rozkoszował się urokami prowincji francuskiej; ale wszędzie niósł na butach popiół i glinę swojej pochmurnej ojczyzny. Nawet pod słońcem Południa nie uwolnił się od skrławionych cieni. „no i jestem / mieli przyjść wszyscy / jestem sam” – szeptał w wierszu *Mona Lisa*.¹ Oczywiście, przykuwały jego uwagę freski i obrazy, fascynowały sekrety budowniczych katedr, olśniewała twórczość Piero della Francesca. W swych szkicach literackich, stanowiących wspaniały plon wyprawy, pisał o tym ostatnim: „Nad walką cieni, korwulsjami, hałasem i wściekłością zbudował Piero della Francesca *lucidus ordo*, wieczysty porządek światła i równowagi. (...) Stoicy bohaterowie jego opowieści są skupieni i beznamiętni, nieporuszone liście drzew, kolor pierwszego ziemskiego poranku, pora, której nie wybije żaden zegar, nadają tworzonym przez Piera rzeczom ontologiczną nieziszczalność”.² Jednak nawet tak intensywne przeżycie iluminacji estetycznej – chciałoby się powiedzieć: przeżycie bliskie mistycznemu wtajemniczeniu w naturę światła – nie było w stanie przytłumić wrażliwej Herbertowi wrażliwości politycznej ani ulegnąć go z historycznego uczulenia.

Świadectwem tego uczulenia – przejmująca opowieść *O albignensach, inkwizytorach i trubadurach*. Stylem kronikarskim i rzeczowym, zdradzającym wszakże tłumioną namiętność i poczucie bliskości, zrelacjonował tu Herbert historię wytopienia w XIII wieku – zrazu potężnej, cywilizacyjnie północnej i oryginalnej – wiairy albignensów; opowiedział dzieje pokonanych, którzy oblegani byli na swych ziemiach długo i walczyli z podziwu godną determinacją i mężstwem, ale musieli w końcu ustąpić nie tylko przed siłą oręża, ale przed straszliwszymi niż miecze oczami i uszami inkwizycji. Jaki więc wniosek płynie z klęski, która spotkała wysoko rozwinięte pod względem politycznym i moralnym księstwo Tuluzy? „Historia (nie tylko średniowieczna) uczy, że naród poddany metodom policyjnym demoralizuje się, kruszy wewnętrznie i traci zdolność oporu. Nawet najbardziej bezwzględna walka mężczyzn zmagających się twarzą w twarz nie jest tak zębna, jak szepety, podsłuchy, strach przed sąsiadem i zdrada w powietrzu”.³

Nieprzypadkowo też w sąsiedztwie rozważań o malarstwie Piero della Francesca – owym cudzie sztuki wznoszącej się ponad tumult dziejów – znalazła się zaangażowana, tchnąca szlachetną pasją *Obrona Templariuszy*. Iście to Herbertowski

kontrapunkt! Tam — wieczysty porządek arcydzieł. Tu — niedoskonały świat historycznego człowieka; zawsze jakiś zawikłany dramat, jakaś ciemna afera, jakaś niesprawiedliwość i jakieś marnactwo. Co Herberta zastanawia najbardziej w „aferze Templariuszy” — to narzędzia. Nadzwyczaj sprawne, jak na początek XIV wieku, narzędzia policyjne, którymi posłużył się autarcha francuski, Filip Piękny, aby unicestwić niezależność bogatego i silnego zakonu i wyeliminować go z państwa. Denuncjacja, uderzenie zniemoty, fala masowych aresztowań, propaganda oczerniająca rycerzy Zakonu Świątyń jako heretyków i doprawatorów, „dochodzenie prawdy” głównie za pomocą tortur, wymuszone na zaszczepionych samooskarżenia, komedia procesu zwiędzona kaźnią oskarżonych. „W historii nic nie zamyka się ostatecznie. Metody użyte w walce z Templariuszami weszły do repertuaru władzy. Dlatego nie możemy tej odległej sfery pozostawić bladym pelcom archiwistów”.⁴

Autor *Barbarzyńcy w ogrodzie* nie ukrywa, że sprawy na pozór zamknięte i odległe reinterpretuje w świetle doświadczeń i przenosił człowieka współczesnego. Przegrana albigensów czy dramat Templariuszy stają się tyleż tematem jego esejów, co środkiem dla wyrażenia treści aktualnych. Zamieniają się jakby w przykład, parabolę i pouczenie. W coś, co już się zdarzyło, ale może się jeszcze powtórzyć.

Podobnie rzecz się miała z tematami antycznym i szekspirowskim, modulowanymi aluzyjnie w najbardziej bodaj znanych wierszach Herberta, jak *Powrót prokonsula* i *Tren Fortynbrasa*. Rozważając kluczowe problemy swej epoki — dominowanie systemu nad człowiekiem, państwa nad jednostką, siły nad prawem, despoty nad społeczeństwem obywatelskim, wreszcie przewagę nietolerancji i kłamstwa nad duchem wolności i prawdy — zmuszony był Herbert przez długi czas uciekać się do szyfru, sięgać po bajkę i przypowieść, posługiwać się paraboliczną strukturą znaczeń podwójnych i ukrytych, a ściślej mówiąc zakrytych dla policyjnych oczu, czytelników natomiast dla nerodu. Stępałowa tak nie on jeden. Zwłaszcza za rządów Gomułki, gdy ucisk wprowadził zeżółź, ale nie nastąpiły żadne istotniejsze zmiany w instytucjach ustroju, poczęła się rozpowszechniać aluzyjna krytyka władzy i bujnie zaczęły powstawać rozmaite gatunki literatury alegorycznej i parabolicznej. Ilustrować te zjawiska mogą utwory Leszka Kołakowskiego, Jacka Bocheńskiego i wielu innych. Wtedy to właśnie nazwano Herberta mistrzem parabol, wiąże te umiejętności i postykę nie tylko z moralistyczną postawą pisarza, lecz również z polityczną wywołaną i potłoczonym przesłaniem jego najlepszych i najbardziej znaniennych utworów.⁵

Necy — szafy w kolejności, a pierwszy od wydanego w 1974 roku *Pania Co-gito* — tomik postycyd Zbigniewa Herberta nosi tytuł *Raport z obłożonego Miasta i inne wiersze*. Data publikacji — 1983. Opublikowany w paryskim Instytucie Literackim i przedrukowany w kraju przez porządkiem Odcinek Literacki, początkowo w wersji skróconej jako *18 wierszy*, a następnie w całości, nie może stanowić zaskoczenia. Przyzwyczajeniśmy się bowiem do wielkości Herberta. Przywykliśmy do tego, że chociaż wypowiedzi się z rzadka, trafia swoim klasycznie zwięzłym i uczciwym komentarzem w sedno naszego losu narodowego, nie gubiąc przy tym z oczu odniesień uniwersalnych — cywilizacyjnych i etycznych. A jednak trudno nie przyznać, że jest to wydarzenie. Od czasu *Światła dziennego* i kilku tomów póź-

dziennikowych, jak *Poemat dla dorosłych czy Gorący popiół* – nie byłow poezji polskiej książki, którą tak jasno i nieustępliwie mówiłaby o sprawach publicznych.

Herbert kontynuuje tu, ale równocześnie znacznie poszerza styl, którym dotąd mistrzowsko operował. Od poetyki kryptograficznej, w której granicach mieszczą się jeszcze tak świetne utwory jak *Boski Kłauhausz*, *Danusies z przydomkiem Prokrustes*, *mówi i Poślaniec*, przechodzi coraz częściej do bezpośredniej relacji, sprawozdania naocznego świadka, dokumentu, kroniki. Nie jest zapewne rzeczą przypadku, iż książka rozpoczyna się od wiersza *Co widziałem*, poświęconego pamięci Kazimierza Moczarskiego. Wiadomo przecież, z jakim zmysłem celowości komponuje, a raczej buduje Herbert swoje tomy. O miejscu wiersza *Co widziałem* zadecydować więc musiała nie tyle wczesna (1956) data jego napisania, ile inne względy: tematyka, tonacja, wreszcie stylistyka, jaką on poddaje rozszkiełce utworów. Stylistyka nazywana rzecz po imieniu.

Widziałem człowieka poddanego torturom
 siedział teraz bezpiecznie w gronie rodziny
 opowiadał dowcipy jadł zupę
 patrzyłem na jego rozchylone usta
 dźwięczała -- dwie gałzki tarniny odarte z kory
 było to nad wyraz bezwstydne
 widziałem całą nagość
 całe poniżenie

potem
 akademia,
 dużo osób kwiaty
 duszno
 ktoś bez przerwy mówił o wypaczeniach
 myślałem o jego wypaczonych ustach

Kolejny wiersz w tomie to *Ze schodów* – ozdoba jednego z późnych numerów tygodnika „Po prostu”. I znówu inny to Herbert od swego uładzonego wizerunku, na który dziesięć lat temu dali się nabrać autorzy *Świata nie przedstawionego*. Nie poeta kultury tylko, poeta intelektualnego dystansu i mitologicznej zastory, nie obserwator rzeczywistości – drapieżny realista. Pisarz niecenzuralny. Ktoś, kto gdyby lepiej był znany, mógłby w swoim czasie patronować takim grupom artystycznym jak „Wprost” i „Teraz”. Ale właśnie nie było to możliwe – oba wiersze otwierające *Report z oblężonego Miasta* pozostawały nie znane młodszemu pokoleniom, dzieląc los największej części literackiego dziedzictwa październikowego.

Wśród kilkudziesięciu wierszy *Reportu...*, znanych częściowo z publikacji w czasopiśmie drugiej połowy lat siedemdziesiątych i początku lat osiemdziesiątych, od „Tygodnika Powszechnego” i „Twórczości” przez „Zapis” aż po „Nowy Zapis”, uwagę zwraca artystyczne wyznaczenie wierszy ułożone w kształcie listu poetyckiego (*Do Ryszarda Krynickiego – list*) oraz rozmyślenie poświęcone wybitnemu zbuntowanemu poecie węgierskiemu z generacji Herberta: *In memoriam Nagy Laszlo*:

między nami były sprawy czyste żadnego listu
wspomnień niczego co bawi oko

(.....)

nie oparliśmy łokci na szumiącym dębim stole
nie piliśmy wina nie łamaliśmy losu
a przecież mieszkaliśmy razem
w hospicjum Krzyża i Róży

Są też wiersze-sprawozdania z zagadkowych wydarzeń tej i każdej innej epoki (*Proces, Porzucony*); wiersz w formie notatki encyklopedycznej (*Mordercy królów*); wiersze pisane na marginesach lektury (jak *Izydora Duncan*); jest dalszy ciąg czynów i medytacji Pana Cogito: *Pan Cogito – powrót, Pan Cogito i wyobraźnia, Pan Cogito myśli o krwi* i temu podobne.

Książka kończy się wielką, dech zapierającą kodą, złożoną z pięciu utworów. Ich tytuły: *17.IX, Pan Cogito o potrzebie świętości, Potęga smaku, Pan Cogito – zapiski z Martwego Domu, Raport z obłożonego Miasta*. Ostatni z wymienionych wierszy nosi datę 1982.

Chciałem napisać: I stanowi kronikę stanu wojennego wprowadzonego na obszarze ziem polskich 13 grudnia. Przyznaję jednak: zawałałem się. Z równą bowiem słuszością można by powiedzieć, że *Raport z obłożonego Miasta* stanowi poetyczną syntezę dziejów Polski, zwłaszcza dziejów nowożytnych, zapoczątkowanych zbrodnią rozbiorów i wpływających pod znakiem niezmiennego zagrożenia – utraty podmiotowości politycznej przez nasz naród.

Wprawdzie poeta przyjmuje w wierszu tym rolę kronikarza spisującego wypadki dzień po dniu i tydzień po tygodniu, i nie mamy wątpliwości, że jest to kronikarz teraźniejszych rzeczy: jego napomknienia o aliantach ślących „mąkę worki otuchy tłuszcz i dobre rady”, czy o bliskich w nieszczęściu „afgańskich góralach”, świadczą aż nadto dobitnie, że znajduje się obok nas i podziela nasze upokorzenie, naszą słabość, naszą niezgodę i wolę oporu. Znać także, że był pilnym czytelnikiem zapisków doktora Rieux w jednej z głośniejszych powieści naszych czasów:

unikam komentarzy emocje trzymam w karchach piszę o faktach

A przecież czas jego kroniki niepostrzeżenie urasta w lata i stulecia:

mam być dokładny lecz nie wiem kiedy zaczął się najadł
przed dwustu laty w grudniu wrześniu może wczoraj o świcie

(.....)

obłożenie trwa długo wrogowie muszą się zmieniać
nic ich nie łączy poza pragnieniem naszej zagłady

W takiej perspektywie noc grudniowa 81 okazuje się tylko epizodem, jak epizodem były wcześniejsze o lat jedenaście wypadki na Wybrzeżu, jak epizodem było strzelanie do robotników w czerwcu 56, jak epizodem był dzień 17 września 39 roku. Były to wszystko ogniwa jednego łańcucha –

doprawdy niepojęte że miasto jeszcze się broni

Miasto-ojczyzna.

To Miasto zajmowało zawsze centralne miejsce w poezji Herberta. Przybierało zaś trzy oblicza. Początkowo było przede wszystkim Nekropolem, miastem umarłych, cmentarzem. Było to zarówno utracone miasto rodzinne poety – Lwów, jak i Troja XX wieku – spalona Warszawa. Zdawało się istnieć jedynie w piosence, legendzie i wspomnieniu – jako gród walecznych i szlacheckich, którzy zginęli w nierównej walce. Trwało przecież nadal – jako nie zdobyta przez wroga cytadela narodowej świadomości – miasto wewnętrzne, nie nazwane, tajemne, symboliczne. I takie właśnie powracało w wielkim śnie poety. Konkretnie w szczegółach, stała się mitycznym wyobrażeniem, Świętym Miastem polskości, figurą Rzeczypospolitej niepodległej.

Odmienne było Miasto drugie. Stanowiło jaskrawą antytezę – profanację bohaterckiego wyobrażenia. Nie było wcale podobne do „pięknych umarłych”. Przypominało natomiast kopiec termitów rządzony zwycięskim ramieniem Fortynbrasa. Najwcześniej niewolniczą naturę tego miasta-mrowiska przeniknął Miłosz w pamiętnych wierszach okupacyjnych. Rażone przemocą, pustoszone nihilizmem, opanowane epidemią instynktu samozachowawczego, wyzuło się u Herberta z resztek substancji etycznej. To „miasto nagie” połowy XX wieku z wiersza opatrzonego takim właśnie tytułem (w tomie *Studium przedmiotu*). To Utyka, znajome miasto, gdzie

świętynie wolności
zamieniono na pchli targ
senat obraduje nad tym
jak nie być senatem
obywatele
nie chcą się bronić
uczęszczają na przyspieszone kursy
padania na kolana
(.)
uczą dzieci kłamać

Nie prawych dziedziców to ojczyzna, lecz Martwy Dom ukorzonych i nikczemnych.

Ale ujawni się jeszcze trzecie oblicze Miasta. Zapowiada je postać Pana Cogito. To on, najpierw w pojedynkę, próbuje wyrwać się skutecznie z objęć bezwładu i bezkształtu – z ucisku nicości – z zacczadzenia niewolą. To on nieci gniew i pogardę „dla szpiclów katów tchórzy”, a nie zalepia uszu woskiem słysząc „głos poniżonych i bitych”. To on stara się policzyć ofiary terroru; solidarny z poległymi w dawnych bitwach, przykleka u niewidzialnych często mogił dzisiaj ginących:

jak trudno ustalić imiona
wszystkich tych co zginęli
w walce z władzą nieludzką
dane oficjalne
pomniejszają ich liczbę
raz jeszcze bezlitośnie
dziesiątkują poległych

a ciała ich znikają
 w przepastnych piwnicach
 wielkich gmachów policji
 (.....)

a przecież w tych sprawach
 konieczna jest akuratność
 nie wolno się pomylić
 nawet o jednego

jesteśmy mimo wszystko
 stróżami naszych braci

niewiedza o zaginionych
 podważa realność świata

wtrąca w piekło pozorów
 diabelską sieć dialektyki
 głoszącej że nie ma różnicy
 między substancją a widmem

musimy zatem wiedzieć
 policzyć dokładnie
 zawołać po imieniu
 opatrzeć na drogę

w miseczkę z gliny
 proso mak
 kościany grzebień
 groty strzał
 pierścień wierności
 amulety

(Pan Cogito o potrzebie ścisłości. W tomie Raport z obłązonego Miasta)

To on używa wyobraźni jako narzędzia współczucia. Daje świadectwo godności. Wskazuje „światło na górach”. I to on swoim przesłaniem moralnym toruje drogę polskiej nadziei. Nowej wspólnotcie wolnych i sprawiedliwych.

Nie jest to tylko wyrażenie przenośne. Cyklem o Panu Cogito ugruntował bowiem Herbert swe znaczenie we współczesnej literaturze protestu, a jego popularność, zwłaszcza w środowiskach ludzi niepokornych, stale odtąd rosta. Należy przy tym mieć na uwadze zarówno wyraźny wpływ Herberta na czołówkę intelektualną i literacką młodego pokolenia lat siedemdziesiątych, jak i trudniejsze do określenia a przecież wyczuwalne promieniowanie jego poezji w nieprofesjonalnych kręgach czytelnicy.

Niepodważalna wydaje się rola, jaką publikacja *Pana Cogito* odegrała w stosunku do szeroko pojętego nurtu Nowej Fali, wpływając na skrytykowanie, wyostrenie i wreszcie zróżnicowanie stanowisk w jej obrębie. Style odbioru *Pana Cogito* były tu w istocie miernikiem dokonywanych jeszcze przed 1976 rokiem zasadniczych opcji i wyborów o charakterze moralnym, a w swoich najdalszych

konsekwencjach – także politycznym. W każdym razie obecność Herberta – bądź to jako autorytetu literackiego, bądź jako wzorca postawy – obecność, której nie można nie dostrzec w tekstach wybitnych poetów i eseistów pokolenia 68: Barańczaka, Krynickiego, Zagajewskiego i Michnika – mówi sama za siebie.

Gdyby kusić się o zrekonstruowanie genealogii duchowej ruchu społecznego o nazwie Solidarność, to należałoby wziąć w rachubę także czynnik z pozoru mało ważący, jakim jest czy raczej jakim potrafi być słowo poety. Albowiem wielkie czyste słowa, słowo wolność i słowo ojczyzna nie skażone trądem nowomowy – i stare zaklęcia ludzkości – powtarzane z uporem przez samotnego poetę-depozytariusza umarłych, mogą stawać się materialną siłą dziejów, kiedy podejmą je i potwórzą usta milionów. Twoje i moje usta. „Bądź wierny Idź”.

A kiedy światłość Sierpnia przygasa w okrutną noc zimową, poeta Zbigniew Herbert robi to co zawsze: w *Raporcie z oblężonego Miasta* próbuje raz jeszcze stanąć na wysokości polskiego losu.

1 W tomie *Studium przedmiotu* (1961).

2 *Barbarzyńca w ogrodzie*. Warszawa 1973 (wyd. III), s. 290 i 302. (Wyd. I 1962.)

3 Tamże, s. 225.

4 Tamże, s. 277.

5 Por. J.J. Lipski, *Między historią i arkadą wyobraźni*, „Twórczość”, nr 1, 1962.

Marek Zaleski

POEZJA JANA POLKOWSKIEGO

Świat Jana Polkowskiego to świat w przededniu katastrofy. Nie wieszczą jej żadne znaki widome: nie słychać archanielskiej trąby ani tętentu koni jeźdźców Apokalipsy. Nie ma tu wojennego pejzażu, zapowiedzi cywilizacyjnych klęsk i zniszczenia, kasandrycznych wróżb i przestroż, a więc tego, co składa się zwykle na akcesoria wierszy katastroficznych. Gdyby szukać porównania dla sposobu prezentacji, czy raczej obecności katastroficznych przeczuc, trzeba raczej mówić o zagładzie „zbliżającej się na łapkach kota”, jak w wierszu Miłosza. Ale i ta analogia jest właściwie zawodna. W wierszach Polkowskiego zagłada żyje w nas i my żyjemy nią na co dzień; przechowujemy ją w naszej świadomości brzemiennej w pamięć o śmierci jednostek, grup społecznych, narodów.

Za trzydzieści lat, za parę miesięcy, za godzinę,
ktoś będzie czytał nasze wiersze – otworzy
pachnącą farbą książkę, zegnieną płachtę czasopisma,
ukradkiem wyciągnie samizdat.

W jakiejś chwili, w jakimś kraju, ktoś odkopie
nasze zetlałe oddechy,
jak ja, gdy w chwili spokojnej czytam wiersze
pewnego Żyda żyjącego w Polsce
w latach 1921-1943.

(Translated from Polish)

Rzeczywistość naznaczona jest tutaj piętnem zagłady tym silniej, im bardziej owa poraniona i obolała pamięć nie może znaleźć swojego wyrazu, a umarli nie mogą zostać sprawiedliwie pogrzebani w zbiorowej pamięci. Świat, jak w chwili przebudzenia, wynurza się z niebytu, zwielokrotnia się dowodami swego istnienia, które dochodzą zza ściany sąsiada, ale ze snu – snu, który jest azylem pobitych, skrzywdzonych i poniżonych, utrudzonych codzienną wojną ze złem; pozostaje pamięć bezimiennych grobów i słów z katakumb.

Tragiczny rozdział historii nie został napisany do końca, stan zagrożenia trwa nieustannie, jego to trwanie zmusza piszącego do wyznania: „Opowiadasz w narzeczu zagłady” (*Przy ogniu*). Nie ma gwarancji, że katastrofa się nagle nie wydarzy, zniwacka i w jakiejś banalnej formie, w dekoracjach, do których tak przywykliśmy (o czyni mowa np. w wierszu o „*finis Poloniae*”). Dlatego codzienna rzeczywistość staje się ciężarna o tę drugą, raz kiedyś minioną, a skrycie obecną. Zmienia się w obcowanie żywych z umarłymi: wielorodziny dom mieszkalny nowego osiedla naraz zaczyna przypominać ojczyznę, którą zamieszkiwało niegdyś wiele narodów, jak w wierszu *Wysoko pod niebem żurawie leciały...*

W tak rysującej się perspektywie autorskiej zwyczajność, samo jej trwanie, ulega nobilitacji, uświęceniu. Zapisy z owej codzienności zyskują nagle wagę podobną tym odczytywanym z kamiennych rytów zaginionych cywilizacji. Rzeczywistość istnieje tutaj w dojmującej materialności sensu. Owa kondensacja sensu jest jak gdyby sygnałem obecności Tajemnicy, przestrzeni doświadczenia, w której zdobywamy wiedzę o rzeczach ostatecznych. Wiersze Polkowskiego to mądre wsłuchiwanie się w świat, wyszukiwanie rzadkich i nietrwałych chwil poczucia trwania w potoku przemijającego czasu; wsłuchiwanie się w siebie, czuwanie, by nie zgubić drogi, nie tracić czasu, zawsze znajdować się jak najbliżej wartkiego nurtu egzystencji, omijać mielizny, a kiedy trzeba – płynąć i pod prąd. Gdyby nakręcić film z tej podróży, widza uderzyłaby zapewne wyrazistość obrazu, niczym wyrazistość nieoczekiwane unieruchomionego kadru filmowego, albo sekwencji, w której zatrzymano ścieżkę dźwiękową i gesty, sytuacje oraz ich znaczenia nabierają naglej intensywności. Podobnie jest i w tej poezji. Sytuacje liryczne są tu pełne spotęgowanego znaczenia, ich zapis sprawia często wrażenie zapisu dokonanego w chwili niezwykłego pobudzenia świadomości; staje się próbą dotknięcia zakrytej na co dzień sfery rzeczywistości, próbą przedarcia się w wymiar przeświecającego przez wierzchnie jej warstwy metafizycznego sensu.

Dotyczy to zwłaszcza liryki, wierszy osobistych, utworów, których punkt ciężkości zostaje przesunięty w obszar prywatności, intymności kontaktu ze zjawiskami czy zdarzeniami stającymi się przedmiotem refleksji. Wiersze Polkowskiego rzadko kiedy są czystym zapisem stanu emocjonalnego; mają zwykle za zadanie przeniesienie myśli, stanowią przesłanie.

Znieruchomienie planu, efekt zatrzymania kadru, jaki poeta osiąga, poprzez użycie czasu teraźniejszego, rezygnacja z akcji fabularnej na rzecz opisu czy relacji przerywanej stawianymi sobie pytaniami, ufiłczoficznienie treści – wszystko to sprawia wrażenie, że mamy do czynienia ze spojrzeniem kogoś, kto stoi w progu przywołanej rzeczywistości. Jest poddany jej prawom i jednocześnie wolny, właśnie za sprawą suwerenności widzenia, zdolności przekraczania granic dzięki niezależności i wewnętrznej pewności.

Łagodną, leśną wzgórze,
 zielonkawa mgła w sinym kożuch, wilgotne nozdrza
 zgonionego psa:
 wolny, gdy szepcesz
 i myślisz o tym wszystkim
 dotykając oddechów tego, który tu był
 przed tobą.
 Nawet nie widzisz, że klawisz: przyniósł posiłek.
 Stojąc przy zimnej ścianie kreślisz bezwiednie
 znak przebaczenia
 i łamiesz chleb
 żeby zalepić oczy Judaszowi.

(Który nie widzieli)

Stan wewnętrznej pewności, to kolejna cecha tej twórczości. Wiersze te sprawiają wrażenie pisanych przez człowieka, który uczynił wybór i jest pewien jego słuszności na śmierć i życie, więcej, za sprawą dziwnego wtajemniczenia zna swoją

przyszłość i żyje odtąd prowadząc rachunek sumienia. Poezja ta obmywa swoim spokojem także i czytelnika, przynosi otuchę, choć tak często rozgrywa się w nieludzkiej scenerii i ma za swój temat ogrom zbrodni i cierpienia, jaki stał się udziałem żyjących w wieku XX. Można by rzec, że tragedia jest tej twórczości z ducha przynależna.

Mając ostro zarysowany profil indywidualny, przeżywając świat na sposób bardzo prywatny, poezja ta ciąży ku biegunowi spraw publicznych. W sposobie ich ujęcia zdumiewa szczerością spojrzenia, swoim dojrzałym uniwersalizmem. Wiersze, które z uwagi na swój temat mogłyby zostać zaliczone do gatunku poezji okolicznościowej, wymykają się próbom takiego zaklasyfikowania, właśnie dzięki sile filozoficznego uogólnienia, ironii, przypowieściowości, które to cechy nakazują lekturę tych wierszy jako prolegomenów do historii najnowszej. Głębokie życie tradycji chrześcijańskiej sąsiaduje z historiozoficznym przeżyciem Rosji, doświadczenie Hölderlina dążącego do swej mitycznej Hellady zostaje dopełnione doświadczeniem Mandelstama. Raz po raz, i niebanalnie, pojawiają się w wierszach polskie losy. Autor to jeszcze jeden czuły kochanek ojczyzny. A znowu Polska, codzienna i znana z podręczników historii, tych napisanych i tych nie-napisanych jeszcze, istniejąca w wymiarze obywatelskim, tak jak jawi się on pokoleniu, które za swoją dewizę przyjęło postanowienie „życia w prawdzie”, istnieje tu także w sferze intymnej. To światło lampy na stole, oddech śpiącego dziecka, kształt własnego losu, nowohucki pejzaż za oknem, a ostatnio także widok z okna ośrodka odosobnienia. Właśnie ta umiejętność krzyżowania perspektyw: dopełnianie problematyki obywatelskiej – metafizyczną, egzystencjalnej – historiozoficzną sprawią, że Polkowski – w przekonaniu piszącego te słowa – staje w szeregu wiernych tradycji największych polskich poetów, a jego debiut uznać należy za jeden z najciekawszych, o ile nie najciekawszy, na przestrzeni ostatniej dekady.

Wybór dokonany w sferze wartości nie może pozostać i nie pozostaje bez wpływu na rozstrzygnięcia natury profesjonalnej, na wybór poetyki, rozumienie roli poezji. Pisać tak jak się oddycha, śpi, je, umiera, żyje pośród ludzi – oto ideał tej poezji. „Nie trzeba poezji / poniechaj metafor” – pisze za Watem Polkowski (*Flaga łopocze na wietrze*). Gdzie indziej: „Więcej pokory, mniej poezji, / ani słowa dla niej” (*Jam jest bramą owiec*). W przekonaniu Polkowskiego jeśli już ktoś decyduje się pisać poezję, to ma być ona pożywieniem, powstaniem z niepamięci, z poniżenia; ma przynosić zdrowie, dawać siłę na przeżycie następnego dnia, ma być nadzieją, ma wymierzać sprawiedliwość. Jest rzeczą wielkiej sztuki autora to, że czyniąc sztukę kamieniem węgielnym swej poezji, w żadnym wierszu nie jest retorem-publicystą. Być może dlatego, że lęk przed tym, iż nie zdąży się dać świadectwa równoważony jest tu nadzieją na to, że może kiedyś nie będzie to potrzebne, że rozpadną się mury więzień i poeta bezkarnie napisze słowa „wiatr goni liście”, a świat odstoni mu się w swojej niewinności, jak w chwili swego początku:

Istnieją jeszcze służdy wiatru,
żyją wielmoże mórz.
Czołami biją o kamienie kaptani rzek,
modlą się wierni gór.

Łatwiej jeszcze powietrze matek,
 wędrują łąki dzieci.
 Obdarowani obdarzają,
 dzień nocy jasność, ona jemu ciemność niesie.

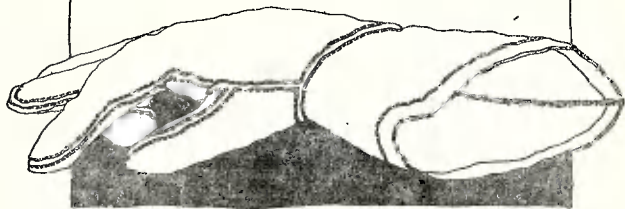
Istnieje świat, gdzie ten kto mówi, śpiewa,
 biegnie, pracuje, w sen zapada
 jest deszczem, zmierzchem, chłodnym wschodem,
 kwitnieniem, tęczą lub przyływem.

Tak jest,
 lecz my taki świat przeczuć możemy jedynie.
 W modlitwie,
 albo w chwili śmierci.

(Oddychaj głęboko)

Tekst zdjęty przez cenzurę z „Tygodnika Powszechnego”, publikowany bez wiedzy i zgody autora (przyp. red.).





KOMPLEKS EZOPA / Tomasz Burek

Niewiele jest chyba rzeczy, które potrafią nas jeszcze wprawić w zdumienie graniczące z oszupieniem. Jeżeli o'mnie chodzi, zaliczam do podobnej kategorii zjawisk ogłoszoną ponad rok temu książkę Andrzeja W. Pawluczuka *Rozbiory*. Książkę – oraz fakty z nią się łączące. Fakt pierwszy i zasadniczy – to że w ogóle ujrzała światło dzienne. Jakim cudem? Pytam nie dlatego, że taka rewelacyjna i obrazoburcza, na odwrót, bo taka wtórna i niemądra. Fakt drugi, nie mniej zagadkowy – że ukazała się nie w którymś z podrzędniejszych wydawnictw państwowych, ale w solidnej i wytrawnej oficynie Znak, i to jako tom 49 cieszącej się dobrą opinią biblioteki „Więzi”. Ukazała się w ramach serii edytorskiej – podkreślmy – która właściwie na prawach wyjątku zamieszcza prace krytyczno-literackie: dwukrotnie publikowano tu Jacka Łukasiewicza, raz Dybciaka, i, jeśli mnie pamięć nie myli, to już bodaj wszystko na przestrzeni ćwierćwiecza. Obecnie do tego ekskluzywnego jak widać klubu krytyków wchodzi Andrzej W. Pawluczuk, myśliciel nietęgi, i stylistą żał się Panie Boże. Ktoś, kto oświadcza, iż musi być brutalny (dosłownie: „muszę być brutalny”) „jako krytyk, który poszukuje diagnozy naszej kultury i martwi się o jej przyszłość”; kto na dwustu niespełna kartkach dokonuje szeregu syntez i przekrojów przez wielkie epoki: międzywojenną, pozytywistyczną, romantyczną, kto z równą łatwością rozstawia po kątach i współczesnych pisarzy, i klasyków; kto jednakże nie ma zwyczaju radzić się słownika poprawnej polszczyzny.

Pominę kwestię nieprzyzwoicie wygórowanej ceny, jakiej się żąda za skleconą naprędce książeczkę (to ciekaw, temu powiem: złotych 300 wedle kursu sprzed półtora roku) i zatrzymam się nad kolejnym powodem mego zdumienia. Otóż *Rozbiory* spotkały się z życzliwym przyjęciem akurat w tych kręgach, które powinny były poczuć się zmartwione i zakłopotane wymową i poziomem tej publikacji. Ale jakoś się nie poczuły. Wprawdzie w recenzji zamieszczonej na łamach „Tygodnika Powszechnego” (1984, nr 33) Marta Wyka przyznaje, że książka

może budzić irytację i sprzeciw, i sama też podejmuje dyskusję z niektórymi wywodami Pawluczuka (w czym, niestety, przeszkadza jej cenzura), po pierwsze jednak czyni to nader ogólnie, po drugie zaś – dopatruje się w książce więcej zalet niż niedostatków. Powiada: „jest to książka z różnych względów ważna, jej autorowi naprawdę o coś chodzi... książka Pawluczuka o coś walczy... Pawluczek chciał napisać program heroiczny dla literatury”. W zgodzie z powyższym tytuł okazalego omówienia „Tygodnikowego” brzmi: „Kłopoty maksymalisty”. Przykro mi, Pani Marto, ale gdyby potraktowała Pani *Rozbiory* bardziej rygorystycznie, doszłaby Pani nieomylnie do wniosku, że są to – karykatury maksymalizmu.

Nazwisko autora nie było mi zupełnie obce. Podpisane tym nazwiskiem teksty widywało się na łamach czasopism w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, w biłostockich „Kontrastach” i „Kulturze” warszawskiej. Jako dziennikarz parający się zarazem krytyką literacką, dystansował się Pawluczek zarówno od środowiska gdańskiego „Punktu”, pobudzanego intelektualnie przez prof. Marię Janion, jak i od „artystowskiej” szkoły krytycznej Henryka Berezy. Teza o rewolucji artystycznej dokonywanej piórami młodych prozaików była mu szczerze niemiła. W „Akcentie” lubelskim ostro ganił np. twórczość Janusza Andermana. W tymże „Akcentie”, gdzie kierował działem krytyki i eseistyki, wydrukował w ciągu 1980 i 81 roku parę szkiców, będących zarysem obecnej książki. Jeden z nich – poświęcony ocenie nowofalowego pisarstwa z dziesięcioletniej perspektywy – nosił nawet tytuł: „Rozbiór świadomości”. Czytałem, stawiałem liczne pytania, zapomniałem. Ale tym razem Pawluczukowi nie przepuszczę.

Lekkomyślnie bowiem wzywa on na Sąd Ostateczny nie tylko nowofalową poezję i najmłodszą prozę. Natchniony jakoby wypadkami narodowymi lat ostatnich, porywa się na coś więcej. Pisze oskarżenie całej w istocie narodowej literatury, ułaskawiając – a i to chwilami nie jest pewne – kilku najwybitniejszych romantyków emigracyjnych, a spośród pisarzy współczesnych zaledwie Miłosza z Gombrowiczem. Poprzez literaturę zaś usiłuje sięgnąć głębiej, obwinia porozbiorną umysłowość polską i dominujący aż do dzisiaj typ świadomości kulturalnej.

Przewodnim wątkiem tego oskarżenia jest sprawa domniemanej pojedynkowości i uległości inteligencji wobec obcych rządów w kraju, co przejawiało się w sposób szczególnie drastyczny generalnym z jej strony przyzwoleniem na uprawianie i rozpowszechnianie literatury cenzurowanej. Jest to powiedziane *expressis verbis*. Strona 97. „Faktem jest bowiem, że żadna obca władza w Polsce nie miała kłopotów (z wyjątkiem okresu okupacji hitlerowskiej) z kulturą. Ogromna większość pisarzy i dziennikarzy chętnie podejmowała współpracę z obcym państwem, godząc się pisać tak, jak pozwalały władze okupacyjne”. Nie istnieje dla Pawluczuka zło bardziej obrzydliwe i przewrotne niż literatura polityczna aluzyjna; stanowi ona – jego zdaniem – literaturę pozorowaną niezgody, gdyż w gruncie rzeczy zawsze jest wynikiem cichej ugody między twórcą i cenzorem. Zwłaszcza cenzura państw zaborczych, jeśli przepuszczała jakieś aluzje, to wyłącznie takie, które sama uznała za nieszkodliwe, czyli pozbawione istotniejszego politycznego wydźwięku. A tymczasem pisarz dawał do zrozumienia publiczności, że sprytnie wyprowadził aparat kontrolujący w pole. Było inaczej. To cenzor,

specjalnie przytykając tu i ówdzie oko, częściej umiał przechytryć pisarza.

Pod tym kątem rozbierana i demaskowana, literatura polska ujawnia Pawluczukowi swoją wstydliwą niemoc i rosnące zafałszowanie. Z epoki na epokę i z pokolenia na pokolenie korzy się coraz głębiej przed dyktatem fatalnego ołówka. Ucieka w dzieje bajeczne, w wieloznaczne przypowieści i zabawy słowne. Woli nie patrzeć i nie tykać codziennej doli Polaków. I znowu jest to powiedziane bez żadnych ceregieli. Strona 100: „Otóż literatura, która w swej masie zajmuje się, począwszy od pozytywizmu, usypianiem społeczeństwa i wmawianiem mu, że nie istnieją żadne problemy, które musimy pokonać, coraz bardziej oddala się od życia”. Strona 101: „Trzydzieści siedem lat literatury po roku 1945 dowodzi, że z zasady trzymania się jak najdalej od istotnych problemów społecznych pisarze uczynili podstawowy kanon swej pracy”. I jeszcze na tej samej stronie: „Dekada 1970-80 nie przyniosła literatury próbującej przekroczyć bariery ciasnego myślenia, konformizmu i koniunkturalizmu (...). Trzeba to powiedzieć także o poezji Nowej Fali (...)”. Ostatni zaś rozdział – niejako résumé całej książki – nosi tytuł: „Gra z cenzurą”.

Odwróćmy na moment zagadnienie i zapytajmy, czy praktyki cenzury to tyle samo, co „gra z literaturą”? Można naturalnie odrzec, że cenzura państw zaborczych oraz rządów despotycznych i narzuconych siłą to nie żadna gra – w rozumieniu jakie owemu terminowi przypisuje Pawluczuk – ale wojna wydana duchowi narodu i jego literaturze, wojna prowadzona *per fas et nefas*. Gdy literatura wydaną sobie wojnę przyjmuje, to nie grę toczy, ale zapasy śmiertelne. Właśnie literatura polska, ta, na której Pawluczuk psy wiesza, literatura cierpliwie szlifowanego i w końcu triumfującego nad przemocą – stylu więziennego, literatura przebiegłego kamuflażu i przenośni, wytężonej pamięci i narodowego podtekstu, od Elizy Orzeszkowej po Janusza Andermana i od *Szkiców* syberyjskich Adama Szymańskiego po *Krzyż Południa* Jerzego Krzysztonia.

W słowie wstępnym do nowego wydania wspomnianych tu *Szkiców* A. Grzymała-Siedlecki określił fundamentalną właściwość polskiego stylu literackiego. Nazwał ją pięknie „dojmującym akordem n i e d o m ó w i e n i a”. Przypominał: „*Szkice* swoje tworzył Szymański w okresie niezwykłego okrucieństwa cenzury carskiej. Nie wolno było wówczas pisarzowi polskiemu użyć słowa 'ojczyzna'. Nikt z piszących nie marzył o tym, by spod pióra wymknąć mu się mogło słowo: 'powstanie', 'powstaniec', 'rok 1963'. Tajemnymi znakami skojarzeń słownych i katakumbowymmi dźwiękami pojęć porozumiewała się literatura polska ze swoim czytelnikiem. Krępowało to niewątpliwie autorów. Czy jednak odejmowało wagę i powagę hermetycznym znakom tej wiedzy tajemnej, w jaką niewola i cenzura przemieniły piśmiennictwo polskie? Zdaje mi się, że wręcz przeciwnie. Między pisarzem a inteligencją czytelnika stawała jakaś pieczęć umowy sakralnej, a w pieczęci tej każda zgłosza dźwięczała tysiącem brzmień porozumienia patriotycznego”.

Kto tego nie rozumie, wyklucza się dobrowolnie ze wspólnoty czytających – wtedy i teraz. Stawia się poza kręgiem wiedzy o naturze pism polskich. Skoro jednak tak czyni, to jakim prawem drwi i poucza? O co mu chodzi?

Autor *Rozbiorów* ma za złe pisarzom, że komponowali utwory z myślą o druku, a zarazem – jak Orzeszkowa w listach do Meyera – uskarżali się, że wiele

„przepysznych rzeczy”, tj. doniosłych zagadnień życia zbiorowego, pomijać muszą przez wzgląd na cenzurę. Czemuż więc tak śpieszno im było do publikowania? Czemu nie pisali do szuflady? Osobliwa to pretensja w ustach krytyka, który na pierwszym miejscu stawia społeczne funkcje literatury. I który wciąż się zarzeka, iż nie zważając na rozliczne i zawzięte przesładowania ze strony agentów Henryka Berzy — „poszukuje związków utworu literackiego z codziennym życiem nad Wisłą”. A przecież w tym celu nie myszkuje po szufladach, ale sięga po to, co przynosi ruch wydawniczy. (Nawiasem mówiąc uderza fakt, iż ten bezkompromisowy przeciwnik cenzury manifestuje równocześnie pozę wyższości w stosunku do „mizeroty” obiegu nienadzany: gestem nonszalancji stara się pokryć — ignorancję). Jeśli zatem traktuje się literaturę jako swoistą formę rozpoznavania rzeczywistości, a powieściopisarza — jako badacza społecznego, i upatruje się główne zadanie literatury w „informowaniu o świecie, porządkowaniu jego elementów”, prosta konsekwencja nakazywałaby uwagę i jaki taki szacunek dla przedsięwzięć czynionych w tej mierze. Więc dla Orzeszkowej i Prusa. Więc dla Żeromskiego. Czy Żeromski paktował z cenzurą? Męczył się z nią straszliwie. „Boże, usuń z Warszawy cenzurę!” — krzyczał daremnie w *Dzienniku*. Cytując dalej zapis z 9 października 1890 r.: „Niepodobna pisać w tych kleszczach, trzeba smażyć mózg nad wynalezieniem wyrazów, które by nic nie mówiły i które by mówiły wszystko”. Żeromski męczył się i zmagał — wstyd przypominać — w imię sprostania pewnej powinności. Tej samej, którą Pawluczuk deklamatorsko nazywa powinnością pisarza. Gdy wszakże przychodzi wskazać na konkretne jej realizacje, autor *Rozbiorów* zaczyna cierpieć na zanik pamięci.

Za dowód koronny niechaj posłuży sprawa Sienkiewicza. Na czym polegało posłannictwo autora *Trylogii*? Skąd jego popularność? Skąd wpływ potężny, rozległy, nie malejący? Pawluczuk ma gotową odpowiedź-formułkę. Powtarza za Brzozowskim, że Sienkiewicz to „klasyk polskiej ciemnoty”: pisarz, „który z oghupiania czytelników uczynił program” (s. 56). Pogratiulować przenikliwość. Tylko czy na owej jednostronnej ocenie pamflicysty sprawa się zamknie? Znamy i inne nieprzychylnie Sienkiewiczowi głosy. Głos Prusa, Nałkowskiego, za naszych czasów Gombrowicza i Miłosza. Wypadałoby jednak dla równowagi znać opinię drugiej strony w toczącym się sporze. Opinię Żeromskiego, Parnickiego, Kleinera... Tę ostatnią zwłaszcza, sformułowaną w rozprawce „Artyzm Sienkiewicza” (w zbiorze *Sztuchy*, 1925), winien był Pawluczuk porównać z historycznymi już sądami — a raczej przesądami — Brzozowskiego. Winien był to zrobić jako krytyk powołujący się w kółko na demokratyczne i patriotyczne cele literatury. Kleiner bowiem dostrzegł w twórczości Sienkiewicza coś zupełnie innego niż Brzozowski. Po pierwsze więc, Sienkiewicz „stał się w najpełniejszym i najszlachetniejszym znaczeniu — pisarzem ludowym. Demokratyzacja sztuki osiągnęła u niego szczyt — ale była to demokratyzacja s z t u k i”. Po wtóre zaś — „Polskę historyczną zmienić dla ogółu w rzeczywistość obecną. Ludzie nowego społeczeństwa, często żadną tradycją osobistą nie związani z warstwami, co tworzyły dawną Polskę — dzięki niemu poczuli się synami tych, którzy pod Zbarażem i Częstochową i Grunwaldem krew swą lali — spadkobiercami wielkiej Rzeczypospolitej. Bardziej niż ktokolwiek inny — Sienkiewicz tworzył solidarność duchową nowej i dawnej

Polski". Na miejscu Pawluczuka zastanowiłbym się nad powyższymi słowami i kto wie: może przecie zajrzeć i do Sienkiewicza?

Nie jedyna to niekonsekwencja naszego zoila. Głośno ubolewa nad nieznamościami dziedzictwa i brakiem zmysłu ciągłości, dającym się zaobserwować w myśli literackiej najmłodszego pokolenia, sam natomiast jaki daje przykład? Taranuje przeszłość i zostawia za sobą pustynię. Likwiduje na nic nikomu niepotrzebną powieść historyczną w wykonaniu Kraszewskiego i Jeża. Likwiduje pozytywizm. O Młodej Polsce nawet się nie zajaknie, wszak zlikwidował ją dawno – autor *Legendy Młodej Polski*. Dwudziestolecie też odpisuje na straty, biorąc tym razem licznym z Irzykowskiego: liczman o plagiatowości („nowe co rusz wynalazki w poezji ujawniały więc nic innego, jak mizerotę myśli i brak rzeczywistego, rodzimego programu” – s. 62), liczman o rozleniwieniu umysłowym itp. Po drugiej wojnie – jeszcze gorzej. Nie mamy literatury naprawdę odkrywczą ani niezależną, jakiej zwłaszcza Pawluczek pilnie potrzebuje. Tak zwani klasycy współczesni – od Przybosia po Gałczyńskiego – „to poeci wtórni”. Ich pokoleniowi następcy, jak Białośzewski czy Herbert – „to już wyraźni naśladowcy” (s. 69). Ogół pisarzy powojennych odznaczył się analfabetyzmem politycznym i rozchwianiem postaw. Najbardziej rozchwiany był prozaik Andrzejewski. Na szczęście znaleźli się i tacy, którzy po Październiku nie musieli ani zmieniać poglądów, ani niczego odwoływać. Do grona chlubnych wyjątków nie splanionych socrealizmem zalicza Pawluczek siedmioro pisarzy, wśród nich: Zofię Kossak-Szczucką i Teodora Parnickiego (najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że obydwójce od wojny mieszkali i tworzyli poza krajem) oraz – na dobitkę – Iwaszkiewicza! Tak więc literatura rozwijała się „dokładnie w takt przemian politycznych”, czego niezbiecie dowiódł Artur Sandauer. Im kryzys władzy większy, tym szuflady płytsze. „Intelektualiści i pisarze nie zdobywali się zaś na nic więcej, jak sporządzanie zbiorowych protestów” (s. 85). Z dzieł dawniejszych nic prawie nie wytrzymało próby czasu. A plon Niezależnej Oficyny Wydawniczej „Nowa” był nieszczerólny. Cudownym atoli zarządzaniem Opatrzności „w latach siedemdziesiątych pojawiły się masowo w kraju” dzieła Gombrowicza. „Z Miłozsem rzecz miała się podobnie. Po roku 1976 jego pisarstwo stawało się w kraju coraz bardziej znane, toteż pokolenie 75 było pierwszym po wojnie, które miłośno doń nieskrępowany dostęp” (s. 40). W każdym razie Andrzej W. Pawluczek liczył zakazanego owocu. Będzie lepiej!”

A.W.Pawluczek: *Rozbiory. Eseje o literaturze*, Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK, Warszawa 1983.

**W róg Polski
Ludowej i Niepodległej
czycha na Twoje „nie“**

Głosuj 3 razy tak

SANDAUER O STALINIZMIE / Zbigniew Mentzel

Jak się żyło w Polsce lat stalinowskich? Czego chciała wtedy władza od narodu, czego zaś – naród od władzy? Co jest prawdą a co kłamstwem o tzw. okresie minionym? Wszystkie te intrygujące pytania nasuwa artykuł Artura Sandauera, opublikowany przez tygodnik „Polityka” (nr 9 z 3 marca 1984 r.) pod znaczącym tytułem: *Okres miniony – oskarżenie, obrona*. Oskarżeniem – rażąco niesprawiedliwym! – okazał się – twierdzi Sandauer-obrońca – głośny film Wojciecha Marczewskiego *Dreszcze*, który, tuż po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce, wycofany został z kin, aby powrócić tam po dwóch latach.

Film opowiada o przeżyciach dojrzewającego chłopca, wziętego w obroty przez demagogicznych wychowawców i nauczycieli. Wyjeżdża on na centralny obóz harcerski, gdzie odbywa się ostre szkolenie „obywatelskie i polityczne”, podkochuje się tam w całkowicie zaślepionej stalinowską doktryną aktywistce, ogarnia go jej fanatyzm, bezmyślnie powtarza za nią najgłupsze partyjne frazesy i częstuje nimi własnego ojca, ledwie co wypuszczonego z więzienia, w którym znalazł się „przez pomyłkę”. W świadomości chłopca panuje straszliwy mętlik, nie wie on komu i w co wierzyć, może więc uwierzyć we wszystko każdemu. Niepokoje, charakterystyczne dla okresu dojrzewania, dręczą go wraz z absurdem i koszmarami, jakie przynosiła polska rzeczywistość „minionego okresu”.

Rzeczywistość tę twórca filmu – zdaniem Sandauera – zakłamał; obraz jej, lakierowany niegdyś na różowo, polakierował, według nowej mody, na czarno; wyjątkowo drastyczne wypadki, jakie się wtedy zdarzały, przedstawił jako regułę; zapomniał o prawdziwych intencjach władzy i, co gorsza, przypisał jej winy, których wcale nie po pełniła.

Wnioski powyższe, oparte – jak za chwilę dowiodę – na zupełnie fałszywych przesłankach, pozwoliły z kolei Sandauerowi sformułować kilka – równie fałszywych – uwag, które dotyczą nie tyle przeszłości, co teraźniejszości naszego kraju. Chodzi o sprawę zasadniczą: o przyczyny napiętych ciągle stosunków między władzą a narodem; chodzi – dopowiedzmy rzecz do końca – o istotę panującego

w Polsce systemu, który pod pewnymi względami ulegał rozmaitym zmianom, pod innymi zaś — przez czterdzieści lat nie zmieniał się wcale. Powstaje zagadnienie, czy ów stalinowski „okres miniony”, nazywany też „okresem błędów i wypaczeń”, zasługuje na takie akurat metaforyczne nazwy? Czy rzeczywiście jest on okresem „minionym”, jeśli nie — jakie „błędy i wypaczenia”, a może coś więcej, łączą go z okresami późniejszymi, także z okresem obecnym?

Daleki od prawdy, pełen sprzeczności i dwuznacznych niedomówień, artykuł Sandauera zbyt szkodliwy jest, aby pokwitować go tak włądą tylko, bojaźliwie ogólnikową polemiką, na jaką zdobył się w „Polityce” (nr 10 z 10 marca 1984 r.), jeden jedyny zresztą, Zdzisław Pietrasik. Sandauer napisał *expressis verbis*, że film Marczewskiego to zajął atak na system; atak, przeprowadzony — UWAGA! UWAGA! — w imię reakcyjnych tradycji. Jakie znaczenie może mieć polemika Pietrasika, skoro kwestii tej w ogóle nawet nie podejmuje?

Artur Sandauer rozumuje w swoim artykule tak oto: filmowiec Marczewski postanowił zaatakować władzę, co jest u nas zawsze łatwą receptą na popularność. Zabierając się za lata stalinowskie reżyser ten postąpił bardzo sprytnie; władza naprawdę miała wtedy wiele na sumieniu, za co dzisiaj sama już pozwala się swobodnie krytykować. Czy rzeczywiście pozwala i to „swobodnie” — o tym za chwilę. Zauważmy na razie rzecz charakterystyczną: Sandauer nie przypuszcza nawet, że kręcenie filmów lub pisanie książek o latach stalinowskich może być czymś oczywistym i naturalnym, nie przychodzi mu do głowy, że Marczewski mógł nakręcić film o tych latach z innych niż czysto koniunkturalne powodów; że, na przykład, chciał zapisać na taśmie doświadczenia swoje i swoich rówieśników — ludzi dociągających dzisiaj do czterdziestki, którzy „dziecięcą chorobą lewicowości” zarażali się od stalinowskich doktrynerów właśnie w dzieciństwie, choroba ta przebiegała wtedy gwałtownie, groziła ciężkimi powikłaniami i zostawiała trwałe ślady na przyszłość.

Wychowanie dzieci zdaniem stalinowskich doktrynerów było, jak wiadomo, czymś w rodzaju procesu produkcyjnego: surowiec — świadomość dziecka — poddawała się obróbce według wypróbowanej technologii. Jeśli otrzymany produkt nie był wzorcowy, winę ponosił wróg-sabotażysta: ksiądz, ojciec, matka, starszy kolega, wszyscy oni razem wzięci itd. Na świadomość dziecka wpływać miała zaostrażająca się walka klasowa, mówiąc zaś normalnie: zaostrażające się stosunki między władzą a narodem.

Stosunki te — twierdzi Sandauer — film Marczewskiego pokazuje w oparciu o Wielki Mity, rozsiewaną bezmyślnie plotkę, według której celem komunistycznej władzy u nas było zdegenerowanie narodu. Mity — czytamy w artykule — są „syntezą doświadczeń społeczeństw prymitywnych, które — nie szanując chronologicznych różnic i przeskakując epoki — upraszczają i uogólniają swój los, przy czym jako źródłem informacji posługują się wieścią gminną”. „Film Marczewskiego narodził się z Wielkiego Mity i mity ten z kolei potęguje. Nie potrafił on na przykład odróżnić okresu stalinowskiego od — hitlerowskiego, tych zaś obu — od zaborów”. Dowody? Sandauer przedstawia cztery. Przyjrzyjmy się każdemu z nich — po kolei.

1) Sandauer: „Obóz harcerski ma wszelkie cechy — kacetu: tlicie i znęcanie się, załatwianie się rzędem na desce klozetowej”. Przecieramy oczy ze zdumienia:

„...wszelkie cechy – kacetu”? Czy Sandauer wie, co napisał? Na obozie harcerskim pokazanym przez Marczewskiego warunki są, jak na połowę lat pięćdziesiątych, bardzo dobre, wielu przebywających tam harcerzy – dzieci małomiasteczkowej polskiej nędzy – nigdy w życiu nie zaznało zapewne takiego luksusu. Nawet owa wspólna deska klozetowa, która Sandauerowi kojarzy się nieodparcie z hitlerowskim kacetem, jest tam urządzeniem komfortowym w porównaniu z pierwszą lepszą latryną, jaką tu i ówdzie można i dzisiaj zobaczyć. Harcerzy nikt też oczywiście nie bije, na obozie – jak na każdym innym – obowiązuje wprawdzie dyscyplina, sypią się koszarowe żarty, starsi, sprytniejsi chłopcy dokucają młodszemu, mniej rozgarniętym, urządzają sobie kocowy itp., wszystko to jednak jest normalne. Jeśli w filmie przypomina ktoś więźniów kacetu, to nie uczestnicy obozu bynajmniej, ale okoliczni mieszkańcy: szary, zabiedzony tłum, na oczach którego harcerze niosą do siebie skrzynie pełne pomarańcz.

W filmie – owszem – znalazła się scena, która starszym ludziom przypominać może czasy hitlerowskiej okupacji. Jest to scena, w której Bezpieka arestuje ojca i sąsiadów bohatera filmu oraz przeprowadza w jego mieszkaniu rewizję. Sceny pokazujące, jak policja polityczna znęca się fizycznie nad ludźmi są jednak zawsze drastyczne i podobne do siebie, niezależnie od tego, jaka to policja przemoc stosuje. W społeczeństwie, które tak długo miało do czynienia z Gestapo, pewne skojarzenia są, rzecz jasna, niemal automatyczne, tego zaś, że stalinowska Bezpieka stosowała wobec niewinnych ludzi przemoc i tortury nie trzeba chyba specjalnie dowodzić.

2) Sandauer: „...To już z *Szyzofowych prac* – zakaz czytania Mickiewicza, za znajomość którego dostaje się dwójce oraz linią po łapie”, a przecież: „Nieprawdą jest, jakoby zabraniano czytania Mickiewicza, którego kult propagowano wówczas silniej niż kiedykolwiek; prawdą jest tylko, że *Dziady* wystawiono dopiero po odwilży”. Czy w latach stalinowskich naprawdę propagowano u nas kult Mickiewicza? Ależ oczywiście! Propagował go na przykład sam Bolesław Bierut, zachęcając do czytania *Pana Tadeusza* i historii WKP(b), która największy ów poemat narodowy pozwoli właściwie zrozumieć. Propagował go też Jerzy Putrament, dowodząc przed kolejnym „świętem wyborczym”, w październiku 1952 roku, że obywatela, którzy oddadzą swoje głosy na Bieruta i towarzyszy, głosować będą...właśnie na Mickiewicza, Bierut i towarzysze bowiem podjęli i kontynuują dzieło największych twórców narodowej kultury. „Idziemy do urn – wołał Putrament – głosować na Kochanowskiego i Mickiewicza, Chopina i Szymanowskiego, Bogusławskiego i Matejkę” (Jerzy Putrament, „O naszej dumie narodowej”, w zbiorze artykułów i referatów tegoż autora *Na literackim froncie*, Warszawa 1953).

Czyżby Wojciech Marczewski nic o tym wszystkim nie wiedział? Czyżby w pokazanej przez niego szkole lat stalinowskich zabraniał ktoś czytania Mickiewicza, jak to było podczas zaborów? Nic podobnego! Zakaz taki bynajmniej tam nie obowiązuje. Na lekcjach uczniowie walczyli Mickiewicza do znudzenia, oczywiście – *Pana Tadeusza*, ale zapewne i *Dziady* cz. II, doszukując się „elementów walki klasowej” w scenie ze złym panem, słusznie ukaranym za wyzysk chłopca (mniejsza z tym, że po śmierci). Nauczyciel polskiego – groteskowy belfer o rozdwojonej świadomości – recytuje uczniom w pewnym momencie fragment *Dziadów* cz. III

– kilka wierszy „Prologu”, znajomością którego nie należało się raczej w tamtych latach popisywać. „Dwa!” – sadza na miejsce ucznia, który fragmentu nie potrafił rozpoznać. „Bardzo dobrze” – roztkliwia się z kolei nad innym, który fragment rozpoznał bezbłędnie, i jego jednak – na wszelki wypadek – sadza na miejsce z dwójką. Nie przypuszczam, aby zrozumienie sceny, nawet tak skomplikowanej, przekraczało możliwości intelektualne Sandauera. Dlaczego więc w prymitywny sposób scenę tę uprościł, sugerując, po pierwsze, że w pokazanej przez Marczewskiego szkole zabrania się czytania „całego” Mickiewicza, po wtóre, przemilczając, że nauczyciel grozi tam dwójką nie tylko za znajomość, ale i za niezajomość tego samego mickiewiczowskiego utworu.

Zauważmy, że Sandauer wolał zaryzykować kompromitację, która go, nie po raz pierwszy, spotyka, niż otwarcie postawić drażliwą kwestię: w okresie zaborów nie pozwalano Mickiewicza nawet czytać, w okresie „minionym” (?) – zachęcając do czytania – nie pozwalano go zrozumieć. Demoralizacja, która za każdym razem na czym innym polega, nie przestaje być demoralizacją.

3) Sandauer: „...oczywiście – zakaz chodzenia do kościoła”, a przecież: „Nieprawdą jest, jakoby zakazywano uczniom chodzenia do kościoła; prawdą jest, że zniesiono nauczanie religii w szkole”. Zapewne, w filmie Marczewskiego nikt nikomu jednak nie zakazuje chodzenia do kościoła. Partyjny instruktor namawia tylko dzieci, aby zdobyły się na odwagę i w najbliższą niedzielę, zamiast całymi rodzinami do kościoła, poszły całą klasą do PGR-u pomagać rolnikom przy wykopkach. „Odważcie się – podbija dzieciom bębenka – odwagą cechowali się u nas najlepsi: Zawisza Czarna, Tadeusz Kościuszko, Paweł FINDER...” „Obecność obowiązkowa!” – grozi na koniec nauczyciel.

Sandauer, całkowicie wypaczając sens kolejnej sceny filmu, najwyraźniej nie rozumie, albo nie chce zrozumieć, samej istoty stalinizmu, którą zdaje się dobrze pojmować Marczewski. Władza stalinowska nie wydaje na ogół konkretnych, jednoznacznie brzmiących zakazów; wręcz ich unika, jeśli czegoś w ogóle zakazuje to najwyżej „działalności godzącej w interesy klasy robotniczej”, aby później tak ogólnikową formułą – zależnie od aktualnej taktyki – dowolnie interpretować. Gdzie jest w stalinowskim systemie prawda, a gdzie kłamstwo? „Genialnym wynalazkiem Stalina – zauważył trafnie Aleksander Wat – było przeniesienie języka ludzkiego poza prawdę i fałsz i w ten sposób rozbitcie dialektycznego związku między szczerością a kłamstwem” („Semantyka języka stalinowskiego”, w zbiorze *Język totalitarny. Wybór tekstów*, Warszawa 1981). Jest to oczywiście fakt zasadniczy, który dogłębnie deprawuje język i świadomość ludzi żyjących w takim systemie.

4) Sandauer: „Co wiem o swoich rodzicach” to zachęcający do denuncjacji temat szkolnego zadania”, a przecież: „Nieprawdą jest, jakoby zachęcano do denuncjowania rodziców; prawdą jest, że w jakimś podręczniku – nie polskim zresztą – znalazła się pouczająca opowiadka o chłopczyku, który wskazał, gdzie ojciec ukrywa przeznaczony na kontyngent ziarno”.

Znowu to samo! „...Nieprawdą jest, jakoby zachęcano do denuncjowania rodziców...” Mój Boże... I cóż na to odpowiedzieć? Przecież cały ówczesny system wychowawczy, ba! cały w ogóle SYSTEM wymagał od „wychowywanych” nie-

ustananej „czujności”, która pomoc miała w zdemaskowaniu wroga, kimkolwiek by się on nie okazał. „Dla ówczesnej atmosfery wychowawczej – pisze Anna Radziwiłł w ciekawej książce *Ideologia wychowawcza w Polsce w latach 1948-1956. Próba modelu* (Zeszyty Towarzystwa Kursów Naukowych, Warszawa 1981) – charakterystyczne było przeciwstawianie sobie wszystkich uczestników procesu wychowawczego. Wszyscy wszystkich musieli pilnować i trwać w nastroju ciągłej czujności. Nauczyciel kontrolował wychowanków, wychowywani czuwali nad prawomyślnością wychowawców i wzajemnie nad sobą, dzieci i nauczyciele kontrolowali postawy rodziców, ci z kolei mieli dbać o właściwą linię ideowo-polityczną szkoły itp. Lojalność była jednokierunkowa, a polegała m.in. na braku wszelkich innych lojalności”. „Rożniczne publikacje donosiły o tym, jak dzieci (z inspiracji nauczycieli lub organizacji młodzieżowych) nakłaniały rodziców do punktualnego oddawania dostaw, analizowały na lekcjach lub zebraniach stosunek poszczególnych rodziców do „spółdzielni produkcyjnej, wykonywały gazetki z karykaturami dorosłych 'nie nadążających za postępem', piętnowały ciemnotę swoich matek czy ojców itp.”.

Donosy, nawet na najbliższych, rodziców nie wyłączając, tak były wówczas rozpowszechnione, że nawet stawały się przedmiotem wiału żartów, przy pomocy których – to już raczej polska specjalność – próbowano ciężką atmosferę rozładować. Początkując satyryk – Sławomir Mrożek – pisał w „dziecinnych” opowiadaniach z tomu *Półpancerze praktyczne* (Kraków 1953), jak to „kolega Zdzisio, lat osiem” przygotowuje na manifestację transparent z napisem: „Nie chcę być jak trusia – bacznym na tatósia” i żąda, aby o nieodpowiednim zachowaniu się tatusia albo mamusi w miejscu pracy, dzieci były z kolei natychmiast przez ten zakład zawiadamiane.

Sandauer wspomina „pouczającą opowiadkę” o chłopczyku-donosicielu, która znalazła się „w jakimś – nie polskim zresztą – podręczniku”. Czyżby miał na myśli ałynnego *Pawlika Morozowa*? Zapewne. Chłopczyk ów – wskazując, gdzie ukryte zostało przeznaczone na kontyngent ziarno – bynajmniej jednak nie zadenuncjował ojca, tylko – dziadka. Ojca zadenuncjował wcześniej, donosząc, że sprzedaje on zesłanym chłopom fałszywe karty meldunkowe, za co natychmiast skazany został na dziesięć lat łagru. Dopiero potem Pawlik złożył z kolei donos na dziadka, ten zaś własnoręcznie zarznął wnuka nożem. Cały ten straszliwy, mrozący krew w żyłach socrealistyczny horror nie pozostał bynajmniej „w jakimś – nie polskim zresztą – podręczniku”. Opowieść Gubariewa pt. *Pawlik Morozow* wydała w Polsce Nasza Księgarnia, książeczka ta była następnie wznawiana i to wraz z przedmową „Bądźcie takimi jak Pawlik”, napisaną przez... matkę Pawlika, oraz – żeby nie było już żadnych, ale to żadnych wątpliwości – wraz ze słowem wstępnym polskiego wydawcy, gdzie czytamy m.in.: „Pawlik walczył o zorganizowanie kołchozu w swojej wsi rodzinnej na dalekiej Syberii. Wiedział, że tylko kołchoz pozwoli ludziom zacząć żyć dostatnio i szczęśliwie (...) Mały chłopiec potrafi zwalczyć w sobie miłość do ojca, przeszkadzającego w utrwalaniu władzy radzieckiej (...) Pawlik jest nieugiętym pionierem, walczy z wrogiem, mimo tego, że wśród wrogów znaleźli się najbliżsi jego krewni. Życie i walka Pawlika stały się wzorem dla wielu pokoleń dzieci radzieckich (...) Pawlik to postać, która i dla nas

powinna być bliska i droga. Dziś w Polsce toczy się ta sama trudna walka z wrogiem klasowym na wsi i u nas harcerze biorą w niej udział. Ta książka pomoże dzieciom polskim w walce o nowe, lepsze jutro – o socjalistyczną ojczyznę (...)."

Starczy chyba...

Widzimy już teraz, w jaki sposób Sandauer oddziela prawdę od nieprawdy i co z tego wynika, widzimy już, ile warte są przedstawione przez niego dowody na to, że Marczewski sfalszował w swoim filmie obraz lat stalinowskich. Dokładnie tyle samo warta jest uwaga Sandauera, że film ten jest zajadłym atakiem na system; atakiem, przeprowadzonym w imię reakcyjnych tradycji, które bohater filmu wyniósł jakoby z domu, a następnie się ich wyrzekł (Sandauerowi chodzi o klerykalizm!). O tradycjach wyniesionych przez bohatera z domu powiedzieć można niewiele. Owszem, chłopiec wierzy w Boga, na obozie harcerskim gotów jest, podobnie jak i jego koledzy, zaklinać się: „Jak Boga kocham, jestem prawdziwym komunistą”; na wiadomość o wypadkach czerwcowych w Poznaniu modli się błagalnie: „Boże Wszchemogący, zniszcz kontrrewolucję”; młodszego brata straszy piekłem, sam zaś budzi się co noc z okrzykiem „Potop! Potop!”, którym z kolei sam był być może straszony. Jeśli nawet uznać, że wszystko to razem dowodzi klerykalizmu jego rodziców, nic nie wskazuje na to, że klerykalizm jest szczególnie bliiski Marczewskiemu. Wprost przeciwnie! Reżyser filmu zdaje się rozumieć, że jeżeli dziecko nie znajduje wspólnego języka z rodzicami, winę za to ponoszą przede wszystkim rodzice. Przypomina się doskonały wiersz Andrzeja Bursy *Głós w dyskusji o młodości*. W wierszu tym kilkunastoletni chłopiec, naczytawszy się socrealistycznych opowieści o radzieckich herosach wojny i pokoju, próbuje takich samych bohaterów odnaleźć we własnej rodzinie:

- Wujku, czy byłeś na wojnie?
- Wujaszcowi spłonęła łysina:
- Porucznikiem byłem pod Beliną.
- Gdyby się tak o tym dowiedzieli,
- Toby pewno z posady wyleli.
- Et... po diabła mi grzebać w pamięci...
- Szczeniakami dziś rząd, jak chce, kręci.
- Coś usłyszysz taki, zaraz leci,
- Żeby... tego... prawda... do Bezpieki.
- Tobie wierzę... Były, chłopcze, czasy,
- Pamiętają szablę wujka Żydzi
- I Rusini... byki, panie, krase.
- Milczy chłopiec... chłopiec nienawidzi.
- Tato, przecież ty dostałeś premię,
- Znaczy, tato, jesteś przodownikiem?
- Buchalterem jestem. A za premię
- To ci przecież kupiłem buciki.
- Nosy zbite znów. Jak się nie wstydzisz?
- Krwawa praca... Chłopiec nienawidzi.

Zastanówmy się z kolei nad tym, czy Marczewski mógł zaatakować system z innych powodów niż przemożna chęć propagowania reakcyjnych tradycji? San-

dauer utrzymuje, że reżyser wystąpił nie przeciwko „błędom i wypaczeniom” systemu, ale przeciwko „samej zasadzie, która pozostała do chwili obecnej nie zmieniona”. Cóż jednak uważać za ową zasadę? W polityce kulturalnej, na przykład, zasada – jak ciągle słyszymy – zmieniła się od lat stalinowskich całkowicie. Praktyka niestety tego nie potwierdza. Owszem, hasło „Kto nie z nami, ten przeciwko nam” zastąpiło odmienne „Kto nie przeciw nam, ten z nami”. Różnice są oczywiste i istotne. Oczywiste jednak są też i podobieństwa. Władza – po staremu – w arbitralny sposób wyznacza obszar swych interesów, na którym nie można być „przeciw”, mało tego, interesy te utożsamia z interesami państwa, narodu, klasy robotniczej itd.

Czyżby ową niezmienną zasadą systemu była w takim razie autorytatywność rządu, a więc – w ścisłym, słownikowym znaczeniu tego pojęcia – rządzenie nie podlegające jakiegokolwiek kontroli społecznej, oparte na wymaganiu bezwzględno posłuchu wobec władzy? Czyż takiej „zasady” nie należy atakować po to właśnie, aby ją zmienić i system – zdemokratyzować?

Wypowiedziom Sandauera na ten temat brak jest – delikatnie mówiąc – konsekwencji. „Powstanie 'Solidarności' – pisał on w czasach „naszej małej demokracji”: cytowany tekst, zamieszczony w poznańskim piśmie „Solidarność Wielkopolski” (nr 10 z 20 września 1981 r.), opatrzył autor dokładną datą, którą zapamiętajmy: 31 sierpnia 1981 r. – uważam za jedno z wielkich wydarzeń naszych dziejów. Położyła ona kres rządowi autorytatywnym, które – widać to na przykładzie wszystkich ekip, jakie na przestrzeni 35 lat rządziły Polską – muszą się nieuchronnie wyrodzić; utorowała drogę prawdziwej demokracji: rządowi robotniczym”. Sandauer daje do zrozumienia, że z Solidarnością nie we wszystkim się jeszcze zgadza. Cóż robić – stwierdza jednak z filozoficzną zadumą – „demokracja ma swoje wady; ale dyktatura ma większe”, po czym najspokojniej w świecie zastanawia się, czy nie należałoby wreszcie pomyśleć o tym, aby załogi robotnicze same obierały kierownictwo swoich przedsiębiorstw, kto wie, może i przedsiębiorstw związanych z wojskowością!

Wkrótce potem, kiedy Polską na dobre zaczęła rządzić ekipa nieco bardziej przypominająca wojskową dyktaturę niż robotniczą radę, Sandauer w wywiadzie udzielonym tygodnikowi „Tu i Teraz” (nr 22 z 27 października 1982 r.) oświadczył, że przez cały niemal rok 1981 był, cytując, „po prostu przerażony tym, co się wyczyniało w Polsce”, ostrzegł, że „w momencie przedwczesnego odwołania stanu wojennego powstałaby stokroć większa fala anarchii niż poprzednio”, i dodał obłudnie: „Nie jestem zwolennikiem stanu wojennego, ale dobrze sobie zdaję sprawę, gdzie byśmy byli, gdyby trwał bałagan sprzed 13 grudnia”.

Gdzie byśmy byli? Wydawało się, że Sandauer już nam to kiedyś wyjaśnił: bylibyśmy na progu prawdziwej demokracji, która, oczywiście, ma swoje wady i której naród, tak długo demokracji pozbawiony, zaczynał się dopiero mozolnie uczyć

Sandauer chętnie przypomina, jak to w latach stalinowskich bronić musiał banalnej prawdy przed całą zgrają oportunistycznych krętaczy. Dzisiaj Artur Sandauer zmusza nas do tego, abyśmy przypominali banalne prawdy i bronili ich – przed nim.

I POWRACA WIATR... — W KRAJU

Krejowe wydanie *I powraca wiatr...* zostało opatrzone słowem wstępnym Zbigniewa Bujała i posłowiem autora książki, Władimira Bukowskiego. Przytaczamy je tu *in extenso*.

ZAMIAST PRZEDMOWY

Szanowny i Drogi Włodzimierzu,

Przeczytałem Twoją książkę *I powraca wiatr...* Jest znakomita. Bardzo się cieszę, że wydała ją w naszym kraju. Jesteś człowiekiem, z którym chciałbym się spotkać i porozmawiać nie tylko o polityce. Znalazłem Cię Rosjaninem i Europejczykiem, w Twoim życiorysie napotkałem na wiele bliskich mi momentów i podobnych doświadczeń. Z jednym wyjątkiem: ja jeszcze nie siedziałem. Jeżeli jednak znajduję się w więzieniu – a nie chciałbym tego – to pomocą w wytrwaniu będzie mi wspomnienie Twojej heroicznej walki, jaką „tam” prowadzicie. Potrafię ją opisać bez afektacji, nie robiąc z siebie bohatera.

Często zastanawiam się, na ile bolszewizm wynika z tradycji carskiego despotyzmu, na ile zaś jest sztucznym tworem, powstałym po przeniesieniu do Rosji zachodnioeuropejskich utopii, na które społeczeństwo rosyjskie nie było uodpornione.

Twoja książka pomaga przełamać pokutujący w świadomości wielu Polaków stereotyp Rosjan – ludzi o duszy niewolniczej, dla których bolszewizm stanowi naturalną kontynuację ich historii. Ten stereotyp dziś się zmienia. Coraz powszechniejsze staje się przekonanie, że umocnienie bolszewizmu było w Rosji możliwe tylko przez wieloletnie rządy terroru, pochłaniającego wiele milionów ofiar. Triumf bolszewizmu wymagał zniszczenia całej tkanki społecznej Rosji. Twoja książka wywołuje więc zdumienie, że po tak ogromnej hekatombie narodu ciągle znajdują się ludzie gotowi walczyć o prawdę. Tak oto pomagasz nam poznać Rosjan, których poglądy są nam bliskie, których walka jest naszą wspólną walką.

Kilka lat temu przeczytałem esej *Sila bezsilnych* Václava Havla. Był on dla mnie odkryciem, pomógł w wyborze drogi życiowej, kształtował moje poglądy, pomagał w działaniu. Lektura Twojej książki nasuwa mi myśl, że to, co robię i robię, to po prostu dalszy ciąg tego, co Ty robiłeś. Świadectwa dawane przez ludzi takich jak Ty i Havel pozwalają zrozumieć, jak ważnymi wydarzeniami były «Pismo do narodów Europy Wschodniej» i «Deklaracja w sprawie mniejszości narodowych», uchwalone przez I Krajowy Zjazd Delegatów Solidarności.

Pokazaliśmy w ten sposób, że wartości moralne trzeba zawsze przedkładać nad doraźne politykowanie. Nasza działalność ma bowiem sens tylko wtedy, gdy pomaga wszystkim, którzy muszą walczyć o należne im prawa, gdziekolwiek by się znajdowali.

Gdy piszę do Ciebie ten list, trwa walka o wolność dla Andrieja Sacharowa i jego żony Eleny Bonner. Boję się, że stawką w tej walce może okazać się ich życie. Andriej Sacharow może zostać zamordowany, bo jest

potrzebny tak wielu ludziom, bo jest wzorem dla tak wielu ludzi – także dla mnie i moich przyjaciół. Życzymy Mu woiności.

Kończę ten list.

Życzę Ci powodzenia, myśląc o spotkaniu w lepszych czasach.

Warszawa, maj 1984

Z uszanowaniem
Zbigniew Bujak

WŁADIMIR BUKOWSKI DO ZBIGNIEWA BUJAKA

Drogi Zbigniewie!

Dziękuję za wiadomość o wydaniu w Polsce mojej książki. Teraz, jeszcze silniej niż dotychczas, czuję się uczestnikiem polskiego ruchu oporu, i jestem z tego dumny.

Dokładnie takiego samego uczucia przynależności doznałem parę lat temu, dowiedziawszy się o moim imienniku (a kto wie, czy nie dalekim krewnym), który w Sejmie głosował przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego. Przecież w gruncie rzeczy wszyscy jesteśmy jakby trochę spokrewnieni – już choćby z powodu podobieństwa naszych losów i charakterów. Bowiem niezależnie od wieku i narodowości wszyscy urodziliśmy się w Budapeszcie, uczyliśmy się w Pradze, dojrzewaliśmy w radzieckich obozach pracy, by wreszcie osiągnąć dojrzałość w Stoczni Gdańskiej. Nasze doświadczenie jest ciągle, a proces, którego jesteśmy uczestnikami, jest nieodwracalny, tak jak nieodwracalny jest proces rozwoju jednego organizmu.

Nie wiem, do jakiego stopnia nasze moskiewskie doświadczenia mogą się Wam przydać. Oczywiście, to bardzo ważne wiedzieć, że jest ktoś żywy w sąsiedniej celi, lecz Wasze teraźniejsze zadania są dużo szersze i znacznie bardziej skomplikowane niż kiedyś nasze. W komunistycznej strefie wpływów Polska jest dziś jedynym krajem, gdzie ruch oporu rzeczywiście stał się ogólnonarodowy, i teraz to my powinniśmy się od Was uczyć.

Bowiem w istocie wszystko, czego udało się nam dokonać w ciągu tej ćwierci wieku rozpaczliwych wysiłków – to dowieść, że i w warunkach radzieckich można odnieść zwycięstwo moralne i być człowiekiem. Oczywiście – przede wszystkim zwycięstwo nad samym sobą, gdyż wedle mego najgłębszego przekonania zawsze mamy wolność wyboru, nawet w więzieniu, i nic nas nie usprawiedliwia, jeśli nie chcemy z niej korzystać. Czyż nie jest to początek wszystkiego?

Jednak szkoda, że uświadomienie sobie przez człowieka tego prostego faktu uważa się za bohaterstwo, a nie za normę. Być może dlatego nasze osiągnięcia są jeszcze ciągle tak skromne?

Myślę też, że i dlatego tak silnie zakorzenione są przesady i stereotypy, o których piszesz. Przecież są one niczym innym niż samousprawiedliwieniem, a w głębi duszy każdy wie doskonale, że komunizm to przede wszystkim zniewolenie samego siebie, i że nie może on istnieć bez naszego, choćby tylko formalnego współdziałania.

I tu Rosjanie nie są ani lepsi ani gorsi od innych. Po prostu na nas spadł pierwszy i chyba najcięższy cios, którego konsekwencje mało kto

mógł wówczas przewidzieć. Nasi ojcowie nie mieli jeszcze w oczach przykładów Kolumby i Kambodży. Trzeba było dziesiątków lat terroru, dziesiątków milionów ofiar pochłoniętych przez Gulag, żebyśmy my – ich dzieci – zrozumieli, iż wielkie zbrodnie zaczynają się od małych kompromisów.

Mieszkając teraz w różnych wolnych krajach miałem okazję przekonać się, że i tam jest dosyć człekokształtnych, pozbawionych rozumu stworzeń, że kanalia jest zjawiskiem międzynarodowym, i że w każdym człowieku jest i niewolnik i pan, przy czym zwykle niewolnika jest więcej niż pana. Tyle że my już coś tam zrozumieliśmy, czegoś tam nauczyliśmy się – a oni jeszcze nie. My już powolutku wracamy do zdrowia, a ich być może jeszcze czeka przejście przez tę dżumę XX wieku (daj Boże, żeby łagodne). I jeśli, na przykład, można wybaczyć komunistom francuskim, kiedy ludzą się przesądami i na serio sądzą, że ich, francuski, komunizm będzie lepszy od polskiego, kambodżańskiego, kubańskiego, rosyjskiego czy chińskiego (jako że Francuzi są dużo bardziej oświeceni niż my, Czesi, Wietnamczycy czy mieszkańcy Etiopii i Nikaragui), nam to jakoś zupełnie nie pasuje.

Co więcej, nie damy ani kroku naprzód, póki nie pozbędziemy się tych przesądów. Jestem głęboko przekonany, że tylko świadomość naszej walki doprowadzi nas do ostatecznego wyzwolenia. Tylko wtedy, kiedy dostrzeżemy ten niewidzialny front, ciągnący się od polskich stocznii do gór Afganistanu, od dżungli Angoli i Nikaragui po pustynię Etiopii, od ulic i placów zachodnich stolic po uralskie obozy i kubańskie więzienia – tylko wtedy nasze zwycięstwa przestaną być wyłącznie moralne. Dlatego uważam «Pamięć o narodach Europy Wschodniej» i «Deklarację w sprawie mniejszości narodowych», uchwalone na I Ogólnopolskim Zjeździe Solidarności, za dokumenty o randze rzeczywistej historycznej, świadczące o wielkiej dojrzałości politycznej polskiego ruchu oporu. Nie przypadkiem właśnie te dokumenty Zjazdu wywołały taki strach we władzach Kremla: oni przecież najlepiej znają słabe ogniwa w łańcuchu swojej władzy.

I dlatego właśnie półtora roku temu stworzyliśmy Międzynarodówkę Oporu, w której obecnie pomyślnie współpracuje ze sobą 26 ruchów z wielu krajów komunistycznej strefy wpływów. Nasze zadania są niezwykle trudne, a cel wydaje się nieosiągalny. Ale przecież nieraz przekonywaliśmy się, że wystarczy przekroczyć granicę tego co niemożliwe – a rezultat będzie osiągnięty.

Teraz, kiedy z Moskwy dochodzą do nas coraz smutniejsze wiadomości, kiedy wielu ludziom zaczyna się wydawać, że oprócz Sacharowa nie został tam już nikt – a i on zagrożony jest śmiercią – często wspominam naszego wspólnego przyjaciela, Adama Michnika. Pewnego razu w Paryżu, tuż przed swoim powrotem do Polski, zapytał mnie w sekrecie:

– Powiedz uczciwie, tak między nami, dużo jest dysydentów w Związku Radzieckim?

– No, wystarczy – odpowiedziałem wymijająco.

– A w Polsce bardzo mało, właściwie prawie nie ma – powiedział Adam smutno. I po chwili milczenia dodał: – Wszyscy ciągle jeszcze są takimi konformistami.

Było to pod koniec 1977 roku, zaledwie trzy lata przed powstaniem wielomilionowej Solidarności.

I dlatego myślę, że „lepsze czasy”, o których piszesz, nadejdą dużo prędzej niż nam się teraz wydaje. Wtedy to, w wolnej Polsce, pogadamy – nie tylko o polityce. Zresztą i ten list jest nie tylko o niej.

W rocznicę Solidarności życzę Tobie i Twoim przyjaciółom nowych sukcesów.

14 sierpnia 1984

Z szacunkiem
Włodimir Bukowski

Włodimir Bukowski, *I powraca wiatr...*, I wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1984, II wyd. CDN, Warszawa 1984.

CO TO JEST «NA GŁOS»? / Roma Jaskółanka

Jeśli miałabym pisać informację np. do przyszłej *Encyklopedii literatury polskiej*, to wyglądałaby ona jakoś tak: «Na Głos» – mówiony miesięcznik literacki założony w grudniu 1983 roku przez krakowskich pisarzy, którzy ypo rozwiązaniu Związku Literatów Polskich skupili się w krakowskim Klubie Inteligencji Katolickiej. «Na Głos» miał być próbą ocalenia prawdziwego życia literackiego, spacyfikowanego i zniszczonego represjami po wprowadzeniu stanu wojennego. Prezentacja utworów w piśmie «Na Głos» polegała na tym, iż w każdym numerze autorzy, których bywało zazwyczaj kilkunastu, sami odczytywali swoje wiersze, opowiadania, eseje, recenzje czy felietony wobec bardzo licznej, rosnącej z numeru na numer publiczności. Redakcję pisma tworzyli: dwaj historycy literatury, profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego – Włodzimierz Maciąg i Wiesław Szymański, prozaik i eseista – Jerzy Pilch, oraz Bronisław Maj, poeta i eseista, który od początku, dość samowolnie i apodyktycznie, prowadził «Na Głos» jako jego naczelny redaktor. Od grudnia 1983 do lutego 1985 roku zaprezentowano dziewięć numerów pisma, w których wystąpili najwybitniejsi współcześni poeci, prozaicy, krytycy i eseiści.

Gdybym natomiast sporządzała „notatkę służbową”, jaką po każdym numerze «Na Głos» przygotowują delegowani tam przez macierzysty Urząd wybitni literaci, jak np. sierż. Stanisław Stanuch, kpr. Leszek Maruta czy plut. Jacek Kajtoch – to mój raport musiałby mieć chyba taki kształt: „Najuniższej donoszę, że dnia 28 miesiąca października b.r. udałem się do lokalu KIK-u, ul. Sienna 5, celem rozpoznania charakteru i przebiegu odbywającego się tam okresowo zgromadzenia pod kryptonimem «Na Głos». Zgromadzenie to ma charakter jawnie antypaństwowej i antysocjalistycznej bojówki, godzącej w najżywotniejsze interesy ludu pracującego miast i wsi, nasze sojusze międzynarodowe oraz w podstawowe zasady ustrojowe. Pod płaszczykiem spotkania literackiego sączony jest tam jad wrogich i wymierzonych we wszystko co polskie knozań i mani-

pułacji, na porządku dziennym są bestialskie ataki na pisarzy wiernych naszej jedynie słusznej linii. Swoje zięjące nienawiścią pseudoutwory odczytują tu osobnicy znani ze swej wrogiej postawy wobec ludowego państwa, wielokrotnie są to osoby karane. Wziąwszy pod uwagę powyższe oraz fakt, że publiczność tzw. «Na Głos» stanowi głównie młodzież, co jest dodatkowym niebezpieczeństwem – ośmielam się najpokorniej zasugerować użycie zdecydowanych środków, do szczybla brygady włącznie.”

A czym jest ten «Na Głos» naprawdę? Nie będę ukrywać, że w wypadku tych dwóch notatek prawda nie leży pośrodku. Ale nawet prawdziwa i obiektywna informacja encyklopedyczna nie oddaje choćby w przybliżeniu istoty zjawiska. Bo «Na Głos» trzeba, po prostu, usłyszeć i zobaczyć, trzeba w nim uczestniczyć. Cele tej zabawy są jasne i z sobie tylko właściwą pasją i dezynwolturą mówił o nich Bronisław Maj otwierając pierwszy numer pisma: «Na Głos» to próba ocalenia takiego miejsca w kulturze, gdzie istnieją niewzruszone wartości etyczne i estetyczne, gdzie wolność literatury jest czymś oczywistym jak powietrze, gdzie, po prostu, można najwyczałniej i najnormalniej mówić „na głos” to, co się myśli i czuje, przedstawiając to, co się pisze. I tak też jest «Na Głos» odbierany: jako wolny głos polskiej literatury. Oczywiście taka efemeryda, jaką jest pismo mówione nie może zastąpić prawdziwego życia literatury, kultury. Zresztą nie musi: istnieją przecież wolne pisma, wychodzą książki w wolnych wydawnictwach, przyznawane są literackie nagrody. «Na Głos» pełni jednak rolę szczególną: na powierzchni oficjalnego życia literackiego stanowi legalną enklawę prawdziwej twórczości, prawdziwych – opartych na wartościach – hierarchii literackich; jest miejscem, gdzie istnieje i skąd promieniuje rzeczywisty obraz współczesnej naszej literatury. Nie uczestniczyłam we wszystkich numerach pisma, ale wiem, że właśnie działalność krytyczno- czy historyczno-literacka stanowi – obok przedstawiania bieżącej twórczości – najistotniejszy dział «Na Głos». Taka jest potrzeba chwili: wobec prób przewartościowania obrazu współczesnej literatury polską dokonywanych ostatnio „w imię jedynie słusznych i obiektywnych zasad” przez rozmaitych dyżurnych funkcjonariuszy, jak np. W. Nawrocki i J. Molek, czy pośredniejszych rangą, jak np. St. Stanuch, M. Chrzanowski czy słynny profesor (!) M. Stępień – konieczna jest obrona tej literatury. «Na Głos» niezwykle żywo reaguje na ów potop krytycznego belkotu dyspozycyjnych urzędników, wzmawiających ze śmiertelną powagą, że najwięksi pisarze polscy to Machejek, Bratny i Przymanowaki; «Na Głos» z entuzjazmem i natychmiast wita rzeczywiste świetne osiągnięcia naszego piśmiennictwa, jak np. nowe książki Herberta, J.M. Rymkiewicza, R. Przybylskiego... W piśmie «Na Głos» wreszcie występują najciekawszy pisarze wszystkich pokoleń i orientacji artystycznych, którzy nie chcą lub nie mogą występować gdzie indziej.

Tyle można powiedzieć o celach, profilu, znaczeniu tego mówionego miesięcznika. Na koniec spróbuję – choć boję się, że to niemożliwe – pokazać, jak wygląda zazwyczaj „numer” pisma. Już na długo przed rozpoczęciem w Sali Portretowej KIK-u, we wszystkich możliwych miejscach,

nawet na klatce schodowej, zbierają się tłumy słuchaczy. O 19-tej – zaczyna się: autorzy po kolei czytają swoje utwory, wytwarzają się owa nie dająca się opisać więź między pisarzami a publicznością, niezwykła gorąca atmosfera, pełna swobody, niespodzianek. Każdy «Na Głos» to jakby przedstawienie teatralne tworzone przez wszystkich: czytających autorów i natychmiast, żywo reagującą i dyskutującą publiczność. «Na Głos» to także literacki happening, którego nie da się powtórzyć ani – bez zubożenia – zrelacjonować. Tam trzeba być, być z innymi. Patrzeć i słuchać, podziwiać: zniewalający, nieco nonszalancki, lecz w każdym calu europejski urok Bronisława Maja i dobrodusznie rubaszną viscomicę Jana Błońskiego, brawurowo improwizującego na temat języka liryki współczesnej; olimpijski spokój Jana Józefa Szczepańskiego i podniecające teatralizacje Teresy Walas; szlachetnie staroświecką, tak już niestety rzadką, elegancję wystąpień Kornela Filipowicza czy Jerzego Kwiatkowskiego i trochę knajacki szyk Marka Nowakowskiego i Stanisława Czycza; wytworne recytacje Wistawy Szymborskiej, Julii Hartwig czy Ewy Lipskiej i wyzywające toalety Józefa Opalskiego; powściągliwy, w najlepszym sensie arystokratyczny styl Artura Międzyrzeckiego czy Juliana Kornhausera i rozpalające salę do białości, pełne charyzmatycznego demonizmu monodramy eseistyczne Zbigniewa Mentzla; spokojny, pewny swej mocy żar Tadeusza Nowaka i Wiktora Woroszyńskiego i ekstatyczny gest Stanisława Balbusa; skupioną, niemal apostołską siłę bijącą od mówiących swe wiersze Leszka Moczulskiego czy Ryszarda Krynickiego i swobodę i luz Tadeusza Nyczka; wibrujący głębokim mrocznym erotyzmem, niepokojący głos Jerzego Pilcha i fanatyczny, piorunujący wzrok Tomasza Burka mówiącego o poezji Herberta; urzekający nieśmiałą chłopięcością wdzięk Janusza Andermana i gwałtowną, rzucającą na kolana jak cios, surową, męską, drapiezną i dziką, lekko okrutną urodę Mariana Stali... Tam trzeba być!

PS Dla historycznej ścisłości podaję wybór autorów «Na Głos» (nr 1-9), opracowany na podstawie informatorów KIK-u i anonсів w «Tygodniku Powszechnym». W piśmie dotychczas m.in. wystąpili: Janusz Anderman, Stanisław Balbus, Jan Błoński, Tomasz Burek, Stanisław Czycz, Tadeusz Chrzanowski, Leszek Elektorowicz, Kornel Filipowicz, Jerzy Gizella, Tomasz Gluziński, Julia Hartwig, Aleksander Jurewicz, Jan Kott, Julian Kornhauser, Ryszard Krynicki, Jerzy Kwiatkowski, Antoni Libera, Ewa Lipska, Tadeusz Lubelski, Włodzimierz Maciąg, Artur Międzyrzecki, Zbigniew Mentzel, Elżbiata Morawiec, Leszek Moczulski, Tadeusz Nowak, Marek Nowakowski, Tadeusz Nyczek, Zyta Oryszyn, Jerzy Pilch, Jan Prokop, Marian Stala, Władysław Stróżewski, Lucjan Suchanek, Wistawa Szymborska, Jan Józef Szczepański, Marek Skwarnicki, Adam Włodek, Marta Wyka, Teresa Walas, Wiktor Woroszyński, Roman Zimand.

Bardzo ciekawie zapowiada się 10-ty, marcowy numer «Na Głos», w którym wystąpią Janusz Anderman, Tomasz Burek, Bronisław Maj, Zbigniew Mentzel, Adam Michnik, Tadeusz Nyczek, Kazimierz Orłoś, Jan Polkowski, Jerzy Pilch, Jarosław Marek Rymkiewicz i Marian Stala.

[Jan Zieliński] / LEOPOLD ŁABĘDŹ O ALEKSANDRZE WACIE

Jan Zieliński: Dla porządku zaczniemy od pytania o czas – od kiedy znał Pan Wata?

Leopold Łabędź: Poznałem go w Paryżu, gdy przyjechał z Południa. On przedtem pracował we Włoszech dla wydawcy Umberta Silvy, ale go wtedy nie znałem, choć często bywałem we Włoszech. Watowie mieszkali na małej uliczce koło Saint Germain des Prés i tam miewaliśmy długie rozmowy – w kawiarni „*Deux Magots*” czy u nich w domu. Wtedy jeździłem do Paryża co najmniej raz na miesiąc. Później przeniósł się do domu w Anthony pod Paryżem, ale wtedy on już był w strasznym stanie. Muszę przyznać – wówczas myślałem, że to krócej potrwa.

J.Z.: Widywał Pan Wata także w Ameryce...

L.Ł.: W Ameryce też, byłem wtedy wykładowcą na uniwersytecie w Stanford; to było w latach siedemdziesiątych, a uniwersytety w Stanford i Berkeley to na tamtejsze stosunki bliskie sąsiedztwo. To ja namówiłem prof. Grossmana z uniwersytetu w Berkeley, żeby go zaprosił. Miłosz robił podobne starania ze swej strony. Teraz nie wiem, czy to była dobra idea. Wat był tam w bardzo złym stanie, skarżył się na klimat, wiatry kalifornijskie. Ale nie była to może kwestia klimatu, po prostu był bardzo chory.

J.Z.: Gdyby nie pobyt w Kaliforni, nie powstałby *Mój wiek*.

L.Ł.: Tak, nie powstałaby ta książka, którą z nim zrobił Miłosz; to jest jego wielka zasługa. Ze mną też rozmawiał wiele o tych sprawach, ale ja tu przy moich ciągłych wyjazdach nie mógłbym takiej książki zrobić... Wat napisał dla mnie dwie rzeczy: referat na konferencję w Oxfordzie...

J.Z.: ...o semantyce języka stalinowskiego.

L.Ł.: Pan to zna? To nie było drukowane.

J.Z.: Czytałem w maszynopisie. Zresztą jeden rozdział ukazał się w „*Aneksie*”. Przedrukowany później w kraju w tomie *Język totalitarny. Wybór tekstów*, Warszawa 1981, jak podaje Mentzel w najnowszym „*Pulsie*” (24). Ała tego nie miałem w ręku. A drugi takst?

L.Ł.: Drugi artykuł napisał do „*Survey'a*”, pod pseudonimem Bergholz.

J.Z.: O Tercu, a raczej na marginesie Terca-Siniawskiego. To się później ukazało po polsku jako przedmowa do *Opowieści fantastycznych*.

L.Ł.: Tak. On rozumiał, był jednym z tych nielicznych, co zarazem byli czytani w filozofii zachodniej, w literaturze europejskiej i rosyjskiej, a z drugiej strony miał całą drogę życiową od „*Miesięcznika Litarackiego*” do więzień sowieckich. Teraz to jest w książce, ale naturalnie w rozmowach dużo było rzeczy, które do *Mojego wieku* nie weszły. Po prostu z Watem można było rozmawiać bez końca.

J.Z.: Chciałbym Pana poprosić o komentarz do bardzo ważnego wiersza, który jest Panu dedykowany, a zaczyna się od słów „Dla Ciebie *lumen* jestem *obscurum*...”

L.Ł.: To bardzo istotny punkt. Ja dążyłem do klaryfikacji, on był poeta,

miął szósty zmysł, jego rozumowanie było często oparte na intuicji, był doskonale odczytany w literaturze, w filozofii (w filozofii raczej do lat dwudziestych, to co było później w zasadzie go ominęło) – te nasze dyskusje zawsze dochodziły do punktu, gdzie dalej nie można, bo ja – klaryfikacje, a on – intuicje.

To był bardzo wybitny umysł – jeden z najbardziej fascynujących *causeur'ów*, jakich znałem. Strumień świadomości i skojarzenia, jedno do drugiego prowadziło. Do tego ciągle wtręty, *Seitensprungi*, zapominało się o punkcie wyjścia. Wspomnienia w tym też grały rolę. Pytałem się, interesowała mnie historia jego wczesnego okresu, kiedy był u Gebethnera i – jak wtedy sądzono – członkiem Partii.

J.Z.: Członkiem Partii?

L.Ł.: Nie, nie był, ale to właśnie było interesujące. On znał moją polemikę z Deutscherem, który był z ramienia Partii nadzorcą „Miesięcznika”. On był taki polityczny *guru*, komisarz. A Wat nie był członkiem Partii, to po prostu był *poputczyk*. Kiedy zmieniła się linia Partii, Deutscher oznajmiał im, że teraz to co czarne jest białe. W końcu sam Deutscher nie mógł przełknąć linii komintarnu w Niemczech, gdzie komuniści atakowali socjalistów w imię „teorii” socjal-faszystwu, zamiast walczyć z hitlerowcami.

Aleksander mi opowiadał – jest posiedzenie redakcji i Deutscher oznajmia, że muszą odbyć poważną dyskusję. I wtedy członkowie Partii wychodzili do sąsiedniego pokoju.

J.Z.: To jest w *Moim wieku*. Wat i Broniewski zostawali.

L.Ł.: „Miesięcznik Literacki” był pismem partyjnym, on był tylko *poputczykiem*, miał tam jakieś swoje decyzje w sprawach literackich. Zresztą realizm socjalistyczny jeszcze nie był uformowany, jak po I Zjeździe pisarzy w 1934, ale już była literatura proletariacka i tamu podobne bzdury; oni bardzo wtedy uwielbiali Jasieńskiego, *Słowo o Jakubie Szeli*.

Mnie interesowały rozmaite postaci bliskie komunizmowi, jak Broniewski czy Szenwald. Albo tom wierszy *Trzy salwy* trzech poetów rewolucyjnych, Standego, Broniewskiego i Wandurskiego – książka, przy której historia popsuta mi puentę. Najpierw Sowici rozstrzelali Wandurskiego, potem zgnoli emigranta w ZSRR, Standego, czekałem, że trzeci będzie Broniewski, którego zaarrestowali we Lwowie, ale go wypuścili po ukłedzie Sikorski–Stalin i wyjechał z armią Andersa na Bliski Wschód. Literatura jak widać nie zawsze dorasta wielkości epoki: trzecia salwa nie nastąpiła. Ale ten zwrot był jeszcze bardziej zaskakującym, bo Broniewski pisał potem dytyramby na cześć Stalina i płakał po jego śmierci. Tego nie zrozumiałem do końca, on mógł być wariat, ale jak on po swoim pobycie w sowieckich więzieniach, o czym pisał w wierszu który kończy się słowami „*ujdi zakliuczonyj, ujdi ot reszotki...*”, wiedząc wszystko, wrócił do roli lokaja? I teraz zrobili z niego wieszcz. Powrót można racjonalizować (poeta nie może żyć bez obecności swego języka, swoich czytelników), ale to nie powód, żeby się ześwinić.

Mówiliśmy o Kowalskim, autorze *W Grzmiącej* (na maturze pisałem esej o *W Grzmiącej*). Kowalski mu prywatnie różne rzeczy opowiadał, a w pewnym okresie był przeciwieństwem faktycznie głową państwa. Wat był bardzo dobrze z Borowskim. Opowiadał, jak zrobił się z niego zacięty antykomunista, a równocześnie

pisywał propagandowe artykuły — zupełna ideologiczna schizofrenia, dwójmyślenie przekraczające Orwella, absolutna patologia. Wat pełnił rolę spowiednika dla Borowskiego, który potem siedział w misji reżimowej w Berlinie i jednocześnie był korespondentem prasowym. To był bardzo wybitny pisarz. Wydaje mi się, że *Pożegnanie z Marią* jest jedną z najważniejszych książek o epoce pieców. A samobójstwo Borowskiego było zarazem jakby przykładem i zaprzeczeniem idei greckiej tragedii — co tu dużo mówić, zakłamał się na śmierć i dobrze wiedział o tym. Nawet Kowalski żył stale pod grozą. Wszystko wiedział i był ważny, miał dużo swoich kumpli sprzed wojny, ale się bał, był „dbały o siebie” i cyniczny.

Wątownie nie mogli znieść Ważyka. Aleksander opowiadał mi, jak się spotkali we Lwowie i o tym, jak wrócił do Kraju w 1946, a Ważyk chodził po Warszawie z rewolwerem. Potem Wat był powszechnie uważany za politycznego trędowatego, był „zapowietrzony”, nawet po odwilży, w 1958, i starzy przyjaciele odwrócili się od niego. Kowalski mu trochę pomógł — Wat starał się popychać go w odpowiednim kierunku, ale nic z tego nie wyszło, bo Kowalski był stuprocentowym biurokratą i nie było o czym mówić. Opowiadał mi też dużo o Rosji, ale o tym prawie wszystko jest w *Moim wieku*. Ze szczegółów, które mnie szczególnie interesowały: rozmowy ze Stiełkowem, które mu otworzyły oczy; Wat wspominał też więzienne rozmowy częściej niż cokolwiek — sam to w końcu przeżył, na własnej skórze, ale żeby wyciągnąć z tego pełny sens intelektualny, musiał także usłyszeć innych, o dłuższym doświadczeniu: musiał tę głęboką przeorać także cudzym piórem.

Wat był w zasadzie człowiekiem lat dwudziestych, nie trzydziestych. Odszedł od komunizmu *de facto* przed wojną — we Lwowie już nie był *popuczyskiem*. Stąd jego tam niezręczna sytuacja, bo wciąż wciągali go ze względu na jego legendę. A on już moskiewskich procesów w latach trzydziestych nie przełknął.

J.Z.: W pierwszych dniach października 1939 w „Litieraturnoj Gazietie” ukazał się artykuł Wata o ówczesnej polskiej literaturze.

L.Ł.: Mam wrażenie, że trochę się wstydził tego artykułu i w ogóle okrasu lwowskiego. A potem była ta cała sprawa. Daszewski ich wydał. A Wątowna latała do Daszewskiego, szukała pomocy. On potem długo żył w Polsce.

J.Z.: Umarł dziesięć lat temu, przed paroma miesiącami czytałem rocznicowe wspomnienie w „Życiu Warszawy”.

L.Ł.: Ale kariery nie zrobił. Do dziś nie rozumiem, co leżało u podstaw tej prowokacji. Nazajutrz ukazał się artykuł w „Czerwonym Sztandarze”, gdzie pytano: „Co zrobił pan Broniewski dla proletariatu?” Potem — oto ironia losu — zaczął robić dla proletariatu, po powrocie z łagrów i więzień. Nigdy nie mogłem zrozumieć Broniewskiego. Miał umysł jak gąbka, bardzo sentymentalny, bez żadnej dyscypliny.

Po co ta prowokacja — nie wiadomo. Była wtedy kwestia, że oni robili politykę bardzo proukraińską, nie chcieli polskich pisarzy. Wata ciągnęli, bo był zasłużony. Od innych domagali się deklaracji i podpisów, on miał pokazać, że robi to z przekonania, a on już wtedy wiarę stracił. Stalin, prześladowania, barbaria — to już nie były wymysły prasy burżuazyjnej. Argumenty chodziły po ulicy. Wtedy był chyba co najmniej 5 lat po utracie wiary, tyle że były w nim postępowe

ciągotki. Nie znałem go wtedy, a pamięć każdemu płała figle. Nie próbował nic zamazać, ale to kwestia podświadomej percepcji. Zaczął tracić wiarę, jak nastąpiło przejście od literatury proletariackiej do realizmu socjalistycznego, w 1934, a nasiliło się to szczególnie po procesach moskiewskich w 1937. We Lwowie znalazł się przypadkiem i przymusowo. Na Zachodzie byłby *ex-fellow-traveller*’em. Stawar zrobił wcześniej – był znany jako trockista przed wojną. A Wat nie, u niego to było w czterech ścianach z Olą. Później się okazało, że w partii nigdy nie był, jak go poznałem, myślałem, że to ex-komunista. A Stawar robił hereetyckie pismo – „Nurt”?

J.Z.: „Pod Prąd”.

L.Ł.: Przed wojną naturalnie Stawara traktowali komuniści jako renegata. Jak on przeżył po wojnie, to też zagadka. W psychologii partyjnej renegat jest gorszy od wroga. Rzecz jasna ześwinił się – to warunek konieczny, ale nie zawsze wystarczający...

Wat był w strasznym stanie fizycznym. Potam podleczył się trochę, był szereg razy w szpitalach. Nabawił się tego w sowieckiej Centralnej Azji w dolinie Ili. Właściwie nie wiadomo, co to było, jakaś choroba bólowa, cerebralna. Często leżał w łóżku, bóle musiały być większe niż okazywał. W Berkeley już nie mógł wytrzymać, ale mózg pracował do końca, nietknięty. To były promieniujące bóle w kończynach.

Wat był człowiekiem lat dwudziestych, jego cała formacja intelektualna stanowiła reakcję na pierwszą wojnę, Verdun, okopy; dla tych, co mieli szersze spojrzenie to był koniec cywilizacji dziewiętnastowiecznej. Polski surrealizm czy futurizm był odbiciem tego, co działo się na Zachodzie, miał te same korzenie intelektualne, był reakcją na to, co nastąpiło. Pokolenie moich ojców i dziadów nie bardzo to rozumiało. Hitler był dla nich przedłużeniem Wilhelma II. Trzeba było gehenny, żeby Wat zrozumiał różnicę. Ale zrobił to przejście – więzienia sowieckie to były jego uniwersytaty. Nie mówię tu tylko o komunizmie, ale o podstawowym zagadnieniu epoki – trzeba było się wyzwolić z myślenia dziewiętnastowiecznego.

Na ogół reakcja była wówczas powierzchowna (intelektualnie, nie emocjonalnie). Oni nie rozumieli tego, co nastąpiło, brali na serio frazesy „nigdy więcej wojny”, ocknęli się w obliczu drugiej wojny nieprzygotowani. Na Zachodzie dość częste było połączenie surrealizmu z pacyfizmem. Z Paryża i Berlina to przychodziło do nas. A potem następny krok: komunizm. Po dojściu Hitlera do władzy wyszła na jaw bezradność pacyfizmu – stąd antyfaszyzm. Wat wcześniej łapał fale w powietrzu, miał szósty zmysł. To był poeta intuicyjny, ale i intelektualny. Broniewski nie miał mózgu, on miał.

Nawet w okresie okupacji Stonimski – *casus*, który znam osobiście, czytałem go od początku...

J.Z.: Przepraszam, który Pan jest rocznik?

L.Ł.: 1920; ojciec od początku prenumerował „Wiadomości Literackie”, jako uczeń szkolny czytałem w domu stare roczniki z kronikami tygodniowymi Stonimskiego, później poznałem go osobiście. Wiedliśmy tutaj długie rozmowy, ale tak naprawdę mało co rozumiał. On był z XIX wieku, świat Or-Ota, klimat tamtej epoki. Niektórzy poszli dalej, do *fellow-traveller*’stwa, on nie, ale to postępo-

wę pismo, które wydawał w Londynie w czasie wojny, „Nowa Polska”, to zbiór krętaństw i fałszywych nadziei. Już po wojnie, kiedy się spotkaliśmy, mówił mi: „Gdybym wiedział, że Polską rządzą dwaj sowieccy generałowie, nie wróciłbym”. Ja mu na to: „Pan pisał przed wojną w „Wiadomościach Literackich” artykuł *Intronizacja Stalina* (o kulcie jednostki w ZSRR), to Pan po wojnie nie wiedział, że Polska rządzi Stalin?” Bał się bardzo z powodu tego artykułu. Był w ZSRR przed wojną, napisał ten artykuł w „Wiadomościach Literackich” — ale teraz już nie wiedział. Podobnie, choć odwrotnie, Grydzewski — był zakamieniałym antyreżimowcem, ale też nie rozumiał, nie wiedział, co się dzieje w świecie, żył przeszłością i wspominkami. Wat się z tego wszystkiego wyzwolił, zaczął to (z trudnościami) w latach trzydziestych, ale dopiero później, po przymusowym pobycie w ZSRR, ocknął się z wszelkich iluzji:

J.Z.: Skoro jesteśmy przy Słonimskim i Wacie. W domu pani Oli Watowej widziałem świetne, a nigdy dotąd nie publikowane zdjęcie obu poetów, w kularach jakiegoś zjazdu czy posiedzenia. Słonimski, łysy, stoi z miną nieco zdetonowaną, a obok niego Wat — śmieje się, ale jak... wąsy nastroszone, górna wargę podniesiona, zęby i dziąsła odstonięte, śmieje się jak lew...

L.Ł.: Zaraz Panu powiem. Po prostu Słonimski po raz szósty opowiedział Watowi anegdotę — mnie opowiadał ją pięć razy — jak na zjeździe PEN-Clubu w Japonii spotkał Surkowa i ten go spytał na korytarzu w hotelu, gdzie może się wysuszać. „Pan — wszędzie”, miał powiedzieć Słonimski. Wat też miał duże poczucie humoru. A przy tym ten strumień asocjacji — czasami zaczynaliśmy opowiadać sobie stare dowcipy i kończyliśmy późno w nocy. On nie był z tych śmiertelnie poważnych. Wracając do formacji Wata. Przełomem stały się dla niego sowieckie więzienia. Zobaczył tam cały świat koncentracyjny. Wiedział przedtem, co się dzieje w sowieckiej literaturze, ale nie co się naprawdę dzieje w Związku Sowieckim. Zobaczył to wszystko, ten styl życia i myślenia, dopiero we Lwowie. Chociaż już w latach trzydziestych miał to, co się nazywało w języku partyjnym „bóle żołądka”.

Zadawałem mu mnóstwo pytań, wiele tych samych co Miłosz. Był nastawiony bardzo pasywnie, miał spojrzenie katastroficzne, a może nawet apokaliptyczne. Nie widział możliwości ewolucji, widział Molocha, co pożera wszystko. Ja mu powtarzałem: trzeba spojrzeć z dystansu historycznego, nie tylko jak sprawy wyglądają obecnie — ale jak mogą się rozwinąć, nic przecież nie jest wieczne.

Nie znaczy to, że były między nami rozbieżności co do oceny bieżącej sytuacji w Związku Sowieckim — tylko może w stylu naszego myślenia. Jak by to powiedzieć: ja stałe parłem do *elucidation*, do wyjeśniania — za wszystko się płaci, za jasność, za głębokość... Nigdy nie byłem komunistą, ale miałem za dużo wpływów francuskiego racjonalizmu, plus książek Bertranda Russella — jak miałem 13 lat przeczytałem całego Russella (z wyjątkiem prac matematycznych, oczywiście). Wszedłem na scenę w drugiej połowie lat trzydziestych, nie miałem żadnych wątpliwości co do fałszywości procesów moskiewskich, lub co do istnienia w ZSRR obozów koncentracyjnych i pracy przymusowej. Uderzyła mnie wtedy reakcja zachodnich intelektualistów (byłem na uniwersytacie w Paryżu). Duża część zachodniej inteligencji wierzyła w konstytucję stalinowską. Dopiero następną formacją, to byli ci, co przeszli przez kocioł wojny (a po pierwszej wojnie

światowe! pacyfiści wywodzili się przeważnie nie z tych, co byli na froncie, tylko z tych, co czytali Remarque'a! W Paryżu byłem jednym z nielicznych, którzy dopuszczali możliwość paktu Stalina z Hitlerem. Czytałem przed wojną biografię Stalina, napisaną przez Borisa Souvarine'a. Nikt nie chciał wierzyć w taką możliwość. Koledzy mówili: „Tyś zwariował, to jest obłąd”. A to po XVIII zjeździe w końcu 1939 było już oczywiste. Wynikało to z mowy Stalina, w której powiedział, że nie będzie wyciągał kasztanów z ognia dla zachodnich imperialistów. Potem przyszła dymisja Litwinowa. Souvarine napisał artykuł o przyszłym pakcie gdzieś 5 maja 1939 w „Figaro” — więcej artykułów od niego nie chcieli, interweniowało francuskie MSZ, tak się bali zdrażnienia z Sowietami.

Na *Biennale del Disenso* w Wenecji w 1978 r. spotkałem Čiliga. Byłem zdumiony, że on jeszcze żyje. Anton Čiliga, Kroat, był w łagrach, napisał *Au pays de grande mensonge* w 1938. Bardzo mało osób to czytało wtedy, a książka zawiera wszystko, co później, po Chruszczowie i Sołżenicynie, stało się „rewolucją” dla postępowej inteligencji.

Ujmując rzecz systematycznie, można u Wata wyróżnić dwa okresy. Pierwszy, to początek lat dwudziestych, jego właściwy kontekst filozoficzny, wszystkie idee rozszczałaty się w nim jak w pryzmacie. To był jego *Sturm und Drang*, stąd się wzięła jego katastroficzna wizja przyszłości, z tego zestawienia dziewiętnastowiecznego optymizmu z sytuacją zastaną po pierwszej wojnie światowej. I okres drugi — od lat trzydziestych, wtedy mu już wychłódoło. Lwów go na serio wyleczył, potem przeszedł gehennę w Rosji, ale był intelektualnie wyzwolony.

To są wszystko moje wrażenia, na podstawie tego co słyszałem z jego ust.

Miał dużą wrażliwość percepcyjną, nawet historyczną. Miał większą wrażliwość niż Miłosz. *Sense and sensibility* (jak to rozróżniała Jane Austen) — miał obydwie, głębokie. Miłosz jest większym poetą, ale nie tak intelektualnym jak Wat. W gruncie rzeczy Miłosz nie jest tego typu intelektualistą. Jest czytany w Szestowie, Dostojewskim, Boehme'm, ale w gruncie rzeczy to jest wciąż wielki poeta, nie filozof. Wat jest bardziej intelektualnie filozoficzny. Obaj mają wrażliwość poetycką, ale żaden systematycznie nie rozumie, to nie jest ich *forte*.

Wat nie był systematycznym myślicielem, chciał osiągnąć to wszystko drogą przeskoków, na przelaj, krótszą drogą. Ja naturalnie nie byłem i nie jestem poetą, interesowała mnie zawsze filozofia i sprawy historyczno-społeczne. Były więc i inne punkty wyjścia i dojścia, ale rozmowy były bardzo fascynujące.

Ale dla niego to było za suche. Próbował czasem usilnie (było w tym trochę przesadnej dziewiętnastowiecznej czułości wobec nauki)... Jak pisał ten swój referat na konferencję, którą organizowałem w St. Antony's College, to starał się. Ja mówię: „Słuchaj, pies z lulawą nogą tego nie zrozumie, ty jesteś poeta, ale to nie znaczy, że masz zaniedbać komunikatywności. Ja ci to mogę powiedzieć krótko i superkonkret.” On chciał głębi. Ja, że będzie heglowski *Volapük*. On bojął nad tym. Gdybym go nie naciskał, ten referat byłby w ogóle nie do czytania. Mówię mu: „Słuchaj, jak chcesz napisać dla trzech, co cię zrozumieją, to O.K.” Bardzo się męczył.

W Berkeley też kupa pomylek. Do każdego wykładu przygotowywał się jak-by książkę pisał — a studenci nie wiedzieli o co chodzi, dla nich to była bajka o żelaznym wilku.

Raz na moje seminarium w Stanford zaprosiłem Kołakowskiego — i znów ta komedia pomyłek. Wykład, dyskusja. Przyszli lewicowi studenci, bo rewizjonista. A Kołakowski ich po prostu walił po głowie. Ale w porównaniu z Watem Leszek Kołakowski to *lumen* pierwszego gatunku, jak nie zrozumieją, to on w prostych słowach mógł im wytłumaczyć. A Wat nie potrafił.

A do tego tamtejsze stosunki. Na czele stał głupkowaty rusycysta; w dodatku był kawał skunysyryna i miał wredną żonę. Więc Wat wpadł i odwrotnie: i zły dla niego klimat i złe stosunki na wydziale.

Jak coś wygłaszał, to chciał głębiej — a nawet na zwykłym poziomie to było niezrozumiałe, za trudne. A potem leżał w łóżku i narzekał na klimat. Ale to była jego choroba. Brał proszki, zatruiwał się, żeby zabić ból.

W Anthony jeszcze miałem nadzieję, że mu jakoś w końcu to przejdzie, ale potem już wiedziałem, że nie da rady. W Anthony do Wata także przychodził Zbigniew Herbert. Pamiętam też późniejszą kolację z Motem Jeleńskim i Ważykiem — Ważyk mówił o Wacie, kajał się, nie próbował się wybielać.

Zastanawiam się ciągle, po co NKWD zrobiło we Lwowie tę całą sprawę z polskimi pisarzami, te prowokacje? Może zdręczyłwał jakieś łaps na niższym szczeblu? A potem oni wszyscy razem znaleźli się z powrotem w Warszawie — sytuacja ze sztuki Sartre'a *Huit-clos* („Przy drzwiach zamkniętych”).

Poglądy polityczne Wata były oparte, powiedzmy, na nie bardzo detalicznej znajomości rzeczy, ogólne. Rozumiał komunizm jak rzadko kto, ale miał spojrzenie apokaliptyczne (skutek katastrofizmu przedwojennego i własnego doznania stalinizmu). Reszta — z czytania gazet, a niezbyt dogłębna znajomość spraw.

J.Z.: A co sądzi Pan o historiozoficznych koncepcjach Wata, na przykład o analogii pomiędzy Bizancjum a systemem stalinowskim?

L.L.: To była metaforyka. Jego inteligencja miewała skojarzenia często odkrywca. Był dobrze odczytany w historii i mitologii, zakorzeniony w trzech źródłach cywilizacji europejskiej (łacina, greka, sprawy biblijne) — to jego *forte*. Ale było to zrozumienie ruchów cywilizacji, a nie bieżących spraw poszczególnych państw. Nie wiem, kiedy on to wszystko przeczytał, ale musiało to być w latach dwudziestych i trzydziestych. Także w zakresie filozofii.

J.Z.: Studiował u Kotarbińskiego.

L.L.: To było trochę dziewiętnastowieczne — chociaż mi e sposób dyskusji.

Widoczne też było, że był odcięty od świata od początku wojny. Przyjechał na Zachód i starał się nadrobić, ale umysł miał już sformowany, więc i bieżące wpływy były nieznaczne.

Jego analogie na poziomie ruchów kultur czy cywilizacji były bardzo błyskotliwe. Miał umysł z gatunku tych, których podejście Max Weber określa jako *verstehende* — nie ma na to dobrego tłumaczenia — prowadzące do zrozumienia. Znał Bizancjum, historię Rosji, *grosso modo* historię Europy. Miał klasyczne wykształcenie — ja też, więc mieliśmy wspólny język. Referencje, aparat pojęciowy, aluzje można było w telegraficznym skrócie przekazywać, bo wiadomo było o co chodzi w takim czy innym punkcie dyskusji. Znał też na wylot mitologię grecką.

Miał celność analogii — rodzaj *de facto* metafory poetyckiej. Nie systematyczna próba analizy komparatystycznej, ale interesująca jako argument intelektualny.

alny także. Taki miał rodzaj umysłu.

Czarujący człowiek. Nawet uwodził swoją bezradnością. Ewidentnie był z tych, co nie potrafią się samą rzeźcą sobą. W tym sensie nie był z tego świata. Ola go ciągnęła przez życie, trzymała na nogach, ratowała. Był w gruncie rzeczy cygan, ale myślał — więcej niż ktokolwiek. Bardzo go kochałem.

Londyn, 22 maja 1985

JACEK FEDOROWICZ / Faszada

W felietonie o cenzurze zdradziłem się ze swoją niewiarą w skuteczność przeciwstawiania się totalitaryzmowi na płaszczyźnie prawnej. Usiłowałem dowieść, że wóz Drzymały był możliwy tylko w państwie praworządnym, w PRL natomiast, gdzie mamy do czynienia z praworządnością socjalistyczną, co oznacza, że mamy do czynienia z całkowitym brakiem praworządności, obrona obywatela przed atakami władzy nie powinna zamykać się w kręgu przepisów prawnych. Podczas dyskusji kilku słuchaczy zaprotestowało przeciwko mojemu uproszczeniu sprawy streszczającemu się w stwierdzeniu, że dla mnie całe prawo jest bezprawne i koniec. Spotkałem się z zarzutem, że nie doceniam drogi prawnej, która wielokrotnie okazywała się bardzo skuteczna. W odpowiedzi przyznałem, że skorzystałem z przywileju felietonisty stawiając tezy skrajne, przesadnie uproszczone, postąpiłem trochę jak targujący się handlarz, który krzyczy „to kosztuje tysiąc!” ale wiem, że po targach z klientem obniży do dwustu. Obniżam do trzystu. przyznaję, że przepisy prawne można wykorzystywać, ale też, a nie wyłączenie, a nawet nie przede wszystkim, wykorzystując zaś należy cały czas mieć świadomość, że w zmaganiach z naszymi nadzorcami nigdy nie można zanadto przyzwyczajać się do jakichś zasad, ponieważ w tej walce reguły stale się zmieniają. Często o tych zmianach zapominamy. Przypomnieniu ma służyć niniejsza opowieść o fasadzie.

W okresie stalinowskim system totalitarny działał mniej więcej tak: na zewnątrz budował wspartą fasadę wzniesioną z najpiękniejszych słów, najśluszniejszych praw, najbardziej humanitarnych przepisów. Nic tylko wolność, równość, pokój, braterstwo, internacjonalizm, postęp. Fasada piękna, solidna, godna zazdrości, marmury, ornamenty, freski, kolumnady. To na zewnątrz. Na użytek zewnętrzny zaś - krwawy terror zakrojony na odpowiednio wielką skalę, tak, aby żadnemu z milionów obywateli nie mogła zaświtać w głowie myśl, że ma do czegośkolwiek prawo, poza prawem do błagania o darowanie życia. Terror czuł się bardzo pewnie za solidną fasadą i nawet specjalnie się nie ukrywał. Nie trzeba było w owych czasach posługiwać się skrytobójstwem. Trzydzieści dwa, trzy lata temu książd Jerzy Popiełuszko byłby torturowany i zamordowany w urzędzie. Kapitan Piotrowski, żeby załatwić sprawę, nie musiałby wychodzić z pracy. Również w pracy zginąłby Bartoszcze, podobnie jak tysiące innych, a wśród nich mój dziadek, pułkownik Sokołowski, lotnik RAF-u, bohater drugiej wojny światowej, zaarrestowany w 52-gim i zamordowany prawdopodobnie za to, że odmówił udziału w procesie pokazowym.

Okres terroru stalinowskiego jednak się skończył. Dlaczego – nie wiem, niech wypowiadają się mądrzejsi, na pewno nie była to dobra wola czy wyrzuty sumienia, myślę, że wytworzyła się sytuacja, że terror zaczął zagrażać samym terrorystom – przypomnę: Jeżow, Bena. Gdy tylko skończył się jawny, krwawy terror, ludzie nagle zaczęli dochodzić swoich praw, praw, którymi zostali tsk szczerze obdarowani na papierze. Władza znalazła się w głupiej sytuacji i początkowo zupełnie nie wiedziała co robić. Pisze o tym jeden z prekursorów ruchu Władimir Bukowski, w fascynującej książce *I powraca wiatr* – serdecznie polecam. U nas zaczęło się to na szerszą skalę, chyba od protestów w sprawie zmian w konstytucji, potem był KOR, który działał jawnie, powołując się na swobody obywatelskie zagwarantowane prawem. Władcy mieli z tym straszny kłopot, bo jak tu udawać światłą, praworządną, postępową władzę, a jednocześnie represjonować obywateli, którzy w najmniejszym nawet stopniu nie naruszają prawa? Próbowali różnych sztuczek, zamykali na 48 godzin, oskarżali o przestępstwa pospolite, jak na przykład kradzież (powielacza – Mirek Chojecki) ale ciągle nie mieli generalnego pomysłu, co z tym fantem zrobić. Walka na płaszczyźnie prawnej wciąż była skuteczna.

Niestety oni nie są głupi i wbrew utartym opiniom są elastyczni. Dowodem tej elastyczności niech będzie cała historia „Solidarności” nadziemnej: zaczęło się od strajków sierpniowych, które były dla władzy koszmarem, oczywiście nie ze względów ekonomicznych, ale ideologicznych – o to zawałała się fasada, lud wystąpił przeciwko władzy ludowej, powstawała „Solidarność”, czyli organizacja robotników, która negocjowała z partią robotniczą. Nikt jeszcze tak lapidarnie i przekonująco nie obnażył przed światem obłudy tego systemu. Gigantyczne fałszerstwo, może największe oszustwo XX wieku, zostało zdemaskowane. A jednak system zachował się elastycznie. Wyłonił spośród Nomenklatury grupkę spryciarzy, którzy powiedzieli: „My to załatwimy, tylko jeden warunek: fasadę na razie trzeba spisać na straty”. Przestali cierpieć z powodu strajków, przestali się ich bać, wręcz przeciwnie, wszystkimi siłami starali się je wywoływać. Podobnie postąpili w sferze prawnej. Przestali nagie bać się łamania prawa, 13 grudnia zrezygnowali z fasady definitywnie, ogłosili wojnę w całkowitej sprzeczności z własnym prawem, powsadzali ludzi do więzień nie oglądając się na żadne ustawy i dopiero gdy uznali – pochopnie zresztą – że najgorsze mają już za sobą, powołutku zabrali się do odbudowywania fasady. Z tym, że na razie wychodzi im raczej fasadka.

Fasady, tej wspaniałej, nie będzie już nigdy. Raz na zawsze runęły marmurowe kolumnady. Władza w pocie czoła stawia rachityczną zastawkę z nadgniłej dykty z lekka zapacykowanej klejówką. Ale stawia. Prawo znów jest, tylko jakże? Władza już wie, że nie może dawać żadnych demokratycznych uprawnień na papierze, bo natychmiast znajdą się tacy, którzy będą się na nie powoływać, pracuje więc pełną parą nad takimi prawami, które nie dadzą obywatelom prawa praktycznie do niczego, władzy zaś pozwolą na wszystko. Stan utrzymywany niegdyś terrorem ma być dziś osiągnięty także i działaniem uchwalonego prawa. Jeśli ktoś ze słuchaczy ma za dużo wolnego czasu, niech się wczyta kiedyś w szczegóły regulacji prawnej na tzw. okres wychodzenia z kryzysu. Pewien fachowiec, który zanalizował dla przykładu ustawę o MSW, udowodnił, że dzięki tej ustawie każ-

dy funkcjonariusz w każdej chwili może zastrzelić dowolnego obywatela, wystarczy kilka łatwych do osiągnięcia pozorów konieczności. Sejm wypuszcza co miesiąc całe kilogramy podobnych ustaw. Ten ármok prawotwórczy nie ma na celu stworzenia wrażenia, że władza pracuje. Nie! Ona pracuje naprawdę, budując taki system prawny, aby żaden nawiedzony legalista nie mógł jej na niczym przyłapać, ergo – wykorzystać prawa dla dobra obywateli. Cóż z tego, że nagle znajdziemy gdzieś lukę w przepisach i powiemy: „Zakładamy Kółko Miłośników Kanarków, nie ma ustawy, że nie wolno”. Żaden problem. Zadzwoni się do sejmu i nazajutrz proszę: jest ustawa. Odmowa przysięgi wojskowej była dotąd tylko odmową przysięgi, a więc odmową działania, które z istoty rzeczy musi być dobrowolne. Od niedawna uznana jest za odmowę służby wojskowej. Marek Adamkiewicz odsiaduje za to dwa i pół roku więzienia. Ten system nauczył się wiele. Zmądrzał. Uczmy się i my. Nie stosujemy z uporem maniaka metod z innej epoki. Oczywiście w chwili gdy ma się ukazać jakaś ustawa, a przypadkiem znany jej projekt – można protestować, jednakże z chwilą gdy się ukaże, nie należy jej traktować jako oręża w walce z ustawodawcą, bo to może ustawodawcę co najwyżej rozśmieszyć.

Nasuwa się pytanie: jeżeli te prawa są tak jawnie bezprawne, to po co w ogóle cała zabawa z ustawami? Odpowiadam – nie tak znów jawnie. To niby-prawo jest czasem bardzo sprytnie formułowane. Innymi słowy – fasadka jest koślawa, ale jest. A po co w ogóle? Dla Zachodu. Dla światowej opinii publicznej, bo ktoś musi w końcu to wszystko finansować, przy czym nie chodzi tu o wykarmianie naszego obozu, nie! Zachód musi żyć na nasze czoięgi. Gdyby odmówił dolarów – nie mielibyśmy czyni go straszyć. Lenin nie miał racji mówiąc, że kapitaliści sprzedadzą nam sznur, na którym ich powiesimy. Włodzimierz Iljicz był za skromny w wymaganiach. Dziś wiemy, że kapitaliści mają nam sznur dać za darmo, dostarczyć na miejsce, wybudować szubienicę z materiałów własnych, bo my drewna też już nie mamy, następnie mają włożyć ęcb w pętlę i dalej na nas pracować, bo jak nie, to kopniemy ten stołek.

Gdyby nie było Zachodu, Adam Michnik już by nie żył. Ponieważ Zachód jest – Adaś tylko siedzi pod jakimś idiotycznym pretekstem. Władza balansuje: trzyma Adasia, bo uchwaliła sobie prawo w myśl którego Michnik, Frasyniuk, Lis i Wałęsa nie mogą się spotkać nawet gdyby tego dnia chcieli akurat pogrążyć karty, a jednocześnie wytrwale podtyka pod nos Zachodowi tę fasadkę kwiląc „u nas wszystko zgodne z prawem!”. I rzeczywiście zgodne, bo takie mamy prawo właśnie, że jeżeli ktoś z kimś się spotyka – spiskują. Jeżeli ja zaproszę kogoś a imieniny – znaczy organizuję na ten wieczór nielegalną strukturę kolacyjną. Głupie? Nawet bardzo. Ale nie szkodzi. Władza wciąż liczy na to, że Zachód coraz chętniej będzie wierzył w byle jakie wytłumaczenia, nawet już zupełnie kretyńskie, bo tak mu wygodnie, bo chce mieć problem z głową, chce spokoju w Warszawie, chce znów całować wschodnich przyjaciół w usta i handlować, handlować, handlować. Czy władza słusznie na to liczy – nie wiadomo. Jak dotąd można mieć nadzieję, że niestety, ale jak jest naprawdę, okaże się dopiero w przyszłości.

Na razie nie zapominajmy, że prawo prawem a praktyka praktyką, co zresztą sama władza przyznaje bez żenady. Nie czytam peeterowskiej prasy, ale żona, wy-

korzystując swą pozycję domową, przemocą zapoznała mnie z fragmentem niedawnego orędzia rzecznika prasowego, nazwiska nie wymieniam, by nie utrwać w pamięci dźwięków zbyt cichych. Otóż rzecznik oświadczył, że Stefan Bratkowski robi wszystko, żeby się znaleźć w więzieniu, że istotnie, jego działalność kwalifikuje się do ostrych represji prawnych, ale że to nie następuje, ponieważ władza odnosi się do działalności Bratkowskiego z politowaniem. Co to znaczy? To znaczy, że prawo nie istnieje, a o wszystkim decyduje aktualny stan uczuć władzy. Oto ten przestępca nie wzbudził naszego politowania – do więzienia z nim na 10 lat. Dla tego mamy pewne politowanie – 5 lat. Dla tego mamy politowanie pełne – aaaa... proszę bardzo, niech dalej prowadzi spokojnie przestępczą działalność. Jak Wałęsa, który według wyżej wspomnianego tekstu rzecznika też jest przestępcą, ale władza nie wsadza Lecha, ponieważ jest on – cytuję – niepoważny.

Życzę Lechowi jeszcze wielu owocnych przestępstw, długich lat pracy na zbrodniczej niwie, a wszystkim tu obecnym, którzy popełnili ciężkie przestępstwo uczestnicząc w nielegalnym zgromadzeniu życzę, aby po wyjściu z tej sali spotkali się – jako całkowicie niepoważni – z głębokim politowaniem.



RECENZJE

POLSKI SOCJALIZM ADAMA CIOŁKOSZA

Antoni Pospieszalski

Na pierwszy rzut oka atrakcyjność tej książki zasadza się wyłącznie na nazwisku jej autora i faktem jest, że tylko w zestawieniu z tym nazwiskiem jej abstrakcyjny tytuł nabiera rumieńców życia. Adam Ciołkosz, zmarły w Łodnymie w r. 1978 w wieku lat 77, był bez mała ostatnią z wielkich postaci Polskiej Partii Socjalistycznej lat międzywojnia i okresu powojennego. Przeżyła go tylko żona Lidia, również wybitna socjalistka, wciąż jeszcze czynna na emigracji, i w kraju 96-letni profesor Edward Lipiński, który wstąpił do PPS w roku 1906, gdy Ciołkosz był jeszcze dzieckiem. Ale Lipiński był zawsze więcej uczonym niż politykiem, natomiast Ciołkosz był nade wszystko politykiem i dopiero jako polityk pisarzem. Przyjmując już prawie na łożu śmierci nagrodę Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie wyraził delikatnie zdziwienie, że został zaliczony i do tego klanu. Ale ta książka, owoc wielu lat, świadczy, że był rasowym pisarzem. A przecież wraz z Lidą Ciołkoszową był również autorem dwóch tomów monumentalnego *Zarysu dziejów socjalizmu polskiego*, dzieła niestety wciąż jeszcze niedokończonego. Te dwa pierwsze tomy obejmują zaledwie wczesny okres „socjalizmu romantycznego”, z grubsza mówiąc, od Lelewela do roku 1870. Czy znajdują się ludzie, którzy potrafią to dzieło dokończyć?

Tymczasem jednak omawiany wybór artykułów Adama Ciołkosza stanowi więcej niż namiastkę niewydanych jeszcze tomów. Jakkolwiek obejmuje artykuły pisane dopiero na emigracji, wiele z nich dotyczy również okresu przedwojennego. I cechuje je *qualitas*, jakiej nie może mieć napisana syntetyczna historia. Historyk, nawet jeśli był uczestnikiem wydarzeń, opisuje je z pewnego dystansu. Tu natomiast historia dzieje się na gorąco, autor jest uczestnikiem w pełni zaangażowanym i jego piśmiotwo jest integralnym elementem jego akcji politycznej. Dotyczy to nawet dłuższych prac dotyczących wydarzeń stonkowo odległych, wydzielonych w tym tomie w osobny dział artykułów historycznych, oraz recenzji, również stanowiących osobny dział, które często przerażają się w osobne traktaty na temat omawianych zagadnień. Do pierwszych należy

między innymi fascynująca analiza dwóch wzięciwcich prowokacji, Hitlera i Stalina, których ofiarą padł marszałek Tuchaczewski, dwóch innych sowieckich marszałków i kilkadziesiąt procent całego sowieckiego korpusu oficerskiego, w sumie (jak oblicza Ciołkosz) 20 do 35 tysięcy oficerów. W kontekście od dawna planowanej wojny z bolszewikami widać, że ten szczególny mecz dwóch partnerów-złoczyńców wygrał Hitler. To i dziś jeszcze jest nie tylko historią; u podstaw tych konspiracyj leżała ścisła a tajna współpraca niemiecko-sowiecka nad dobrojeniem Niemiec, zapoczątkowana traktatem w Rapallu w r. 1922, dla Polaków zawsze groźne memento. Inne artykuły historyczne dotyczą naszego własnego domu. Szczególnie interesująca jest dokumentalna relacja o tym, jak to Polska na cztery lata przed zamachem majowym uniknęła lewicowego zamachu stanu po zamordowaniu prezydenta Narutowicza przez prawicowego fanatyka. Lewica gorzała żądzą zemsty i groziła Polsce wojna domowa. W tym czasie młodzieńcki Adam był zaledwie od roku członkiem PPS, ale jego sympatie polityczne były już wyraźnie skryształizowane. Niemniej przyznaje on w swej relacji, że niektórzy z prominentów jego partii pod wrażeniem mordu „oszałeli”. Sytuację w partii uratował wtedy Daszyński, a sytuację w kraju marszałek Sejmu Rataj, członek rywalizującej z PPS partii chłopskiej „Piast”, oraz wyznaczony przez niego na premiera bezpartyjny gen. Sikorski. Tę samą zdolność chłodnej i mierzwej oceny ludzi i wydarzeń wykazuje Ciołkosz w swej relacji z najbliższą dla niego sprawą brzeskiej, kiedy sam był na rozkaz Piłsudskiego wraz z innymi aresztowany i osadzony w twierdzy brzeskiej, a następnie skazany na 3 lata więzienia. To nie zmieniło jego sądu o Piłsudskim jako najpiękniejszego socjalistę, następnie twórcy Legionów, zwycięzcy w bitwie warszawskiej 1920 roku i wielkiego męża stanu. Ciołkosz uznaje, że nawet po zamachu majowym 1926 roku parlamentaryzm polski miał wciąż jeszcze szansę. Zabiła go dopiero sprawa brzeska. Mimo to Ciołkosz schyla przed Piłsudskim głowę, pisząc o nim nie z gniewem, a z żalem, że tak się stało.

To tylko kilka przykładów ładunku historycznych informacji i interpretacji zawartych w tej książce. Ale zasadniczą treść książki stanowi co innego. Jest nią oblicze polskiego socjalizmu i jego rola w kształtowaniu niepodległej państwowości polskiej w ciągu ostatniego półwiecza, w chwili obecnej i w przewidywalnej przyszłości. Jest to sprawa niezmiernie wagi w obliczu straszliwej konfuzji, jakiej ofiarą padło samo pojęcie socjalizmu na skutek nadużywania go jako parawanu dla polityki i systemu politycznego, które z historycznym socjalizmem, zwłaszcza polskim socjalizmem, nie mają nic wspólnego. Dlatego w kraju etykieta socjalizmu jest tak niepopularna — *vide* sławny incydent w Otwocku w roku 1981, kiedy Adam Michnik zdołał wzburzony tłum, grożący zlineczowaniem kilku milicjantów, rozładować jedną dowcipną uwagą: „Ja też jestem elementem anty-socjalistycznym”. Ale odraza do tego, co w kraju rządzonym przez komunistów uchodzi za socjalizm, udzieli się nie tylko szaremu obywatelowi, który wielu książek nie czytał. Także ludzie, którzy powinni mieć lepsze rozeznanie, dali sobie mówić, że socjalizm to tylko stadium przejściowe w drodze do komunizmu i monarchijnej dyktatury albo że najprawdziwszą i ostateczną wersję marksizmu stanowi twór zwany leninizmem. Autentycznie socjalistyczne ruchy w Zachodniej Europie ratują się przed takimi posądzeniami, precyzując się jako ruchy socjal-demokratyczne. Ale i pojęcie demokracji zostało sprofanowane przez „de-

mokracje ludowe". Można by sądzić, że autorzy tego pojęcia nie liźnęli elementarnej greki, skoro nieopatrznie mówią o „ludowych rządach ludu”. Niestety, jest metoda w tym szaleństwie: im mniej jest demokracji i socjalizmu w rzeczywistości, tym więcej go musi być w słowach.

Adam Ciołkosz przez całe życie walczył o odkłamanie tych dwóch dróg, mu słów i to jest pierwszy konkretny sens tytułu jego książki *Walka o prawdę*. Przede wszystkim nie ma dla niego żadnego konfliktu między socjalizmem a demokracją, a wprost przeciwnie, oba te pojęcia uzupełniają się wzajemnie. Nie ma prawdziwej demokracji bez elementu socjalistycznego i nie ma prawdziwego socjalizmu bez demokracji. Pierwszy człon tej tezy stwierdza po prostu, że w każdym społeczeństwie większość stanowią warstwy tradycyjnie upośledzone, nieposiadające lub mniej posiadające i mniej wykształcone, że należy im się naprawienie tej historycznej krzywdy, a zatem w nowoczesnym społeczeństwie prawo do udziału w rządach. Drugi człon natomiast stwierdza, że ten udział w rządach nie może być wymuszony, nie może być klasową dyktaturą, bo to pociągałoby za sobą nową krzywdę tym razem dla innych warstw społeczeństwa. Innymi słowy, socjalizm może być sobą tylko gdy dopuszcza udział nie-socjalistycznych partii, czyli gdy jest demokratyczny.

Po drugie, prawdziwy socjalizm jest możliwy tylko w niepodległym narodowym lub wielonarodowym państwie. Solidarność klasowa czy wspólne spraczenie społeczne są tylko jedną z więzi łączących ludzi pomiędzy sobą; są obok niej inne więzi, niemniej istotne – języka, kultury, tradycji historycznej – łączące ludzi różnych warstw społecznych. Ludzie chcą realizować swoje aspiracje, także społeczne i gospodarcze, samorządnie, w swoim własnym domu, nie w amorficznym internacjonalistycznym konglomeracie rządzonym z odległego i obcego im centrum.

Ciołkoszowi zatem chodziło o polski socjalizm, do zrealizowania w niepodległym polskim państwie. Polski socjalizm jest oczywiście jednym z nurtów międzynarodowego ruchu, który począł się gdzieś w dniach rewolucji francuskiej, kiedy to

jacyś Francuzi wymowni

zrobili wynalazek, że ludzie są równi,
choć o tym dawno w Pańskim pisano zakonie
i każdy książdż to samo gada na ambonie,

i rozwinął się w ciągu XIX wieku. Trochę kwaśna uwaga Sędziego w *Panu Tadeuszu* ma jednak też zaletę, że wskazuje na rzeczywiste korzenie tego ruchu, które leżą głębiej i dalej niż Marks i Fourier i saintsimoniści i sami jakobini, bo w chrześcijaństwie – tyle, że jakobini wzięli na serio, co „każdy książdż gada na ambonie”, i wyciągnęli z tego praktyczne polityczno-społeczne konsekwencje. Mickiewicz sam w okresie *Tribune des Peuples* uznał się za socjalistę. Ciołkosz jest ogromnie świadom chrześcijańskich korzeni socjalizmu, a polskiego socjalizmu w szczególności. Dotyczy to zresztą w równej mierze i brytyjskiego socjalizmu, który po dziś dzień zawdzięcza więcej tradycji dysydenckiej Wolnych Kościołów (stojących w opozycji do oficjalnego Kościoła Anglikańskiego) aniżeli Marksowi. Ciołkosz zwraca uwagę, że wyraz „socjalizm” pojawia się po raz pierwszy w języku polskim w liście tzw. Gromady Grudziądz (powstałej w Anglii wśród byłych żołnierzy Powstania Listopadowego) do Polskiego Towarzystwa Demokratycznego w Poitiers z dnia 6 maja 1835 roku, gdzie czytamy: „Chcicie w nas zastąpić indywidualizmem

i egoizmem to, cośmy w nauce Chrystusa wyczerpnęli, to jest socjalizm czyli poświęcenie". Kopalnią wiadomości na temat religijnych natchnień pierwszych polskich socjalistów jest pierwszy tom wspomnianego *Zarysu dziejów socjalizmu polskiego*, cudowna relacja myśli, poszukiwań i walk takich ludzi jak Joachim Lelewel, Stanisław Worcell, Tadeusz Krępowiecki, Józef Ordega aż po ks. Piotra Ściegiennego i Mickiewicza. I ten nurt religijny pozostał Ciołkoszowi bliski. Ciołkosz nie zdziwiłby się, gdyby dożył widoku polskich robotników i ich rodzin modlących się tłumnie u bramy Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 roku.

Ale to oczywiście nie jest cała historyczna treść polskiego socjalizmu. Ciołkosz nie wyrzeka się również Marks, którego w przeciwieństwie do wielu tak zwanych marksistów czytał i doskonale znał. Przede wszystkim zdawał sobie sprawę, że pisma Marks nie stanowią ideologicznego monolitu, że jego myśl w ciągu lat ewoluowała i nie może, bez okaleczenia, stanowić podstawy do jednolitego ideologicznego tworu zwanego marksizmem. Jest rzeczą nie do wiary, jak ten wróg „ideologii niemieckiej”, wręcz wszelkiej cenzury i przemocy, rzecznik niepodległości Polski może dziś patronować dyktatorom posługującym się jego nazwiskiem. Nawet pojęcie „dyktatury proletariatu”, które przejął wreszcie od Blanquiego, Marks rozumiał inaczej niż jego autor, jako bez miły automatyczny awans społeczny klasy dotychczas upośledzonej, awans według teorii materializmu historycznego nieuchronny, ale właśnie dlatego nie narzucony drogą spisku i gwałtownego przewrotu wyklutego przez rzekomych rzeczników proletariatu. Tak zwany marksizm-leninizm jest w oczach Ciołkosza marksizmem wywróconym do góry nogami. Marks był dla niego przede wszystkim ekonomistą, który w *Kapitale* dał trafną na swoje czasy analizę mechanizmów ówczesnego kapitalizmu, a filozofem, który wykoncyrował, również prawdopodobną na swoje czasy, teorię dialektycznego funkcjonowania mechanizmu historii w postaci materializmu historycznego. To był potężny wkład do rozwoju myśli ludzkiej, ale bynajmniej nie jakiejś jej ukoronowanie i recepta na przyszłość. Na temat konkretnego kształtu przyszłości Marks, mimo współautorstwa *Manifestu Komunistycznego*, miał bardzo niewiele do powiedzenia.

Historyczny polski socjalizm zawiera w sobie wiele różnych nurtów, często zwalczających się wzajemnie, ale i wzajemnie się zapładniających, i Ciołkosz uznaje oczywiście historyczny wkład nurtów rewolucyjnych, które poprzez „Proletariat” Ludwika Waryńskiego doprowadziły w roku 1892 do powstania Polskiej Partii Socjalistycznej. Ten socjalizm stanowi nieodłączny element polskiej walki o wolność w XIX wieku i polskiej myśli społeczno-politycznej, a tym samym stanowi wspólną tradycję wszystkich Polaków, jak to pięknie wykazał Bohdan Cywiński, pisarz katolicki, w swych *Rodowodach niepokornych*. Adam Ciołkosz nie mniej niż Cywiński stwierdza, że ta tradycja nie jest wyłączną własnością komunistów, dzisiaj rządzących Polską, szukających w niej narodowej legitymizacji swej władzy. Nie jest nawet w ogóle ich własnością, bo rządy satrapii z łaski Moskwy są zaprzeczeniem wszystkiego, o co tamci „niepokorni” walczyli. Jest tylko parawanem.

Ten paradoks — absolutne, diametralne przeciwieństwo komunizmu i tradycji socjalistycznej, z której się rzekomo wywodzi — przewija się poprzez wszystkie pisma Ciołkosza zebrane w omawianym tomie. Autor wielokrotnie nawraca do

tragicznych rozłamów, które zwłaszcza na początku bieżącego stulecia sprawiły, że pojęcie socjalizmu stało się tak wieloznaczne: równocześnie synonimem walki o godność ludzką szarego człowieka i synonimem tyranii poniżającej tę godność i pozbawiającej go nie tylko chleba, ale i wszelkich duchowych wartości, które równie jak chleb są mu potrzebne do życia. Sprawdza się tu zaskakujące historyczne prawo, że wielkie idee są również głębią, z której wyrastają wielkie i mordercze herezje. Chrześcijaństwo też miało swój manicheizm, ekstrawagancje gnostyczne, wojny religijne i inkwizycję.

A więc rozprawia się Ciołkosz z herezją luksemburgizmu, tezy polskiej – ale bardziej – niemieckiej Żydówki, która w imię rewolucji społecznej żądała od polskich robotników, by wyrzekli się marzeń o niepodległości. W nazwie jej partii, Socjal-Demokracja Królestwa Polskiego i Litwy, „Królestwo Polskie” i „Litwa” były tylko określeniami geograficznymi; Róża Luksemburg nie przewidywała żadnej roli ani dla Polski ani dla Litwy w zrewolucjonizowanym imperium rosyjskim ani w przyszłym europejskim imperium proletariatu. Rozprawia się Ciołkosz z rozłamek, jaki nastąpił w PPS po rewolucji 1905 roku, rozłamek na Frakcję Rewolucyjną, na której czele stał Piłsudski, i PPS-Lewicę, która później, w 1918 roku, połączyła się z SDKPiL, tworząc z nią razem pierwszą polską partię komunistyczną. Polscy socjaliści poszli wtedy za Piłsudskim, z tym że socjaliści nie widzieli potrzeby wysiadać z partii na przystanku „niepodległość”, jak to według własnego określenia uczynił Piłsudski, i tak Frakcja Rewolucyjna stała się częścią Polskiej Partii Socjalistycznej w niepodległym państwie. Ale Ciołkosz przyznaje uczciwie, że do roku 1917 słowa „socjalizm” i „komunizm” były używane wymiennie i dla odkłamania słów przypomina, że słowo „komunizm” pojawiło się w języku polskim po raz pierwszy w protokołach synodu arian polskich z 1568 roku na określenie chrześcijańskiej wspólnoty własności. Jakże to pięknie! Dziś to słowo ma wydźwięk tak pejoratywny, że nawet komuniści w propagandzie wolą używać słowa „socjalizm”.

Drogie jest również Ciołkoszowi szersze pojęcie lewicy, w sensie oddolnych (i dlatego demokratycznych) dążeń do zmian na rzecz wszystkich mniej uprzywilejowanych, a więc „ludu” w odróżnieniu od szlachty, inteligencji, biurokracji, czy klas posiadających, a więc nie tylko robotników, ale i chłopów. Interes licznych w Polsce małorolnych chłopów leżał dla niego po stronie lewicy i dlatego ubolewał, że poza krótkim okresem tzw. Centrolewu w latach 1929-30 nigdy nie doszło do politycznego sojuszu PPS ze stronnictwami chłopskimi. Ubolewał, że ruch ludowy sam był rozbity na aż trzy stronnictwa: raczej centrowe PSL „Piast” Wincentego Witosa, bardziej lewicowe PSL-Wyzwolenie i Stronnictwo Chłopskie. Dopiero w 1931 roku doszło do połączenia tych partii w jedno Polskie Stronnictwo Ludowe. Jakkolwiek dumny był z reformy rolnej 1925 roku (jak i z bardzo ambitnego na owe czasy ustawodawstwa społecznego Rzeczypospolitej), było to dla niego za mało. A jednak rozumiał bardzo dobrze, że Witos był autentycznym rzecznikiem odwiecznego dążenia polskiego chłopca do posiadania własnego kawałka ziemi i że to pragnienie nasawiało go podejrzliwie wobec partii robotniczej głoszącej postulat upaństwowienia środków produkcji czy wprowadzenia innych społecznych form własności. I Ciołkosz pisze z największym szacunkiem o chłopie z Wierzchosławic, trzykrotnym premierze rządu Rzeczypospolitej, tym bardziej

że z Tarnowa, skąd posłował Ciołkosz, było zaledwie 10 km. do Wierchosławic, gdzie gospodarował i wójtował Witos. I Witos był także, jak Ciołkosz, więźniem brzeskim. Przy wszystkich różnicach politycznych łączyło ich umiowanie rzetelnej demokracji.

Jest rzeczą uderzającą, że Ciołkosz w swych pismach tak niewiele mówi o programie społeczno-gospodarczym FPS. W pewnym sensie ta powściągliwość jest dowodem konsekwencji i realizmu autora jako działacza politycznego. FPS według niego zmierzała i powinna zmierzać do awansu klasy robotniczej środkami politycznymi. Chodzi o to, by robotnik stał się pełnoprawnym współuczestnikiem decyzji politycznych w warunkach demokracji i w niepodległym państwie. Ważne są zatem przede wszystkim formy ustrojowe i formy prawne, które pozwalałyby na swobodne i efektywne dochodzenie praw i interesów robotników na równi z innymi grupami społecznymi. Natomiast specyficzne formy, w których te interesy są realizowane (własność prywatna czy różne formy własności społecznej, mechanizmy decyzji gospodarczej i formy zarządzania, wynagradzanie i ochrona pracy, zakres opieki społecznej itd.) są zależne od okoliczności, w tym i ogólnego interesu społecznego w danej chwili, są więc kwestią do dyskusji i ewentualnego praktycznego eksperymentowania. W warunkach narodowego zniewolenia programowe odpowiedzi na tego rodzaju pytania są nierealne, bo nie do zrealizowania. Ale te zagadnienia stały się realne, nawet palące, w krótkim okresie „Solidarności”, którego Ciołkosz nie dożył. Jestem przekonany, że gdyby był dożył, znalazłby się w tym zbiorze artykuły na temat samorządu robotniczego w przemyśle, własności spółdzielczej, roli mechanizmu rynkowego (roli prawdopodobnie ograniczonej), polityki płac i cen itd. Niemniej całkowity niemal brak tematyki społeczno-gospodarczej w tym tomie sprawia, że obraz socjalizmu, o który Ciołkoszowi chodzi, ma charakter zbyt wyłącznie polityczny, to jest precyzyje postawy w odniesieniu do konfliktów różnych grup interesów (w tym interesu politycznego ZSRR), a za mało liczy się z realiami życia gospodarczego, realiami zarówno fizycznymi jak i psychicznymi, takimi jak motywacja gospodarcza. Czytelnik zdaje sobie sprawę, że ten socjalista, Adam Ciołkosz, jak wszyscy rozsądni ludzie jest przeciwny nadmiernej etatyzacji i centralizacji decyzji gospodarczej, ale na pytanie, co miałyby obecny model komunistyczny zastąpić, nie znajduje w książce odpowiedzi. I gdy kraj po Sierpniu 1980 roku doszedł nagle do głosu, też odpowiedzi na te pytania nie było; dopiero wtedy rozpoczęło się gorączkowe poszukiwanie rozwiązań palących problemów, jak problem zarządzania upaństwowionym przemysłem. Ale okres względnej wolności okazał się za krótki na wypracowanie przekonujących rozwiązań nie mówiąc już o możliwości wypróbowania ich w praktyce.

Bo nie ulega chyba wątpliwości, że model gospodarczy przyszłej wolnej Polski będzie musiał być modelem w jakimś sensie socjalistycznym. Raz dlatego, że w kraju nie ma kapitałów na reprivatyzację wielkiego przemysłu w jakimkolwiek znaczącym zakresie. Po drugie dlatego, że jako by nie był „realny socjalizm” komunistyczny w praktyce, społeczeństwo przyzwyczało się do socjalistycznej recepty. Same hasła równości społecznej i opieki społecznej państwa, jakkolwiek źle i przewrotnie realizowane, zapuściły korzenie w świadomości pokoleń Polski Ludowej i będą się domagały rzetelnej realizacji. Te dwa czynniki grają i będą grały niezależnie od sąsiedztwa zatępywanego kolosa ZSRR i jego stosunku do

prawdziwie suwerennej Polski. Ze wszystkich tych powodów oskarżenia pod adresem „Solidarności” i opozycji demokratycznej, że są „antysocjalistyczne” i dążą do przywrócenia kapitalizmu w Polsce, są obiektywnie nonsensem. „Solidarność” przy wszystkim innym jest ruchem robotniczym, jest związkiem zawodowym i jest dlatego ruchem socjalistycznym.

To wszystko w niczym nie podważa zasadności tezy, która przenika całą książkę Ciołkosza, że realizacja rzetelnego socjalizmu, jakkolwiek by miał być jego konkretny kształt, jest uwarunkowana politycznie. Socjalizm może być realizowany tylko w warunkach politycznej wolności. Adam Ciołkosz był politykiem, nie ekonomistą, i PPS jest partią polityczną, a nie społeczno-gospodarczym instytucją. I ten prymat uwarunkowań politycznych tłumaczy również, dlaczego „Solidarność”, będąc związkiem zawodowym, musi również być ruchem politycznym. Bo autentyczny związek zawodowy też może funkcjonować tylko w warunkach politycznej wolności.

Ciołkosz nie dożył krótkiego lata „Solidarności”, ale zdążył jeszcze odetchnąć atmosferą przedwiośnia, które zaczęło się w 1976 roku, kiedy w następstwie wydarzeń czerwcowych w Radomiu i Ursusie powstał KOR. Komitet Obrony Robotników, który żyrował między innymi jego starszy kolega partyjny profesor Lipiński, był mu niewątpliwie niezmiernie bliski i chyba tylko okoliczności postępującej choroby sprawiły, że nie ma w tym tomie artykułu poświęconego KORowi. Natomiast jest artykuł z maja 1976 roku (jeszcze przed Ursusem i Radomiem), w którym wita z radością i nadzieją list 66-ciu intelektualistów z prof. Lipińskim na czele do marszałka Sejmu oraz program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego (PPN). A w styczniu tego samego roku napisał słowa, które znalazły się na obwolucie książki jako jądre streszczenie jego myśli.

... Walka o Polskę rozegra się i rozstrzygnie w Polsce, inaczej być nie może ... Obecnego systemu rządzenia nie sa się w jego istocie poprawić. Cały ten system jest chory, nie da się go uleczyć, trzeba go w całości usunąć i zniszczyć jego polityczną nadbudowę. Kto to może uczynić? ... Mogą to uczynić tylko robotnicy — nie dlatego, że są ludźmi ulepionymi z lepszej gliny, lecz dlatego, że warunki bytu zmuszają ich do solidarności i walki.

Ciołkosz użył tu, bez mała proroczo, słowa „solidarność”. To było jego *credo*. Widział potwierdzenie tego *credo* w wypadkach poznańskich z czerwca 1956 roku i w wydarzeniach na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku. Rok 1976 i Sierpień 1980 roku miały to *credo* jeszcze silniej potwierdzić. Jeśli nawet źródłem wiary Ciołkosza w socjalizm były nade wszystko jego wewnętrzne przekonania etyczne i jeśli cała jego przeszłość kazała mu tej wiary, mimo historyczne sfałszowanie idei socjalizmu, bronić, to trzeba przyznać, że wydarzenia ostatnich lat za słusznością tej wiary też przemawiają. I dlatego warto może zacytować dalszy ciąg cytatu z obwoluty, tak jak pojawia się on w tekście książki:

Jeśli przemysłimy do końca sformułowane przez Bieńskiego prawo cykliczności rozwoju, dojdziemy do przekonania, że marksowski mechanizm cykliczności kryzysów ustroju kapitalistycznego wolno i trzeba przenieść na mechanizm cykliczności wstrząsów w ustroju dyktatury komunistycznej, coraz częstszych i coraz gwałtowniejszych, z wielkim końcowym

wstrząsem, w którym nastąpi zawalenie się przestarzałej, spróchniałej budy komunizmu. Nosicielami tej nadchodzącej rewolucji będą robotnicy, co zostało u nas sprawdzone co najmniej dwukrotnie, w latach 1956 i 1970. Może w Stanach Zjednoczonych liczba robotników spada, lecz w Polsce uległa ona wielokrotnemu zwiększeniu w porównaniu ze stanem przedwojennym. Nie wierzę, by w Polsce istniała możliwość powrotu do przedwojennego modelu gospodarczo-społecznego. Przyczyną temu tak względy psychologiczne (p. wyżej mój tekst – A.P.) jak i obiektywne okoliczności. Rewolucja, której nosicielem – w obecnych warunkach często bezwiednym – jest klasa robotnicza, będzie miała za cel przebudowanie Polski w sensie ustroju socjalizmu demokratycznego.

Adam Ciołkosz, *Walka o prawdę*. Wybór artykułów 1940-1978. Polonia Book Fund, Londyn 1983.



DZIĘKUJE KOLEGOM ZA SŁOŻENIA, KRYTYKĘ

PAMIĘĆ PISARZA / Roch Kowalski

Zbiór opowiadań Włodzimierza Odojewskiego *Zabezpieczanie śladów* wydany ostatnio jako 398 tom Biblioteki „Kultury” w Paryżu jest książką niezwykłą. I w takim stwierdzeniu nie chodzi o podkreślanie walorów estetycznych, literackiej doskonałości prozy Odojewskiego, do czego zresztą pisarz przyzwyczaił nas poprzednio. Niezwykłość wynika z nadania opowiadaniom jednoczącego charakteru świadectw pamięci. Nie tej bezpośredniej, odwołującej się do wspomnień, przetwarzającej mniej czy bardziej udanie własne przeżycia, ile pamięci pisarskiej, pamięci artysty, który z materii wydobytej od innych, z własnej intuicji konstruuje obraz rzeczywistości – swojej wewnętrznej prawdę pisarza wspiera przeżycia bezpośrednie uczestników.

Jest tym, który rekonstruuje ślady, który dociera – po odpryskach zachowanych zdarzeń – do jpra wdy historii. Inna to jednak prawda i nie w znaczeniu formalno-prawniczym można o niej mówić. Bardziej duchowa niż materialna, sięgająca w głąb, pod powierzchnię zdarzeń niż do opisu łańcucha przyczynowo-skutkowego. Dlatego zbrodnie i złyzyne nabierają w książce Odojewskiego nowego sensu – są zbrodniami dokonana tymi na moralnym porządku świata. Co więcej, chcą na trwałe zmienić jego moralną strukturę, odebrać człowiekowi wrodzone mu poczucie ładu. Jeżeli przyjąć – za pisarzem – uniwersalny walor historii, to wówczas ludzkie czyny nabierają cełh powinności etycznych, są moralnym zobowiązaniem podejmowanym przez jedn arch w imię ocalenia innych, w imię zachowania wartości. Odmowa ich wypełnienia grozi rozpadem rzeczywistości i w rezultacie obraca się przeciwko tym, którzy dla doraźnego interesu bądź z małoduszności lub chłórzostwa zapominają o cierpieniu całych narodów i społeczności. Pod pozorem realizmu przyzwalają na zbrodnie, których jakoby nie można było uniknąć. Toteż

człowiek u Odojewskiego jest nie tyle ofiarą mechanizmów historii, ile zaćmienia ładu bożego, sprzeciwienia się Transcendencji. Jest tym, który zerwał przymierze z Bogiem i płaci za to ceną zbrodni. Morduje i jest mordowany.

Miliony ofiar sowieckiego systemu łagrów swoją śmiercią oskarżają nie tylko bezpośrednich jej sprawców, nie tylko ideologię usprawiedliwiającą mord erców i morderstwa, czy też ustrój bądź system polityczno-społeczny. Sięgają wyżej i szerzej: do samych praw historii, do poczucia moralnego, do takiego a nie innego porządku świata, do Kainowej zbrodni. I może ostatnie wskazanie jest najważniejsze, gdyż wyrażnia sposób pisarskiego myślenia i pisarskiej odpowiedzialności – coraz rzadszej u artystów dwudziestowiecznych – autora *Zabezpieczania śladów*.

Jego proza jest próbą zmierzenia się z duchowymi podstawami naszej cywilizacji. Wyrasta z kilku prostych pytań zadanych kulturze i jej twórcy – człowiekowi: gdzie i kiedy zaczęła się zbrodnica wędrówka ludzkości przez historię? od kąd morderstwo stało się metodą mającą prowadzić do zmiany rzeczywistości i poprawy losu? dlaczego żyjemy wciąż w cieniu wiecznego zła i to warzyszy nam szyderczy śmiech Szatana – świadka ludzkiej małości i nikczemnych dziejów? Są to wątpliwości metafizyczne, niegdyś przyrodzone kondycji pisarza, związane z jego rolę współuczestnika i kronikarza historii.

Wychodząc od ponurego fenomenu obozów koncentracyjnych, do których sowiecka władza oparła swoje imperium, dochodzi Odojewski do problemów bliskich chrześcijaństwu, chrześcijańskiej interpretacji historii świata, „biblijnej wizji zła

Ale wtedy równocześnie mocniej czuje przez sznyel szczerzy i otwory po kulach, i myśli o Prouście, o jego *mar: indifferente*, czy w ogóle istnienie śmierci obojętnej, a potem o Kainowym przekleństwie. Jak gdyby wystarczyła jedna początkowa zbrodnia, aby pociągnąć za sobą następne i uczynić je jeszcze potworniejszymi, bardziej niepotrzebnymi, niesłusznymi, niesprawiedliwymi, sklerotyzowanymi przeciw rozsądkowi, rozumowi, naturze, stając się już nie do zatępcenia, nie do wymazania z rejestru win i ze świadomości przyszłych pokoleń, nie do cofnięcia i uwolnienia tych przyszłych pokoleń od ich ciężaru, z którym przyjdzie im się borykać ustawicznie i z którym nigdy nie zdołają sobie do końca poradzić. Nie otwierając oczu, próbuje ułować uchem coś z rozmowy prowadzonej tam pod nagą jabłonią przez jego towarzyszy, lecz nie nie słyszy, jakby oddalił się o tysiąc wiorst, a nawet o świat świetlny, albo oni się oddalili, choć przecież on stoi pod murem, a oni o kilkadziesiąt kroków zaledwie. Czuje, że za tą ciemną przysłoniętą zapachem budzącego się przedwiośnia, ciepłem słońca, pulsującą już wszystkimi sokami życia, leży nieodgadniony mrok. Że nie zdołają go przetrząsnąć żadne spojrzenia, żadne dotknięcie, żadne głosy w i a i myśli, że może tylko w niejasnym przeszeczeniu, jakże miewają zwierzęta przy ad burzy, oni tam pod tą jabłonią odgadują niektórzy to, co nadciąga, bo ich głosy i rany są niepokojem. Wciąż nie otwierając oczu, z twarzą zwróconą do słońca i plecami w wsparty mi mur, myśli z bezsilnym, rozpaczliwym spokojem, że wszystko, co k adyłowiek było, było takie samo jak to, co kiedykolwiek będzie, gdyż jutro to co było i to co będzie, będą tym samym. („Pod murem”)

Byłoby jednak nieprawdą wpisanie opowiadań Odojewskiego w obszar literatury rozpacz, szuki próbującej uporać się z metafizycznym problemem zdrady ludzkiej. Człowiek zdradza i odchodzi od wartości i człowiek zdradza Boga jako ich gwaranta, czemu zdaje się sprzyjać pozorne miłowanie i brak odpowiedzi ze strony Niebios. Byłoby to nieprawdą, gdyż dla narratorów poszczególnych opowiadań – niezależnie od tego kim są: dziennikarzem, a x-zetkiem, starym malarzem

rozpamiętującym przeszłość – niebo wcale nie jest puste. Głównie dlatego, że poprzez najczarniejsze opisy obozowych cierpień i męki ludzkiej przewija się nic nieustająca i bliższej chrześcijańskim zasadom nadziei. Wyrosłej z wiary w pamięć, z przeświadczenia o niemożności zniszczenia człowieka dopóty, dopóki zdolny jest on zapamiętać i zapamiętane przekazać innym.

Pisarstwo Odojewskiego w swojej najgłębszej warstwie – na ile ją rozumiem – wyrosło właśnie z kultu pamięci, z wiary w siłę przekazu pisarskiego, z religijnego traktowania sztuki. Tej, która pomimo swoich niezliczonych sprzeniewierzeń wciąż budzi nadzieję, że zaświadczy, że ocali imiona ofiar i katów. I której na obszarze olbrzymiego imperium sowieckiego jego władcy boją się bardziej niż wrogich armii czy ekonomicznych gróźb. Chcą ją poddać sobie, upokorzyć, spodlić współudziałem we władzy, zmusić do pochwały zbrodniarzy i do nihilizmu etycznego. Chcą, by straciła pamięć, by poddała się temu co „dzisiejsze”, by nie pomyślała ani o „przyszłości”, ani nie pamiętała o „przeszłym”.

I właśnie twórczość Odojewskiego po raz kolejny wyraża swoim tonem, swoimi postawami tę niezwykłą wiarę pisarza wschodnioeuropejskiego w sztukę. Wiarę w sprawiedliwość i pamięć uosabiane literaturą. Przekonanie, że sztuka pojmowana nieutilitarnie i nieideologicznie, sztuka dążąca do prawdy wraz musi być zarazem sprzeciwem, musi budzić nadzieję i wspomagać pamięć społeczną. Pamięć narodu i jednostek, pamięć historii i wiarę w historię. Gdyż tak blisko są one ze sobą sprzężone: wiara z pamięcią, pamięć z nadzieją, nadzieja z chęcią życia, życie z koniecznością pamiętania.

Najważniejsze to coś zrobić, myślał teraz, rezygnując z szukania odpowiedzi na dręczące go przedtem pytania. Jeżeli nawet Boga nie ma, to jest pamięć. Może ludzka pamięć jest jakimiś przejawem Boga. Może nawet ona sama jest Bogiem. Trzeba coś zrobić, żeby nie wygasła... („Ku Dunyńskiemu Wzgórzu idzie las”)

Czymże jest więc szczupły objętościowo tom opowiadań *Zabezpieczanie śladów*? Refleksją nad pamięcią, pamiętanem o zbrodniach, wskazywaniem na boskie korzenie tak czczonej przez Greków Mnemosyne? A może przeniesieniem do literatury tego, co tak niełatwo poddaje się wszelkiej literackości, czemu sztuka z jej konwencjami stylu tylko szkodzi?

Taki zarzut da się łatwo postawić wobec wszelkiej literatury obozowej, nawet wobec arcydzieł gatunku – *Archipelagu Gułag* Sołżenicyna czy *Innego świata* Herlinga-Grudzińskiego. Zarzut wyrosły wprost z niewiary w sztukę i z niechęci do jej prawdy. Umacniany nie tylko licznymi zdradami moralnymi artystów dwudziestowiecznych, co i z poczuciem nieprzystawalności tradycyjnych norm pisarskich do straszliwego tematu: zbrodni w imię doktryny na ludach i narodach. Literatura wydawała się jakby nazbyt wąską i sztuczną formą. Zamiast unaoczniać i wydobywać z głębi rzeczywistości jej koszmarnie strony, chcąc nie chcąc miała je zmieniać w swoje pożywienie, w gładkość frazesu, choćby i poczętego z najszlachetniejszych intencji (dwuznaczność tego dobrze dostrzegał w powojennej prozie polskiej Tadeusz Borowski, co doprowadziło go najpierw do uwielbienia komunistycznego nihilizmu, a potem do samobójczej śmierci).

Opowiadania Odojewskiego są odpowiedzią na te pytania i zarzuty, chociaż (a może dlatego że?) pisarz poszedł inną drogą niż jego poprzednicy. W sowiec-

kich obozach koncentracyjnych dostrzegł uobecnienie najgorszego, co może zagrażać ludziom – oderwania ich od historii, odebrania im pamięci, skazania na „wieczne dzisiaj” – poddane kolejnym kaprysom i zmiennym nakazom władzy. Rozpaczliwie, czasami tragicznie, doświadczeni bohaterowie Odojewskiego szukają przeszłości, gdyż jedynie w odnalezieniu pamięci, w związaniu tego co jest z tym co było, widzą możliwość ratunku. Dla siebie i dla świata. Na dzisiaj i dla dalszej przyszłości, której apokaliptyczność tożsama jest z pustką, jest przestrzenią bez głosu, bez historii i bez pamięci. Pustką, która kryje się pod utopią komunistycznego raju. „Szczęścia”, którego realizacja rozpoczęła się w momencie powstania pierwszych łagrów na rosyjskiej ziemi, od pierwszych rewolucyjnych dekretoów Lenina i jego towarzyszy.

Odojewski podjął wysiłek zmierzania się z tym i z tymi, którzy chcą wydrzeć pamięć światu, upodobnić człowieka do wydrążonego pnia, a historię do białej karty. Wszystko chcą stworzyć od nowa. Niezwyczajność jego opowiadań płynie z dziełności ich bohaterów, którzy są po stronie pamięci, którzy wybrali pamięć i którzy bez wielkich słów, bez patosu, już przez to bronią człowieka przed truciznami komunizmu, przed ideologią pustki, przed nihilizmem odrzucenia historii i pamięci.

Mysiał z chłodnym spokojem: Może paść jeden człowiek, mogą paść nawet tysiące, ale nie można zabić w człowieku wiary, że to kiedyś się skończy. Gdyby ten, kto zabija, był zawsze zwycięzcą i nie musiał zdawać sprawy ze zbrodni ani za nią płacić, świat byłby niedorzeczny. To prawda, że Kain zabił Abła. Ale niemożliwe, żeby nie musiał myśleć o tym później z przerażeniem. Nie mów mi, że my, Polacy, lubimy rozdrapywać rany i rozdzierać szaty, nie mów, że nienawidzimy. Chciał ty nienawidzić podniosłeś do rangi uczuć pozytywnych, w każdym razie upatrujesz w niej źródło siły, która pcha do buntu. My tylko pamiętamy i cierpliwie patrzmy w oczy zbrodniarzowi, czekając aż w jego żrenicach pojawi się spóźnione o dziesiątki lat odbicie twarzy ofiary. Czujesz się zawiedziony, że nie mogę się zgodzić z twymi abstrakcyjnymi teoriami i przypuszczeniami, choć pewnie moje są dla ciebie również abstrakcyjne. Ale naprawdę to dzielił nas tylko jedno: ja nie potrzebuję naukowych uzasadnień dla swojej wiary, że ten las idzie i dla swojej pewności, że dojdzie. Bo mimo lat, jakie przeminięły, jestem wciąż stamtąd i nie zatrąły mnie te czady zwątpień i rozkładu stąd. Może istotnie w ludziach jest niewiele miłości, ale jest za to dużo przerażenia, pamięć zbrodni i wyobraźnia. Dlatego on, ten las, dojdzie do Dunzynańskiego Wzgórza, tak musi być. Inaczej nie byłoby żadnego porządku w historii, a pewnie i w naturze...

(„Ku Dunzynańskiemu Wzgórzowi idzie las”)

Każda z tych postaci na własną rękę poszukuje swego miejsca w historii, to znaczy poszukuje pamięci. Chce pamiętać i uporczywie walczy z tymi, którzy jej odbierają dar pamiętania. Może się to zdawać skromnym postaniem opowiadań Odojewskiego, dalekim od ambicji tak charakterystycznych dla polskiej literatury. Jednakże kto wie, czy w nim właśnie nie uchwycił pisarz istoty dwudziestowiecznych totalitaryzmów – zawłaszczania sobie zbiorowej i indywidualnej pamięci. I zamiany przez to historii w próchno, które rozsypuje się pod ideologicznymi uderzeniami. Unicestwienia wartości.

Jednak opowiadania Odojewskiego nie są tylko obnażeniem i przypomina-
niem znieprawionej przeszłości komunistycznego systemu. Są również skierowane przeciw złej wierze i fałszywemu sumieniu zachodniego świata. Jak przystało na sztukę prawdziwą, są samotne i nie mają sprzymierzeńców. Więcej, bo ich nie szu-

sztukę prawdziwą, są samotne i nie mają sprzymierzeńców. Więcej, bo ich nie szukają. Przekonane, że rzeczywistość, która wyparła się własnej historii skazana jest na zagładę, budują nową solidarność zdradzonych i pozbawianych przemocą pamięci. Są jakby dokumentem tego – miejmy nadzieję – coraz potężniejszego ruchu ludzi wolnych i troszczących się o zachowanie wolności. Tych, którzy nie chcą wyrzec się siebie: siebie pamiętających, siebie wsłuchanych w historię.

Dla nich i o nich jest nowa książka Włodzimierza Odojewskiego. Rozpisana na kilka głosów opowieść o pamięci. O potrzebie czuwania nad przeszłością, o śladach, których nie da się zasypać dopóki są ludzie pamiętający. Pamiętający, czyli wolni. Wolni, czyli zdolni do oparcia się znu. Już tym samym odbierający mu możliwość zwycięstwa. Gdyż bez totalnego triumfu, bez ogarnięcia i poddania sobie wszystkich i wszystkiego – jeżeli chociaż garstka ludzi zachowała własną pamięć i wolę – zło musi przegrać. Doktryny budowane na zasadzie absolutu: „albo wszystko, albo nic”, kiedy nie osiągają totalnego spełnienia, giną wcześniej czy później.

Także i o tym byłyby opowiadania zebrane w tomie *Zabezpieczanie śladów* – literaturą, która z przeszłości czyni walor niezbędny dla dnia teraźniejszego, a z umarłych czyni znaki pamięci i nadziei dla żywych.

Jeszcze raz wiedzy myśl, jak gdyby wewnętrznymi oczami przebiegła usłyszaną opowieść o tej drodze pomiędzy „tak” a „nie”, i zaraz przypomniałem sobie także prośbę nauczyciela, żeby mówić innym i ostrzegać. Więc stojąc obok kapelana, który stał już wyprostowany i tylko znakiem krzyża żegnał ciało, myślałem potem o przesłaniach zostawianych przez zmarłych żywym. Że mogą być, jak światło, zdolne rozjaśniać ich własną drogę przez mrok. Który, niezależnie od okoliczności, zawsze biegnie krawędzią pomiędzy „tak” a „nie”. („I Duch się skupił w jedno ziarno”)

Włodzimierz Odojewski, *Zabezpieczanie śladów*, Instytut Literacki, Paryż 1984.

O CO WALCZYMY/ Jerzy Pilch

Akcja najnowszej powieści Włodzimierza Sokorskiego rozpoczyna się jesienią roku 80, kończy zaś tuż po północy 13 grudnia roku 81. Są to czasy trudne. Jak powiada autor: „Teraz nawet członkowie partii nie bardzo wiedzą, co z sobą począć”. Głównym bohaterem książki jest – w tym właśnie okresie dość często zmieniającego miejsca pracy – były minister kultury i były członek KC Andrzej Sokolnicki. Wybór ten pociąga za sobą co najmniej dwojakie korzyści artystyczne i dramaturgiczne. Po pierwsze jest w nim zawarta spora doza gryzącej krytyki pod adresem tych przedstawicieli władz, którzy pod naporem ekstremy oraz okrażenia imperialistycznego uginali się i starych, sprawdzonych (zwłaszcza w latach 50-tych) towarzyszy przeczuli ze stanowiska na stanowisko. Tej właśnie, w gruncie rzeczy kapitalistycznej postawie przeciwstawia Sokorski pełną godności cierpliwość, z jaką jego bohater znosi – dokonując się wprawdzie na ogół na szczeblach centralnych, ale jednak – poniewierkę. Po drugie, nieustanna rotacja głównej postaci umożliwia autorowi ogarnięcie wszechwidzącym spojrzeniem możliwie jak najszerszego obszaru rzeczywistości. Andrzej Sokolnicki już to jako szeregowy redaktor, już to jako szef zarządu wydawnictw, już to jako kandydat na kierownika wydziału kultury jest świadkiem bez mała wszystkich istotnych faktów, które miały miejsce w czasach anarchii. Uczestniczy w zjazdach literatów i dziennikarzy, jest przy odsłonięciu pomnika poległych stoczniovców, gości na sympozjum struktur poziomych i IX zjeździe partii. Przysłuchuje się wreszcie początkowym referatom na Kongresie Kultury. Nie może wprawdzie z oczywistych względów – jego rozterki mają jednak rozsądne granice – brać udziału w zjeździe Solidarności, ale i z tego dylematu Sokorski wychodzi obronną ręką. Jego odpornemu na inicjatywy reformatorskie bohaterowi zdarza się mianowicie coś, czego nie przewidział: „Narzuciła płaszcz. Odprowadził ją do drzwi. A po jej wyjściu pomyślał, że w jego życiu stało się coś, czego nie przewidział”. Jak się łatwo domyślić, ową nieprzewidzianą rzeczą, która przytrafiła się Sokolnickiemu, jest pociąg do młodej poetki Izabeli Żernickiej, delegatki na zjazd Solidarności. Niełatwe życie osobiste bohatera zyskuje w ten sposób dodatkową komplikację, zaś kompozycyjne założenie wszechobecności zostaje zrealizowane bez uszczerbku.

Wątek erotyczny jest jednak w książce wątkiem marginalnym. Polityka do tego stopnia oświadczyła uczucia i myśli bohaterów, iż nie mają oni ani czasu, ani ochoty na miłość. Jest to także bolesne oskarżenie systemu reglamentacyjnego, który – w tym akurafat względnie zawsze sprawnych – bohaterów Sokorskiego pozbawia temperamentu. Spowodowane lichym zaopatrzeniem braki energetyczne muszą oni nadrabiać siłą woli: „Usiadł obok na kozetce i starał się w niej dostrzec kobietę. Troski, które ich przygniatały, były silniejsze od potrzeby miłości. Nie chciał jednak okazać się chamem (...) Zabiję się, pomyślał i nagle poczuł potrzebę stosunku”. Bohaterowie powieści ani przez chwilę nie potrafią zapomnieć o sprawach publicznych, są one wszechobecne i paraliżują nawet najczulsze, nawet

najniewinniejsze dialogi: „Dlaczego skłamałeś z tym kinem? Tak mi się jakoś powiedziało (...). Jesteś prawdziwy dzieciak. Nie należy się martwić bez potrzeby. Może jesteś działaczką Solidarności? Sama nie wiem. Jestem członkiem Związku Literatów”.

Oczywiście tylko ktoś naiwny, nieobyty z literaturą i polityką może przypuszczać, iż rysująca się na kartach powieści rozległa panorama najnowszych, wręcz wczorajszych dziejów jest zarazem świadectwem prawdy. Sokorski jest zbyt doświadczonego pisarzem i politykiem, by nie zdawać sobie sprawy z faktu, iż mówienie całej prawdy jest obecnie – z dwu co najmniej przyczyn – niemożliwe. Pierwsza przyczyna jest przyczyną obiektywną. „Do prawdy – powiada w programowych fragmentach książki – należy dążyć, ale nasza wiedza ograniczona jest wiedzą swojej epoki (...) Każda epoka posiada swoje ograniczenia”. Druga przyczyna jest subiektywna. „Na każdym z nas ciąży poczucie odpowiedzialności i samoograniczenia. Należy te stany przezwyciężać, ale sekret pozostaje sekretem i nie zawsze jego ujawnienie od nas zależy. W takich sytuacjach trzeba udostępnić chociaż ślady prawdy, po których kiedyś dojdziemy do całej prawdy”. I to właśnie czyni Włodzimierz Sokorski. Zaś niektórzy z ujawnionych przez niego „śladów prawdy” już dziś – zwłaszcza gdy wyobrazić sobie, dokąd prowadzą – zapierają dech w piersiach. Np. na stronie 139 autor w sposób niedwuznaczny sugeruje, iż Mieczysław Rakowski nie ma już dokąd wracać: „Zrobi wszystko [Rakowski], by utrzymać w swym ręku tygodnik *Politykę*”. Po co? Żeby mieć dokąd wrócić. Praca administracyjna tylko początkowo daje człowiekowi satysfakcję, powiada jedna z postaci. Jeśli ten ślad prawdy prowadzić ma do wniosku, że stanowiska wicepremierów są od pewnego czasu przyznawane dożywotnio, to warto zapytać, dokąd zaprowadziłaby nas refleksja nad czasem trwania władzy najgłówniejszej? Zwłaszcza że – jak wiadomo – jej aktualny dzierżawca scedował resort obrony narodowej, a więc podobnie jak zastępca także nie ma dokąd wracać. Inne pozostawione na kartach utworu „ślady prawdy” zdają się prowadzić do prawd ostatecznych jeszcze bardziej zdumiewających. Na stronie 173 pada sugestia, iż „o wszystkim w Komitecie Centralnym decydują koterie”. Na stronie 216 oskarża się kierownictwo partii, iż rzadko wierzy własnej policji. Na stronie 150 ktoś wysuwa ryzykowną hipotezę, iż działalnością Andrzeja Werblana kierują „motywacje uboczne”. Na stronie 91 wojsko, milicję, aktywność partyjną i państwowy określa się niewybrednym epitetem „wały ochronne”.

Sokorskiego zdaje się niekiedy ponosić temperament pisarski i zdarza się wręcz, iż ujawnia nie ślady, lecz – pomimo wszystkich ograniczeń – całą prawdę. Tak jest zwłaszcza na stronach poświęconych opisowi IX zjazdu. Autor bez ogródek już teraz podaje do publicznej wiadomości prawdziwe przyczyny wyboru Stanisława Kani. Umożliwiła ten wybór, jak się okazuje, reakcja na wystąpienie Wojciecha Jaruzelskiego. Na temat Albina Siwaka wysuwa ryzykowne przypuszczenie, iż „nie jest on kimś wybitnym”. Nie ukrywa, iż po zakończeniu wyborów wielu delegatów było z nowego Komitetu niezadowolonych. Mówi wprost o głęboko ludzkich choć niekiedy dwuznacznych emocjach, jakie przebieg zjazdu budzi w postronnych obserwatorach. Na przykład Ewa, kochanka Sokolnickiego, choć szczerze kibicuje zjazdowemu mundialowi, nie jest w stanie, z iście kobiecą

bezdarnością, wszystkiego pojąć: „Ewa była wyraźnie zdegustowana. Własnych poglądów nie posiadała. Bała się Kani, chociaż nie wiedziała dlaczego. Nie ufała Olszowskiemu. Dalej jej wyobraźnia nie sięgała”.

Nieustanna gra o prawdę dokonująca się na kartach powieści ma w niektórych fragmentach charakter szczególnie powikłany. Oto jedna z jej natragiczniejszych postaci, Stefan Dragon, „boleśnie przeżywający wszystkie dramaty partyjne. Człowiek, który nie mieścił się w poprzedniej ekipie, ale też nie przewidywał sierpniowych wydarzeń. Sądził, że sprawa ograniczy się do zmiany ekipy. Do głowy by mu nie przyszły układy gdańskie. Kiedyś nawet zadzwonił, że podpisanie umów jest ciosem w plecy, którego partia nie przeżyje”: ten właśnie stary wypróbowany towarzysz zaraz na pierwszych stronach utworu popełnia samobójstwo. Na spory wokół prawd uniwersalnych, dotyczących przyczyn i przyszości tego, co się dzieje w Polsce, nakładają się w ten sposób spory wokół prawd konkretnych, dotyczących określonej jednostki. Dlaczego Dragon popełnił samobójstwo? Czy uczynił to z powodów osobistych czy publicznych? Czy też może jednych i drugich. Powieść zyskuje w tych fragmentach charakter *quasi*-kryminalny, zaś jej wydzwięk polityczny brzmi tym donośniej. Główny bohater skłania się ku szlachetniejszej, bo wynikającej jedynie z przyczyn politycznych wersji samobójstwa Dragona. Jego zdaniem miał on przed sobą tylko dwie drogi: „założyć odrodzoną KPP w łonie zmęczonej wydarzeniami partii albo odejść. Odejść jednak nie mógł. Nie miał dokąd”. (Warto na marginesie zauważyć, iż Włodzimierzowi Sokorskiemu wyraźnie dolega syndrom braku drogi powrotnej czy choćby przysłowiowej bocznej furtki. Dragon jest kolejną postacią, która „nie ma dokąd odejść”. Byłoby interesującym problemem badawczym ustalenie, czy kompleks ów ma przeniesienie czysto psychologiczne, czy też produkuje go piastowane aktualnie przez autora stanowisko przewodniczącego Rady Naczelnej ZBoWiD-u.) Politycznym przyczynom samobójstwa Stefana Dragona nie chce jednak dać wiary prokurator Ireneusz Dobrak. Reprezentuje on racje zdroworoządkowe i, nie da się ukryć, dość płytkie: „Dla wielu ludzi sierpień to uderzenie obuchem w głowę – powiada – ale nie popełniają samobójstwa. Owszem (...) po VI Plenum wszystko jest możliwe, ale podobnych wypadków było mało (...) Nie można sobie strzelić w łeb ot tak, tylko z tego powodu, że partia nie potrafi dać sobie rady z jeszcze jednym kryzysem władzy. To prawda, że tym razem zmiana pierwszego sekretarza niczego jeszcze nie załatwiła, lecz przy zdrowych nerwach nie ma w tym nic strasznego”. Jak się wydaje, nieprzypadkowo Włodzimierz Sokorski obdarzył postać prokuratora ironiczno-znaczącym nazwiskiem Dobrak. Pomimo to racje waży się przez długi czas i dopiero na stronie 122 autor zdaje się definitywnie spór rozstrzygnąć. Przychyliła się rzecz jasna do wersji „samobójstwa za sprawę”, przy czym nadaje całości kontekst bardziej uniwersalny niż można by oczekiwać. Gordyjski węzeł wątpliwości, hipotez i domysłów rozstrzygnięty zostaje jednym zdaniem o zaiste gnomicznej konstrukcji: „Stefan Dragon postawił pytanie, co to jest socjalizm, i zastrzeżił się nie uzyskawszy odpowiedzi”. Pół biedy, jeśli aforyzm ten mówi całą prawdę o oczaczającym nas świecie. Cóż jednak nas czeka, jeśli jest to zaledwie ślad prawdy? Dokąd idziemy i o co – w takim razie – walczymy?

DEKONSPIRA? / R. E.T.

Książka trzech gdańskich dziennikarzy, jak na bestseller przystało, zaczęła się od skandalu i przez skandale wspięła się na szczyty popularności (oczywiście te możliwe w naszym emigracyjno-podziemnym obiegu). Zaczęło się bowiem od tego, że już dość dawno – jeszcze w stanie wojennym – za udział w tym konspiracyjnym zebraniu poszli siedzieć: znany gdański publicysta, do niedawna przykładowy członek partii i sekretarz redakcji ilustrowanego tygodnika „Czas”, oraz niedawno zwolniony z Intermowania długoletni opozycjonista, redaktor pozaczekuralnego biuletynu strajkowego „Solidarność”, wydawanego w pamiętnych dniach sierpniowych w Stoczni Gdańskiej – Mariusz Wilk. Potem wynikły jakieś – bliżej mi tu w kraju nieznanne – kontrowersje pomiędzy emigracyjnymi oficynami w kwestii wydania tej książki. Na koniec zblamował się po trosze i szczęśliwy wydawca (Editions Spotkania w Paryżu), bo zaproszeni do polskiej księgarni na premierę *Konspiracy* mogli obejrzeć tylko skonfundowanego Piotra Jeglińskiego, zaś książka była nieobecna z powodu awarii czegoś tam. Pierwszy (bo najszybszy) wydawca krajowy – a był nim warszawski Przedświt – dał na okładkę dumnego orła, jakby nie rozumiał co drukuje, nie za to zapomniał, jak się zdaje, o zaznaczeniu praw i pierwszeństwa paryskiego wydawcy.

Dopiero jednak po wydaniu i pierwszych lekturach w opozycyjnej kawiarni warszawskiej zawrzało: dekonspira! „Ci okropni prowincjusze szargają świętości, narażają na szwank, a może nawet lekkomyślnie pomagają policji!” – zawołano jednym głosem tak w kuluarach kościoła św. Marcina, jak i w stołówce Czytelnika. Rzeczywiście, lepiej było zbudować jeszcze jeden pomniczek na podobieństwo dziełka rysownika Przedświtu. „Wy mnie Styka nie malujcie na kłęczkach, wy mnie malujcie dobrze!” – jak miał się odezwać Najwyższy do pewnego nadgorliwego artysty patriotyczno-dewocyjnego w ubiegłym stuleciu. Jaka to szkoda, że limit cudów na stulecie bieżące został ostatecznie wyczerpany przez Cud nad Wisłą i wybór Karola Wojtyły.

Czym jest książka o narodzinach tak burzliwych, budząca odczucia czytelniczek tak rozbieżne, choć gorące? Jest to po prostu montaż rozmów przeprowadzonych w latach 1982-1984 (choć głównie w 1983 roku) z prawie wszystkimi członkami TTK oraz (gdańska perspektywa autorów) z członkami RKS w tym regionie. Montaż w ten sposób uniejętnie ułożony, że chronologicznie ukazuje

kolejne etapy rozwoju podziemia: począwszy od ostatniej „krajówki” zakończonej późną nocą 12 grudnia 1981 roku, poprzez wszystkie wloty i kłęski, aż po początki 1984 roku. Mówi więc o sobie, o Solidarności, kolegach, o potknięciach i zwycięstwach, a na koniec o perspektywach walki sam Zbigniew Bujak, mówi Bogdan Lis, Władysław Frasyniuk, Eugeniusz Szumiejko, Bogdan Bojarski, Tadeusz Jedynek i Aleksander Hall (ten ostatni w gdańskiej RKS odegrał rolę epizodyczną, ogłosił swój słynny list o potrzebie działalności legalnej i ujawnił się jeszcze przed amnestią z 1984 r.). Co więcej, rozmowy są autoryzowane, konspiratorzy mogli je przejrzeć przed drukiem i w ostatnim rozdziale przedstawiają swe krytyczne uwagi, polemizują ze sobą nawzajem, a także z autorami montażu-panoramy. Nie uczestniczyli w autoryzacji i w tej końcowej rozmowie Władysław Frasyniuk i Bogdan Lis, jako że policja wcześniej wyrwała ich z podziemia; kiedy wyszli z więzienia, było już za późno – książka jechała bez biletu za granicę. Z tej panoramy podziemia wypadł też Władysław Hardek z Krakowa, widać zbyt wielka to odległość, a szkoda, bo warto wiedzieć, co myślał, nim udzielił wywiadu Dziennikowi Telewizyjnemu. Nie zostali też uwzględnieni Pinior i Bednarz z Wrocławia oraz Pałubicki z Poznania, ale ich rzeczywiście krótkie uczestnictwo w pracach TKK zbyt szybko przerwane zostało przez policję, by zdążyli do nich dotrzeć najsprawniejsi nawet dziennikarze.

Zagraniczni korespondenci oraz ich krajowi koledzy o nazwiskach wielokrotnie głośniejszych od gdańskiej trójki mają rzeczywiście powody do frustracji: tłumnie adorowali mieszkanie na Zaspie albo plebanię u św. Brygidy, a tu – jak to zwykle bywa – tak zwane „życie” poszło swoimi drogami, zaś mało znani koledzy zabrali im sprzed nosa wielki temat. Tak, na pewno oni, starzy wyjadacze wielkiej polityki, zrobiliby to lepiej i efektywniej, i tu chyba znajduje się przyczyna złego przyjęcia *Konspiracy* przez tzw. „warszawkę” (to oczywiście, że w tej pokracznie rozdwojonej Polsce istnieje też „warszawka” opozycyjna, ze wszystkimi schorzeniami „warszawki” legalnej). Zazdrość jako czynnik opiniotwórczy? Oczywiście, choć uważam go za zdrowy na tyle, na ile motywuje do konkurencji, nie uprawomocniając sfrustrowanego nieróbstwa.

Warto przyrzeć się bliżej tej śmiałej trójce, nie tylko dlatego, że pewnie o nich nieraz jeszcze usłyszymy, ale nade wszystko po to, by pojąć przesłanie płynące z tak odrębnych dróg, przesłanie – jak śmiem sądzić – nie mniej ważne od samej treści książki przez nich zaprezentowanej. Jak już wspomniałem, Maciej Łopiński to (do 13 grudnia 1981) członek PZPR, członek zespołu kierującego jednym z najpopularniejszych w Polsce kolorowych magazynów, „reżimowy” dziennikarz, przed którym otwierała się tzw. „kariera”. Wystarczało tylko wybąkać przed odnośną komisją maleńkie słówko „tak” – co po mniejszych lub większych rozterkach uczyniło wielu jego kolegów – by kariera ta stała się dalej nie mniej jedwabistą. Jak widać – powiedział „nie”, skazując się nie tylko na komunistyczne „berufsverbot”, ale i na wspólne z opozycjonistą Mariuszem Wilkiem więzienie. Nie o bierną odmowę tylko tu chodzi; wielu za nią wyleciało z pracy lub poszło na wcześniejsze emerytury, ale przecież w tej łatwo wybaczącej „Polsce jaruzeńskiej” dzieje im się wcale nieźle. Dopiero powiedzenie „tak” nowej, opozycyjnej aktywności skazuje na los łiciganego, ale wymaga to już posta-

wy, rzekłbym, „conradowskiej” – i nie dziw, że niewielu spośród zwracających legitymacje potrafi się na nią zdobyć.

Dla Mariusza Wilka była to zapewne droga od dawna oczywista, lecz zważmy, iluż jego niedysyjszych kolegów z kręgu współpracowników KSS „KOR”, z „Młodej Polski”, z SKS-ów wyjechało przy pierwszej nadarzającej się sposobności albo wybrało święty spokój i domowe zacisze po burzach opozycyjnej młodości. Nie oceniam, nie potępiam, tylko pokazuję, jak ciężko jest iść tą drogą, ale też z jak odmiennych wkracza się dziś na nią azymutów. Dość, że podwładni ministra Kiszczaaka zwinęli ich obu w trakcie zbierania materiałów do *Konspiracy*; dobrze, że nie wpadł przy tym rzyk z indagowanych, dobrze, że SB-owcy prawdopodobnie do końca nie orientowali się, o co chodzi. Dziś już wiedzą, ale co im ze spóźnionej orientacji?

I jeszcze trzecia droga, trzecia postawa: Marcin Moskit, jedyny z trzech autorów występujący pod pseudonimem, jako „krajowy dziennikarz”. Pewnie w redakcji gdańskiego lub warszawskiego tygodnika, pewnie układny, zweryfikowany, podporządkowany, może nawet partyjny, ale „po godzinach” wkraczający na tę trudną i jakże niebezpieczną ścieżkę swego najgłębszego i jedynie prawdziwego „tak”. A więc trzecia droga: droga Wallenroda? Nie śmiejmy się. To Moskitowie przygotowują gazetki, organizują materiały drukarskie, zdobywają wiadomości niedostępne dla opozycjonistów. Gdyby nie oni, już dawno opozycja zamknęłaby się w swoim getcie o rozmiarach kilkunastu mieszkań, paru plebanii i może jakiejś kawiarni. Wiedzą o tym dobrze na Rakowieckiej i Moskitów obawiają się bardziej niż Wilków, tym bardziej, że nie wiedzą o nich nic więcej ponad to, że istnieją.

I to właśnie, wręcz symboliczne spotkanie autorskiej trójki jest dla zjawiska o nazwie „Konspira” nie mniej ważne i znaczące, niż sama treść książki.

Dlaczego jednak właśnie „konspira” (a nie „konspiracja”, „walka”, bądź coś jeszcze bardziej pomnikowego), i cóż to tak bulwersującego ujawnia autorska trójka w swej książce?

A więc konspiracyjni rozmówcy nie prezentują jednolicie uporządkowanych i pomnikowo ułożonych poglądów na bieg polskich spraw i na przedmiot swych działań. Nie wygłaszają, ale po ludzku mówią. Nie czytają z kartki, lecz prowadzą rozmowę. Nie kryją wątpliwości, rozterek, kontrowersji, nawet kłótni. Nie mają ostatecznego i jedynie słusznego poglądu na wszystko, bywa nawet, że pogląd ten w trakcie wypowiedzi modyfikują. Bywa, że są zmęczeni, czasem nawet pogubieni po prostu... Z tych rozmów wyłania się tromtadaracka lekkomyślność ostatnich miesięcy i tygodni legalnego działania, nikłość oporu w tragicznych dniach grudniowych. Ambicjonalne rozbieżności wokół tego, KTO będzie organizował podziemie, a zwłaszcza wokół sprawy tzw. „Ogólnopolskiego Komitetu Oporu” („OKO”), istniejącego krótko przed powstaniem TKK. Dramatyczne zaprzepaszczenie okazji, jaką był wybuch strajku w stoczniach Wybrzeża po sejmowej delegalizacji Solidarności w 1982 roku. Kunktatorstwo w podejmowaniu niektórych decyzji. Różnice zdań tak w kierownictwie legalnej Solidarności, jak w kierownictwie podziemia. Niezdecydowanie Bujaka. Zuchowatość Lisa. Podziemne sentymenty, miłostki, a pewnie i małostki. Konspiracja nie tylko w swych dramatach, rozterkach i uwikłaniach, ale – używając określenia bodajże Lisa – „w majkach”.

Zapewne z tych wszystkich rozlewnych opowieści i refleksji przepływających przez magnetofon gdańskich dziennikarzy najbardziej przekonująco i roztropnie rysuje się portret Borusewicza, ale to już moja bardzo osobista ocena; komuś innemu głównym „bohaterem pozytywnym” tej książki wyda się może Jedynek, może Frasyńnik, a może Bujak... W sumie jednak skandal. Jak można? Majtki zamiast pomnika! Rozterki zamiast pewności! Dekonspira!

Zdaniem wielu moich krajowych przyjaciół bezpieczeństwa może się cieszyć: w podziemiu się kłóć, autorzy ujawniają swe nazwiska, prezentują nieznane dotąd szczegóły konspiracyjnej roboty, pokazują rysy na cokole, a może nawet i plamy na sztandarze. Malują ten portret po ludzku, dobrze, bo nie na kłęczkach. Ale stąd właśnie kontrowersje wokół książki i rozeźlone pomruki na opozycyjnej widowni.

Poniekąd je rozumiem: w obliczu zagrożenia potrzebna jest jedność. Świętości nie szargać, idoli nie ściągać z cokołu! Braliśmy to już w czasach legalnej Solidarności, zwłaszcza na łamach tygodnika redagowanego przez niezmiernie szanownego Tadeusza Mazowieckiego i jego ekipę. Niestety, owe chowanie pod stół rozbieżności, sporów i polemik niewiele nam pomogło w sensownym przygotowaniu się do nadciągającego nieuchronnie Grudnia. Bądźmy więc mądrzy choć po szkodzie... Ale jest i druga strona tej naszej niezgody na prawdę i zróżnicowanie, strona groźniejsza: zniewolenie umysłów. To przecież właśnie wszelkie totalitaryzmy z komunistycznym na czele wyspecjalizowały się w tandetnym pomnikotwórstwie, bo z samej politycznej istoty totalitaryzmu obca im być musi wszelka publicznie ujawniana różnorodność, jawna dyskusja, spór postaw i sposobów myślenia. To właśnie totalitarnych idoli trzeba malować na kłęczkach, tym bardziej, że przez totalitaryzm ukształtowane umysły takich właśnie portretów, takich tylko pomników się domagają; jako oszczerstwo osądzą każdy ludzki rys, zaś jako zdradę każdy faktyczny objaw pluralizmu. Nawet wtedy, gdy w rewolucyjnym zrywie odrzucają obowiązujące dotąd rytuały i portrety; hasła demokracji i pluralizmu nie oznaczają wówczas bynajmniej przyzwolenia na różnorodność, lecz tylko przeniesienie pod przeciwny płot, gdzie z tak samo zaciekłą bigoterią broni się w przeciwną stronę odwróconych symboli. To także braliśmy w okresie „szesnastu miesięcy wolności” i nie ma się też czemu dziwić, bo proces wyzwalania się z umysłowego więzienia przebiega wielokrotnie wolniej od procesu występowania z partii czy zapisywania się do Solidarności. Nie zamknął się bynajmniej w pamiętnych szesnastu miesiącach, daleko mu jeszcze do celu nawet w dzisiejszym „społeczeństwie niezależnym”, a jego ostateczny wynik nie jest bynajmniej przesądzony. Choć świadomość polska w latach osiemdziesiątych dość skutecznie oddaliła się od perspektywy sowietyzacji, warto i u nas pamiętać o Zinowiewie i jego ponurych analizach; my również nie jesteśmy wolni od ciężaru opisywanych przezeń mechanizmów.

W tej perspektywie *Konspira* jest nie tylko przykładem znakomitej roboty dziennikarskiej, krzepiącym przykładem różnorodności opozycyjnych dróg, ale też mocnym głosem za demokracją, pluralizmem i szacunkiem dla odmienności ocen lub postaw. Ta sensacyjna „dekonspira” jest w tej właśnie perspektywie przekonującym dowodem siły tego ruchu, którego częścią są zarówno bohaterowie,

autorzy, czytelnicy, jak i niżej podpisany recenzent: malowane na kłęczkach oleodruki nader często bowiem bywają maską słabych i wystraszonych. To także brałimy już nieraz i o tym także powinniśmy pamiętać.

I jeszcze jedno. *Konspira* jest kolejną książką, która składa się na zjawisko zupełnie nowe i nieznanne w dotychczasowym niezależnym piśmiennictwie: niezależne dziennikarstwo. Jego zapowiedzią była eksplozja pism i pisemek wydawanych w okresie „szesnastu miesięcy” i później w państwie policyjnym. Ten szeroki i bardzo różnorodny nurt obrodził nie tylko ulotkową doraźnością, ale i reporterską (w dobrym znaczeniu tego słowa) panoramą otaczającego nas świata, ludzkich myśli i losów, opisem o wielkiej wadze dokumentacyjnej, a nawet literackiej. Dotąd niezależną literaturę reprezentowały tylko powieści, pamiętniki lub eseje, teraz reprezentuje ją także reportaż. Dość wymienić tu, obok *Konspiracy*, *Notatki gdańskie* Surdykowskiego, *Każdy z was jest Wałęsą* Pawłaka i Terleckiego, *Szczecin: Grudzień, Sierpień, Grudzień* Szejnert i Zalewskiego. Warto też wspomnieć o głośnych już, bo częściowo publikowanych w czasopismach, a przygotowywanych do druku zbiorach wywiadów Teresy Torąńskiej oraz Marii de Hernandez-Paluch.

Bezsprzecznie „numerem jeden” na tej liście jest jak dntąd *Konspira*, ale lista ta będzie się szybko wydłużać.

Maciej Łopiński, Marcin Moskwit, Mariusz Wilk, *Konspira. Rzecz o podziemnej Solidarności*. Editions Spotkania, Paryż 1984; przedruk: Wydawnictwo «Przedświt», Warszawa 1985.



SOW SHOW

STEFAN GOLEBIOWSKI

UŚMIECH LIPCA

Gra na słonecznych skrzypcach
Dwudziesty Drugi Lipca
i gra na lirach żyta
żenców rzecz polspolita

Dwudziesty Drugi Lipca
przez dwa pomaz — hoczyn
CZTERDZIESCI I CZTERY
Manifest uwiecznił

Lat czterdzieści w Ojczyźnie
odmilknęło jak echo:
Wieszczu przemów — i w słońcu
Mickiewicz się uśmiechnął

bez drugi

ZMARŁ JÓZEF MACKIEWICZ

Jerzy Malewski

31 stycznia 1985 r. zmarł w Monachium Józef Mackiewicz. Nekrolog o jego śmierci zamieścił w PRL jedynie „Tygodnik Powszechny”. Wolno przypuszczać, że dla większości czytelników w kraju była to jedyna informacja o życiu i twórczości tego wybitnego pisarza.

Znamy dość dobrze literaturę polską powstałą na emigracji po r. 1945. Wiele książek opublikowanych najpierw w Paryżu czy Londynie ukazało się następnie w PRL, najwybitniejszym pisarzom emigracyjnym krytycy w kraju poświęcili eseje a nawet książki. Jedynym wyjątkiem pozostawała i pozostaje twórczość Józefa Mackiewicza – pisarza nie tylko całkowicie zakazanego przez władze, ale także całkiem nieznanego: nieobecnego, nieopisanego i nieczytanego. To, że przemilczano go w oficjalnym życiu literackim jest oczywiste, ale twórczość Józefa Mackiewicza była do niedawna nieznaną także w obiegu nieoficjalnym. I gdyby nie arcytrafna inicjatywa krakowskiej Oficyny Literackiej (podziemne wydanie dwóch powieści i dwóch tomów publicystyki) oraz przyznanie Mackiewiczowi literackiej nagrody „Arki” za rok 1984 (werdykt w numerze 9) mogłoby się zdawać, że jest to wyjątkowo solidarna zмова milczenia. Na szczęście jest już inaczej. Można przypuszczać, że doczekamy się wkrótce przedruków pozostałych książek Mackiewicza a nagroda „Arki” przyspieszy powstanie recenzji lub szkiców na ich temat. Zanim to jednak nastąpi, chciałbym poświęcić kilka uwag całokształtowi dorobku tego pisarza. Szkicowość i ułomność tych rozważań niech usprawiedliwi ich smutny powód: Józef Mackiewicz nie żyje. Jego wielki dorobek został już na zawsze zamknięty.

Jeżeli miarą niezależności pisarza jest odrębność jego poglądów od sądów powszechnie panujących i akceptowanych a zarazem konsekwencja obrony własnego punktu widzenia, to Józef Mackiewicz należy bezspornie do najbardziej niezależnych pisarzy polskich XX wieku. Był po prostu osobny: tak jak Witkacy, Gombrowicz, Bobkowski czy Białoszewski. Nie należał do żadnego centrum

opiniotwórczego, ale za to przez cały czas swej twórczości znajdował się w politycznym konflikcie z najpotężniejszymi ośrodkami kształtującymi opinie, poglądy i postawy Polaków. Polemizował ze wszystkimi najważniejszymi elitami kształtującymi współczesną historię Polski. A więc (komunistów pomijam): z administracją państwa polskiego sprzed 1939 r. i z ówczesną myślą polityczną, z sędziami i z endekami, z polityką Armii Krajowej i zachodnich aliantów Polski podczas II wojny światowej. Wyrażał się krytycznie o programie radia Wolna Europa i o amerykańskich instrukcjach dla jego polskiej rozgłośni, był – podobno – w nienajlepszych stosunkach z paryską „Kulturą”. Bardzo surowo oceniał tzw. politykę wschodnią Watykanu, tzn. pontyfikatu papieża Jana XXIII i Pawła VI, a ponadto – z tych samych powodów – surowo krytykował politykę kardynała Wyszyńskiego wobec władz PRL oraz programy katolickiego laikatu: środowisk „Tygodnika Powszechnego”, „Znaku” i „Więzi”. Już z tego pobieżnego wycienienia widać, że Józef Mackiewicz był pisarzem stojącym cały czas na przeciwległym biegunie politycznego i myślowego jakiegoś wytworzył się w PRL i wokół PRL po 1945 r. Nic zatem dziwnego, że we wszystkich tych środowiskach uznawany był za politycznego przeciwnika – a nawet za politycznego maniaka tak bardzo oderwanego od realiów rzeczywistości, że nie było powodów by go traktować jak partnera w dyskusji. W PRL jego twórczość była więc całkowicie zakazana i przemilczana. Natomiast w politycznych kręgach emigracji osoba Mackiewicza była zwalczana a nawet szkalowana. Paradoks polegał jednak na tym, że spośród wszystkich polskich pisarzy Józef Mackiewicz był największym i najbardziej nieprzejednanym wrogiem komunizmu i jego historycznych wcieleni: bolszewizmu i sowietyzmu.

Zanim spróbuję przybliżyć tu twórczość Józefa Mackiewicza, muszę przyznać się do podstawowej trudności. Nie znamy wielu elementów pisarskiej biografii Mackiewicza (o politycznej piszę nieco dalej). Nie znamy przede wszystkim publicystyki Mackiewicza, albowiem ta jej część, którą opublikowano w tomach *Droga Pani* (1984) oraz *Fakty. Przyroda. Ludzie* (1984) jest tylko drobnym fragmentem wielkiej całości. A chodzi tu o dziesiątki artykułów z lat 30-tych, 40-tych oraz późniejszych, spośród których wielka ilość drukowana była także w licznych czasopiśmie różnorodnych. To więc co poniżej napiszę, będzie zarysowaniem tematów sporządzonym jedynie na podstawie książek Józefa Mackiewicza.

Zacznijmy jednak od biografii. Józef Mackiewicz urodził się 1 kwietnia 1902 r. w Sankt-Petersburgu. Jego ojciec, Antoni, wywodził się z bogatej rodziny ziemiańskiej, był współwłaścicielem kilku kamienic w Petersburgu i dużej firmy produkującej wino. Matka, Maria z Pietraszkiewiczów, była natomiast osobą znaną w artystycznych kręgach Młodej Polski. Starszym bratem Józefa był Stanisław Mackiewicz (używający przydomka Cat, znany i głośny redaktor wileńskiej gazety „Słowo”), z kolei starszą siostrą jest pani Seweryna Orłosiowa (matka pisarza Kazimierza Orłosia). W roku 1907 Mackiewiczowie przenoszą się z Petersburga do Wilna, gdzie Józef Mackiewicz ukończył prywatne gimnaz-

jum Winogradowa. Wkrótce potem Mackiewicz bierze udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1919-1920 r., a następnie studjuje nauki przyrodnicze (m. in. ornitologię u prof. Konstantego Janickiego) na uniwersytecie w Warszawie. Po studiach wraca do Wilna i rozpoczyna pracę jako dziennikarz. Debiut książkowy Mackiewicza to zbiór nowel (1936) oraz sztuka napisana wspólnie z Kazimierzem Leczyckim. Obie książki przeszły właściwie bez echa. Rozgłos przyniósł natomiast Mackiewiczowi zbiór reportaży pt. *Bunt rojstów* (Wilno 1938), poświęcony opisowi specyfiki wschodnich ziem II Rzeczypospolitej. Książka ta powstała z felietonów i reportaży drukowanych wcześniej w prasie codziennej i trafnie dostrzeżono w niej krytykę „polityki wschodniej” ówczesnych władz. W latach 1939-1940 Mackiewicz redagował wraz z Teodorem Bujnickim wileńską „Gazetę Codzienną”, której programem była restytucja idei Wielkiego Księstwa Litewskiego, a ściślej idei solidarnej wspólnoty wszystkich narodowości zamieszkujących te tereny. Po wkroczeniu do Wilna bolszewików (15 VI 1940) i likwidacji Republiki Litewskiej Mackiewicz porzuca prace dziennikarskie i rozpoczyna pracę jako furman i drwal (okres ten opisał w kilku artykułach i zbeletryzował w książce pt. *Droga do nikąd*). Mieszkał wówczas wraz z żoną, Barbarą Toporską, na skraju puszczy ok. 15 km od Wilna. Wiosną 1943 r. na prośbę Niemców i za zgodą wileńskiej AK był świadkiem odkrywania grobów oficerów polskich zamordowanych w Katyniu. Po powrocie z Katynia przedstawił władzom AK w Warszawie i Wilnie dowody świadczące o niezbitości zbrodni, ta była udziałem funkcjonariuszy NKWD. Tego samego roku jesienią był świadkiem mordowania przez hitlerowców Żydów zwozonych do podwileńskiej miejscowości Ponary. Gdy w r. 1943 ofensywa Armii Czerwonej zbliża się do wschodnich terenów Polski, Mackiewiczowie – aby uniknąć ponownej okupacji sowieckiej – opuszczają Wilno i w czerwcu 1944 znajdują się w Warszawie (nie znamy okoliczności tej wędrówki). Jesienią 1944 Mackiewiczowie przebywają w Krakowie, a w styczniu 1945 r. wraz z grupą Tatarów i innych narodowości uciekających przed wojskami sowieckimi wyjeżdżają przez Czechy do Wiednia. Pod koniec lutego 1945 są już w Mediolanie. Stąd przenoszą się do Londynu, a po kilku latach do Monachium (wędrówki te zbeletryzował częściowo Mackiewicz w książce pt. *Nie trzeba głośno mówić*). Na emigracji Józef Mackiewicz pracuje ponownie jako dziennikarz i ogłasza dziesiątki artykułów, wspomnień i opowiadań. Drukował wówczas przede wszystkim w „Wiadomościach”, w „Dzienniku Polskim” i w piśmie „Lwów i Wilno”, a także w paryskiej „Kulturze” i „Zeszytach Historycznych” (pomijam tu prasę obcojęzyczną). Z prac dziennikarskich powstają po latach kolejne książki Józefa Mackiewicza, z których prawie każda tłumaczona była na kilka języków. A więc: *Zbrodnia w lesie katyńskim* (1949 – przekład niemiecki), *Droga do nikąd* (1955), *Kontra* (1957), *Sprawa pułkownika Miasojedowa* (1962), *Lewa wolna* (1965), *Nie trzeba głośno mówić* (1969 – jest to ciąg dalszy *Drogi do nikąd*), *W cieniu krzyża* (1972), *Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy* (1975) oraz dwie mniej znane pozycje: mikropowieść *Karierowicz* (1955) i zbiór nowel *Pod każdym niebem* (1964). O wydanych ostatnio zbiorach publicystyki wspominałem już na wstępie. Poza tym Mackiewicz był autorem kilku broszur oraz kilku tomów antologii prozy na temat II wojny światowej. Dodać tu warto, że reedycje większości książek Mackiewicza zawdzięczamy londyńskiemu wydawnictwu Kontra, zało-

żonemu przez Ninę Krasov i Szymona Szechtera (zm. 1983).

Jak widać z tego pobieżnego wyczerpania dorobek pisarski Józefa Mackiewicza jest ogromny. Międzynarodowy rozgłos przyniosła Mackiewiczowi książka o Katyniu (w roli świadka był także Mackiewicz przestępujący przez specjalną komisję Kongresu Amerykańskiego, badającego zbrodnię katyńską). Także następne utwory Mackiewicza były często omawiane przez prasę obcojęzyczną (z racji przekładów) i emigracyjną. Niemniej jednak brak jest nadal artykułów syntetycznych, prób monografii, omówień techniki pisarskiej czy choćby przekrojowego omówienia głównych tematów i zainteresowań tego pisarza. Materiały na temat twórczości Mackiewicza zgromadzone w Bibliotece Polskiej w Londynie – z których tu korzystam – są oczywiście bardzo bogate, ale dotąd niewykorzystane i dla czytelnika krajowego „bezużyteczne”. Sporządzając więc na użytek czytelnika w PRL mapę głównych zainteresowań pisarskich Mackiewicza mam wrażenie, że stawiam początkową literę bardzo długiego alfabetu.

Józef Mackiewicz uważany jest za pisarza politycznego. To określenie jest oczywiście słuszne – niemniej jest w nim pewien odcień pejoratywny. Pisarz polityczny – tak się powszechnie uważa – to jakby pisarz gorszy, gdyż podporządkowujący sprawy artystyczne tematyce doraźnej, bieżącej lub tezom publicystycznym. Taka opinia o twórczości Mackiewicza byłaby po prostu fałszywa. Dlatego wolę napisać, że postawowym tematem zainteresowań Mackiewicza była nie polityka, lecz *historia współczesna*. A więc historia, której najważniejszym wydarzeniem było zwycięstwo bolszewizmu w Rosji, powstanie państwa sowieckiego (Kraj Rad) i jego triumfalna ekspansja na cztery spośród pięciu (Antarktydę zostawmy pingwinom) kontynentów globu ziemskiego. Wobec tej tematyki Mackiewicz-pisarz zajął stanowisko świadka, myśliciela i badacza zdarzeń, które po r. 1917 zaciążyły nad dziejami XX wieku.

Jak wspominałem, Józef Mackiewicz miał przeciw sobie wszystkie najważniejsze centra opiniotwórcze współczesnej Polski. Poza konfliktami personalnymi (o których wspominam na końcu tych uwag) jedynym powodem owych napięć była zapewne intelektualna odrębność Mackiewicza wśród poglądów przyjętych przez niezależną opinię na emigracji a także w PRL. Celowo podkreślam słowo „niezależną”: jedynym partnerem, z którym Mackiewicz chciał polemizować był bowiem środowiska reprezentujące swe poglądy suwerennie (emigracja) lub walczące o taki status w PRL (Episkopat i laikat katolicki). Mackiewicz nie wdawał się nigdy w dyskusje z komunistami, których traktował jako agentów sowieckich. Nie interesowała go więc doraźna polityka: taktyka sojuszy, kompromisów, porozumień i ustępstw, albowiem był zawsze przekonany, że jedyny kompromis jaki akceptują komuniści to po prostu bezwarunkowe podporządkowanie się ich ideologii lub właśnie polityce. Za jedynego partnera uznawał Mackiewicz tylko suwerenną (niekomunistyczną) myśl polską. I właśnie ten partner okazał się największym przeciwnikiem. Dlaczego? – Józef Mackiewicz odrzucał bowiem wszystkie aksjomaty, które od początku XX w. utrwalały się w polskiej świadomości historycznej i politycznej. Wyciągał na światło dzienne te sprawy,

o których — jak powszechnie sądzono — „nie trzeba głośno mówić”. Ukazaniu tych spraw poświęcone są wszystkie jego utwory. Perspektywy przyjętej przez Mackiewicza można nie podzielać. Trzeba ją jednak zrozumieć. Odmowa tego zrozumienia byłaby odrzuceniem rozumienia nas samych. I naszego miejsca w historii współczesnej. Jakie to zatem tematy przedstawione przez Józefa Mackiewicza tak głęboko zantagonizowały suwerenną myśl polską?

Sądzę, że można wymienić trzy nadrzędne obszary zainteresowań tego pisarza. Pierwszym jest stosunek do Rosji carskiej, drugim polityka polska wobec ziem byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego (W.X.L.), a trzecim etapy i przyczyny kolejnych zwycięstw państwa sowieckiego po r. 1917. Wydawać by się mogło, że tylko ta trzecia sprawa jest właściwym tematem autora *Zwycięstwa i porażki*. W istocie jest ona tylko logicznym dopełnieniem dwóch pierwszych, które są kluczowe do zrozumienia poglądów Józefa Mackiewicza na historię naszej części Europy w XX w.

ROSJA. Całą młodość spędził Mackiewicz w Rosji carskiej. Oglądał ją więc z zupełnie innej perspektywy niż Polacy w Kongresówce. Mackiewicz widział oczywiście w Rosji XIX-wieczne imperium, ale oparte na moralności chrześcijańskiej, stosunkowo tolerancyjne wobec podbitych narodowości, respektujące niezawisłe sądownictwo, a przede wszystkim oparte na poszanowaniu własności prywatnej i indywidualności człowieka. Rosja carska z początku XX w. była typową monarchią absolutną i niewiele różniła się od monarchii zachodniej Europy. Mimo wszelkich różnic była częścią ówczesnego świata kapitalistycznego, wkraczała w epokę naturalnych ewolucyjnych przemian ustrojowych, a przybywszy z Zachodu znajdował wiele podobieństw między Londynem a Petersburgiem czy Paryżem a Moskwą. W każdym razie — powiada Mackiewicz — cywilizacyjna odrębność między Londynem a Petersburgiem była mniej więcej taka sama jak między Londynem a Lisboną czy Madrytem. Widziana natomiast z Kongresówki Rosja carska była jedynie nieprzejednanym wrogiem Polaków i niepodległości Polski. Na etosie walki z Rosją wykształcił się przeciw niepodległościowy nurt polskiego socjalizmu. Ta jednostronność widzenia Rosji spowodowała, że w momencie wybuchu rewolucji bolszewickiej elita polityczna Polski (m. in. Piłsudski) potraktowała bolszewików i „białych” Rosjan równorzędnie — wykazując albo brak zainteresowania dla zwycięstwa jednej ze stron (gdyż w obu widziano ten sam wielkorosyjski imperializm), albo *de facto* sprzyjając bolszewikom (odmowa poparcia kontrrewolucji). Zaciążyła tu, zdaniem Mackiewicza, tradycyjna sympatia polskich socjalistów do idei rewolucji, wrogość wobec działań kontrrewolucyjnych jako rzekomo sprzecznych z zasadą postępu społecznego, a przede wszystkim wrogość wobec każdej postaci „białej” Rosji. Nie dostrzeżono zatem — twierdzi Mackiewicz — fundamentalnej różnicy między tradycyjnym (bo typowym dla Europy) rosyjskim imperializmem a skrajnie totalitarnymi celami bolszewików. Nie zdawano sobie sprawy, że tzw. biała Rosja zaczynała ewoluować ku kapitalistycznemu systemowi liberalnej demokracji, natomiast pierwszym celem bolszewików było uniemożliwienie tych przemian. Frazeologia rewolucyjna przystąpiła socjalistom Polski i całej Europy fakt, że bolszewizm zaczął swe działania od likwidacji cywilizacji rosyjskiej, potem innych narodowości, a w końcu wszystkiego co niebolszewickie. W czym się nie zmienił po

dzień dzisiejszy. Żeby bez uprzedzeń zrozumieć referowany tu pogląd Mackiewicza, warto w tym miejscu przypomnieć zdanie Nadieždy Mandelsztam: „Urodziłam się w 1900 r. Żyłam więc 17 lat w wolności. Wystarczyło mi jej na całe życie”. Kończąca teza poglądów Mackiewicza jest tu więc następująca: Traktowanie ZSRR (państwa bolszewickiego, komunistycznego, sowieckiego – jak kto woli) jako historycznego przedłużenia carskiej Rosji jest historycznym błędem. Ale największym błędem były konflikty Polaków z narodami zamieszkującymi wschodnie obszary II Rzeczypospolitej. Zamiast zjednoczyć się przeciw wspólnemu ponadnarodowemu wrogowi (bolszewizm), rozpalono konflikty dwustronne (polsko-litewski, białorusko-ukraiński etc.), z których każdy był na rękę bolszewikom. Traktat ryski z 1921 r. (polsko-bolszewicki), który był fundamentem niepodległości Polski na wschodzie, stał się równocześnie rezygnacją z zasady samostanowienia pozostałych narodów tego obszaru – o co rozpoczynano wojnę z 1919 r. Interesy i konflikty nacjonalistyczne przesłoniły ponadnarodowy wymiar zagrożenia bolszewickiego. Pierwszym aliantem którego opuszczono w imię sojuszu z bolszewikami była wolna Ukraina – już w 1921 r. Wydarzenia II wojny światowej będą konsekwencją tego faktu. Naszkicowany tu temat przejawia się w opowiadaniach i publicystyce Mackiewicza, a przede wszystkim w powieści *Lewa wolna*.

ZIEMIE BYŁEGO W.X.L. Sprawa ta jest dopełnieniem poprzedniej. Mackiewicz mieszkając w latach trzydziestych w Wilnie obserwował z bliska następującą zjawiskę: traktowanie przez polską administrację narodów zamieszkujących we wschodnich województwach jako obywateli drugiej kategorii; niezrozumienie przez tę administrację narodowej odrębności i politycznych aspiracji Litwinów, Białorusinów i Ukraińców – a w sumie daleko zaawansowaną nieznaną problemów, jakimi żyli mieszkańcy W.X.L. Sprawę tę przedstawił po raz pierwszy w *Buncie rojstów* i wracał do niej wielokrotnie w publicystyce powojennej. Zastanawiając się nad rodzajami konfliktów na terytorium W.X.L. doszedł Mackiewicz do przekonania, że o przyszłości Europy zadecyduje przyszłość tego właśnie obszaru. Jego niezależność (państwa bałtyckie) pragnęli bowiem zlikwidować zarówno hitlerowcy jak i sowieci. W Polsce centralnej za największego wroga uważano III Rzeszę, natomiast w województwach wschodnich zagrożenie widzano ze strony ZSRR. Polityka polska była według Mackiewicza nie przygotowana do rozstrzygnięcia który z tych wrogów jest bardziej niebezpieczny i nie liczyła się z możliwością sojuszu Hitlera ze Stalinem. Dlatego nie podjęto prób zaspokojenia politycznych aspiracji narodów wschodniej Polski i nie potrafiło odpowiednio wcześniej zapobiec porozumieniu narodowego socjalizmu z międzynarodowym komunizmem. Gdy traktat Hitlera ze Stalinem stał się faktem, wszystkie konflikty z czasów wojny 1920 r. i II Rzeczypospolitej odżyły ze zwielokrotnioną siłą. Na wschodzie – powiada Mackiewicz – II wojna światowa nie zaczęła się od okupacji hitlerowskiej, lecz od okupacji sowieckiej (17 IX 1939). A to całkowicie zmienia ocenę oczekiwań, nadziei i zachowań ludności tych terenów. Sprawom tym poświęcił Mackiewicz trzy powieści: *Lewa wolna* i *Nie trzeba głośno mówić* oraz *Kontra*, i liczne artykuły publicystyczne. Nietrudno zgadnąć, że takie postawienie sprawy uczyniło wrogami Mackiewicza zarówno piśmudzczyków jak i endeków i tych wszystkich, którzy bez zastrzeżeń akcep-

towali tzw. mocarstwową politykę II Rzeczypospolitej. Ten pogląd na specyfikę W.X.L. stał się jednym z powodów oskarżenia Mackiewicza o antypolską wymowę jego książek i artykułów.

Przedstawione powyżej tematy tworzą genezę tematu trzeciego. Dotyczy on zdarzeń, które rozegrały się podczas II wojny światowej oraz po jej zakończeniu.

II WOJNA ŚWIATOWA. Okres ten przedstawia Mackiewicz w postaci trzech tez. Teza pierwsza: na terenach byłego W.X.L. II wojna światowa spotęgowała dotychczasowe konflikty narodowe i polityczne. Wszyscy walczyli przeciw wszystkim. Polacy, Litwini, Ukraińcy i Białorusini znaleźli się w tyglu wzajemnych nienawiści i prowokacji. Skrytobójcze mordy polityczne i krwawe porachunki personalne – oto dzień powszedni okupacji na obszarach wschodnich II Rzeczypospolitej. W Generalnej Guberni podział był prosty: Polacy walczyli z okupantem hitlerowskim, a każdy przeciwnik Hitlera stawał się sojusznikiem. Na terenach wschodnich sytuacji była inna: znano już dwóch okupantów – sowietów (wrzesień 1939 – czerwiec 1941) i hitlerowców (od czerwca 1941). Narody, które znalazły się najpierw pod okupacją radziecką, witały w r. 1941 Niemców jako wyzwolicieli. Podziemna walka o wolność musiała być polityczną grą o porozumienie z jednym z okupantów, ale tę grę każdy z narodów prowadził na własną rękę. Skutek był taki, że nikt nie wiedział gdzie kończy się walka z hitlerowcami, a gdzie zaczyna prowokacja komunistyczna czy też zemsta z powodów nacjonalistycznych. Jest faktem historycznym – powiada Mackiewicz – że narody ziem wschodnich opowiedziały się w większości za Niemcami a przeciw ZSRR (podczas gdy w Polsce centralnej było odwrotnie). Bestialska polityka Hitlera wobec ludności słowiańskiej przekreśliła te nadzieje, ale i tak mimo to przeszło milion obywateli ZSRR opowiedziało się po stronie Niemców, chcąc walczyć z komunizmem. Nazywanie kolaboracją poparcia, jakiego Łotysze, Ukraińcy z Litwini udzieliłi Hitlerowi, nie pomaga w zrozumieniu procesów społecznych na terenie państw bałtyckich i byłego W.X.L. Kolaboracją na tych obszarach była współpraca z komunistami i armią Stalina. Teza druga: polska Armia Krajowa została zmuszona przez aliantów zachodnich do współpracy z Armią Czerwoną i do politycznego sojuszu z ZSRR. Wykrwawiając się bezprzykładnie w walkach z Hitlerem, wspomagała jednak *de facto* drugiego okupanta – a po ofensywie stalingradzkiej (1943) przyspieszała jego zapanowanie nad obszarem całej Polski. Otóż – powiada Mackiewicz – taka polityka nie miała najmniejszego sensu. Doprowadziła bowiem bezpośrednio do moralnego rozbicia Polaków, których czekało zetknięcie z komunizmem. Wbiła straszliwy klin nienawiści między Polaków a te narody słowiańskie, które opowiedziały się podczas II wojny za walką z komunizmem. Jej skutkiem jest utrwalenie się zarówno w polskiej jak i międzynarodowej opinii publicznej sowieckiej tezy o jednej okupacji w Polsce – oczywiście niemieckiej. Teza trzecia: głównym źródłem tej prosowieckiej orientacji byli oczywiście zachodni alianci Polski (Anglia i USA), których wielkomocarstwowe plany w sojuszu z ZSRR miały jednoznacznie antypolski charakter. Ale – według Mackiewicza – istniały też wewnątrzakowskie inspiracje i postawy: tworzyli je zarówno politycy jak i dowódcy AK o sympatiach lewicowych (judowcy i socjaliści) oraz komunistyczne wtyczki w szeregach AK. Sprawom tym poświęcił Mac-

kiewicz powieść pt. *Nie trzeba głośno mówić*. Jednak zdrada aliantów nie dotknęła tylko Polski: jej ofiarami padły wszystkie narody wschodnich ziem Polski oraz państwa bałtyckie. A przecież te właśnie narody jako pierwsze w Europie opowiedziały się przeciw komunizmowi: po raz pierwszy w latach 1919-1920 i po raz drugi w czasie II wojny światowej. Tragicznym losom ukraińskich oddziałów wojskowych, które po klęsce Niemiec nie chciały wracać do ZSRR a mimo to zostały wydane przez Anglików w ręce NKWD (na terenie Austrii), Mackiewicz poświęcił jedną ze swych najsłynniejszych powieści pt. *Kontra*. Te trzy tezy spowodowały, że poglądy Mackiewicza stały się nie do przyjęcia dla środowisk kombatanckich AK, rządu londyńskiego i rzeczników „polityki wschodniej” aliantów – o komunistach nie wspominając.

PO ROKU 1945. Jednym z podstawowych czynników, który pozwolił ZSRR osiągnąć wielkie sukcesy polityczne na świecie była według Mackiewicza tak zwana polityka wschodnia Watykanu. Jeszcze papież Pius XII groził za współpracę z komunistami ekskomuniką, natomiast dwaj kolejni papieże, Jan XXIII i Paweł VI, rozpoczęli politykę „otwarcia” wobec komunistów. Nazywano ją „dostosowaniem” Kościoła do powstałej w wyniku II wojny sytuacji politycznej, a ceną za to była rezygnacja z jakichkolwiek krytycznych uwag pod adresem ZSRR i ideologii komunistycznej. Według Mackiewicza Jan XXIII i Paweł VI pogodzili się z ekspansją komunistów w III świecie (*czys* Ameryki Południowej), a za naczelną zasadę uznali pokój za wszelką cenę. Nawet za cenę wolności. Koncepcja „porozumienia Kościoła z państwem”, czyli marksizmu z chrześcijaństwem, a w istocie Watykanu z sowiecką partią komunistyczną była największym *novum*, jakie wprowadziły pontyfikaty obu papieży. Koncepcja taka – komentuje Mackiewicz – jeszcze dla Piusa XII byłaby herezją. W jej efekcie obaj papieże przyjaźnie traktowali państwa, w których katolicyzm poniósł największe straty: ZSRR, ChRL, Rumunię i Jugosławię. Polityka ta doprowadziła co prawda do zmniejszenia skali represji wobec miejscowych kościołów i ludności katolickiej, ale bardzo osłabiła niezależną postawę cerkwi prawosławnej w wolnym świecie. Prokomunistyczną politykę „porozumienia” i „współpracy” z komunistami popierał i realizował w Polsce Episkopat oraz środowiska laickie. Mackiewicz krytykował więc zarówno polityczną stronę działalności prymasa Wyszyńskiego jak i program koła „Znak”, „Tygodnika Powszechnego” i „Więzi” (głoszony przez Stanisława Stompe, Jerzego Zawieyskiego, Jerzego Turowicza, Stefana Kisielewskiego i Tadeusza Mazowieckiego). Sprawy te obszernie omawiał Mackiewicz w swoich książkach: *W cieniu krzyża i Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy* – obu książek, o ile wiem, nie ma w bibliotekach w PRL.

Gdyby zatem podsumować, jakie elementy myślenia politycznego i historycznego doprowadziły według Mackiewicza do sukcesów komunizmu, to trzeba by wymienić następujące. Mit REWOLUCJI, której pozytywną wartość wprowadził do świadomości europejskiej ruch socjalistyczny. Prymat postaw NACJONALISTYCZNYCH w konfliktach i kontaktach z ZSRR. Uznanie, podczas II wojny światowej, że komunizm stanowi MNIEJSZE ZŁO niż hitleryzm. Polityka aliantów wobec ZSRR. Następnie tzw. polityka wschodnia Jana XXIII i Pawła VI, ukryta pod formułą nie uprawiania żadnej polityki przez Watykan. A wreszcie kon-

cepcja walki o pokój za wszelką cenę jako kryptonim pogodzenia się z terytorialną i ideologiczną ekspansją najbardziej pokojowego państwa świata. Ta ostatnia sprawa wymaga jeszcze dopowiedzenia. Źródłem polityki przystosowania się Watykanu do dominacji komunizmu – suponuje Mackiewicz – mogło być (między innymi!) zetknięcie się dwóch koncepcji historyzoficznych: wiary w Nieodwołalność Wyroków Opatrzności i wiary w Obiektywną Konieczność Historii.

Oto w największym skrócie tematy i problemy, jakim poświęcona jest twórczość Józefa Mackiewicza. Nie muszę dodawać, dlaczego każde z opiniotwórczych środowisk niezależnej myśli polskiej uznawało, że o sprawach poruszanych przez tego pisarza NIE TRZEBA GŁOSNO MÓWIĆ. Ale istnieje jeszcze jeden powód, który zdecydował, że twórczość Mackiewicza znajdowała się cały czas na zewnątrz wydarzeń, a nawet zainteresowań opinii publicznej w PRL. Autora *Zwycięstwa prowokacji* zupełnie nie obchodziła wewnętrzna dynamika społeczeństwa w państwie komunistycznym, a więc jedyna perspektywa, w której krytykowane przez niego postawy intelektualne nabierają innego – niż tylko serwilistyczny – sensu politycznego. Józef Mackiewicz stał więc cały czas na zewnątrz. Jeśli nie jest prawdą, że z boku widać wyraźniej, to jednak na pewno widać i naczaj. I właśnie to inne spojrzenie Józefa Mackiewicza wymaga, byśmy uważniej przyjrzeni się sobie i naszej współczesnej historii.

Z powyższego omówienia głównych obszarów zainteresowań Józefa Mackiewicza mogło by wynikać, że są one składnikami jakiejś całościowej koncepcji czy tezy politycznej. Nic bardziej błędnego. Poza rekonstrukcją wschodniej polityki Watykanu, wszystkie książki Józefa Mackiewicza są powieściami. Mackiewicz uprawiał literaturę opartą na faktach historycznych. Jako pisarz chciał być po prostu wiarygodnym świadkiem historii. Dokumenty historyczne uzupełniały wiedzę czerpaną z własnych doświadczeń. Jak już wspominałem, tematem powieści Mackiewicza nie jest polityka, lecz procesy historyczne oglądane z dystansu czasu: wojna polsko-bolszewicka, konflikty narodowe na wschodzie Polski, okupacja sowiecka i niemiecka tych obszarów, a przede wszystkim losy pojedynczych ludzi i zaplątane w wiry wydarzeń i ideologii. Każda z powieści Mackiewicza zawiera równocześnie te dwie optyki. Pierwszą wprowadza narracja historyczno-erudycyjna, drugą – wątek biograficzny. W istocie rzeczy głównym bohaterem powieści Mackiewicza jest zawsze pojedynczy człowiek. Jeśli Mackiewicz określa się jako „kontrewolucjonista” i „antykomunista”, to nie jest to deklaracja polityczna (ideologiczna), lecz – by tak rzec – humanistyczna. Po prostu: według Józefa Mackiewicza komunizm jest najbardziej sprzeczny z naturą osoby ludzkiej, z jej potrzebą osobistej wolności, potrzebą własności prywatnej i nieskrępowanej ekspresji. Ta prosta myśl – po milionach stron analiz komunizmu – wydaje się tak prawdziwa, że aż niezwykła. Więc myślę, że jeśli Józef Mackiewicz ufał, iż komunizm nie zapanuje nad światem, to nie dlatego, że o pokój walczą pacyfiści, socjaliści, nacjonalści, chrześcijanie, konserwatyści, ekolodzy czy inni, lecz po prostu dlatego, że wierzył w człowieka. Jako pisarz towarzyszył jednak nie abstrakcjom, lecz konkretnym ludziom i narodom. Pozostawił epickie świadectwo ich wielkich tragedii – świadectwo losów ludzi oszukanych, zdradzonych, pomordowanych i zapomnianych. Nie prowadził jednak z nikim polemik ideologicznych czy politycznych. Przez swe powieści mówił tylko tyle.

taka jest prawda, a wszystko uczyniono w XX w. w imię lepszej przyszłości każdego człowieka. Kierunek tej przyszłości nazwał tytułem swej pierwszej powieści: droga do nikąd. I dlatego – jak wielu innych – odmówił po niej marszu. My jeszcze idziemy.

Jest jednak jeden bezsporny powód, że oskarżenia wobec Józefa Mackiewicza były czyjąś prowokacją lub – w najlepszym razie! – aktem złej woli kombatanów AK. Jest nim treść aktu oskarżenia, który był rozpatrywany (sic!) przez powołany przeciw Mackiewiczowi sąd. Oskarżono Mackiewicza, że kolaborował z Niemcami w Wilnie od września 1939 r. do 1945 r. (zarzut ten ponowiono w r. 1949, ale Mackiewicz odmówił stawienia się po raz drugi w tej samej sprawie). Proszę uważnie przeczytać te daty: 1939-1945. A przecież hitlerowcy zajęli Wilno w czerwcu 1941! ...a Mackiewiczowie w czerwcu 1944 r. byli już w Warszawie! Nic dziwnego, że Józef Mackiewicz nazwał te oskarżenia „bełkotem”.

Koleje tej sprawy są bez wątpienia jedną z wielu ciemnych zagadek II wojny światowej. Dziś, kiedy opadły już emocje, ktoś powinien poświęcić jej solidnie udokumentowaną monografię. Dopóki jednak to nie nastąpi, jedno jest pewne: oskarżyciele nie przedstawili żadnych dowodów, a wobec tego faktem jest zniesławienie Józefa Mackiewicza.

ZAMIAST ZAKOŃCZENIA: zmarł Józef Mackiewicz, jego książki zaczynają nowe życie. W PRL.

Tekst powyższy ukaże się także w podziemnej prasie w kraju.

ARCHIWUM EMIGRACYJNE

REFERENDUM/Stanisław Cat-Mackiewicz

Podział Europy na komunistyczną i nie-komunistyczną

Na zachodzie Europy, wybory we Francji, we Włoszech, w Niemczech wykazały, że komunizm się zatrzymał.

U nas w referendum z 30 czerwca 1946, według cyfr ogłoszonych przez reżim na 11.530.531 ważnych głosów 7.844.522 opowiedziało się za reżimem, głosując za zniesieniem senatu. Za senatem głosowało 3.686.029, przeciwko komunistycznym reformom gospodarczym 2.634.446, przeciwko uznaniu Odry i Nissy za granice Polski 995.854.

Cyfry te nie mówią nam wiele, ponieważ obliczanie głosów było fałszowane. Jednak ze smutnego doświadczenia wiemy, że reżimy totalitarne po pewnym czasie dochodzą zawsze do posiadania znakomitej większości w kraju. W Rosji wszyscy głosują na komunistów, w Niemczech wszyscy głosowali na hitlerowców, we Włoszech na faszystów. Nie ludźmy się – wybory do sejmu zapowiedziane na listopad dadzą nam wynik jeszcze gorszy! Fałsz wyborczy tkwi nie tylko w obliczaniu głosów – zasadniczym fałszem wyborczym jest odbywanie wyborów bez wyborów, bo bez swobody agitacji i swobody prasy przed głosowaniem.

Z tem większym więc podziwem, z tem większą nadzieją witamy owe milion głosów, które zapowiedziało bezwzględną walkę z reżimem głosując przeciwko jednostronnemu załatwieniu sprawy granic. Milion świadomych politycznie, nie

podających się żadnej agitacji obywateli w kraju to wielka siła. Poniżej poruszam bardziej szczegółowo temat trzeciego „nie”, tutaj zaznaczam, że liczbowo iekkwazyć tej siły nie można, przeciwnicy trzeciego pytania zdobyli przecież prawie dokładnie tyle głosów, ile zastosowało się do instrukcji Mikołajczyka. Zwolennicy PSL głosowali raz „nie” – reżim policzył ich w liczbie 1.054 tysięcy: przeciwnikom komunistycznego ustroju (dwa razy „nie”) reżim przyznał 2.634 tysiące głosów; wreszcie „zdrajców kraju” (trzy razy „nie”) policzył w ilości 996 tysięcy. Ci „zdracy” to ludzie żądający spowrotem Wilna i Lwowa i umiejący walczyć z prowokacjami i uczuciami szantażami reżimu.

Ważenie na wagach fałszywych

Według korespondenta „The Sunday Times” pan Mikołajczyk oświadczył w przeddzień referendum, które się odbyło 30 czerwca 1946, że

niegdy by się nie zgodził na zmianę prawa wyborczego, gdyby swego czasu wiedział, że członkowie PSL będą wykluczeni z komisji wyborczych.

Przypomina mi to ustęp z książki Romana Dmowskiego *Polityka polska a odbudowanie państwa*. Dmowski pisze:

Pewien człowiek ze starszego pokolenia opowiedział mi scenę, której był świadkiem w roku 1863 na ulicy w Warszawie.

Do idącego chodnikiem mężczyzny podbiegł z tyłu młody człowiek i wbił mu nóż między łopatki. Nieszczęśliwy padł nawznak. Tamten odwrócił się, spojrzał mu w twarz i wykrzyknął:

– Ach, przepraszam Pana, omyliłem się, myślałem, że to Dąbrowski.

I pobiegł dalej.

Nie wiem, jak ugodzony przyjął te przeprosiny, to wiem wszakże, że Polska nieraz w dziejach porobiorowych dostawała przez omyłkę taki nóż w piecy, z tą różnicą, że jej nie przepaszano, ale kazano sobie dziękować.

Mikołajczyk jest jednym z tych, który uderza Ojczyznę nożem, a potem jeszcze każe sobie dziękować. W czerwcu 1945 roku ułatwił rządowi Ameryki i Anglii uznanie agentury sowieckiej za rząd polski. Teraz jego udział w referendum ułatwia teże agenturze fałszowania woli Polski.

Cóż to znaczy to oświadczenie pana Mikołajczyka? „Gdyby wiedział”. Czy Mikołajczyk mógł przez chwilę, przez minutę mieć wrażenie, że wybory odbędą się uczciwie, że głosy obliczone będą tak, jak zostały oddane? A przecież dla zapewnienia swobody głosowania nie wystarczy uczciwe obliczenie głosów. Aby referendum było referendum a nie komedią, trzeba swobody agitacji, swobody prasy, swobody zdania. Jakże wogóle można mówić o referendum w kraju, w którym istnieć mogą tylko koncesjonowane partje, prasa antyrządowa nie istnieje wcale, prasa rządowa ale skrzydła opozycyjnego ma oszczędnie wymierzany papier; policja polityczna hula bezkarnie i dokonywuje aresztowań pod kątem zapewnienia rządowi pomyślnego wyniku głosowania, a wreszcie rząd rzuca milionami złotych na agitację wyborczą: „Na cele agitacji przedwyborczej – stwierdza tenże pan Mikołajczyk – rząd wypłacił partji komunistycznej 65 milionów, a PPS – 40 milionów”.

Cóż dzisiaj pomoże zawołanie, narzekanie na fałsze wyborcze i skruchy w

rodzaju: „gdybym wiedział”? Czyż nie było jasne od początku, że jeśli reżim idzie na próbę sił, to nie po to, aby ją przegrać. Pan Mikołajczyk – powiadają jego zwolennicy – chciał policzyć swe siły. Nie rozumiem! Czyż można ważyć cokolwiek na fałszywej wadze?

Swym udziałem w wyborach, swą walką wyborczą pan Mikołajczyk oddał wielką usługę reżimowi. Chodziło im przeciw o to, aby komedia tej próby sił wyglądała jaknajbardziej podobnie do normalnego głosowania i przeciwnik opierający się, agitujący przeciw i w końcu zwyciężony był im niezbędnie potrzebny.

Nie mogę się tu powstrzymać od zacytowania kilku charakterystycznych ustępów z artykułu wstępnego w „Gazecie Ludowej”, organie pana Mikołajczyka, z dnia głosowania:

Miasto oblepione wielobarwnymi plakatami, na których dominuje sywetka osła krzyczącego „Nie!”

Ten chwyt propagandowy odnieść może jakiś skutek tylko wśród nieuświadomionych. Obserwatorzy świata zwierzęcego wiedzą bowiem doskonale, że osioł nie jest bynajmniej synonimem głupoty, że przeciwnie przejawia on zdumiewający spryt, swoistą inteligencję, a w chwilach niezadowolenia upór trudny do zwalczania.

W życiu ludzi upór w krytycznych momentach decyduje nieraz o sukcesie i powodzeniu.

Wykolejenie z osłem nie jest jedynym w agitacji partii skonfederowanej. Chyba że tak! Jeśli ktoś ma tak zdumiewający spryt, „swoistą inteligencję”, a „w chwilach niezadowolenia taki upór trudny do zwalczania” jak osioł, to istotnie może jest konsekwentne, że staje do wyborów, o których wie, że będą sfałszowane. Naszym zdaniem należało to referendum pominąć milczeniem, a wtedy uważalibyśmy je za coś równoznacznego ze stawianiem pomników wdzięczności armii czerwonej, czy innymi wyczynami reżimu. Ale zdanie „Gazety Ludowej” było wręcz odwrotne, jak to widzimy z ustępu artykułu, napisanego już po wyborach:

Frekwencja głosujących była duża, co jest bez wątpienia zasługą PSL. Nawoływało ono do masowego udziału w głosowaniu i przyczyniło się do zainteresowania nim szerokiego ogółu przez przeciwstawienie się w pierwszym pytaniu.

PSL swą akcją na rzecz głosowania odcięło się – od tych tajemnych sił, nie wiadomo skąd czerpiących natchnienie, które proklamowały abstynencję, uważając ją za najwłaściwsze przeciwstawienie się rzeczywistości. PSL sądzi, że bierność i nieobecność nigdy nie prowadzi do celu, dlatego zachęcało swych członków i sympatyków do tłumnego udziału w tym pierwszym głosowaniu ludowym po okresie elitarnych wyborów sanacyjnych i martwocie rządów okupantów.

Obok znacznej frekwencji, jako drugi pomyślny objaw należy podnieść spokojny przebieg dnia wczorajszego w Warszawie i okolicy. Były wprawdzie drobne incydenty, były nawoływania do jawnego głosowania, zdarzały się fakty uzupełniania i poprawiania spisów jeszcze w samym dniu głosowania, w niektórych obwodach brakowało zastrony, ale wszystkie te przekroczenia nie były częste i nie mogły odegrać większej roli wobec stwier-

dzonego dotychczas poprawnego naogół przebiegu głosowania.

Nic natomiast nie możemy jeszcze powiedzieć o drugim niemniej doniosłym akcie – obliczaniu głosów.

Jednym słowem „Gazeta Ludowa” daje delikatnie do zrozumienia, że obliczenie głosów będzie sfałszowane, a jednocześnie chwali referendum i potępia tych, którzy mu się przeciwstawiali. Co to wszystko znaczy? Jakie siły, jakie nici kierują tą jawnie nedorzeczną polityką?

Referendum pod względem prawnym

Referendum po to było potrzebne reżimowi, aby być rodzajem wstępnych ćwiczeń, generalnej próby sfałszowania przyszłych wyborów sejmowych.

Natomiast pod względem prawnokonstytucyjnym referendum było całkowicie wadliwe i w niczym nie przypominało instytucji referendum w Szwajcarii, gdzie lud odpowiada na jasno i niedwuznacznie sformułowane pytania.

Samo zarządzenie referendum stanowiło złamanie konstytucji 1921 roku, która rzekomo w Polsce obowiązuje. Reżim przekazał referendum sprawę, które według tej konstytucji powinien rozstrzygać parlament.

Pytanie pierwsze: „Czy jesteś za zniesieniem Senatu?” było wadliwe pod względem prawnym. Brakowało wyjaśnienia, komu mają być przekazane kompetencje Senatu: czy Izbie Poselskiej, czy rządowi, czy też jeszcze jakiejś innej instytucji, mianowanej przez rząd czy też obieralnej przez Sejm czy lud.

Zniesienie Senatu z przekazaniem jego kompetencji rządowi wzmacnia rząd – z przekazaniem jego kompetencji Sejmowi stwarza onnipotencję parlamentu. Są to wszystko kwestje najzupełniej zasadnicze, bez których wyjaśnienia trudno jest świadomemu obywatelowi odpowiedzieć na pytanie, czy życzy sobie czy też jest przeciwny zniesieniu Senatu. Ale nad tymi kwestjami reżim nie zastanawiał się ani na chwilę. Nie chodziło mu przecież naprawdę o jakąś reformę konstytucyjną, ale o podważenie i wywrócenie rzekomo obowiązującej konstytucji 1921 roku. Bo jak nie można ze skomplikowanej maszyny wyjąć jednej śruby bez zepsucia całego mechanizmu, tak i z konstytucji nie można wyjąć jednej instytucji.

Pytanie drugie: „Czy chcesz utrwalenia w przyszłej konstytucji ustroju gospodarczego, zaprowadzonego przez reformę rolną i unarodowienie podstawowych gałęzi gospodarki krajowej, z zachowaniem ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej?” – jest pytaniem, na które nie można dać odpowiedzi jednym „tak” albo jednym „nie”. Założmy bowiem, że odpowiadam „nie”. W takim razie daję negatywną odpowiedź nie tylko na utrwalenie reformy rolnej i unarodowienie „podstawowych gałęzi”, ale z mego „nie” wynika także, że jestem przeciwny „zachowaniu ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej”. Niewiadomo wtedy wogóle, czego chcę, a czego nie chcę. Nie chcę reformy rolnej, nie chcę unarodowienia, ale i nie chcę inicjatywy prywatnej. Pytanie powinno być oczywiście rozbite na kilka pytań, ale reżimowi chodziło właśnie o to, aby tu najbardziej nabałamucić i aby nikt nie mógł na to pytanie dać innej odpowiedzi prócz tej, któraby znaczyła, że obywatel w dziedzinie gospodarczej pozwala rządowi robić co mu się podoba.

„Unarodowienie podstawowych gałęzi gospodarki krajowej” – cóż to znówu znaczy? Przedewszystkim pojęcie „podstawowych gałęzi” jest stylistycznie nie-

zgrabne, podstawą może być pień a nie gałęzie, redaktorzy pytania widać za dużo myślą o gałęzi, na którą zasługują i dlatego im te gałęzie tak chodzą po głowie. Ale na podstawie wyrazów użytych w referendum nie sposób zrozumieć, czy „utrwalanie” „unarodowienia” może dotyczyć rolnictwa, czy tylko przemysłu. Przecież produkcja zboża jest niewątpliwie tak samo „podstawową gałęzią gospodarki krajowej” jak wydobycie węgla. Na podstawie „tak”, które „zwyciężyło” w odpowiedzi na to pytanie, rząd jest w prawie tak samo „utrwalac” unarodowienie wytwórni węgla jak sylenia miodu, bo to wszystko można uznać za „gałąź podstawową”. Reżimowi tu chodziło poprostu o uzyskanie czeku *in blanco*, na który wpiąć może co mu się podoba.

Wreszcie trzecie pytanie: „Czy chcesz utrwalenia zachodnich granic państwa polskiego na Bałtyku, Odrze i Nisie Łużyckiej?” Intencje reżimu są tu wyraźne. Chodzi o uzyskanie odpowiedzi, którą możnaby interpretować jako zgodę narodu na wymianę Wilna i Lwowa na Odrę i Nisę. Pan Mikołajczyk, wierny zwolennik Jały, wraz z innymi organizacjami politycznymi w Polsce, które niewiadomo z kim się kontaktują, pośpieszył wyjaśnić narodowi polskiemu, że trzeba tu pójść na rękę reżimowi w jego zdradzieckiej wobec ziemi ojczystej polityce i głosować „tak”.

Kto głosował „tak”

Na głosy „tak”, których była znakomita większość, składają się:

- 1) głosy ordynarnie sfalszowane.
- 2) Głosy ludzi otumanionych agitacją. Tylko ludzie nie znający się na wyborach i głosowaniu ludowym mogą sądzić, że można wydać sto milionów złotych na wyborcze trąby i piszczałki, a nie mieć z tego żadnego rezultatu. Nawet w kraju o wysokim wyrobieniu obywatelskim agitacja robi swoje, a cóż dopiero w Polsce, która pod tym względem stoi o wiele niżej od krajów na zachodzie Europy.
- 3) Głosy ludzi skaptowanych dla reżimu posadami, zaszczytami, obietnicami, głosy karjerowiczów i korupcjonistów. Klasa urzędnicza w Polsce zaczyna się częściowo solidaryzować z reżimem i nie może być inaczej. Etycyzm i wolne wybory — oto są dwie rzeczy, których współzycie jest niemożliwe. Albo swobodna, indywidualna gospodarka i wybory, parlament, demokracja — albo gospodarka socjalistyczna i rządy totalistyczne.

4) Głosy ludzi, którzy jeszcze przed wojną więcej kochali Rosję niż Polskę, to jest głosy ideowych komunistów. Wiemy, że ta czwarta grupa jest najmniej liczna, ale pozatem nie znamy stosunku liczbowego tych grup między sobą. Oto jest wielka zagadka współczesnej Polski, od rozwiązania której należy przyszłość naszego narodu. Nie należy jednak zamykać oczu na postępy, które agentura sowiecka uczyniła w naszej nieszczęśliwej Ojczyźnie. Nie było do pomyslenia ani w 1939 roku, ani jeszcze za czasów Komitetu Lubelskiego, żeby komuniści mieli na terenie Polski tylu ludzi do dyspozycji, aby mogli fałszować wyniki wyborów na całym terenie państwa.

Kto głosował trzy razy „nie”

Ilu ludzi głosuje podczas wyborów nie tak, jak im sugeruje taka czy inna agi-

tacja, ale na podstawie własnych samodzielnych przemyśleń? Należy sądzić, że takich ludzi we wszystkich społeczeństwach jest bardzo niewiele, ale z drugiej strony trzeba uznać, że właśnie oni reprezentują element politycznie najcenniejszy, bo całkowicie świadomy swych działań.

Wysoki procent ludzi, którzy w Polsce głosowali trzy razy „nie” wskazuje na to, że wyrobienie obywatelskie, zdolność do samodzielnego myślenia politycznego wbrew spodziewaniom urosła podczas wojny.

Oczywiście, że ludzie, którzy głosowali trzy razy „nie” ściągają na siebie gromy prasy reżimu – nazywani są zdrajcami kraju itd., itd. Tem większe należy się im uznanie.

Sądzę, że można podzielić ich na dwie grupy.

Do pierwszej należą ci, którzy uważali, że reżimowi należy się bezwzględnie negatywna odpowiedź. Zabiegał on o trzy razy „tak”, należy mu odpowiedzieć trzy razy „nie”.

Do drugiej należą ci, których „nie” płynęło z rozważań głębszych. Oto ludzie ci szlachetnie przypuszczali, że zgoda na Odrę i Niszę będzie interpretowana jako zgoda na wymianę Wilna i Lwowa na Odrę i Niszę. W kraju, w którym o powrocie do Wilna i Lwowa mówić nie można, to trzecie „nie” na kartce do głosowania było demonstracją na rzecz Wilna i Lwowa.

Radio warszawskie twierdzi, że trzy razy „nie” głosowali Litwini, którzy korzystając z dobrej znajomości języka polskiego udają Polaków. Wynikałoby z tego, że jedna trzecia ludności Krakowa to... Litwini. Ale to tłumaczenie wskazuje na ścieżkę do prawdy. Nie żadni Litwini w pojęciu etnograficznym, lecz Wilnianie i inni Polacy z ziem zabranych chcieli w ten sposób oświadczyć, że pytanie o granicach nie jest kompletne, że pominięto w tym pytaniu granice wschodnie.

Z powyższego nie wynika, abym sądził, że ci, którzy na trzecie pytanie napisali „tak” zgadzają się na odstąpienie Wilna i Lwowa – Rosji. O nie! Wiemy dobrze, że cały naród polski głosowałby za Wilnem i Lwowem i że dlatego właśnie reżim tego pytania tak aktualnego w swym referendum nie zamieścił, i to właśnie stwierdza, że reżim jest obcy Polsce, a Polska reżimowi.

Odpowiedź na dwa zarzuty

Profesor Stroński w swej recenzji o *Latach nadziei*, na którą zaraz poniżej odpowiadając będę, pisze, że niepotrzebnie użyłem jako motta do tej książki słów Marszałka Piłsudskiego: „W czasach kryzysów – powtarzam – strzeżcie się agentów”, bo Osóbka także mówi o agentach.

Z kraju piszą mi: „Jeśli odbierasz nam wiarę w Anglików, to odbierasz nam ostatnią nadzieję”.

Odpowiadam jednocześnie na te dwa zarzuty następującym stwierdzeniem:

Anglicy dzielą się na antysowieckich i filotowieckich.

Anglicy antysowieccy powiadają: „Niech Rosja zadowolni się posiadaniem Polski, Bałtyki i Węgier i Jugosławii, ale niech nam nie włazi na nasze tereny w Azji i w Europie”.

Anglicy filosowieccy powiadają: „Trzeba się z Sowietami ułożyć nie tylko w sprawie Europy środkowej, ale także i w sprawie niemieckiej i na bliskim, środko-

wym i dalekim Wschodzie”.

Anglików, którzyby chcieli Rosji odbierać Polskę — niema, a jeśli są, to się politycznie nie liczą.

Ci, którzy sądzą, że Anglia... zerwie z Rosją z powodu fałszów w referendum polskim, są poprostu ludźmi nie orientującymi się w polityce światowej. Anglia może conajwyżej kiedyś zerwać z rządem warszawskim, ale nie rozumiem, jakaby z tego była dla nas korzyść. Nie osłabiłoby to bynajmniej zależności nieszczęsnej Polski od Rosji.

Zagadnienie polskie przestało być dla Anglii zagadnieniem klasy Foreign Service, a stało się zagadnieniem klasy Intelligence Service.

Wiem, że to jest ciężkie i niepopuluarne, ale nie należę do tych, którzy twierdzą, że patriotyzm polega na okłamywaniu swego społeczeństwa i utrzymywaniu go w stanie ciągłych iluzji.

Stanisław Mackiewicz, *Referendum* (broszura), Londyn, lipiec 1946

W przytoczonym tekście zachowaliśmy, poza wprowadzeniem niewielkich zmian interpunkcyjnych, oryginalną pisownię autora (red.).

SPIS TREŚCI

- | | |
|----|--|
| 3 | Stanisław BRZozowski Być Polakiem... |
| 5 | Zbigniew HERBERT Msza za uwięzionych |
| 7 | Janusz GŁOWACKI Wartownicy |
| 15 | Kornel FILIPOWICZ Wiersze |
| 20 | Andrzej SZCZYPIORSKI Spowiedź dziecięcia wieku |
| 29 | Stanisław BARAŃCZAK Wiersze |
| 32 | Janusz ANDERMAN Jakoś pusto |
| 39 | Bronisław MAJ Chile |
| 45 | Kazimierz ORŁOŚ Rozważania o pomniku w sercach ludu uszczęśliwionego |
| 53 | Jakub PERKAL Zamiast bilansu |
| 66 | O.PRAWCA Dzień skunksa |
| 79 | Maciej POLESKI Pięć spotkań |
-

-
- 89 KONFERENCJA W OXFORDZIE
dotycząca stosunków
polsko-żydowskich
-
- 91 Władysław BARTOSZEWSKI:
Stosunki polsko-żydowskie
w okupowanej Polsce 1939-45
-
- 102 Michał BORWICZ: 1944-1947
-
- 110 Bohdan CYWIŃSKI: Zagadnienie
stosunków polsko-żydowskich
w opozycji lat siedemdzie-
siątych
-
- 116 Rafael F.SCHARF: Cum ira et
studio
-
- 123 Jan Józef LIPSKI
Antyniemiecka karta reżimu
warszawskiego
-
- 128 MUZEUM RUCHU REWOLUCYJNEGO
-
- 129 Sławomir MROŻEK
Leopold
-
- 138 Sławomir MROŻEK
Na 40-L-cie PRL
-
- 139 Jan PRZYBOR
Być i pisać
-
- 155 TOMASZ BUREK
Herbert - linia wierności
-
- 165 Marek ZALESKI
Poezja Jana Polkowskiego
-

POJEDYNKI

169 Tomasz BUREK: Kompleks Ezopa

175 Zbigniew MENTZEL: Sandauer
o stalinizmie

PRZEGLĄD KULTURALNY
I NIEKULTURALNY

182 *I powraca wiatr...* - w kraju

185 Roma JASKÓLANKA: Co to jest
"Na głos"?

188 Leopold Łabędź o Aleksandrze
Waciu

195 Jacek FEDOROWICZ: Fasada

RECENZJE

199 Antoni POSPIESZALSKI: Polski
socjalizm Adama Ciołkosza

207 Roch KOWALSKI: Pamięć pisarza

212 Jerzy PILCH: O co walczymy

215 R.E.T.: Dekonspira?

220 SOW SHOW

DRUGI BRZEG

221 Jerzy MALEWSKI: Zmarł
Józef Mackiewicz

ARCHIWUM EMIGRACYJNE

231 Stanisław CAT MACKIEWICZ:
Referendum

Cena zt: 500